AUTOR „CZERNI I PURPURY"
POWRACA DO TEMATYKI WOJENNEJ!

Amerykanka

PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O KOBIECYM LOSIE,
MIŁOŚCI I BAŁKAŃSKIM AUSCHWITZ

WOJCIECH DUTKA

LIRA
WYDAWNICTWO

WOJCIECH DUTKA

Amerykanka

LIRA
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2023

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023
© Copyright by Wojciech Dutka, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Małgorzata Piotrowicz
Korekta: Joanna Dzik
Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski/garasz.pl
Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: domena publiczna
Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-24-1 (EPUB); 978-83-67654-25-8 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

LIRA
WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

Spis treści

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I. Przesyłka
Rozdział II. Sztylet w Filadelfii
Rozdział III. Niemieckie śniadanie
Rozdział IV. Spotkanie z mistrzem
Rozdział V. Król Olch
Rozdział VI. Przypadkowe zdjęcie
Rozdział VII. Duch absolutny
Rozdział VIII. Parsifal
Rozdział IX. Afekt
Rozdział X. Kraj dobrych ludzi

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział XI. Adagio for Strings
Rozdział XII. W kręgu Gertrude Stein
Rozdział XIII. Brat marnotrawny
Rozdział XIV. Aresztowanie
Rozdział XV. Długi cień Heideggera
Rozdział XVI. Pod niebem Prowansji
Rozdział XVII. Upadek Francji
Rozdział XVIII. Osaczenie
Rozdział XIX. Strategia przetrwania
Rozdział XX. Collaboration horizontale

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XXI. Bałkański kocioł
Rozdział XXII. Śmierć młodego Wertera
Rozdział XXIII. W drodze do piekła

Rozdział XXIV. Wyrzut sumienia
Rozdział XXV. Fra Sotona
Rozdział XXVI. Dzieci gorszego Boga
Rozdział XXVII. Igrzyska
Rozdział XXVIII. Ucieczka
ROZDZIAŁ XXIX. Życie w ukryciu
Rozdział XXX. Zemsta
Rozdział XXXI. Ostatnie kuszenie
EPILOG
Przypisy

PROLOG

NA POKŁADZIE LINIOWCA „ANDREA DORIA”,
20 LIPCA 1956

Wielki statek „Andrea Doria” wypłynął tego dnia z Genui z ponad tysiąc pięciuset pasażerami na pokładzie. Był to najnowszy i najnowocześniejszy włoski liniowiec pasażerski, który zabierał w rejs transatlantycki bogatych biznesmenów, dyplomatów, emigrantów i ludzi spragnionych przygód. W obszernych pomieszczeniach znajdowały się luksusowe meble i dzieła sztuki współczesnej; kajuty pasażerów wyposażono w telefony umożliwiające połączenie z lądem. Do dyspozycji były baseny, kręgielnia, kawiarnie, puby i liczne restauracje, gdzie można było przyjemnie spędzić czas i pogawędzić ze współtowarzyszami o niczym.

Rejs jest czasem zawieszenia, jedni pasażerowie nie mogą się doczekać kontaktu z lądem, inni odegnać od siebie przeszłości. W tej drugiej grupie był niemiecki biznesmen Maksymilian von Hoym, jeden z szefów rady nadzorczej firmy Volkswagen, który podróżował z Genui do Nowego Jorku. Towarzyszyła mu siostra, młodsza od niego o osiem lat – elegancka i pełna wyrafinowania kobieta. Miała na imię Anabelle.

– Maksymilian, chodźmy, proszę, do kawiarni.

Było ciepłe popołudnie, choć od oceanu wiała lekka bryza. Maksymilian miał na sobie elegancką koszulę w kolorze błękitnym, ale na plecy zarzucił lekki sweterek, na wypadek gdyby wiało od otwartych szeroko drzwi największej kawiarni na górnym pokładzie. Anabelle była w doskonałym humorze i cieszyła się, że brat zabrał ją w rejs do Ameryki. Płynęła tam po raz pierwszy. Brat i siostra mieli jedną zasadę, której starali się przestrzegać zawsze, gdy podróżowali lub spotykali nowych przyjaciół i znajomych: nie mówimy o przeszłości – *die Vergangenheit* jest

przestrzenią zamkniętą. Nie sposób wydobyć z niej już niczego – wspomnień, kontaktów, doświadczeń ani tym bardziej żadnego poczucia winy. Maksymilian von Hoym i jego siostra zapewne nie przeczytali tekstu Karla Jaspersa o niemieckiej winie[1], ale nie dlatego, że by go nie zrozumieli, tylko dlatego, że nie chcieli. Dla nich ten tekst przywoływał *die Vergangenheit*, a oni wyrzucili tę kategorię ze swoich egzystencji. Dla nich przeszłość została wymazana. Przestała istnieć. A oni, Niemcy nowocześni i europejscy, chcieli żyć bez poczucia winy.

Maksymilian i Anabelle von Hoym zasiedli więc w kawiarni na wygodnych fotelach. Kelner, młody włoski chłopak, błyskawicznie do nich podszedł. Zamówili dwie kawy po irlandzku i spory zapas wody mineralnej. Anabelle miała ochotę pójść wieczorem do kabaretu, mimo że nie mówiła po włosku. W pewnej chwili Maksymilian zauważył, że do kawiarni weszły dwie zakonnice. Nie znał się na żeńskich katolickich zgromadzeniach, ale jego uwagę przykuła twarz jednej z kobiet. Wydawała mu się przerażająco znajoma. Zakonnice usiadły o trzy stoliki dalej i teraz Maksymilian był już pewny, że zna jedną z nich. Żywił płonną nadzieję, że ona nie spojrzy w jego stronę i nie zobaczy go, ale na zamianę miejsc z siostrą było za późno. Anabelle – spostrzegawcza kobieta – zauważyła, że brat stał się jakiś nieswój, zdenerwowany.

– Nie odwracaj się – poprosił.

– Czy coś się stało? Wyglądasz, jak gdybyś zobaczył ducha – powiedziała Anabelle, nie wiedząc, że trafia w sedno.

– Co za bzdury mówisz. Duchy nie istnieją.

Mieli w zwyczaju tak się przekomarzać o zdania, które wypowiadali. Lubili te zabawy, ale tym razem siostra dostrzegła w bracie niemal niedostrzegalną, ale jednak dla niej zauważalną, przemianę. Jej Maksymilian nie był sobą – pod wpływem nieokreślonego wrażenia stawał się kimś, od kogo sam chyba chciałby uciec. Anabelle nie mogła się powstrzymać i odwróciła głowę. Zauważyła dwie zakonnice. Jedna z nich również spojrzała w ich stronę – w chwili, gdy Anabelle na nie patrzyła. Wydawało się jej, że wzrok zakonnicy spoczął na Maksymilianie. Ale zaraz

zdała sobie sprawę z tego, że kobieta patrzy także na nią. Poczuła się z tym źle, ale nie na tyle, by wydobyć jedną konkretną twarz z obszaru zapomnienia. Przez ostatnie kilka lat Anabelle znów żyła na odpowiednim poziomie, bez wyrzutów sumienia i bez refleksji – przecież ona nie zrobiła nic złego. Nikogo nie zabiła. Nikogo nie skrzywdziła. Ale widząc twarz zakonnicy, na jedną chwilę musiała wrócić do przeszłości i zmierzyć się z tamtą twarzą. Uciekła od tego. Nie chciała uwierzyć w to, co zobaczyła.

– Chodźmy stąd, proszę. – Maksymilian zareagował gwałtownie.

Nie dopili kawy. Opuścili kawiarnię. Maksymilian szedł szybko, zostawiając siostrę z tyłu. Przeszli pół pokładu i zajęli miejsce w pubie na rufie – dwa miejsca na wysokich krzesłach obok baru były wolne. Szybko zamówił dwie podwójne szkockie z lodem. Miał ochotę się napić. Najchętniej wypiłby całą butelkę i zasnął pijackim snem. Gdyby był sam, zapewne tak by postąpił, ale jego obecności domagała się siostra – nie mógł jej zignorować.

– Czy możesz mi powiedzieć, co właściwie się stało? – zapytała Anabelle, która po raz pierwszy ujrzała brata w takim stanie.

Maksymilian wypił niemal duszkiem podwójną szkocką. Skinął na barmana, by nalał następną kolejkę.

– To była ona – wydusił z siebie.

– Co takiego? – I nagle zrozumiała. – To niemożliwe.

– To na pewno jest ona. Mam dobrą pamięć do twarzy, Anabelle – rzekł Maksymilian von Hoym. – Wszystko się zgadza. Oprócz tego habitu.

Anabelle czuła, że kiedyś dojdzie do takiej rozmowy, że brat zacznie sam z siebie mówić o wojnie. Nigdy nie zadawała pytań: co, gdzie i kiedy. W Niemczech takich pytań się po prostu nie zadawało.

– Ona stanowi dla mnie zagrożenie – stwierdził w końcu, czym wprowadził siostrę w prawdziwe osłupienie.

– Co może zrobić? – parsknęła Anabelle.

– Ona mnie zna – rzekł Maksymilian, patrząc jej w oczy. – Wie o mnie wystarczająco dużo, żebym zawisnął na amerykańskim stryczku.

– Nie wykonuje się już wyroków – uspokajała go siostra. – Ludzie chcą zapomnieć, normalnie żyć. Spróbuj tak.

– To było możliwe do dziś, Anabelle.

To miał być bardzo długi wieczór na „Andrei Dorii".

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Przesyłka

Dwadzieścia lat wcześniej,
Nowy Jork, maj 1936

Wiosna w Nowym Jorku potrafi być zachwycająca. Zwłaszcza gdy w ogrodach willi klasy wyższej zakwitną magnolie. Mecenas Samuel Singer uwielbiał magnolie i zawsze uważał, że szybko opadające kwiaty są odzwierciedleniem życia ludzkiego, gdyż i ono miało się szybko kończyć.

Tego wiosennego dnia mecenas kończył urzędowanie w przestronnym i świetnie umiejscowionym biurze na dolnym Manhattanie, gdy posłaniec przyniósł zaadresowaną do niego paczkę. Samuel zdenerwował się, bo miał zamiar zdążyć do domu na gorącą kolację, którą przygotowywała jego żona Elisabeth. Jednak postanowił otworzyć przesyłkę. Rozciął grubą tekturę i zajrzał do środka. We wnętrzu paczki znajdowały się list oraz zawinięta w gazety... ryba. Była świeża, ale jej przenikliwy zapach zdążył się rozprzestrzenić po biurze. Widząc ją, Samuel poczuł gwałtowne przyspieszenie akcji serca, wiedział bowiem doskonale, co w języku gangsterów oznaczała ryba w gazecie. Drżącą dłonią wyciągnął list, który był zaadresowany do niego. Otworzył go i przeczytał, po czym włożył z powrotem do koperty. Pozbierał swoje rzeczy i wyszedł. Rybę w gazecie wyrzucił do kosza przed kancelarią. Ruszył do domu. Całą drogę analizował sytuację. Mógł jedynie podejrzewać, dlaczego otrzymał przesyłkę, która w języku mafii oznaczała jedno – ostrzeżenie.

Ktoś wie. Pomyślał o swojej córce.

Samuel Singer kochał Jane ponad wszystko. Ze starszym synem, Michaelem, miał same kłopoty. Nie było bowiem miesiąca, by papa nie spłacał długów karcianych albo wynajętych przez synka panienek lekkich obyczajów z Bronxu. Szczególnie te drugie były hańbą dla rodu, więc Samuel stanowczo przykazywał służbie, aby nigdy i pod żadnym pozorem nie opowiadała żadnych sensacji z tym związanych. Żył jednak podwójnym życiem, choć taka schizofreniczna maniera w czasach prohibicji nie była niczym nadzwyczajnym. Zbyt mocno kochał rodzinę, aby mówić otwarcie o tym, kogo reprezentował w czasach, gdy nie można było w żadnej restauracji kupić nielegalnie alkoholu. Prohibicja wyniosła na szczyt i obaliła wiele gangsterskich fortun. O tych rzeczach nie należało mówić, a już na pewno nie w szabat.

W domu czekała kolacja... i nienasycony Michael.

– Ojcze, chcę żebyś dał mi tysiąc dolarów – oświadczył, gdy już ojciec odmówił modlitwy i nalał wszystkim uczestnikom kolacji po kielichu czerwonego wytrawnego wina.

– Nie mówimy o tym podczas kolacji szabasowej – odrzekł Samuel, który właśnie zamierzał zjeść gotowane jajko w solance.

– Mój brat sprzedałby mnie, gdyby mógł – rzuciła Jane.

– Papo, niech Jane się ode mnie odczepi! Mam długi i muszę je spłacić – powiedział bezceremonialnie Michael, o którym wszyscy w rodzinie wiedzieli, że spędzał w kasynie w Atlantic City każdy weekend.

– Niech tata nie daje temu darmozjadowi ani centa! – Wzburzona Jane nie mogła znieść tego, jak Michael trwonił pieniądze ojca.

– Kochanie, jak możesz!!! – oburzyła się matka, pani Elisabeth Singer-Coulfield, dla której przed dwudziestu sześciu laty syn pobożnej żydowskiej rodziny, Samuel Singer, popełnił mezalians. Ożenił się z nią, bo kochał ją naprawdę szaleńczo, a Angielka Elisabeth przeszła dla niego na judaizm. Kobieta zawsze brała stronę syna, kierując się zasadą: synek mamusi, córeczka tatusia.

Zbyt wiele emocji pojawiło się tego wieczoru, a przecież Samuel nie pogodził się jeszcze z treścią przesyłki. Musiał zaczekać na bardziej odpowiedni moment, żeby zdradzić największą rodzinną tajemnicę. Uważał, że szczególnie Jane ma prawo do prawdy.

– Proszę was, nie podczas kolacji szabasowej! – uniósł głos, uciszając wszystkich. – Stwórzmy przynajmniej pozory szanującej się i kochającej rodziny.

Rodzina Samuela należała do elity finansowej i intelektualnej Nowego Jorku. Mieli znajomych w rodzinach związanych z Partią Demokratyczną i chodzili do umiarkowanej synagogi na Brooklynie. Samuel był świetnym adwokatem, zarabiał wielkie pieniądze, ale błysnął w czasie wielkiego kryzysu – prowadził sprawy biednych ludzi i nie brał za to ani centa. Uchodził za znajomego Eleanor Roosevelt, wpływowej żony prezydenta – a znajomość z nią otwierała wiele drzwi. Zresztą cała ich rodzina podzielała szczerze jej poglądy i angażowała się w zbiórki publiczne dla biedaków (dzięki New Deal[2] Ameryka dopiero co zaczęła wychodzić z nędzy wielkiego kryzysu), a on sam prowadził kilka spraw w obronie Afroamerykanów, co w tamtym czasie było świadectwem odwagi cywilnej. Jane dorastała więc w rodzinie szczodrej, otwartej i szukającej przyjaźni i koneksji u innych ludzi. Samuel i Elisabeth mieli przyjaciół w domach protestanckich, ortodoksyjnie żydowskich, katolickich, a nawet szczerze i głęboko niezwiązanych z żadną religią czy wyznaniem religijnym. Żyli i działali w światopoglądowym mainstreamie Nowego Jorku, miasta emigrantów, swoistego świata wewnątrz Stanów Zjednoczonych, nazywanego najgorszym lub najwspanialszym miastem świata.

Jane potrafiła postawić na swoim i zawsze znajdowała argumenty. Czytała mnóstwo książek, aż ojciec musiał jej zwrócić uwagę, że sięga po nieobyczajne powieści – jak *Portret Doriana Graya* czy *Wielki Gatsby* – w żadnym razie nieodpowiednie dla obyczajnej żydowskiej dziewczyny z dobrego, mieszczańskiego domu.

– A kto mówi, dobry, kochany papo, że jestem skromna, obyczajna i grzeczna? – zapytała słodko córeczka, która tą odpowiedzią wprawiła swego rodzica w rodzaj niezwykle krępującego zakłopotania.

To były lata licealne. Jane chodziła do prywatnej żeńskiej szkoły na Manhattanie i robiła tam furorę. Rodzice zapisali ją przezornie do szkoły pod nazwiskiem matki i wszędzie funkcjonowała już jako Jane Coulfield. Miała najlepsze oceny z łaciny, angielskiego, literatury angielskiej, francuskiego i filozofii. Co zdumiewało koleżanki, grono nauczycielek i dyrekcję – osiągała świetne wyniki w pływaniu. Dziewczyna uwielbiała pływać i była w tym naprawdę dobra. Wygrała dla szkoły mistrzostwo stanu w roku 1933! Jednak aktywność fizyczna nie mogła równać się z zakochaniem się dziewczyny w... filozofii. Właśnie z tym przedmiotem niesforna nastolatka wiązała swoje nadzieje na studia wyższe.

– Żadną miarą! – zaoponował ojciec, gdy powiedziała mu o tym po raz pierwszy. – Twoją rolą jest bycie żydowską żoną! Masz być panią domu!

– W takim razie wolę umrzeć, papo, bo bez literatury i bez filozofii, bez teatru i bez muzyki nie chcę żyć – rzekła zrozpaczona Jane z takim przejęciem w głosie, taką wiarą w to, co mówi, że stary Samuel Singer odpuścił.

– Gdzie chcesz studiować?

– Na Harvardzie.

Samuel ukończył wydział prawa tej uczelni i znał tam wiele osób. Jane miała wystarczająco dobre oceny, by złożyć podanie o egzamin na studia – zdała go porywająco, wprawiając tym rodzinę w osłupienie. Jej brat, Michael, wybałuszył oczy i zapytał:

– To Jane dostanie moje pieniądze na czynsz w Bostonie?

– Nie tylko je dostanę, ale zabiorę ci twoje udziały w firmie, nicponiu. Papa powinien wynająć prywatnego detektywa, żeby sprawdzić, czy gdzieś w przytułku dla samotnych dzieci nie ma jakiegoś wnuka. Lub wnusi – odparła słodko i złośliwie Jane. Uderzyła w najczulszy punkt

Michaela, czyli mniemanie, że jest dżentelmenem (prawdziwy dżentelmen nie pozwoliłby sobie na dzieci pozamałżeńskie, i to jeszcze w przytułku).

– Ja nie zgadzam się na takie traktowanie! – krzyknął histerycznie Michael, który uważał się za ważniejszego dla rodziców niż wścibska, wiecznie zanurzona w książkach Jane.

– Ty, Jane, ciągle czepiasz się brata! – Do awantury oczywiście włączyła się matka, zawsze broniąca swojego synusia przeciwko córeczce papy.

Tak to ich rodzina kłóciła się, sczepiała w emocjonalnym spleenie i rozluźniała w gwałtownym *tête-à-tête*, a gdy emocje opadły, wszyscy sięgali po szklaneczkę dwudziestoletniego burbona. Te awantury wyczerpywały Jane i czekała z niecierpliwością, aż w końcu wyjedzie na studia do innego miasta. Ojciec załatwił jej stancję u wuja, znanego bostońskiego marszanda, który miał stosunki w Europie, szczególnie we Francji.

*

W Bostonie – mieście na wskroś wolnym i niegodzącym się na niesprawiedliwość, mieście, w którym żył i tworzył Ralph Waldo Emerson – Jane zderzyła się z amerykańską filozofią na poziomie uniwersyteckim. Była na wydziale jedyną kobietą. W owym czasie kariery uniwersyteckie na Columbii robiły Ruth Benedict czy Margaret Mead, na Yale w dziedzinie matematyki błysnęła Grace Hopper. Jednak na Harvardzie kobietom było w owym czasie ciężko. Jako pierwsza profesorką została Cecilia Payne, ale na wydziale astronomii. Jane Coulfield dzielnie przeciwstawiała się dominacji mężczyzn i siadała w pierwszym rzędzie na sali wykładowej.

– Czy pani zna kobiety filozofki? – zapytał kiedyś profesor logiki John Cackshaw.

– Znam jedną: Hypatię, ale na początku piątego wieku naszej ery zatłukli ją mężczyźni nielubiący kobiet myślących samodzielnie bez zezwolenia mężczyzn – odparła natychmiast Jane w swoim stylu.

Profesor musiał przełknąć gorzką pigułkę. Jane najlepiej zdała u niego egzamin z logiki matematycznej i z Platona, którego tłumaczyła z oryginału bez słownika.

– Świetnie zna pani grecki – zauważył profesor.

– Miałam dobre liceum w Stuyvesant.

Jane zagłębiała się w lekturę Platona i Kartezjusza, którego nie znosiła szczerze za komplikowanie spraw prostych, polemizowała z czystym rozumem Kanta i odkryła, że od osiemnastego wieku filozofią rządzą Niemcy. Problemem było to, że nie znała ich języka. Zapisała się zatem na lektorat po sześć godzin dziennie. Po drugim roku mówiła po niemiecku komunikatywnie, choć nie biegle, ale to już umożliwiało jej bierne czytanie tekstów filozoficznych. Wtedy poznała nowego lektora, który na Harvard przyjechał z Bambergu, z tamtejszego znakomitego uniwersytetu słynącego z filozofii i teologii.

Wchodząc na lektorat, spotkała człowieka, który miał naznaczyć jej życie. Był to nad wyraz elegancki i doskonale ubrany mężczyzna. Nosił garnitury szyte na miarę. Jane potrafiła bezbłędnie rozpoznać ubiór uszyty z klasą od niedrogiej tandety – jej papa zawsze miał garnitury szyte na miarę, po kilkaset dolarów za sztukę. Nawet w latach wielkiego kryzysu. Ten wykładowca też się tak nosił. Koszule – dobrane kolorystycznie. Na prawej dłoni, na palcu serdecznym – złoty sygnet, zapewne rodowy, co nie umknęło uwadze spostrzegawczej dziewczyny. Jane od razu pomyślała, że ów mężczyzna jest nader interesujący.

Był Niemcem, to wiedziała, ale nazwisko – Maksymilian von Hoym – nic jej nie mówiło. Brzmiało jak każde arystokratyczne niemieckie nazwisko. Po pół roku się przemogła i zapytała nauczyciela o prymat niemieckiej filozofii.

– Odpowiedź jest prosta – odparł. – Niemiecka filozofia jest najlepsza na świecie.

– Co za pewność siebie! My, w Ameryce, nazywamy to *self-confidence* i bynajmniej nie jest to cecha pozytywna. Nie na Harvardzie.

Maksymilian von Hoym miał około trzydziestu lat i rzeczywiście pochodził z rodziny arystokratycznej. Nie przywykł do takiego języka. W Niemczech, przynajmniej w teorii, wszyscy znali swoje miejsce, ale ta młoda i zaskakująco zdolna Amerykanka okazywała *self-confidence* właśnie wobec niego.

– Czy pani coś zarzuca niemieckiej filozofii?

– Moje zarzuty dotyczą trzech obszarów. Po pierwsze: idealizmu, nazbyt skostniałego i nieliczącego się z rzeczywistością. Ale Hegel to najmniejszy jej problem. Po drugie, skłonność do ideologizacji, czego efektem jest Marks, a to przecież filozof niemiecki.

– A ja myślałem, że żydowski.

Jane odbiła natychmiast piłeczkę, choć podkreślenie pochodzenia brodacza z Erfurtu ocierało się o antysemityzm.

– Tyle w Marksie żydowskości, ile w pierwszych apostołach Kościoła.

Wykładowca nie wiedział nic o pochodzeniu dziewczyny.

– A pani trzeci zarzut?

– Całkowite pominięcie człowieka jako podstawowego problemu filozoficznego.

Maksymilian znał dobrze kobiety. W Jane zobaczył gwałtowne spiętrzenie intelektualnej energii, które go z lekka przeraziło. Dziewczyna była niezwykle atrakcyjna, robiła wrażenie ostrej jak brzytwa kobiety z *Błękitnego anioła* Marleny Dietrich, ale z niezwykłą głębią intelektualną. Polecił jej niektóre artykuły – przeczytała je wszystkie w dwa dni. Coraz częściej rozmawiali, kilka razy zjedli razem lunch. I zawsze mówili o książkach. W dzisiejszych Niemczech mamy filozofa największego od ponad stu lat. Tak oto dowiedziała się o tym, że we Fryburgu Bryzgowijskim pracuje i udziela wykładów Martin Heidegger.

*

Jane nie pamiętała później, kto wpadł jako pierwszy na pomysł stypendium w Niemczech – ona czy Maksymilian. Jednak po zaliczeniu

trzeciego roku studiów mogła bez problemu na podstawie uzyskanych ocen starać się o roczne stypendium filozoficzne i postanowiła spróbować. Dziekan, profesor Harding, wezwał ją na rozmowę w tej sprawie.

– Dlaczego pani chce jechać do Niemiec i do tego teraz?

– Trudno mi to wyjaśnić, panie profesorze – mówiła bez ogródek. – Wydaje mi się, że wewnętrznie nie zgadzam się z panującym tutaj paradygmatem filozoficznym.

– Czy mogłaby pani to lepiej wyjaśnić?

– Świetnie zdaję sobie sprawę z tego, że wiele osób marzyłoby, żeby studiować w tak elitarnym miejscu jak Harvard. I jestem za to wdzięczna losowi. Funkcjonują tutaj jednak dwa podstawowe paradygmaty filozoficzne, z którymi się nie zgadzam. Część profesorów dalej uważa heglizm za podstawę, a część kadry i doktorantów, nie wyłączając pana profesora, jest pragmatykami, co wynika z fascynacji spuścizną Wiliama Jamesa. Tymczasem ja odrzucam obydwa stanowiska.

– To wydaje mi się naturalne – rzekł profesor Harding.

– Tak, ale dla mnie naczelną wartością jest próba pokonania w sposób ostateczny spuścizny kartezjańskiej, a więc dualizmu ciała i ducha, która – z całym szacunkiem – jest największym obciążeniem nowożytnej i w szczególności niemieckiej filozofii, którą się zajmuję. Uczę się intensywnie niemieckiego, a pobyt właśnie tam, w Niemczech, bardzo pomógłby mi w potwierdzeniu lub obaleniu moich hipotez. Mamy na Harvardzie mały dostęp do niemieckiej literatury fachowej, a przyzna pan profesor, że mogłabym poczynić też dla instytutu pewne zakupy na miejscu, w Niemczech.

– Na jak długo planuje pani pobyt? – zapytał profesor Harding.

– Co najmniej rok.

– A czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co się tam dzieje?

– O ile mi wiadomo, do władzy doszedł Adolf Hitler, radykalny nacjonalista. Jednak proszę wziąć pod uwagę, że Niemcy i Stany Zjednoczone utrzymują dobre relacje. Nie widzę powodu, dla którego polityka miałaby stać się przeszkodą w moich badaniach.

– Dobrze – rzekł profesor Harding. – Przekonała mnie pani. Proszę napisać podanie, opisać plan pobytu, dokładny plan naukowy, ze szczególnym uwzględnieniem, jakie aspekty współczesnej nam filozofii niemieckiej chciałaby pani studiować. Proszę złożyć te dokumenty w moim sekretariacie, a ja powiadomię radę instytutu i przedłożę pani wniosek z moim poparciem.

– Dziękuję, panie profesorze.

Jane była naprawdę zadowolona z przebiegu rozmowy. Nie powiedziała jeszcze o swoim planie wyjazdu i o stypendium rodzicom, ponieważ wiedziała, że największą przeszkodą może okazać się brak ich akceptacji. Znała rodziców, dla których miejsce żydowskiej dziewczyny było w domu. Ojciec zgodził się na jej studia, ale uważał je za dziwactwo. Jednak determinacja Jane, by doświadczyć wielkiej przygody intelektualnej, była zbyt wielka, by miała się teraz poddać.

Gdy wychodziła, przed gabinetem profesora Hardinga czekał z podaniem inny adept filozofii Harvardu, starszy od niej o kilka lat – Sean Patrick Flynn. Miał opinię najlepszego logika i matematyka na wydziale, a jednocześnie robił doktorat z logiki filozoficznej. Rude włosy, trochę rozczochrane, wysoki i szczupły. Nosił tanią marynarkę, kupioną gdzieś na wyprzedaży w Bostonie. On też słyszał o jedynej dziewczynie na wydziale. Jane, wychodząc od Hardinga, oczywiście nie zauważyła starszego kolegi, który widząc jej włosy, jej postać i czując delikatny zapach perfum, po prostu musiał podążyć wzrokiem za takim zjawiskiem.

*

Jane z rozmysłem wybrała moment na zakomunikowanie swojej rodzinie decyzji o wyjeździe na stypendium – piątek wieczór, zanim zacznie się święty szabat obchodzony przez ojca i matkę (brat gardził religią), poprzedzany kolacją, której nie lubiła. Nie uważała się za osobę niewierzącą, ale jej stosunek do religii był inny niż rodziny. Nie lubiła sztywności judaizmu ani jego ekskluzywnego charakteru. Po kolacji,

w czasie której matka z ojcem nieustannie się przekomarzali, a brat udawał mądrzejszego, niż był w rzeczywistości, oznajmiła:

– Chciałam was poinformować, że staram się o stypendium i prawdopodobnie latem wyjadę do Niemiec.

Matka popatrzyła bezradnie na ojca, ale Samuel znał swoją córkę. Podświadomie czuł, że już decyzja o wyjeździe na studia do Harvardu, których każdy semestr słono go kosztował, oznaczała, że Jane wymyka się z rodzinnej złotej – ale jednak zawsze – klatki. Była zbyt niepokornym i niezależnym umysłem.

– Nie mówię „nie", ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, co dzieje się w Niemczech?

– Ojcze, wiem i rozumiem twoją troskę – odparła dziewczyna. – Ale czy Nowy Jork, gdzie walczą gangi włoskie i irlandzkie, jest miastem bezpieczniejszym od Getyngi czy Heidelbergu?

– Mówię o złych ludziach w Niemczech – dopowiedział z troską ojciec.

– Źli ludzie są też tutaj, w Ameryce. Jadę na rok i wrócę. Nie chciałabym jechać bez twojego pozwolenia, ale pojadę i tak, czy je dostanę, czy nie.

– Samuelu, nie pozwalaj jej na to! – wtrąciła się do rozmowy alarmistycznym tonem Elisabeth.

Samuel popatrzył w oczy córki – błękitne, jak u matki. Tylko włosy w kolorze kasztana zdradzały jej gorącą aszkenazyjską krew. Samuel pomyślał, że Jane jest uparta i nic jej nie powstrzyma, jeśli nie zostanie potraktowana poważnie, jak na to zasługiwała.

– Dobrze, Jane, zgadzam się na rok. Jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy... – mówił z troską ojciec.

Ale wtedy wtrącił się Michael:

– Nie dawaj jej, ojcze, ani centa moich pieniędzy.

Jane popatrzyła groźnie na brata.

– Ojciec lepiej by zrobił, gdyby uciął ci pieniądze na dziwki, kasyna i burbona, którym się zalewasz.

Michael nie znosił krytyki ze strony kobiet, obojętnie, czy była to kuzynka, czy siostra.

– Nie będziesz do mnie tak mówiła!

– Będę mówiła do ciebie, jak zechcę – odpowiedziała ze spokojem Jane.

Jednak brat tego dnia wybuchł niepohamowaną złością.

– Tato, mamo, mam dość słuchania, jak ta przybłęda mówi mi, co mam robić! I nie pozwolę, żeby zabrała na posag moje pieniądze!

– Michael, przekroczyłeś granice – odparł lodowato ojciec, wpatrując się w osłupiałą Jane, która nigdy jeszcze z ust brata nie słyszała podobnego grubiaństwa.

A ten rzucił wściekle widelcem o stół i wyszedł. Czar wieczoru prysł. Rodzina trzymała się razem, ale jej wewnętrzne spoiwo, jakim była miłość Samuela i Elisabeth, czasem nie wystarczało w konfliktach wybuchających między bratem i siostrą. Rodzice nad tym nie panowali. Elisabeth natychmiast poszła do syna, a Jane i Samuel zostali sami. Mecenas wstał i nalał sobie dużego drinka.

– Nie wiedziałam, że pijesz burbona w szabat.

– Piję, Jane, kiedy muszę. A teraz nadeszła chwila, żebyś poznała prawdę. To dobrze, że decydujesz się wyjechać do Europy.

– Twoja otwartość na mój wyjazd jest doprawdy zagadkowa – odparła Jane, która szybko uspokoiła się po ataku Michaela.

– Nie musisz być złośliwa. Proszę, żebyś mnie wysłuchała do końca. Jak wiesz, jestem adwokatem i przez lata wyrobiłem sobie nazwisko w Nowym Jorku. Jednak w przeszłości miałem różnych klientów. Takie były czasy.

– O czym ty mówisz, tato? – zdziwiła się Jane.

– O latach prohibicji. Od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego działy się w tym kraju rzeczy straszne i musiałem się w tej sytuacji odnaleźć. Jednym z moich klientów był Arnold Rothstein, bardzo wpływowy... i bardzo niebezpieczny przedsiębiorca z Nowego Jorku.

– Chyba gangster, chciałeś powiedzieć.

– W istocie, można go tak nazwać. Poznałem go w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym, kiedy otworzył pierwsze kasyno na Manhattanie. Wtedy też zbliżył się on do mnie i naszej rodziny. To był bardzo zdolny

człowiek, który dążył do zbudowania czegoś w rodzaju syndykatu handlowego w Nowym Jorku w handlu alkoholem sprowadzanym z Europy lub z Kanady. Po kilku latach zorientowałem się, że Arnold i Elisabeth mieli romans w piętnastym roku, podczas wielkiej wojny, ale zajmowałem się jego sprawami na całego. Reprezentowałem go w roku wprowadzenia prohibicji w słynnej sprawie przekupienia graczy w baseball z Chicago White Sox z roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego. Proces zakończył się jego uniewinnieniem. Wtedy też Elisabeth się przyznała. Romans się skończył, ale trwał jego owoc. Dziecko.

Jane poczuła, że coś jest nie tak. Samuel popatrzył z miłością na dziewczynę, która nie była jego córką.

– Jesteś jego córką, Jane. Elisabeth chciała potajemnie przerwać ciążę, ale wyperswadowałem jej to. Zawsze uważałem, że w takiej sytuacji dziecko jest niewinne. Zgodziłem się wychować cię jak własną córkę, do czego Arnold nie zgłaszał pretensji. Był zajęty szmuglowaniem alkoholu z Kanady oraz budową imperium finansowego. Natomiast zostawił ci spory majątek. Zdeponował pieniądze na twoje imię i nazwisko w banku JP Morgan.

Jane osłupiała z wrażenia.

– Tato, dlaczego mi to mówisz? To mnie rani...

– Dlatego.

Mecenas podszedł do kredensu i otworzył go małym kluczem. Wyciągnął zaadresowaną do niego kopertę. Posłaniec przyniósł ją przed południem. Wyszeptał, jak gdyby się obawiał, że ktoś go podsłucha we własnym domu.

– Kilka tygodni temu ktoś przesłał mi do kancelarii rybę, a to oznacza w języku włoskiej mafii zapowiedź szybkiego, niezwłocznego wręcz wykonania wyroku śmierci. A dziś dostałem to.

– Przeczytaj.

Jane wzięła kopertę i wydobyła kartkę czerpanego papieru. Zaczęła czytać.

MECENASIKU, WIEMY, ŻE LATOROŚL

A.R. ROSŁA U CIEBIE.

UWAŻAJ, ŻEBY COŚ SIĘ JEJ NIE STAŁO.

PRZYJACIELE

– Co to znaczy?

– To ostrzeżenie wrogów Arnolda Rothsteina, twojego biologicznego ojca, że są w stanie skrzywdzić ciebie, choć nic złego im nie zrobiłaś. Nie masz nic wspólnego z ich interesami.

– Ale ty miałeś, tato – powiedziała ze smutkiem Jane.

– Tak – odparł gorzko Samuel Singer i chwycił szklankę, do której dolał do pełna whiskey. – Stare grzechy rzucają długie cienie, ale ja za bardzo cię kocham, żeby pozwolić im cię skrzywdzić. Jak widać, Arnold Rothstein miał wielu wrogów. Był namiętnym hazardzistą. Grywał w pokera na wielkie stawki. Raz przegrał trzysta tysięcy dolarów, ale uznał, że to było ustawione, więc nie zapłacił tej sumy. Był znakomitym analitykiem. Nikt jak on nie przekupywał prokuratorów, sędziów i senatorów. W listopadzie tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku został postrzelony w hotelu Central Park. Zmarł dwa dni potem. Myślałem, że jesteś bezpieczna, ale oni jednak dowiedzieli się o tobie. Nie wiem jak, ale dzisiejsza scena, jaką urządził Michael, dała mi do myślenia. Sprawy zaszły za daleko. Musisz wyjechać do Niemiec, im szybciej, tym lepiej. Pieniądze Arnolda dadzą ci kilka lat życia na bardzo przyzwoitym poziomie, a jeśli będziesz żyła oszczędnie, może nawet na dłużej. Będziesz niezależna i bezpieczna. Oczywiście mogę przelać te pieniądze do Europy na wskazany rachunek, ale to potrwa kilka tygodni.

Jane poczuła, jak gdyby jeden z wielkich wieżowców Manhattanu zwalił się jej na głowę. Skryła twarz w dłoniach. Płakała cicho. Samuel podszedł i ucałował ją w głowę.

– Przepraszam, wybacz mi – szepnął.

Po chwili się uspokoiła.

– Dlaczego mama była dla mnie taka oschła przez wszystkie te lata?

– Arnold jest dla nas zamkniętą przeszłością. Nie rób mamie z tego powodu przykrości. Ona cię kocha tak samo jak ja.

Przytulił ją. Płakali razem jeszcze długo. Jeśli bowiem ludzie prawdziwie się kochają, żadna prawda nie jest w stanie tego zburzyć.

Rozdział II

Sztylet w Filadelfii

Maj 1936, Boston

Nazajutrz Jane wróciła do Massachusetts, do Bostonu. Była wciąż wstrząśnięta tym, co usłyszała od Samuela. W głowie jej się nie mieściło, że mogłaby mieć coś wspólnego z gangsterem. Starała się maskować swoje uczucia. Profesor Harding, spotkawszy ją w Instytucie Filozofii, zapewnił, że stypendium jest w trakcie załatwiania. Jej wniosek uzyskał bardzo wysoką ocenę. Gdy oddalił się w stronę biblioteki, zza węgła wychynął starszy kolega z wydziału Sean Patrick Flynn.

– Słyszałem, że jedziesz do Niemiec na stypendium.

Spojrzała na niego bez entuzjazmu. Widziała go kilka razy wcześniej, chyba starał się ją poderwać. Bez powodzenia.

– Widzę, że plotki szybko się rozchodzą po tym instytucie, niemal tak dobrze jak po Brooklynie – powiedziała, maskując burzę swego serca.

– To nie są plotki. Twój wniosek o stypendium nie jest tajemnicą, ale informacją – zauważył Flynn. – Przede wszystkim gratuluję odwagi, bo nie każda dziewczyna wybrałaby się do Europy sama na stypendium.

– Nie lubię protekcjonalności – odparła natychmiast Jane.

– Nie to miałem na myśli.

– Ale tak to zabrzmiało.

– Dasz się zaprosić na lunch?

– W Ameryce nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch – sparowała błyskawicznie. – Poza tym zabrzmiało to tak, Flynn, jak gdybyś chciał mnie zaprosić do łóżka.

Sean Patrick Flynn parsknął. Nie o to chodziło. Miał inny cel.

– Skłamałbym, mówiąc, że mi się nie podobasz, ale ten lunch byłby naprawdę profesjonalny. Wyjaśnię, o co chodzi.

Po zajęciach z filozofii greckiej pojechali jego samochodem do Bostonu. Flynn zaprosił Jane do Union Oyster House, najstarszej restauracji w Stanach Zjednoczonych, która przetrwała burze dziejowe, w tym ostatni kryzys światowy. Zamówili przegrzebki gotowane w winie i butelkę chardonnay. Dziewczyna nie miała ochoty na mocniejszy alkohol.

– Dlaczego interesuje cię moje stypendium?

– Posłuchaj, jesteś najlepsza na swoim roku...

– Nie muszę słuchać pochlebstw – przerwała mu.

– Ale to prawda, i sądzę, że doskonale wiesz, jak jesteś dobra. Ja zajmuję się logiką matematyczną i oczywiście mam swoje osiągnięcia, ale pomyślałem sobie, że mogłabyś spróbować jeszcze czegoś innego.

– Co masz na myśli?

– Słyszałaś o Federalnym Biurze Śledczym?

Jane zaniemówiła. Nie spodziewała się czegoś takiego.

– Tak, słyszałam. Chcesz mnie zwerbować?

Sean Patrick Flynn uśmiechnął się. Zjadł ostrygę z odrobiną musztardowego sosu.

– A jeśli tak? Czy byłaby to wielka zbrodnia? Rok temu, kiedy zaczynałem służbę, do ambasady niemieckiej trafiło wiele listów od naszych obywateli w życzeniami śmierci Adolfa Hitlera, ich nowo wybranego kanclerza. Chcę, żebyś wiedziała, że uważam go za maniaka, ale ta sprawa pozwoliła biuru na rozpoczęcie inwigilacji środowisk skrajnie prawicowych.

– Masz na myśli Ku Klux Klan?

– Tych zakapturzonych idiotów też, ale zdziwiłabyś się, kto stoi za finansowaniem nazistów u nas w Ameryce.

– Henry Ford się z tym nie kryje – zauważyła Jane.

– Otóż to – odparł Flynn. – I pomyślałem sobie, że twoje stypendium w Niemczech jest idealną okazją do zbadania, jakie są związki nazistów

z naszymi bankierami, politykami, ludźmi wpływu.

– Mam zostać agentką FBI?

– A dlaczego nie? Musisz zdać egzamin z logiki, matematyki i wydarzeń współczesnych i odbyć rozmowę. Ja wspomnę o tobie i myślę, że to będzie tylko formalność. Jednak proszę, abyś pozostawiła to wszystko w tajemnicy. Nawet przed najbliższymi. Egzamin odbywa się w siedzibie głównej agencji. Jeśli przejdziesz test pisemny, zaproszą cię na ustną rozmowę następnego dnia.

– Gdzie będę mogła się zatrzymać na noc?

– W hotelu pracowniczym FBI na zapleczu – odparł Flynn.

Jane upiła wina. Zgodziła się.

– A czego chcesz w zamian?

Sean Patrick Flynn uśmiechnął się.

– Wiesz, czego chciałbym, ale widzę, że nie mam u ciebie chwilowo żadnych szans.

Uśmiechnęli się do siebie – oboje wiedzieli, czego chcą od życia.

*

Jane pozostawała w stałym kontakcie z Samuelem Singerem, ale nie powiedziała mu o propozycji Flynna. Trzy tygodnie później pojechała pociągiem do Waszyngtonu i prosto z dworca taksówkarz zawiózł ją na Pennsylvania Avenue, do siedziby FBI. W egzaminie pisemnym, który trwał dwie godziny, wzięło udział ponad stu kandydatów, w tym jedna kobieta – Jane. Wyniki ogłoszono po dwu godzinach. Do tego czasu Jane śmiertelnie się nudziła. Wypiła kawę w bufecie w foyer budynku. Irytowało ją czekanie na wynik. Była niecierpliwa i źle znosiła takie sytuacje.

Jednak, ku swemu zaskoczeniu, zdała test z matematyki i logiki z trzecią lokatą i tego samego dnia wieczorem poproszono ją na rozmowę. Jakiś młody agent w nienagannym garniturze – J. Edgar Hoover szczególnie zwracał uwagę na autoprezentację agentów – poprowadził ją do pokoju na czwartym piętrze. Za potężnym stołem siedziało czterech facetów,

w tym Sean Patrick Flynn. Jej uwagę przykuł mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, w znakomitym garniturze za kilkaset dolarów, gładko ogolony, o włosach z połyskiem brylantyny. W powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej i tytoniu. Jane poczuła się źle, zwłaszcza że wzrok czterech facetów spoczął na niej, jak gdyby była jakimś dziwacznym indywiduum. Tylko obecność Flynna, którego znała z wydziału filozofii, sprawiała, że dziewczyna nie wyszła od razu, zanim zaczęli ją wypytywać.

– Czy pani się nie pomyliła? – zapytał ten w drogim garniturze.

Jane w tej chwili go poznała – widywała tę twarz na zdjęciach w gazetach. Był to sam J. Edgar Hoover, założyciel biura i dyrektor FBI.

– Nie, nie pomyliłam się. Czy pan nie spodziewał się kobiety? – Przeczytała w jednej z książek, które pochłaniała bez reszty, że w takich sytuacjach należy odpowiadać pytaniem na pytanie, żeby skonfundować pytającego.

– Muszę przyznać, że jest pani pierwszą kobietą, która przeszła egzamin pisemny.

– Miło mi.

– Nie wiem, czy będzie pani miło, jak skończymy tę rozmowę – powiedział bardzo zdecydowanym tonem Hoover.

– Zaryzykuję, że panu będzie nie w smak.

Kości zostały rzucone.

– Jak scharakteryzowałaby pani ustrój Republiki Weimarskiej i jak on się łączy z naszą polityką?

Hoover był jednym z tych, którzy zadając kobiecie pytania o politykę, spodziewali się odpowiedzi w najwyższym stopniu dezawuującej ją jako kandydatkę do pracy w agencji, która nie miała zajmować się w żadnym wypadku sprawami międzynarodowymi, ale... Jeśli sprawy międzynarodowe zahaczały o politykę amerykańską, to owszem. W przypadku nazistów miał związane ręce, ponieważ wielu amerykańskich obywateli wystosowało do niemieckiego konsulatu w Nowym Jorku groźby pod adresem nowego niemieckiego kanclerza, a to z kolei oznaczało sprawę dla FBI. Hoover szukał zatem kogoś, kto

przeniknie do środowiska niemieckich potentatów finansowych, arystokracji lub nawet partii nazistowskiej i powie mu potem dokładnie, czy istnieją – i jakiego są rodzaju – związki tych elit z kapitałem amerykańskim. Hoover lubił wiedzieć dużo o wszystkich. Podobno każdy polityk amerykański, nie wyłączając prezydentów, miał w jego sejfie teczkę z materiałami obciążającymi go w oczach opinii publicznej – czym innym było, że z tych materiałów nie korzystał. Będąc tak ukształtowany, spodziewał się, że dziewczyna poniesie porażkę, która z pewnością przyniosłaby mu wiele przyjemności. Ale Sean Patrick Flynn, który znał Jane, świetnie wiedział, że takie stresujące sytuacje są dla niej wymarzoną okazją do błyśnięcia.

Jane wzięła głęboki oddech i zaczęła wykład. Zaczęła od tezy Keynesa z 1919 roku, z książki *The Economic Consequences of the Peace*[3], że nałożenie na Niemcy niemożliwych do spłaty reparacji wojennych wzmocni poczucie krzywdy i żądzę rewanżu, które mogą zostać wykorzystane przez różne ekstremistyczne ugrupowania. Omówiła pucze w niemieckiej polityce w latach dwudziestych i niestabilną sytuację polityczną. Błysnęła, że gdyby Hitler po nieudanym puczu w Monachium strzelił sobie w łeb, nie byłoby dziś problemu. Opisała jego politykę jako szowinistyczną i nacjonalistyczną, ale zaznaczyła, że nie była w Niemczech i nie może tego ocenić, nie dokonując swoistej wiwisekcji na miejscu. Słabość Republiki Weimarskiej opisała przez porównanie kryzysów z 1923 i 1933 roku. W 1923 – według Jane – demokrację uratowały amerykańskie pożyczki, czyli plan Dawesa, dziesięć lat później Niemcy zostawiono same sobie. W miarę jak rozwijała wywód, Sean Patrick Flynn obserwował zmieniający się wyraz twarzy Hoovera – od początkowego kpienia z kobiety po zaskoczenie i podziw pod koniec.

Jane skończyła.

– Jak wypadłam?

– Gdyby wszystkie kandydatki w tym kraju mówiły jak pani, w Stanach Zjednoczonych rządziłyby kobiety – oświadczył bezceremonialnie J. Edgar

Hoover. – Ma pani tę pracę. Jest pani dla mnie największym zaskoczeniem tego roku. Szczegóły pani misji w Niemczech przekaże agent Flynn.

*

Maksymilian von Hoym był bardzo zadowolony z pobytu w Stanach Zjednoczonych. Wykładał przez rok niemiecki jako lektor na Uniwersytecie Harvarda, ale prawdziwy cel jego pobytu w Ameryce był inny. Niemiec nie zdawał sobie sprawy, w jakie relacje weszła Jane, która oczywiście bardzo mu się spodobała jako kobieta, ale jego zamiary wobec niej nie były jeszcze skrystalizowane. Tego dnia wyszedł ze swojej kwatery na terenie kampusu uniwersyteckiego (miał przydzielone mieszkanie służbowe) i pojechał autobusem na dworzec główny w Bostonie, skąd szybkim pociągiem udał się do Filadelfii. Od pewnego czasu był obiektem zainteresowania FBI i ciągnął za sobą ogon w postaci Seana Patricka Flynna, który wsiadł za nim do pociągu i z dyskretnej odległości obserwował niemieckiego wykładowcę.

W Filadelfii von Hoym, niespecjalnie się kryjąc, zajął miejsce w kawiarni niedaleko City Hall. Flynn ulokował się w kwiaciarni po drugiej stronie ulicy. W końcu do Niemca przysiadł się człowiek, którego FBI również obserwowało od dłuższego czasu. Był to Fritz Julius Kuhn, aktywista nazistowski w Ameryce i szef German-American Bund, czyli głównej organizacji zrzeszającej Amerykanów niemieckiego pochodzenia, propagującej skrajny szowinizm i antysemityzm w Niemczech. FBI podejrzewało tę grupę o zbieranie funduszy na rzecz nazistowskiego rządu od amerykańskich prywatnych darczyńców. Z uwagi na to, że rząd Niemiec nie zwrócił się o stosowną zgodę, reakcja na te działania pozostawała w gestii FBI.

Kuhn, potężny mężczyzna, ubrany w brązowy garnitur ze szkockiej wełny, zasiadł obok von Hoyma. Rozmowy oczywiście z tej odległości Flynn nie słyszał.

– Spóźnił się pan, Herr Kuhn. Niemiec powinien być punktualny – zauważył na powitanie von Hoym.

– Bardzo przepraszam, hrabio – odparł protekcjonalnie Kuhn. – Amerykańskie autobusy czasami się spóźniają.

– Moja misja w Ameryce się kończy. Wracam do ojczyzny.

– Szczęściarz z pana.

– Panie Kuhn, pana praca tutaj, w Ameryce, ma dla Rzeszy ogromne znaczenie. Wie pan, ile kosztują reformy, które wprowadza Führer.

– Wiem – odparł dumnie Kuhn. Wyjął zza pazuchy grubą kopertę i podał ją pod stołem von Hoymowi. Ten wziął pakunek i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Trzydzieści tysięcy zielonych. To składki z ostatnich trzech miesięcy. Na odbudowę Rzeszy.

– Dobrze – odparł von Hoym. – Następne wpłaty proszę zawozić bezpośrednio do konsulatu w Nowym Jorku. Dostanie pan informację.

Von Hoym dopił espresso i wyszedł z kawiarni. Z naprzeciwka widział go dokładnie Sean Patrick Flynn. Udało mu się zrobić zdjęcie z kwiaciarni naprzeciwko dokładnie w chwili, kiedy Kuhn podawał von Hoymowi grubo wypchaną kopertę. Teraz miał już dowód, że Niemcy nielegalnie zdobywają pieniądze w USA. To znaczyło, że coraz bardziej odczuwali skutki izolacji. Na giełdzie w Nowym Jorku i Londynie niemieckie obligacje skarbowe nie cieszyły się zainteresowaniem graczy, więc Rzesza nie mogła, zadłużając się, zdobywać nowych funduszy na pokrycie rosnących kosztów polityki Hitlera. Von Hoym był niemieckim agentem, który zbierał dla Rzeszy dewizy.

Idąc na spotkanie z niemieckim działaczem w USA, zauważył, że jest śledzony. Zirytowało go to w najwyższym stopniu. Niemiec nie miał zbyt dobrego mniemania o Amerykanach – ani o ich policji, ani o innego rodzaju służbach. Nie chciał, by ktokolwiek nakrył go podczas odbierania pieniędzy, co było przecież upokarzające, ale konieczne wobec niedoborów waluty w kraju. Celowo zmienił trasę, chcąc się upewnić co do obecności tajniaka. Podczas rozmowy z Kuhnem niemiecki wykładowca spojrzał dwa razy przez szybę kawiarni i zauważył w kwiaciarni mężczyznę, który sprawiał wrażenie, że wcale nie jest zainteresowany obserwowaniem rozmowy. Po chwili von Hoym go poznał: to jego student Sean Patrick

Flynn. Nie mogło być przypadku. Po cóż doktorant z Harvardu miałby znaleźć się w tym samym czasie i miejscu co on? Od czasu gdy szefem sztabu niemieckiej Reichswehry był generał von Seeckt, czyli od połowy lat dwudziestych, von Hoym był oficerem tej formacji i na prośbę szefa przeszedł do wywiadu. Był świetnie wyszkolonym żołnierzem, czasowo wykonującym za granicą inną funkcję. Niemcy nie przestali marzyć o *Weltpolitik*[4] podczas trwania Republiki Weimarskiej – podpisali tajny pakt z Rosją sowiecką w Rapallo w roku 1922, potajemnie ćwiczyli na jej terytorium swoich wojskowych. Von Hoym także przeszedł takie szkolenie – był człowiekiem niebezpiecznym, o czym Sean Patrick Flynn nie mógł wiedzieć.

Von Hoym znał Filadelfię dość dobrze, spotykał się w tym mieście z Kuhnem regularnie. Celowo wybrał ślepą uliczkę niedaleko Italian Market, jednego z najbardziej znanych miejsc. Są tam restauracje, bary, mnóstwo ludzi i... ślepe zaułki. Przyczaił się w jednym z nich. Do prawej nogi miał przymocowany plastrem nóż sprężynowy. Takie umieszczenie broni zaproponowane zostało na jednym ze szkoleń agentów, jakie von Hoym przeszedł w Rosji w 1925 roku. Wyciągnął nóż. Czekał spokojnie.

Sean Patrick Flynn nie spodziewał się, że wykładowca niemieckiego na Harvardzie jest mordercą przeszkolonym przez niemiecki wywiad. Owszem, żywił pewne podejrzenia, szczególnie po dzisiejszym spotkaniu, ale z pewnością nie oczekiwał czegoś takiego. Obiekt obserwacji zniknął. Flynn na chwilę przystanął, aby w gwarze ulicy w dniu targowym zorientować się, gdzie podział się Niemiec. Gdy upewnił się co do kierunku, ruszył w stronę zaułka. Oprócz aparatu miał też przy sobie broń, ale nie zdążył po nią sięgnąć...

Atak Niemca był błyskawiczny. Von Hoym całym ciężarem przycisnął zaskoczonego Flynna do ściany. Zasłaniały ich drzewo oraz kosze na śmieci jednej z włoskich restauracji.

– Dlaczego za mną chodzisz? – zapytał po angielsku von Hoym.

– Zaraz... wytłumaczę... – Sean Patrick próbował zyskać na czasie.

– Nie podoba mi się to, że za mną łazisz – wycedził Niemiec. Lewą ręką sprawdził, co Flynn ma w zanadrzu swojej marynarki. Rewolwer i aparat fotograficzny. – Lubisz fotografować Filadelfię?

– To moja pasja. – Flynn wypowiedział ostatnie zdanie w swoim życiu.

W ręku Niemca błysnął sprężynowy nóż. Von Hoym wiedział, jak zadać śmiertelny cios. Ostrze weszło pod żebra i dosięgnęło serca. Sean Patrick Flynn cicho jęknął, z ust buchnęła krew. Po chwili już nie żył.

Von Hoym ułożył zwłoki między jednym a drugim koszem na śmieci. Zabrał aparat fotograficzny, poprawił swój ubiór – wygładził koszulę, sprawdzając przy tym, czy nie znalazła się na niej krew Flynna. Schował sprężynowiec z powrotem tam, gdzie przedtem. Jak gdyby nigdy nic opuścił zaułek i skierował się w stronę stacji kolejowej przy 30th Street. Wszedł do majestatycznego budynku, do którego prowadził portyk z sześcioma kolumnami wzorowanymi na tych greckich. W kasie kupił bilet do Bostonu. Dojechał tam trzy godziny później.

*

Jane wpadła w ferwor przygotowań do wyjazdu. Cieszyła się bardzo, ale gdzieś na dnie serca odczuwała niepokój. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała tak daleko, nie zostawiała domu, przyjaciół, kochającego ojczyma (a właściwie – jedynego i ukochanego tatę). Elisabeth była matką wycofaną i chłodną, ale ją również dziewczyna darzyła uczuciem. Tylko Michael był nieznośny. Wiecznie naburmuszony, podpity, niezadowolony i zazdroszczący jej kariery naukowej oraz sukcesu – w końcu była pierwszą kobietą na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Harvarda.

– Nie przejmuj się, papo – mówiła podekscytowana Jane do ojca. – Przecież wrócę za rok, a ty z mamą możecie mnie odwiedzić. Statki kursują co tydzień z Nowego Jorku.

– Oczywiście, córeczko.

Poza załatwianiem formalności na uniwersytecie Jane była zaaferowana mnóstwem drobiazgów, mianowicie: co zabrać do Europy, ale Samuel jasno dał jej do zrozumienia, że pieniądze po Rothsteinie dadzą jej

swobodę doboru wszelakiej konfekcji u najlepszych krawców w Europie. Oczywiście rodzice przyjechali na pożegnanie, ponieważ Jane odpływała z Nowego Jorku na pokładzie niemieckiego liniowca „Bremen". Były łzy, uściski i czułości. Ale żądna wrażeń dziewczyna chciała czas pożegnań mieć jak najszybciej za sobą.

Początek czerwca 1936, na pokładzie liniowca „Bremen", gdzieś na Atlantyku

Jane poczuła się samotna. Teoretycznie wiedziała, że Atlantyk jest wielki, ale dopiero doświadczenie pustki oceanu wywołało u niej jakiś posmak melancholii o nieokreślonym podłożu. Woda była spokojna, o umiarkowanej fali. Obeszła pokład i zatrzymała się na dłużej na rufie. Zapatrzyła się we wstęgę białej wody, bezlitośnie ciętej przez śruby statku. „Bremen" miał dwieście osiemdziesiąt trzy metry długości i płynął z szybkością dwudziestu siedmiu węzłów.

Nagle ktoś ją zagadnął:

– Pani pierwszy raz na morzu, Fräulein Coulfield?

Odwróciła się i poznała Maksymiliana von Hoyma.

– O, to pan! W zasadzie poza żeglowaniem na jachcie znajomych ojca w Tampa Bay na Florydzie, kiedy byłam dziewczynką, to mój pierwszy kontakt z oceanem.

Von Hoym zaproponował, żeby się przeszli.

– Obawia się pani oceanu?

Jane pomyślała, że von Hoym jest romantykiem. Nie znała go jednak. To było jedynie pierwsze wrażenie.

– Wrażenie ogromu i nieskończoności jest niezwykłe – odpowiedziała.

– To tylko subiektywne odczucia.

– Subiektywność od czasów Kanta jest podstawą każdego osądu.

– Proszę zdać się zatem na mój obiektywny osąd. Cholernie wieje. Chodźmy na kroplę czegoś mocniejszego.

„Bremen” miał wszystkie udogodnienia znane z innych wielkich transatlantyków tego czasu, jak „France”, „Normandie” czy „Queen Mary”. Poszli zatem do eleganckiej restauracji pierwszej klasy, gdzie Jane przekonała się, że wszystkie serwowane produkty były niemieckie. Zamówili butelkę lekkiego wina reńskiego, kawę i mule gotowane w takim samym winie – wyborne.

– Cieszę się, że jedzie pani do Niemiec.

– Proszę, mów mi Jane – zaproponowała.

Maksymilian lekko się uśmiechnął.

– To dla mnie zaszczyt, Jane. Niemcy się bardzo zmieniły. Dzięki jednemu człowiekowi.

– W Ameryce Hitler ma złą prasę – zauważyła i sięgnęła po wino.

Jane nie wspominała o dwuczłonowości swojego nazwiska ani o pochodzeniu. Paszport, jaki dostała od FBI, wymieniał tylko angielską część nazwiska.

– Nie będę zaprzeczał, że amerykańska prasa widzi Führera na swój sposób. Ale ty będziesz miała okazję zobaczyć Niemcy prawdziwe.

– Co to są prawdziwe Niemcy? Zawodowo nie dowierzam zjawiskom, które inni przedstawiają jako prawdziwe.

Maksymilian zorientował się, że Jane nie połyka sloganów, dobrych może na jakimś spotkaniu partyjnym w Saksonii lub Monachium.

– Zobaczysz sama. Chciałbym cię przedstawić na uniwersytecie w Heidelbergu, a także mojej rodzinie w naszej posiadłości.

Jane wyczuła, że Maksymilian chwilowo zrezygnował z zachwalania Niemiec Hitlera, ale perspektywa zaproszenia przez niemieckiego arystokratę do jego majątku była bardzo kusząca.

– Czy pan mnie podrywa, panie doktorze von Hoym?

Maksymilian uśmiechnął się. Uznała, że miał w sobie to „coś”.

– Oczywiście, nie byłbym sobą, gdybym nie spróbował i nie naraził się na odmowę.

– A ja nie byłabym sobą, gdybym wyraziła zgodę pochopnie.

Maksymilian wypił nieco wina.

– Zadziwiasz mnie, Jane. Nie jesteś typową amerykańską kobietą, żyjącą jak kura na farmie, ani amerykańską panią domu. Dostrzegam w tobie niezależność. To pociąga mężczyzn.

– To pochlebstwo w stylu intelektualisty.

– Ale to prawda! – bronił się Maksymilian von Hoym. – Nie powiedziałbym nieprawdy, ponieważ i tak poznałabyś, że coś nie jest tak.

Spodobał jej się ten argument. Postanowiła, że to sobie zapamięta.

– Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie. – Zmieniła szybko temat.

– To pruska rodzina szlachecka. Nasz majątek znajdował się na ziemiach Fryderyki, siostry króla Fryderyka II, nieopodal Bayreuth, a druga jego część na Pomorzu. Nie jesteśmy bardzo bogaci, ale mamy swoją klasę, że tak to ujmę. Walczyliśmy za Prusy w wojnach śląskich, w wojnie siedmioletniej, potem z Napoleonem, z Francją w tysiąc osiemset siedemdziesiątym i w czasie wielkiej wojny.

– Pan też walczył?

– Nie, byłem za młody. W ostatniej wojnie Stany Zjednoczone i Niemcy w końcu zwróciły się przeciwko sobie.

Popatrzył na Jane badawczo i ona to wychwyciła.

– Miejmy nadzieję, że ta wojna była ostatnia. I być może znajdę na to dowód w Niemczech.

Rozdział III

Niemieckie śniadanie

Fryburg Bryzgowijski, połowa czerwca 1936

Tego czerwcowego dnia do gabinetu w katedrze wszedł asystent profesora Heideggera, doktor Schmidt.

– Co tam, drogi Schmidt?

– Mam uprzejmość poinformować pana profesora, że do naszego uniwersytetu skierowano nowego badacza ze Stanów Zjednoczonych. Zajmuje się filozofią niemiecką.

– Z Ameryki? – powtórzył pytająco Heidegger, jak gdyby nie dowierzał własnym uszom.

– Tak, z Uniwersytetu Harvarda.

– Okropne miejsce – rzekł z dezaprobatą Heidegger. – Harvard to główne siedlisko tak zwanego pragmatyzmu amerykańskiego, wyjątkowo idiotycznej, egoistycznej i szkodliwej społecznie filozofii.

– Jednak osoba ta jest „specjalistką w dziedzinie recepcji myśli platońskiej w niemieckiej filozofii po Kancie" – odparł rzeczowo Schmidt. – Cytuję to z jej dossier badawczego, które przyszło pocztą z Ameryki dwa tygodnie temu.

Heidegger wpatrywał się badawczo w swego sekretarza.

– Dlaczego użyłeś formy żeńskiej w odniesieniu do tego amerykańskiego filozofa?

– Bo ten filozof jest kobietą. Nazywa się Jane Coulfield.

Heidegger zakasłał.

– Kobieta? Ze Stanów Zjednoczonych? Zajmuje się filozofią niemiecką? – powtarzał, jak gdyby chciał dopasować usłyszane informacje do własnej rzeczywistości.

– W istocie. Tak jest – odparł Schmidt.

– Będę musiał się z nią spotkać, ponieważ minister spraw zagranicznych, von Neurath, będzie mi to wypominał, gdybym się nie zgodził. Nasz rząd potrzebuje amerykańskich pożyczek... – Profesor na głos tłumaczył sobie, dlaczego spotkanie wielkiego Martina Heideggera z nieznajomą Amerykańską będzie nieodzowne.

– Na pewno tak by się stało, panie profesorze.

– Dobrze, umów ją na piątek. Dziewiąta rano.

– Tak jest.

Heidegger został sam z tą nieprzyjemną myślą. Uważał amerykańską filozofię, szczególnie tę pragmatyczną, za tak samo złą jak marksizm

sowiecki. Jak gdyby Karol Marks nie był filozofem niemieckim! A teraz taka historia... Amerykanka na spotkaniu z autorem *Bycia i czasu*! Na pewno jest głupia.

Jakoś to przeżyję – pomyślał wielki profesor i zdał sobie sprawę z tego, że do piątku zostały mu tylko dwa dni.

*

Jane dotarła do Hamburga wcześniej, niż się spodziewała. Tutaj chwilowo rozstała się z von Hoymem. Obiecał, że zabierze ją z Fryburga do swojego zamku, jak tylko Jane upora się z formalnościami na uniwersytecie. Jednak podróż z północy Niemiec na południe trwała prawie dwa dni. Z Hamburga pojechała pociągiem do Hanoweru, a stamtąd – po dwugodzinnym oczekiwaniu – do Stuttgartu. Tam postanowiła spędzić noc w hotelu i nazajutrz kontynuowała podróż na południowy zachód Niemiec. Do Fryburga dotarła już ze stolicy Wirtembergii. Tak jak postanowiła w Nowym Jorku – żadnych większych walizek. Wzięła tylko ubrania na kilka dni. Od Samuela dostała gotówkę. Dużo gotówki.

W aplikacji, którą złożyła na Harvardzie, mogła też – po podpowiedzi strony niemieckiej – wybrać miejsce do zamieszkania z polecanych przez uniwersytet we Fryburgu. Z uwagi na to, że kobiety rzadko studiowały na tej uczelni, a ich liczba nie przekraczała nigdy kilku procent, i to głównie na kierunkach nauczycielskich, uczelnia miała listę zaufanych kwater dla młodych studentek. Mogły się tam czuć bezpiecznie i pozostawać pod okiem strażników „niemieckiej, narodowosocjalistycznej moralności". Jane trafiła do wdowy Grety Auschenwald, która zajmowała mieszkanie na piętrze kamienicy znajdującej się niedaleko wspaniałej fryburskiej katedry. Znalazła adres bez trudu, ale wniesienie na górę walizek okazało się jednak trudne – od dwóch dni była w podróży.

– Fräulein do mamy? Na kwaterę? – zapytał młody człowiek w mundurze Hitlerjugend.

Jane zaczynała powoli się przyzwyczajać, że w Niemczech wszyscy – lub prawie wszyscy – nosili przepisowy mundur. Zuniformizowanie mężczyzn

wydawało się jej jednak czymś innym niż tylko zdeklarowanym przywiązaniem do militaryzmu. W przypadku tego nieznajomego jej chłopaka było pewnym stylem bycia. Tak to odebrała.

– Tak, do pani Auschenwald.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Peter. Jestem jej synem.

Młody człowiek stuknął obcasami, jak gdyby była to poranna musztra, po czym otworzył bramę kamienicy. Następnie chwycił obie walizki, aby Jane nie musiała ich targać sama na górę. Zaprowadził ją do mieszkania. Pani Auschenwald zajmowała całe piętro kamienicy, a to oznaczało, że miała do dyspozycji wygodne pięciopokojowe mieszkanie. Syn przedstawił matkę – była to drobna, sześćdziesięcioletnia kobieta, schludna, skromnie ubrana.

– Miło mi, że mogę panią poznać – powiedziała Jane w swoim nienagannym niemieckim.

– Ja również. Otrzymałam z uniwersytetu pismo w sprawie pani kwaterunku. Nie ma problemu. Do pani dyspozycji jest ładny duży pokój z balkonem. Jednak łazienka będzie wspólna.

– W porządku.

– Czy ma pani szczególne życzenia żywieniowe?

– Nie – odparła Jane. Nie wspomniała nic o tym, że urodziła się i wychowała w rodzinie żydowskiej. Nigdy nie lubiła podziału na koszerne i niekoszerne. I znajdowała się w Niemczech Hitlera.

Dokładnie tak sobie wyobrażała mieszkanie na kwaterze. Pokój rzeczywiście był przestronny. Rozpakowała się. Jej rzeczy zajęły niewiele miejsca w szafie. Postanowiła, że czym prędzej kupi sobie konfekcję, która pomoże jej idealnie wpasować się w niemieckie społeczeństwo, a przede wszystkim – nie odróżniać się. Po tylu dniach podróży – choć nie mogła narzekać na luksus pierwszej klasy na liniowcu „Bremen" – marzyła o porządnej kąpieli. Nalała całą wannę wody z dodatkiem soli. Pani Auschenwald w tym czasie przygotowywała kolację, której zapach niósł się po mieszkaniu. Wstając z wanny, spojrzała w lustro i ujrzała siebie całkowicie nagą. Pomyślała o sobie jako o istocie potrzebującej bliskości

innego człowieka. Podobało jej się to, co zobaczyła, ale szybko w duchu skarciła się za próżność. Wytarła się ręcznikiem. Gdy nakładała bieliznę, usłyszała szmer, bardzo delikatny. Nie myliła się – ktoś ją podglądał przez dziurkę od klucza łazienki.

To ten szczeniak – pomyślała Jane. Jego zachowanie wprawiło ją w zakłopotanie.

*

Nazajutrz rankiem Jane nie zastała chłopaka, może dlatego, że zmęczona po tak długiej podróży musiała odespać. Wstała dopiero o wpół do dziesiątej i bynajmniej nie robiła sobie wyrzutów z powodu rozkosznie długiego spania. Frau Auschenwald podała jej znakomite śniadanie – jajka, masło, ciemny chleb, kiełbaski. Zaparzyła też kawę.

– Chciałabym z panią porozmawiać o zachowaniu mojego syna – powiedziała w końcu gospodyni, najwyraźniej chciała przeprosić za gówniarza.

– Ależ proszę się nie przejmować – zareagowała szybko Jane.

– To amerykańskie podejście, które, proszę wybaczyć, nie jest dobre – rzekła pani Auschenwald. – Coś pani powiem. Męża straciłam na wielkiej wojnie i mój Peter jest dzieckiem, które rosło bez ojca. Sama go wychowuję, a nie jest to dziś łatwe, proszę mi wierzyć. Ja jestem prosta kobieta i mam proste zasady. Codziennie modlę się na mszy świętej rano w katedrze za mojego syna, który się pogubił. Zauważyła pewnie pani ten brunatny mundur, prawda?

– Trudno nie zauważyć – odparła Jane. – Ale syn był dla mnie miły wczoraj, sama pani wie, z tymi walizkami...

– Z walizkami to był jego obowiązek – stwierdziła pani Auschenwald. – Ale ja mówię też o jego zachowaniu wczoraj, gdy pani brała kąpiel. Mój syn panią podglądał.

Jane poczuła się nieswojo.

– Bardzo, bardzo przepraszam za jego zachowanie – powiedziała z naciskiem gospodyni. – Chcę, żeby pani się u mnie dobrze czuła. Gdy

pani spała, miałam z nim bardzo długą i ostrą rozmowę. Widzi pani, ja się go coraz częściej boję. Rzadko bywa w domu, całe dnie spędza w Hitlerjugend.

Jane zrobiło się żal tej Niemki, najwyraźniej dobrej i zachowującej zasady moralne. Kobieta gorzko westchnęła.

– Coraz mi trudniej przemówić mu do rozsądku – rzekła po chwili ciszy. – W Niemczech nie dzieje się dobrze.

– Mówi pani odważne rzeczy. Prawie mnie pani nie zna – zauważyła Jane.

– Ale znam się na ludziach, a pani jest z Ameryki, z wolnego świata, cokolwiek to znaczy. Mój syn został złapany przez hitlerowską młodzież i oni trzymają go w szponach mocno. Za słaba jestem. Mnie nie usłucha. Ale ja w sprawach moralności nie ustąpię. Mam nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny.

– Oczywiście, że tak. Miło mi, że pani zareagowała. Rzeczywiście poczułam się nieswojo. Zorientowałam się, kiedy wyszłam z wanny...

Frau wydawała się trochę uspokojona reakcją swojego gościa.

– Za ten miesiąc połowa ceny.

– Ależ proszę...

– Nie, była wina po naszej stronie i musi być zadośćuczynienie. Peter ma panią osobiście przeprosić za swoje zachowanie. Tego wymaga przyzwoitość i nie ma tutaj dla mojego syna usprawiedliwienia, że jest pani piękna, a on jest dorastającym szczylem – mówiła z przekonaniem pani Auschenwald. – To dla mnie kwestia honoru. Będzie pani zawsze mogła na mnie liczyć, panno Coulfield.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony.

– I proszę przyjąć ode mnie jeszcze jedną radę – powiedziała kobieta. – Proszę nigdy wobec Niemców, których pani pozna, przenigdy, nie mówić tego, co pani myśli naprawdę. Ten kraj zamienił się w więzienie. Wiem, co mówię. Wszyscy donoszą na wszystkich na Gestapo.

– Na co, przepraszam? – zapytała Jane, która po raz pierwszy usłyszała tę nazwę.

– To tajna policja państwowa, smutni panowie pilnujący narodowosocjalistycznej myśli. To źli ludzie, bardzo źli. Niemcy są w rękach diabła, proszę mi wierzyć, starej kobiecie. – To zdanie Auschenwald wypowiedziała z taką siłą i przekonaniem, wiarą w to, co mówi, że Jane poczuła, jak nagły paraliżujący fluid przeszedł jej wzdłuż kręgosłupa. – Moja droga, wiem, co mówię. Niemcami rządzi teraz diabeł – powtórzyła kobieta. – Proszę nigdy nie wierzyć nikomu, zwłaszcza jeśli pozna pani ludzi z wyższych sfer.

Zapadła cisza. Po chwili pani Auschenwald nagle uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic.

– Kawa wystygnie – rzekła, promieniejąc spokojem.

Jane wróciła do jedzenia. Po śniadaniu napisała list do rodziców – wiedziała, że przede wszystkim Samuel go przeczyta z przyjemnością. Opisała drogę przez Atlantyk, pierwszą w swoim życiu, pierwsze wrażenia z Niemiec i oczywiście zawarła adres zwrotny, na który rodzice mogą pisać, choć i tak wiedziała, że będzie to czynić ojciec, który nie był jej ojcem.

Rozdział IV

Spotkanie z mistrzem

Fryburg Bryzgowijski, czerwiec 1936

W piątek, dwa dni po przyjeździe do Fryburga, Jane poszła na uniwersytet na spotkanie z Martinem Heideggerem. Nie spodziewała się łatwej rozmowy – wiedziała już coś niecoś o słynnym filozofie, więc trochę się obawiała, jak zostanie potraktowana. Mogła jedynie domniemywać, że Heidegger nie lubi filozofii amerykańskiej, ale tym się nie przejmowała. Nie zgadzała się głęboko i fundamentalnie z założycielami amerykańskiej myśli pragmatycznej, czyli z Williamem Jamesem i Johnem Deweyem,

ponieważ nie odpowiadał jej koncept, iż to wola decyduje o tym, co jest prawdziwe, a co nie. Pragmatycy zakładali a priori, a więc bez doświadczenia, że niemożliwe jest istnienie jednej wzorcowej aksjologii, ponieważ wszystko jest indywidualne. Jane nie zgadzała się z tym, że każdy może mieć swoją prawdę i jest ona równa obiektywnemu poznaniu. Wiele razy spierała się o to z profesorami na Harvardzie i zawsze opierała swoją krytykę na czytanym tekście. Według niej aksjologia pragmatyków sprowadzała się do tego, że dwa sądy mogłyby stać się równie prawdziwe i fałszywe jednocześnie. A to prowadziło do relatywizmu moralnego.

Jednego była pewna: swojego tutaj i teraz. A to był Fryburg w Niemczech Hitlera, więc z perspektywy tego „tutaj" i tego „teraz" nie było miejsca na żaden relatywizm moralny. Jane nie czuła jeszcze, że aby zachować siebie, trzeba narazić się na przekroczenie niebezpiecznej granicy między życiem i śmiercią. To jeszcze nie był jej wybór, ale ostrzeżenie pani Auschenwald zrobiło swoje. Postanowiła jej zaufać i nie mówić zbytnio ani o sobie, ani o tym, co wie, a zacząć słuchać tego, co na uniwersytecie będą mieli do powiedzenia Niemcy, w szczególności jeden z nich – Martin Heidegger.

Poszła na wydział filozofii. Ubrała się po amerykańsku, ale z gustem, szykiem i elegancją. Gdy sekretarz rektora ją zobaczył, nie mógł uwierzyć, że amerykańskim doktorantem, którzy przyjechał do profesora, jest taka piękna kobieta. W opinii wielu Niemców tego czasu – a już na pewno tych z nazistowskich kręgów, którzy w ciągu dwóch lat przeistoczyli Niemcy w kraj donosicieli i Gestapo – sama pozycja kobiety nie pasowała do uniwersytetu. Jane była zaprzeczeniem tego poglądu. Jej obecność w rektoracie uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim niepokoiła – jakby w mury przesławnej niemieckiej uczelni zakradło się niebezpieczeństwo. Ona, przebojowa amerykańska dziewczyna, była zagrożeniem.

– Ja do profesora Heideggera – rzekła, w ogóle nie pytając, czy może pan profesor znalazłby dla niej czas. Ona wiedziała, że znajdzie. To miał być pojedynek na poglądy filozoficzne.

– Fräulein Coulfield? – zadał pytanie gryzipiórek, choć było retoryczne. – Pan profesor czeka na panią.

Jane mogła zatem przestąpić progi gabinetu, będące jednocześnie granicą wewnętrznego świata wielkiego człowieka, uwikłanego w system polityczny, którego ona sama w głębi serca się lękała. Miało to być spotkanie dwojga nierównych sobie w tamtym czasie ludzi. Kobieta – filozofka, która podejmuje wyzwanie starcia intelektualnego z mężczyzną, który zawrócił filozofię z miejsca, w które zapędzili ją Hegel, Marks i pozytywiści.

Dostrzegła go – siedział za wielkim biurkiem. Dopiero po chwili podniósł na nią wzrok. Jane miała letni kapelusz i elegancki kostium, szyty na miarę w Nowym Jorku, składający się ze spódnicy i marynarki w kolorze brązowym. Celowo wybrała taki kolor. W Niemczech nazistowskich był on bardzo na czasie.

– Pani jest zapewne ową amerykańską filozofką... Proszę wybaczyć, ale żeńska końcówka w języku niemieckim brzmi tak dziwnie. Czy też może jest pani filozofem? – zapytał Heidegger.

– Uczę się filozofii. Filozofem jest pan, profesorze Heidegger.

– Czym jest dla pani filozofia?

Ale to pytanie było jedynie z pozoru proste. Heidegger nie szukał prostych odpowiedzi na pytania, na które – jak mu się wydawało – znał odpowiedź.

– Myślę, że w *Byciu i czasie* podjął pan próbę odnalezienia najbardziej istotnych elementów składających się na greckie myślenie. Przyznaję, nie mogłam przeczytać jej w całości, ponieważ w Ameryce dostępne były tylko fragmenty i relacje z innych źródeł. Wydaje mi się jednak, że filozofia jest próbą powiązania naszej rzeczywistości z życiem, językiem, który je opisuje, i bytem, który istnieje.

Odpowiedź zaskoczyła Heideggera, który nie spodziewał się takich słów od młodej Amerykanki, osoby pochodzącej ze świata, którym wielki filozof jawnie gardził.

– Filozofia zadaje pytania, ale nie narzuca odpowiedzi – odparł. – Czego pani oczekuje od naszego uniwersytetu? W czym mógłbym pani pomóc?

Jane przeszła do sedna.

– Interesuje mnie, w jaki sposób funkcjonuje u pana pojęcie bytu i w jaki sposób odnosi je pan do ludzkiego życia. Co istotne, interesuje mnie pewien historyczny ciąg filozofii, od którego wyprowadza pan swój byt i konstruuje go na nowo, ponieważ z tego, co zdążyłam przeczytać w Ameryce, definiuje go pan zupełnie inaczej niż Kartezjusz, Kant czy Hegel. Ja pochodzę ze świata filozofii pragmatycznej, w której prawdziwe jest to, co wola jednostki definiuje jako użyteczne i pomocne. Nie będę ukrywać przed panem profesorem, że dystansuję się poznawczo od moich amerykańskich kolegów. Wolność jednostki nie może być absolutna, ponieważ ogranicza ją wolność innej jednostki, a kilka takich jednostek tworzy grupę, szerzej: społeczeństwo.

– Naród – dodał Heidegger.

On, stary wyga, czuł się dziwnie, słuchając młodej Amerykanki. Już kiedyś, kilka lat wcześniej, widział taką żarliwość w zadawaniu pytań, w poszukiwaniu odpowiedzi na nie. Znał zbyt dobrze inną kobietę, która stała się miłością jego życia i którą poświęcił dla wyższej idei – tak to sobie tłumaczył. Heidegger pomyślał przez chwilę, że może to ona przysłała mu tę młodą, głodną wiedzy Amerykankę i kpi sobie z niego. Ale chwilę potem odrzucił tę myśl jako nazbyt szaloną i niedorzeczną.

Jane, nie wiedząc nic o uwikłaniu profesora, zaprezentowała się lepiej, niż mogła przypuszczać. Heidegger wprowadził do filozofii pojęcie bycia w świecie, które precyzyjnie określało, w jakim miejscu kontinuum czasoprzestrzennego człowiek istnieje jako egzystencja świadoma swojego istnienia. To, co oddziaływało na Heideggera, to to, w jaki sposób Jane rzuciła się w świat jego nazistowskich Niemiec.

– Jestem pod wrażeniem tego, jak pani rozumuje. Chcę, aby mój uniwersytet pomagał pani się rozwijać. Otrzyma pani swobodny, za moim osobistym zezwoleniem, dostęp do biblioteki uniwersyteckiej. Czy zgodziłaby się pani poprowadzić zajęcia? Lektorat w języku angielskim?

Większość naszych studentów mówi świetnie po francusku, przez bliskość granicy i doświadczeń, ale angielski jest wciąż wzorem.

– Oczywiście.

– Będziemy pani płacić za te zajęcia. Myślę, że pięćset marek będzie dobrą gratyfikacją. Chciałbym, aby pani przygotowała referat o amerykańskiej filozofii pragmatycznej, może i powinien być krytyczny. O czym zamierza pani pisać dysertację?

– O platońskich korzeniach w *Byciu i czasie* Heideggera.

Rektor uśmiechnął się. Jane celnie trafiła w jego próżność. Tak naprawdę nie miała jeszcze skonkretyzowanej koncepcji, czym chciałaby się zająć. A tak... być może zyska potężnego sojusznika w nazistowskich Niemczech. Lub równie niebezpiecznego wroga.

– Cieszę się – rzekł Heidegger, choć wiedział, że zabrzmiało to niezbyt skromnie.

Ta rozmowa, którą na szczęście miała już za sobą, otworzyła Jane drzwi.

Waszyngton, siedziba FBI, w tym samym czasie

Ciało Flynna znalazł sprzedawca lodów, który po skończonym dniu pracy poszedł wyrzucić do kosza resztki. Ów Afroamerykanin śmiertelnie się przeraził, gdy zobaczył je ukryte między koszami. Natychmiast zawiadomił znajomego policjanta – zwykłego krawężnika, który pilnował porządku – że znalazł zwłoki. Policjant sprawdził, czy nieboszczyk miał przy sobie dokumenty. Nie miał. Uznał więc, że trup to skutek wojny gangów. Koroner, który przybył na miejsce zdarzenia, doszedł do tego samego wniosku. Flynn trafił do chłodni jako ofiara gangsterskich porachunków. Gdy nie zgłosił się na odprawę w FBI, Hoover natychmiast się zorientował, że coś jest nie tak. W końcu sam wybierał ludzi, z którymi pracował. Nie znosił, gdy ktoś bez usprawiedliwienia nie przychodził do pracy albo zjawiał się spóźniony na kacu. Wtedy nie miał litości i wylewał delikwenta na pysk. Ale to nie był taki przypadek.

– Ten chłopak nie miał powodu, aby zniknąć. Nie miał długów, nałogów, nie chodził do kasyn, był abstynentem. Znajdźcie go, do cholery! – zażądał Hoover na odprawie.

Agenci przeszukali mieszkanie i rzeczy zaginionego. W biurku znaleźli zeszyt z prywatnymi zapiskami Flynna. Wynikało z nich, że mężczyzna pojechał do Filadelfii śledzić człowieka opisanego w skrócie literą M, który miał przyjąć kolejną kasę od K. Agenci FBI szybko skojarzyli, że owym M mógł być Maksymilian von Hoym – na cztery dni przed wypłynięciem z Nowego Jorku nie było go cały dzień na uniwersytecie, a swoje rzeczy zabrał dzień później. Jednak pozostawało tajemnicą, kim był K. Agenci przeczesywali zatem Filadelfię, w tym szpitale, przytułki, a także kostnice. W końcu jeden z nich trafił na niezidentyfikowanego mężczyznę, którego ktoś zasztyletował we włoskiej dzielnicy. Był to właśnie Sean Patrick.

Po odkryciu ciała FBI drobiazgowo sprawdziło mikroślady na ubraniu, otarcia. Przepytano wszystkich, którzy mogli coś widzieć lub wiedzieć. Tak dotarto do lokalu, gdzie kelnerka rozpoznała na zdjęciu von Hoyma oraz zwróciła uwagę, że obok niego siedział też inny mężczyzna. I tak po nitce do kłębka FBI doszło do Kuhna. Wezwano go na przesłuchanie, ale zaprzeczył, że widział Flynna. Natomiast nie wyparł się, że spotkał się z von Hoymem w Filadelfii. Na pytanie, czy wręczył mu jakieś pieniądze, odparł, że zna swoje prawa i na dalsze pytania będzie odpowiadał tylko w towarzystwie swego obrońcy. Kuhn nie był jeszcze na celowniku FBI, ale Hoovera irytowało bardzo, że Niemcy zbierają fundusze w Ameryce. Konsulat temu nie zaprzeczył, ale oświadczył, że chodzi o cele charytatywne – a to pozostaje legalne. Hoover nie był w stanie przedstawić dowodów na to, że Rzesza nie domaga finansowo i pozyskanymi środkami wspiera swój budżet lub przeznacza je na zbrojenia.

Ustalono, że Flynn śledził tego dnia von Hoyma. Bileter w pociągu poznał jednego i drugiego na zdjęciach. Wyniki śledztwa jednoznacznie wskazywały, że to von Hoym zabił pracownika FBI (choć nie było na to

bezpośrednich dowodów). Hoover jednak miał nosa. Zbadał wszystkie sprawy, które prowadził Flynn, kazał przepytać ludzi z uniwersytetu.

– A ta dziewczyna, która dostała stypendium do Niemiec? – zapytał w końcu.

– Popłynęła do Europy na liniowcu „Bremen" razem z von Hoymem – odparł jeden z pracowników. – Tak wynika z listy pasażerów, którą zdobyliśmy. Kontaktem z nią miał się zająć Flynn.

– Nie powinniśmy jej tak zostawić. Proszę napisać do naszej ambasady w Niemczech, żeby w razie czego jej pomogli. Flynn zapłacił życiem za odkrycie, jaką faktycznie funkcję w Stanach Zjednoczonych pełnił pan von Hoym. Ten przyjemniaczek zabił mojego agenta. Nie daruję tego.

Współpracownicy J. Edgara Hoovera wiedzieli, że jeśli ten człowiek sobie coś postanowi, to musi osiągnąć cel – bez względu na okoliczności.

*

Jane wróciła na kwaterę i na podstawie wypożyczonych prac Heideggera starała się poskładać wiedzę o nim, o jego drodze filozoficznej. To, co pociągało dziewczynę, kryło się we wnętrzu sensów, a te ukryte były w słowie. Nauczyła się dzięki filozofii, że słowa mają znaczenie. Każdy byt miał swoją nazwę, której poznanie, a więc przejęcie przez rozum podstawowego, ale też metaforycznego znaczenia, dawało człowiekowi władzę nad jego określeniem. Jednak sam człowiek również podlegał temu prawu. Było to tym istotniejsze, że życie człowieka – lub jak chciał Heidegger: jego egzystencja – wiodło ku śmierci, której nie można uniknąć, można się tylko z nią oswoić. Jane doszukała się w papierach, że filozofia zaczęła się dla Heideggera od przeczytania habilitacji Franza Brentany *O wielorakim znaczeniu bytu u Arystotelesa*[5]. To dzięki temu tekstowi Heidegger zrozumiał, że byt nie może być rozpatrywany w odniesieniu do wieczności, ale musi się rozciągać na tutaj i teraz.

Drugi punkt na drodze filozoficznego rozwoju człowieka, który fascynował Jane, wyznaczył Edmund Husserl w swojej fenomenologicznej

próbie pogodzenia bytu i świadomości. Husserl w pewnym stopniu ukształtował Heideggera; mistrz mieszkał wciąż we Fryburgu – miał już 77 lat. Jednak Jane szukała dalej i znalazła tekst wykładu, który młody Heidegger wygłosił na początku roku akademickiego w 1919 roku: *Idea filozofii i problem światopoglądu*. Było to po wielkiej wojnie, która musiała wywrzeć na niego wpływ tym większy, że zachwiała kulturą europejską. Heidegger już wtedy odrzucił Husserla, szukającego prawdy o bycie człowieczym jedynie w świadomości, sprowadzającego w ten sposób człowieczeństwo do psychologizowania. Dla Heideggera byt człowieczy rozciągał się na życie, nabierał realności poprzez uznanie realności doświadczenia życiowego. Jane rozumiała to w ten sposób, że chwila, w której studiuje drogę filozoficzną Heideggera w mieszkaniu pani Auschenwald, nie powtórzy się już nigdy więcej – będzie jedynym i niepowtarzalnym doświadczeniem, które w jakiś sposób buduje jej życie. Pewnym odkryciem było to, że Heidegger ostatecznie zerwał z katolicyzmem, pozostawiając jednak dużą przestrzeń na metafizykę. Domyślała się, że po odrzuceniu jednych ideałów Heidegger poszukiwał innych. Czy to zawiodło go do brunatnej bandy?

Studiowała dalej, tekst za tekstem, zdanie po zdaniu. Chciała wewnątrz gładkich zdań dostrzec prawdę o tym człowieku. W pewnej chwili zatrzymała się nad serią jego wykładów na temat bytu u Arystotelesa i zdała sobie sprawę z tego, że nie chodziło mu o to, żeby filozofować na temat bytu i życia, ale z głębi bytu i z głębi życia.

– Ty się troszczysz – powiedziała do siebie.

Pojęcie troski jest jednym z podstawowych odniesień dla *Bycia i czasu*, podstawowej i fundamentalnej pracy Heideggera, powstałej w okresie, kiedy przebywał w Marburgu. Jane miała tomy tego dzieła na półce i postanowiła, że musi sobie dać niezbędny czas na przeczytanie go, zaznajomienie się z nim, próbę przebicia się przez słowa i dotarcia aż do dna sensu, do samej jego podstawy. Jak przezwyciężyć strach przed śmiercią? Czy bycie i byt to jedno i to samo? Intuicyjnie wyczuwała, że Heidegger i tutaj wprowadził rozróżnienie. Dla niego bycie i byt nie

były tym samym, ale nie wiedziała jeszcze, jak je rozgraniczył. To wszystko stanowiło dla niej zagadkę wymagającą odpowiedzi.

Jane czytała do późna w nocy.

*

Gdy Frau Auschenwald spała kamiennym snem sprawiedliwej, Jane pracowała jeszcze przy biurku i zapalonej lampie naftowej, która dawała całkiem sporo światła umożliwiającego czytanie. Nagle zdało jej się, że usłyszała szmer. Odczekała chwilę. Znów usłyszała szmer. Nie myliła się – ktoś stał za drzwiami. Pomyślała natychmiast o niewydarzonym synu gospodyni. Irytacja przeistoczyła się w złość. On dalej mnie podgląda, natręt jeden – pomyślała. Postanowiła jednak zabawić się jego kosztem. Czytała do późna w nocy nieprzebrana, a teraz nadarzyła się świetna okazja, by wślizgnąć się w nocną koszulę. Wiedziała, że stojący za drzwiami Peter Auschenwald patrzy na nią przez dziurkę od klucza, zatem pole jego widzenia było dość ograniczone. Można to było wykorzystać i w ten sposób się na nim zemścić – dać przedsmak tego, czego pragnął całym sobą, a potem odebrać mu ten widok.

Zaczęła się zatem przebierać do spania. Ustawiła się tak, że chłopak nie mógł jej widzieć w pełni. Chciała, aby dostrzegł tylko jej skąpaną w świetle lampy naftowej dłoń, która będzie zrzucać części garderoby na krzesło. Najpierw bluzkę, potem spódnicę, pończochy, na koniec bieliznę osobistą. Za każdym razem zbliżała się do lampy i coś ukazywała. Ale nigdy całość. Nagle usłyszała za drzwiami wyraźny trzask. To pewnie Peter, nerwowo się wiercąc, potknął się niezdarnie o własne nogi lub zbyt mocno napierał na drzwi. Usłyszała cicho wypowiedziane przekleństwo i odgłos stóp w przedpokoju. Zaśmiała się w duchu. Lekko przyszła jej ta kpina z rodzącej się męskości chłopca. Poszła do łóżka i spała nadzwyczaj dobrze.

Tymczasem Peter Auschenwald toczył ciężką walkę o to, by w ogóle zasnąć. I wcale nie to było najgorsze w jego świadomym doświadczaniu bycia w swoim własnym bycie, w swoim własnym jestestwie.

Rozdział V

Król Olch

Fryburg, początek lipca 1936 roku

Jane siedziała na ławce w parku po zakończonej kwerendzie. Lipiec jest okresem urlopowym, więc studenci porozjeżdżali się po całym kraju. We Fryburgu zostali nieliczni – ci, którzy nie mieli do kogo wrócić, lub etatowi pracownicy uniwersytetu. Dziewczyna chciała w tym czasie nadrobić braki w oczytaniu w niemieckich tekstach filozoficznych. I czyniła to z charakterystyczną dla siebie pasją. *Bycie i czas* Heideggera studiowała niespiesznie, ponieważ tam każde zdanie miało sens. A sens jest podprogowym składnikiem bytu. Każdy byt ma swój sens, bo gdyby go nie miał – nie zaistniałby. Jednak najbardziej nurtujące pozostawało pytanie, co takiego stało się w świecie Heideggera lub – szerzej – co takiego uwiodło Niemców, że ktoś taki jak Hitler, facet nienadający się na męża stanu ani na ojca rodziny, bezrobotny mieszkaniec noclegowni w Wiedniu przed wielką wojną, stał się teraz władcą Niemiec? Jane czuła, że odpowiedź na to pytanie kryje się właśnie w filozofii niemieckiej, która musiała stanowić coś w rodzaju wzorca, kulturowej matrycy imputowanej na uniwersytetach przez pisarzy i intelektualistów. Chciała ją poznać.

– Czy można się przysiąść? – usłyszała.

Obok ławki stał Peter Auschenwald. Zmierzyła go wzrokiem. Chyba będą te wymuszone przeprosiny – pomyślała.

– Proszę.

– Co pani czyta?

– *Bycie i czas* profesora Heideggera.

– To wielka postać.

– Doprawdy? – zapytała kpiąco Jane, która nie miała zbyt wielkiego mniemania o świecie lektur Petera Auschenwalda.

– To wielki człowiek, ponieważ dostrzegł ideę ruchu narodowosocjalistycznego.

Zabrzmiało to jak propagandowa pogadanka w Hitlerjugend. Jednak Jane interesował Heidegger, a nie osiemnastolatek w mundurze.

– To już wiem – odparła, nie chcąc być niegrzeczną. – A czy pan chciałby mi coś powiedzieć?

Peter Auschenwald zmieszał się. Nie wiedział, co ma rzec. Matka kazała mu przeprosić, ale on wcale nie chciał. Jane o tym wiedziała. Oboje rozumieli, że przeprosiny nie mają sensu – jedna strona ich nie oczekiwała, a druga nie miała na nie ochoty.

– A co pani poleciłaby mi jako lekturę? Tylko zaznaczam, że to musi być pisarz niemiecki. Innych nie chcę czytać. Doktor Goebbels, który też jest wielkim człowiekiem, powiedział w radiu, że są pisarze zdegenerowani, tak jak artyści, których Niemcy nie powinni czytać.

Jane zastanowiła się. Ten chłopak był nią zafascynowany, tego była już pewna. Pomyślała, że mogłaby pchnąć go w stronę dobrej lektury, czyli takiej, która zmusi go, by zaczął samodzielnie myśleć i odrobinę krytyczniej spojrzał na świat, ale nade wszystko – by kształtował swój indywidualizm, dokonywał świadomych wyborów, a nie powtarzał w kółko te idiotyczne nazistowskie brednie.

– Proszę, żebyś przeczytał *Czarodziejską górę* Thomasa Manna.

– Wiem, kto to jest Mann – odparł szybko Peter. – Ale on chyba uciekł z Niemiec, jak ta aktorka z *Błękitnego anioła* – Marlene Dietrich.

– O, to był bardzo dobry film – powiedziała dziewczyna, która wciąż miała w pamięci film w reżyserii Josefa von Sternberga. Oglądała go w kinie w Nowym Jorku w 1934 roku.

– Tak pani uważa? Doktor Goebbels uznał go za obrzydliwy i pornograficzny – odparł Peter. Jak wyuczona maszyna.

– A czy ty, Peter... Pozwól, że tak będę ci mówiła. – Jane po amerykańsku skróciła dystans. – Czy ty wiesz, co znaczą słowa, które teraz wypowiedziałeś? Czy w ogóle wiesz, że słowa mają znaczenie?

– Są niemoralne.

– Pozwól zatem, że zapytam: a czy podglądanie kobiety w nocy przez dziurkę od klucza jest moralne?

Peter Auschenwald popatrzył na nią. Na jego twarzy rysowała się rozpacz pomieszana z wściekłością i uwielbieniem. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Mógłby teraz przeprosić, ale w ich rozmowie chodziło o coś zupełnie innego, ale o co, tego jeszcze sama Jane nie wiedziała.

– Czy przeczytasz dla mnie książkę Thomasa Manna?

– Postaram się.

– Nie możesz o tym powiedzieć w Hitlerjugend. Ani żadnemu z kolegów. Czytasz ją dla mnie w domu. I pomagasz mamie we wszystkim. Czy to jest jasne?

Peter Auschenwald odwrócił wzrok. Zmagał się z myślami. Jane uznała, że z profilu mógłby się podobać dziewczynom, gdyby te dwie płcie miały w tym kraju jakiś kontakt ze sobą. Cechą Niemiec tego czasu – Niemiec hitlerowskich – było całkowite rozdzielenie obydwu płci. Nie zakończyła jeszcze swojej prowokacji wymierzonej w świat wartości wyznawanych przez Petera Auschenwalda. Po chwili zacytowała z pamięci:

Mein Sohn, was birgst du so bang dein Gesicht?

Siehst, Vater, du den Erlkönig nicht?

Den Erlenkönig mit Kron und Schweif? –

Mein Sohn, es ist ein Nebelstreif[6].

Peter Auschenwald dobrze odczytał prowokację. Tekst Goethego był mu świetnie znany. Odpowiedział równie intrygującym cytatem:

Ich liebe dich, mich reizt deine schöne Gestalt;

Und bist du nicht willig, so brauch ich Gewalt.

Mein Vater, mein Vater, jetzt faßt er mich an!

Erlkönig hat mir ein Leids getan![7].

Jane uśmiechnęła się szczerze. Po raz pierwszy ten chłopak dokonał sam wyboru – spośród wszystkich innych fragmentów, które być może znał, wybrał akurat ten.

– Będę czytał *Czarodziejską górę* Manna. Jednak w bibliotece miejskiej mi tego nie wypożyczą.

– Ja ci przyniosę z biblioteki uniwersyteckiej. To będzie nasz mały sekret.

– Tak, obiecuję. I przepraszam, jeśli poczuła się pani urażona.

Jane postanowiła powiedzieć prawdę.

– Nie czułam się urażona. Spektakl trwa, ale musisz czytać Manna jak Ewangelię.

Peter Auschenwald wstał. W ręku miętolił czapkę Hitlerjugend. Spojrzał na dziewczynę najgłębiej jak mógł, ale ona się tylko nim bawiła.

Oddalił się, a ona znów zanurzyła się w *Bycie i czasie* Heideggera. Dwa dni później podrzuciła Peterowi książkę Manna pod drzwi w nocy.

*

Mijały tygodnie. Jane niecierpliwiła się, że jej znajomy z Bostonu, Maksymilian von Hoym, nie dawał znaku życia. Obiecał przecież, że ją zabierze do posiadłości swojej rodziny. Nie miała zamiaru narzucać się towarzysko – to nie było w jej stylu. Uznała, że musi skorzystać z pieniędzy po swoim prawdziwym ojcu, które w Nowym Jorku przed wypłynięciem statku przekazał jej Samuel. Po południu wypełnionym uważną lekturą książki Heideggera poszła do siebie na kwaterę i wybrała tysiąc dolarów ze swoich zaskórniaków schowanych w podwójnym dnie jednej z walizek. Potem udała się do miejscowego oddziału Reichsbanku i tam otworzyła sobie konto na podstawie paszportu oraz pozwolenia na pobyt wystawionego przez uniwersytet.

– Chciałabym otworzyć konto i dokonać wymiany pieniędzy.

– Poproszę stosowne dokumenty. – Pracownik banku podniósł na nią zmęczone oczy.

Gdy już stało się zadość urzędniczym i biurokratycznym procedurom, Jane wpłaciła dolary i wypłaciła tysiąc z dwu i pół tysiąca marek, jakie otrzymała po oficjalnym kursie. Podejrzewała, że dostałaby nawet pięć tysięcy po kursie nielegalnym, ale nie miała czasu, żeby szukać cinkciarzy, którzy mogli być przecież obserwowani przez tajną policję. Wiedziała, że każdego dnia stąpała po cienkim lodzie w Gestapolandzie.

Chciała czuć się elegancka. Zrobiła kobiece, solidne zakupy – kilka bluzek, spódnic i nowy kostium za czterysta marek, żeby mieć wejście, gdy pojawi się na uniwersytecie. Nie zapomniała też o pani Auschenwald, której – z sympatii – postanowiła podarować skromny, ale gustowny sweterek na zimne wieczory.

*

Nazajutrz spotkała w bibliotece uniwersyteckiej samego Heideggera. Sprawiał wrażenie, jak gdyby kogoś lub czegoś szukał, ale wrodzona próżność, za którą Jane nieustannie się karciła, kazała jej domniemywać, że chodziło mu właśnie o nią.

– Zdumiewa mnie pani – powiedział profesor Heidegger. – Jest pani pilniejsza od niejednego z moich studentów.

– To dla mnie zaszczyt, panie profesorze.

– Co pani teraz czyta?

– Oczywiście pana *Bycie i czas*, ale nie jest to łatwa lektura, i pańskiego rywala Nicolai Hartmanna *Das Problem des geistigen Seins*[8].

Heidegger już nie patrzył na Jane jak na głupią amerykańską gęś, za którą ją miał, zanim pojawiła się na uniwersytecie.

– Zapraszam panią na kawę do klubu profesorskiego.

– Czy to nie będzie zbyt śmiałe?

Heidegger zaśmiał się.

– To ja ustalam zasady na tym uniwersytecie.

Dziewczyna w owej chwili zrozumiała, że może Heidegger nie był już rektorem, ale zachował większość wpływów, dzięki byciu w NSDAP. Według niej w owym „ja" zabrzmiał ton wybitnie wyeksponowanej miłości własnej. Poszła z nim, wielkim profesorem, na kawę. Gdy już usiedli w wygodnych fotelach, Heidegger zachęcająco rzekł:

– Proszę, niech pani mówi.

Jane zebrała myśli, wiedząc, że została zaproszona, ponieważ profesor uznał, że jest warta rozmowy z nim. Heidegger miał sam o sobie wysokie

mniemanie.

– Podstawowym problemem pana książki jest związek czasu z byciem człowieka, ale zaznaczam, że nie skończyłam jej jeszcze czytać. Zajmuje mi ona czas i uwagę, ponieważ jej lektura wymaga skupienia. Chce pan pokazać, takie odnoszę wrażenie, że dzieje kultury europejskiej są w dużej mierze wyzbywaniem się bycia dla bytu.

Heidegger uśmiechnął się. Cała jego koncepcja opierała się na przeciwstawieniu sobie bytu – po niemiecku *das Sein* – oraz bycia tego bytu, na opisanie którego stworzył nowe słowo w języku niemieckim – *Dasein*[9].

– Bo my, Europejczycy, stworzyliśmy taką kulturę, w której zapominamy o jej korzeniu, a jest nim antyk. I zapomnieliśmy, że człowiek jest jedynym bytem, który odnosi się do własnego bycia.

– To już egzystencja – zauważyła Jane.

– Ma pani słuszność – odparł Heidegger. – Jednak byłem uczniem Husserla i musiałem zastosować do człowieka i jego człowieczeństwa metodę fenomenologiczną, która wymagała zawieszenia mojego osądu. Jak bowiem możemy spojrzeć na człowieka w jego specyfice, w jego ontologicznej całości? Umknie nam istota, gdy będziemy patrzeć jak Kartezjusz, Kant i Hegel, czyli w ujęciu subiektywno-teoretyzującym.

Jane skosztowała kawy.

– Według pana istnieją w filozofii dwie drogi od antyku. Pierwsza wyprowadza ze świata świadomość, to podejście naturalistyczne. Druga zakłada, że świat konstruowany jest przez świadomość – powiedziała z pewnością w głosie. – Ale to stworzyło niemożliwy do pokonania dualizm duszy i ciała i całkowicie spekulatywne systemy, jak Hegla.

– Ja proponuję inną drogę. – Heidegger urwał na chwilę. – Drogę bycia w świecie. To znaczy, że unikam ontologicznej pułapki przedmiot – podmiot poznania i kieruję się w stronę prawdziwego jestestwa człowieka, tego, czym człowiek jest naprawdę.

– Dobrze – rzekła Jane. – I tutaj dochodzę do pojęcia troski. Człowiek świadomy swego bycia, czyli zanurzony w egzystencji, odkrywa troskę

o to, że jest bytem skończonym w czasie, a więc – że jest śmiertelny. U pana śmierć jest ostatecznym kresem.

– Bo takim jest – odparł krótko Heidegger. – Ona jest końcem bytu.

– A jak to się ma do proponowanej przez pana metafizyki? – zapytała.

– Zaskakująco prosto. Nie mówię o metafizyce bytów wyższych niż my. Metafizyka bytu człowieczego istnieje, póki istnieje on sam. Jednak koniec jednego bytu człowieczego nie sprawi, że zanika metafizyka. Proszę się rozejrzeć: wokół nas istnieją inni ludzie. Oni też są w niej zanurzeni, choć mogą nie przeżywać swojego życia świadomie.

Jane zastanowiła się. To była nowa metafizyka, tak bardzo różniąca się od tej stworzonej przez Arystotelesa i Tomasza z Akwinu.

– Nazwałbym ją „metafizyką obecności". Korelatem lęku jest nicość, do której zmierzamy – kontynuował poważnym tonem Heidegger. – Nie zdołałem, przyznaję, zbudować konstrukcji filozoficznej, która zabezpieczyłaby człowieka przed tym lękiem. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to świadomość wyboru, jakiego dokonujemy. Ten wybór jest konieczny, ponieważ zapewnia nam wolność od nicości, ale nie wolność od lęku.

– Czy mogłabym panu zadać intymne pytanie?

Heidegger zmieszał się bardzo. Nie czuł się pewnie, z czego Jane nie zdawała sobie sprawy. Powodem tego była inna młoda kobieta, której cień ścigał Heideggera w jego własnym jestestwie. A był to cień potężny, miał okryć mrokiem jego bycie jeszcze wiele lat później.

– Proszę...

– Mówi pan profesor o wolnym wyborze. Dlaczego wybrał pan Hitlera?

Spodziewała się jakiegoś głębokiego wywodu, ale najwyraźniej Heidegger źle zrozumiał jej intencje. Zaśmiał się.

– To przecież oczywiste – odparł. – Führer uosabia Niemcy.

– Tak po prostu?

– Tak. Po prostu. Jego bycie zlało się z byciem Niemców.

– To jakaś nowa kategoria bytu? Nie ma przecież czegoś takiego jak naród – zaoponowała Jane. To właśnie najbardziej podobało się

Heideggerowi w tej rozmowie.

– Z pani amerykańskiej perspektywy to może tak wygląda. Jednak naród jest, tak jak jest śnieg za oknem. Albo jak są jeziora w Ameryce Północnej. Jego istnienie jest pewne, ale nie jest to istnienie jednostkowe. Chciałbym napisać książkę o narodzie niemieckim, filozoficzną wiwisekcję tego narodu.

– Intrygujące – odparła szczerze.

– To była znakomita rozmowa. Pani ma świadomość tego, czym się pani zajmuje. – Heidegger wyraźnie zmierzał do zakończenia spotkania. – Chciałbym panią zaprosić jako gościa uniwersytetu we Fryburgu na igrzyska olimpijskie do Berlina. Myślę, że przekona się pani tam, że naród niemiecki istnieje jako byt i ma swoje bycie.

Perspektywa wyjazdu do Berlina była kusząca. Może spotka tam swojego znajomego ze statku? Nie mogła odmówić. W sierpniu uniwersytet nie pracował, a ona potrzebowała odskoczni od intensywnej pracy intelektualnej nad tekstami Heideggera w bibliotece.

– Bardzo dziękuję, Herr Professor!

Heidegger podał jej rękę, ale bez mizoginicznego całowania jej dłoni. Potraktował ją po partnersku.

*

Po powrocie na kwaterę Jane zauważyła, że Frau Auschenwald jest bardzo zasmucona. W pierwszym odruchu pomyślała, że jej syn naruszył ich niepisaną umowę, ale szybko się okazało, że przyczyną smutku było coś zupełnie innego. Kobieta chwyciła w dłoń gazetę, która leżała na stoliku, i podała ją lokatorce. Tytuł nie pozostawiał wątpliwości.

WYBUCH WOJNY DOMOWEJ W HISZPANII

Czegoś takiego Jane zupełnie się nie spodziewała. Przeczytała artykuł, dość mętny i mało konkretny, że generał Franco zaczął walkę z komunistycznym rządem i że Führer rozważa pomoc rebeliantom. Gospodyni była tym naprawdę przerażona.

– Ten diabeł chce wojny – wyszeptała cicho, gdy podawała kolację. – Ale proszę nie mówić Peterowi, bo on tego nie zrozumie.

Jane chciałaby, żeby rozumiał. Chciałaby, żeby czytał mądre książki. Doświadczyła teraz czegoś w rodzaju rozdwojenia. Podczas rozmowy z Heideggerem na tematy tak bardzo filozoficzne nie mogła nie zauważyć, że byt narodu, o którym wielki filozof ją przekonywał, zmierzał do tego, by przeobrazić się w monstrum. Hitler przerażał Jane, która nie powiedziała nikomu słowa o swoim żydowskim pochodzeniu. W Ameryce uważano go za ekstremistycznego nacjonalistę, ale nacjonaliści byli u władzy w wielu krajach w Europie, tendencje izolacjonistyczne i profaszystowskie dawały się poznać także za oceanem. Jane lubiła swoją gospodynię i – pragnąc ją uspokoić – rzekła do niej:

– To daleko. Hiszpania jest zbyt daleko od Niemiec, by wojna się tutaj przedostała.

Frau nie pocieszyło to jednak w ogóle.

– Ja mówię, złociutka, że ten diabeł chce wojny. Zobaczy panienka, że mam rację. – Powiedziawszy to, oddała się swoim praktykom religijnym.

Skąd ta kobieta, niewykształcona i nieobyta w filozofii, mogła to wiedzieć? Na razie pozostawało to dla Jane tajemnicą.

Po kolacji dziewczyna jeszcze przez dwie godziny pracowała nad tekstem Heideggera, ale potem usłyszała, że wrócił Peter. Rozmawiał o czymś głośno z matką w kuchni, ale Jane, mając zamknięte drzwi, nie słyszała zbyt dokładnie, o czym mówili. Była skupiona na książce. Wieczorem poszła się kąpać. Z początku Frau była nie do końca zadowolona, że trzeba codziennie grzać tyle gorącej wody w wielkim garnku, ale ostatni prezent zupełnie ją udobruchał. Jane, przyzwyczajona do pewnego standardu życia wyniesionego z Ameryki, chciała go zachować w Niemczech.

Zupełnie jej nie przeszkadzało, że Peter znów będzie starał się ją podglądać. Zawsze dawała mu jakiś ochłap emocji – na przykład zostawiała trochę uchylone drzwi, kiedy zdejmowała rajstopy. Jednak nie widział tego, co chciał zobaczyć, lecz jedynie to, co ona chciała mu

pokazać. Taki codzienny rytuał, w którym on miał grzecznie czytać *Czarodziejską górę* Manna, a ona dawać mu przedsmak męskich uczuć. Istniała jednak cienka, niemal niewyczuwalna, ale mimo to gęsta granica, której Jane nie zamierzała przekroczyć.

Dziś znów zostawiła niedomknięte drzwi. Gdy jednak – już naga – chciała wejść do metalowej wanny, pełnej ciepłej wody z olejkiem różanym, zasłoniła się ręcznikiem, po czym zwiewnym i nadzwyczaj lekkim krokiem podeszła i zamknęła drzwi. Wiedziała, że Peter nie da za wygraną. Będzie na nią patrzył przez dziurkę od klucza. Nie mógł zobaczyć za dużo, ale dziewczyna była pewna, że przez jedną, krótką chwilę, nim ona zanurzy się w ciepłej wodzie, będzie widział więcej niż zazwyczaj. Skarciła się w duchu za tę niewyobrażalną próżność, ale przecież... chciała tego. W jakiś dziwny sposób ów heideggerowski pęd ku śmierci objawił się u niej kultem cielesności – wyzbytej z konwenansów, nieskrępowanej, wolnej, a zarazem niebezpiecznej dla niej samej. Jane akceptowała tę sprzeczność, godziła się na nią i starała się odnaleźć przyjemność w tym, że osiemnastoletni chłopak, opętany hitlerowską ideologią, dostrzeże dzięki temu wyłom w murze.

Rozdział VI

Przypadkowe zdjęcie

Berlin, 31 lipca 1936

Ambasador USA rezydował w Niemczech nazistowskich w pałacu Blüchra przy placu Paryskim, w samym centrum miasta. William Dodd nie miał tu łatwego życia ani dobrej prasy. Oba kraje miały bowiem inne podejście do spraw handlowych i inne cele ekonomiczne. Jednak nieprzerwanie od 1934 roku ze Stanów płynęły do niemieckich portów żelazo, ropa naftowa i składniki do nawozów, za co Niemcy płacili żywą gotówką, którą organizował w Stanach między innymi von Hoym. Dodd otrzymał właśnie alarmującą depeszę z Waszyngtonu w sprawie zabójstwa agenta FBI w Filadelfii, w co miał być zamieszany niemiecki lektor z Uniwersytetu Harvarda, Maksymilian von Hoym. Na domiar złego Dodd otrzymał elegancki, ale dość stanowczy list od szefa FBI J. Edgara Hoovera, i to sprawiło, że wezwał swojego najlepszego człowieka w Berlinie, pracownika ambasady – Johna C. Barnesa, który wcześniej był policjantem w Nowym Jorku. Należał do grupy dochodzeniowej Eliota Nessa w sprawie Ala Capone, a teraz był u niego szefem ochrony i specjalistą od zadań trudnych. Barnes przybył natychmiast.

– Co się stało, szefie?

– Siadaj i nalej sobie.

Dodd nie odmówił – Amerykanie odreagowywali prohibicję. Barnes wiedział, że zawsze, gdy szef go częstuje, oznacza to strasznie trudne zadanie, na granicy niemożliwości. Usiadł, wypił. Czekał. Ambasador przeczytał mu list od J. Edgara Hoovera w sprawie zabójstwa, poszukiwania von Hoyma oraz...

– A teraz zacytuję ci najciekawsze. „Zwracam uwagę, Panie Ambasadorze, że obecnie w Niemczech przebywa Amerykanka, doktorantka filozofii, którą zrekrutowaliśmy do pewnych zadań w FBI, a która podróżowała na statku razem z potencjalnym zabójcą agenta Flynna, co skłania mnie do przekazania Panu pilnej prośby o odnalezienie jej w celu podjęcia czynności śledczych. To panna Jane Coulfield, której zdjęcie załączam".

– Hoover chce, żebyśmy ją znaleźli? – zapytał Barnes.

– Nie inaczej.

– A jak mamy to, do cholery, zrobić? Są igrzyska olimpijskie, do Niemiec przyjechało mnóstwo ludzi.

Ambasador zdawał sobie sprawę ze skali trudności zadania. Nie pierwszy raz. Niemcy reagowali histerycznie na wszelkie przejawy krytyki kanclerza Rzeszy. Dorothy Thompson, żona amerykańskiego pisarza Sinclaira Lewisa, została dwa lata wcześniej wyrzucona z Niemiec po opublikowaniu swojej książki *Widziałam Hitlera*[10]. Dodd niewiele mógł wtedy zrobić, żeby temu zapobiec. Teraz prowadził bardzo żmudne rokowania z Ministerstwem Gospodarki Rzeszy w sprawie nowego układu handlowego. Sprawa zabójstwa z Filadelfii mogła pokrzyżować jego plany. Jednocześnie amerykański ambasador nie mógł lekceważyć szefa FBI.

– To polityczna sprawa, prawda? – zapytał Barnes, który szybko domyślił się kontekstu.

– Jak cholera! On nie odpuści, nigdy tego nie robi dla nikogo. Czy tam w Waszyngtonie nie rozumieją, że władze niemieckie nie wydadzą swojego obywatela na proces przed sądem federalnym w Stanach? Czy oni poszaleli? Mam wywlec teraz taką sprawę, gdy negocjujemy umowę handlową? – Ambasador Dodd dał się ponieść emocjom. – Tę Coulfield trzeba będzie jakoś znaleźć i rzucić mu na pożarcie.

– I ja mam się tym zająć?

Barnes nie czekał na odpowiedź od swego pryncypała. To było pytanie retoryczne.

BERLIN, 5 SIERPNIA 1936

Dzięki wstawiennictwu profesora Heideggera Jane znalazła się w gronie zaproszonych na uroczystości otwarcia XI Letnich Igrzysk Olimpijskich w delegacji uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim. Dopiero w pociągu dowiedziała się, że było to możliwe, ponieważ mężczyzna należał do partii nazistowskiej i był wyraźnie lubiany w kręgach władzy. Jeszcze o tym nie wiedziała, ale te trzy dni w Berlinie miały odcisnąć piętno na jej życiu.

Wejście na stadion wraz z dziesiątkami tysięcy ludzi zrobiło na niej wielkie wrażenie, podobnie jak moment zapalenia znicza olimpijskiego przez niemieckiego lekkoatletę Fritza Schilgena. Ogień przyniesiono w sztafecie z Grecji, a i sportowiec został specjalnie dobrany przez Goebbelsa; był to jak gdyby wyjęty z podręcznika do eugeniki blondyn. Obserwowała też, jak Rudolf Ismayr składa w imieniu sportowców ze wszystkich krajów przysięgę olimpijską. Z ulotek rozdawanych przed wejściem Jane dowiedziała się, jak rozplanowano sektory dla publiczności. Siedziała dość daleko od loży dla nazistowskich VIP-ów, ale widziała reakcję Niemców, gdy pierwszego dnia Jesse Owens, czarnoskóry amerykański sprinter, odstawił we wspaniałym stylu całą czołówkę biegaczy, w tym wszystkich europejskich. Nie wytrzymała – w chwili, kiedy Owens przebiegł metę jako pierwszy, nie mogła opanować radości. Zerwała się, krzycząc, że Ameryka wygrywa. Zauważył to Heidegger z żoną Elfride oraz inni przedstawiciele uniwersytetu we Fryburgu, co wywołało ożywione komentarze. Siedzący obok członkowie Hitlerjugend spojrzeli na nią krzywo – fetowała zwycięstwo czarnoskórego biegacza, który pokonał białych, niemieckich, czystych rasowo sportowców. Jane czuła taki entuzjazm, że w przerwie między dyscyplinami zeszła kilka pięter niżej po schodach między rzędami siedzeń i skierowała się do loży, w której można było porozmawiać z amerykańskimi sportowcami. Dorwała Jessego Owensa i serdecznie mu pogratulowała. Widząc piękność obok sprintera, dziennikarze zwęszyli szanse na niezłe zdjęcie.

– Jesse, stań, proszę, obok tej pięknej pani! – krzyczeli.

– Nie ociągaj się!

– Będziecie w najważniejszych dziennikach Europy!

I tuzin fotoreporterów akredytowanych na igrzyskach zaczął trzaskać zdjęcie za zdjęciem – uśmiechniętego i szczęśliwego Jessego Owensa i... Jane. Dziewczyna była podekscytowana i zupełnie nie dostrzegała potencjalnych konsekwencji tego zachowania. Gdy wracała po schodach na swoje miejsce, dziesiątki par męskich oczu śledziło każdy ruch jej bioder – ku wyraźnej irytacji niemieckich partnerek.

– To pewnie cudzoziemka – szeptano. – Dlatego tak ubrana!

Faktycznie, Jane założyła kremową spódnicę z lekkiej i niewiarygodnie przytulnej bawełny i marynarkę w takim kolorze oraz elegancki kapelusz chroniący ją przed słońcem. Tego dnia była na oczach wielu – i wiedziała o tym. Czerpała z tego przyjemność.

– Jest pani dziś fenomenem – powiedział jej cicho jeden z asystentów Heideggera, który też przyjechał na wycieczkę do Berlina.

– Dziękuję, jest pan bardzo miły – odparła.

– Nazywam się Eugen Fink i piszę doktorat z filozofii – przedstawił się mężczyzna.

– To podobnie jak ja. – Jane ucieszyła się, że ma nowego znajomego.

*

Następnego dnia w amerykańskiej ambasadzie do śniadania podano ambasadorowi przegląd niemieckich gazet. Dodd szczerze nie znosił nazistowskiej szmaty „Völkischer Beobachter", ale musiał do niej zajrzeć, by przeczytać komentarze Goebbelsa, samego Hitlera lub innych nazistów. Żeby nie psuć sobie smaku grzanki i jajka, ugotowanego idealnie na miękko, ambasador odkładał nazistowską gazetę na sam koniec. Zaczynał od „Frankfurter Zeitung". Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Jessego Owensa, amerykańskiego sprintera, który w pierwszym dniu olimpiady zdobył złoty medal w biegu na 100 metrów. Frankfurcka gazeta zachowała resztki niezależności, ale miała kłopoty z dostępem do papieru i cenzora z Ministerstwa Propagandy na karku. Mimo to przemycała znaki sprzeciwu, same w sobie niegroźne i nic nieznaczące, ale po dogłębnej analizie kontekstu można było wychwycić opozycyjną logikę wobec

reżimu. Jakże inaczej nazwać zdjęcie Jessego Owensa, czarnoskórego biegacza – uśmiechniętego i szczęśliwego w objęciach ślicznej dziewczyny w pięknym kostiumie w kolorze kremowym! Ambasador Dodd skupił wzrok na fotografii i od razu poczuł przypływ adrenaliny. Przez chwilę mu się zdawało, że zna tę dziewczynę, że widział jej zdjęcie. Przebiegł wzrokiem krótki tekst pod fotką. Lid artykułu brzmiał:

„AMERYKAŃSKA PIĘKNOŚĆ JANE
COULFIELD GRATULUJE SWOJEMU RODAKOWI"

Dodd sięgnął po słuchawkę telefonu i natychmiast wykręcił wewnętrzny numer do Barnesa. Ambasadora zirytowało, że musiał – zbyt długo, jego zdaniem – czekać, aż współpracownik odbierze. Trwało to może kilka sekund, ale Dodd ulegał w takich chwilach ekscytacji. W końcu Barnes odebrał.

– Czytałeś dzisiejszy numer „Frankfurter Zeitung"?

– Nie, a powinienem?

– Ona jest w Berlinie!!!

– Kto, szefie? – zapytał chyba nie do końca wyspany Barnes.

– Jane Coulfield.

– I co, mamy ją aresztować? Nie mamy prawa. Berlińska policja tego nie zrobi na podstawie listu od Hoovera, zresztą w Niemczech średnio się orientują, kto to taki – mówił Barnes.

– Ja nie chcę jej aresztować! Masz ruszyć dupę i iść na stadion olimpijski, może jeszcze ją dziś spotkasz. Zrobisz jej kilka zdjęć. To wystarczy. Wyślemy je jako dowód, że ją zlokalizowaliśmy. Możesz też przecież z nią porozmawiać i poprosić o adres w Niemczech. Niech już FBI się dalej martwi.

Barnes pomyślał, że to nawet dobrze. Pójdzie na stadion olimpijski i zobaczy choć część tych fantastycznych zawodów sportowych na żywo. Wziął aparat fotograficzny i tak uzbrojony ruszył na poszukiwanie zwierzyny.

*

Tymczasem Jane była zupełnie nieświadoma zbierającej się burzy. Noc spędziła w hotelu wraz z delegacją z uniwersytetu z Fryburga Bryzgowijskiego. Następnego dnia po sutym hotelowym śniadaniu znów pojechali wszyscy na stadion olimpijski. Cała ta wyprawa była dla niej jak sen. Unter den Linden, najbardziej reprezentacyjna ulica starego Berlina, tonęła we flagach ze swastyką. Kłębił się na niej różnokolorowy, wypełzający z zakamarków wielkiej metropolii tłum mówiący różnymi językami. Nagle zniknęły zakazy wobec Żydów, przynajmniej Jane nie ujrzała ani jednego. Co było oczywiście formą wyrafinowanego oszustwa przygotowanego przez ministra propagandy Goebbelsa, który na czas igrzysk zawiesił prześladowania mniejszości narodowej.

Na stadion dojechali przed dziewiątą rano, a od pół do dziesiątej miały się odbywać dalsze konkurencje lekkoatletyczne. Gdy zagrały fanfary – niczym w rzymskim Koloseum przed dwoma tysiącami lat – tłum zafalował i wstał. Na loży dla VIP-ów pojawił się Adolf Hitler. Nagle wszyscy wokół Jane wznieśli do góry prawą rękę i krzyczeli:

– Heil! Heil!

Jane sparaliżowała myśl, że oto widzi naprawdę przeistoczenie bytu, o którym tyle mówił jej już Heidegger. Byt narodu niemieckiego w jednej chwili zlał się w jej umyśle z ową ideą, której nie przeczuwała w drodze do Niemiec na wielkim statku, a którą pokazał jej Heidegger. Nacjonalizm to potężny mit, który mami ludzi jak narkotyk. Przemogła się i kiedy wszyscy wznosili ręce, ona stała nieruchomo. To nie była jej wiara, to nie były jej mit ani ofiara.

Potem oglądała zawody sportowe, kibicując oczywiście Amerykanom. Drugi dzień pobytu na stadionie zaczął się od sztafety cztery razy sto metrów. Była to konkurencja wymagająca znakomitej koordynacji wszystkich członków drużyny, ale nade wszystko idealnej kontroli nad przekazaniem pałeczki. Jej zgubienie oznaczało dyskwalifikację. Faworytami były USA i Niemcy. Jane nie wiedziała, że poprzedniego dnia, już po pierwszym tryumfie Jessego Owensa, z amerykańskiej sztafety wykluczono dwóch biegaczy – Glickmana i Stollera, czego powodem było

ich żydowskie pochodzenie. Jad działał. Goebbels mógł twierdzić – i było to nawet bliskie prawdy – że w czasie igrzysk olimpijskich Rzesza Niemiecka nie prześladowała Żydów. Zrobił to amerykański komitet olimpijski. Nikt nikogo do niczego nie przymuszał. Tchórzostwo i dostosowywanie się do tyrana jest jak trucizna ukryta w winie. Nie zabija od razu, ale jest śmiertelna.

Jane obserwowała, jak Jesse odstawił wszystkich rywali, to znaczy reprezentacje Niemiec, Włoch, Kanady, Holandii i Argentyny, choć w ekipie holenderskiej na pierwszej zmianie biegł znakomity Martinus Osendarp. Jednak Owens był szybszy i podał znakomicie pałeczkę kolejnemu zawodnikowi. Amerykanie biegli swoim tempem, ale cały czas konsekwentnie zwiększali przewagę nad rywalami. I wygrali całkowicie zasłużenie. Uznanie dla amerykańskich biegaczy udzieliło się licznym zagranicznym gościom. Tylko Niemcy, widząc, że amerykańscy zawodnicy uważają Owensa za lidera zespołu, klaskali dość powściągliwie.

Ogłoszono przerwę w zawodach, ponieważ następną konkurencją miał być bieg kobiet cztery razy sto metrów przez płotki. Jane zeszła na poziom, gdzie można było napić się piwa, lemoniady lub wody mineralnej. Okazało się, że na obszernym zapleczu stadionu olimpijskiego zapowiedziano konferencję prasową ze zwycięzcami sztafety męskiej. Postanowiła natychmiast się tam udać i posłuchać na żywo amerykańskich biegaczy, w tym szczególnie Jessego Owensa, który w Berlinie wyrósł na pierwszorzędną gwiazdę. Cieszyła się, że podczas dekoracji medalowej za bieg na sto metrów pierwszego dnia nie uniósł do góry prawej ręki w rzymskim salucie, ale stał spokojnie i słuchał hymnu Stanów Zjednoczonych.

Gdy tak stała, czekając na rozpoczęcie konferencji, ktoś za nią powiedział:

– Co ty tu robisz, Jane?

Odwróciła się mimo ścisku dziennikarzy. Poznała go natychmiast. Nie mogła pomylić ani tej twarzy, ani tego sposobu poruszania się – Maksymilian von Hoym we własnej osobie.

– Czy to takie trudne zadzwonić albo przynajmniej napisać do swojej studentki? – zapytała z wyraźną nutą żalu w głosie.

– Nie mogłem – usprawiedliwiał się von Hoym. – Sprawy rodzinne mnie zupełnie pochłonęły. Ale wynagrodzę ci to. Zapraszam do mojej rodzinnej posiadłości pod Dreznem. To rezydencja grafów von Hoymów, którzy zasłużyli się królom Saksonii.

– Uwielbiam takie historyczne miejsca. Świetnie się składa, ponieważ teraz na uniwersytecie są wakacje. Mamy wrócić na zajęcia dopiero we wrześniu, więc mam miesiąc wolnego – odparła dziewczyna.

– Doskonale. Zabiorę cię od razu z Berlina.

– Będę musiała wytłumaczyć profesorowi Heideggerowi, że nie wrócę ze wszystkimi.

– O, widzę, że poczyniłaś w Rzeszy postępy – powiedział z lekkim przekąsem Maksymilian.

Zawsze się tak zachowywał na Harvardzie – pomyślała Jane. Był wyniosły i miał sam o sobie bardzo wysokie mniemanie.

Nie zauważyli, że jeden z dziennikarzy zrobił im kilka zdjęć z pewnej odległości. Z uwagi na rozmowy i ścisk nie odnotowali tego.

*

Wieczorem Barnes zatelefonował do prywatnych apartamentów ambasadora Dodda w pałacu Brühla.

– Musisz mieć bardzo ważny powód, żeby mi zawracać głowę wieczorem, Barnes.

– Istotnie. Miałem dziś szczęście, ponieważ sfotografowałem naszą bohaterkę i tego Niemca razem na konferencji prasowej.

Ambasador Dodd nie ukrywał zadowolenia.

– W takim razie podejrzenia Hoovera są słuszne. Wywołaj film w atelier ambasady. Niech odbitki mają dobrą jakość. Wyślemy jutro w południe pocztą dyplomatyczną do Waszyngtonu.

Rozdział VII

Duch absolutny

Majątek grafa von Hoyma, sierpień 1936, Saksonia

Jane dała się porwać Maksymilianowi von Hoymowi, arystokracie, a zarazem człowiekowi głęboko osadzonemu w strukturach partii nazistowskiej. Oczywiście o tym jej nie wspomniał. Dziewczyna była bardzo ciekawa tej nowej wyprawy, nowego doświadczenia. Pojechali samochodem autostradą wiodącą na południe w stronę Drezna i Lipska. Po kilku godzinach znaleźli się na miejscu. Jakież było wrażenie Jane, wychowanej w molochu, jakim był w istocie Nowy Jork, gdy ujrzała tę perłę architektury klasycystycznej. Pałac von Hoymów przypominał rezydencję na południu Stanów z okresu przed wojną domową. Wieńczył go portyk z czterema kolumnami i tympanonem, a wielkość budynku i liczba okien świadczyły, że we wnętrzu jest jasno i przestrzennie. Maksymilian zatrzymał samochód – Mercedes 170V W136 w eleganckim biało-czarnym malowaniu – przed pałacem. Gdy tylko razem z Jane wysiedli, podszedł jeden ze służących, żeby odprowadzić auto do garażu.

– Zapraszam do środka. Wysłałem wczoraj do domu telegram, żeby służba przygotowała dla ciebie kilka kreacji. Wszystko znajdziesz w szafie.

– Jesteś bardzo miły, dziękuję. – Jane przyjechała w tym, co miała w Berlinie. – Wyjechaliśmy tak szybko, że zapomniałam wysłać wiadomość do mojej gospodyni we Fryburgu. Będzie się martwić.

– Napisz na papeterii, którą masz na stole w pokoju. Zostaw służącemu, wyśle to pocztą. Masz teraz wakacje.

Maksymilian von Hoym był w znakomitym humorze. Przyjechał do swojej posiadłości z piękną kobietą, którą chciał pokazać na kolacji przyjaciołom i rodzinie. Natomiast Jane była bardzo spięta, nie wiedziała, czego się spodziewać. Jednak gdy służący, ubrany w liberię milczący mężczyzna, zaprowadził ją do pokoju, oniemiała. Dostała do dyspozycji

luksusowy apartament z własną łazienką – a w niej wielką wannę. Na szerokim łóżku ułożone były ubrania, od bielizny po świetnie uszyte letnie sukienki, bluzki i kapelusze – podobało jej się to, lubiła kapelusze. Maksymilian wiedział, jak zrobić wrażenie na kobiecie. Usiadła na krześle, zmęczona, i nalała sobie wody mineralnej z karafki. Nieoczekiwanie w drzwiach pojawił się zrelaksowany von Hoym.

– W tej niebieskiej będzie ci do twarzy – powiedział.

– Dlaczego uważasz, że przyjmę to wszystko? To dla mnie krępujące.

Maksymilian nie tracił dobrego humoru. Popatrzył na nią pobłażliwie.

– Nie powiedziałem, że ci je ofiarowuję. To pożyczka na czas twojego pobytu tutaj.

– Teraz jesteś na skraju impertynencji – oświadczyła Jane.

– To samo mówiła mi moja żona. – Uśmiechnął się.

To zaskoczyło dziewczynę. Sądziła, że jest wolny.

– Czy te sukienki...?

– Tak, należały do niej, ale zapewniam, że nie ma nic przeciw temu. Nie żyjemy razem od dawna. – Maksymilian zdobył się na szczerość. – Kolacja jest o dwudziestej.

Zostawił Jane samą z jej zawstydzeniem, gonitwą myśli i sercem pełnym niepokoju.

*

Peter Auschenwald źle znosił nieobecność kobiety, której pożądał. Powieść Manna, którą czytał na jej polecenie, zaczęła sprawiać mu przyjemność. Nie rozumiał tych wszystkich dywagacji filozoficznych między Settembrinim i Krokowskim, ale z wypiekami na twarzy przeżywał proces zakochiwania się Castorpa w Rosjance Klawdii Chauchat. Marzył nie tylko o tym, aby podejrzeć coś, co Jane pozwoli mu zobaczyć, i przeżyć raz jeszcze w nocy tę koszmarną mękę, po której musiał zmywać brzydkie plamy z prześcieradła, żeby matka ich nie zobaczyła. Frau Auschenwald była bowiem strażniczką i kolumną w świątyni moralności ich domostwa. Problem polegał też chyba na tym, że Peterowi brakowało ojca, który

zginął na froncie zachodnim w ostatnim roku wielkiej wojny. Rodzice, jak można się było jedynie domyślać z opowieści matki, poczęli go podczas jego urlopu. Był więc Peter przygodnym dzieckiem, choć zapewne też wyczekiwanym. W szkole nie szło mu źle. Jane Coulfield była dla niego rodzajem objawienia erotycznego. Chłopak wstydził się tego, co o niej myślał, i jednocześnie pragnął jej jeszcze bardziej.

Gdy się okazało, że Jane otrzymała zaproszenie do jakiegoś wielkiego pana i wyjechała, młody Auschenwald wściekł się na serio. W swojej grupie w lokalnym Hitlerjugend nie okazywał litości i współczucia. W czasie obozu letniego – obozy były obowiązkowe i wszyscy członkowie drużyn Hitlerjugend z poszczególnych dzielnic miasta musieli wziąć w nich udział – już pierwszego dnia zafundował uczestnikom marsz na orientację na dziesięć kilometrów. Młodszym porobiły się odciski na stopach. Kilku płakało, ale Peter nie miał dla nich litości.

– Ty mięczaku, czy jak do naszego obozu przyjedzie Führer, też się będziesz przy nim mazgaił?

Żaden z chłopców nie chciał okazać się mięczakiem i kopać latryny lub obierać kartofli na czas, bo takie kary Auschenwald przewidywał dla tych, którzy nie potrafili unieść trudów obozu. Jednak wszystko, co robił, czynił z myślą o niej. Wyobrażał sobie, że ją tak karze za jej nieobecność. Wieczorami, gdy chłopcy z kierownictwa obozu (należeli do niego najstarsi wiekiem uczniowie ostatniej, jedenastej klasy) leżeli już na posłaniach w namiocie, Peter nie mógł się powstrzymać przed dotykaniem swojego ciała. Był doprowadzony do takiego stanu, że ejakulacja następowała u niego natychmiast. Jeszcze we Fryburgu kupił amerykańskie chusteczki papierowe importowane do Niemiec, wyprodukowane na bazie bawełny. Strasznie się tego wstydził. Gdyby nie ona, poszedłby do spowiedzi świętej i wyznał tam wszystkie swoje grzechy i „bezecne świństwa", jak mawiała matka. Gdyby się dowiedziała, do czego służą mu te chusteczki, toby mu twarz obiła pasem, a on nie mógłby jej oddać. Raz już tak zrobiła, kiedy złapała go w łazience, jak robił sobie dobrze. Przez następny tydzień

chodził do szkoły z posiniaczoną twarzą. Musiał kłamać, że potknął się na schodach.

Teraz jednak była gorąca sierpniowa noc. Miał swoją rozkosznie wstydliwą tajemnicę. Ale rankiem nie będzie prosił o spojrzenie ani o dobre słowo. O nie, będzie rozkazywał, wydawał polecenia i karał. Lubił to słowo: karać! I wyobrażał sobie, jak karze tę Amerykankę, która zawładnęła jego ciałem i duszą...

*

Jane już po południu wykąpała się i popracowała nad makijażem, żeby zrobić się na bóstwo. Przebrała się w niezwykle elegancką, niebieską sukienkę przygotowaną przez służbę Maksymiliana. Założyła też korale – własne, białe i błyszczące, które kupiła zeszłego lata w Atlantic City u jubilera. Wiedziała, że kiedyś się przydadzą, dlatego zabrała je ze sobą w podróż do Europy. Na głowie miała niebieską przepaskę z jedwabiu.

Na kolację stawiła się rodzina Maksymiliana – jego babka, hrabina Jadwiga von Hoym, oraz siostra Anabelle von Hoym. Obydwie wyczulone na elegancję, a tej Jane nie brakowało nigdy. Nie znały jej i być może myślały, że to jakaś nowa dziewczyna Maksymiliana. Jane niepokoiła informacja, że Maksymilian miał żonę, której z niewiadomych przyczyn tutaj nie było. Oprócz dwóch dam na kolację przybył też przyjaciel von Hoyma, niewysoki mężczyzna z włosami zaczesanymi brylantyną, w dwurzędowej partyjnej marynarce w brunatnym kolorze i czarnych spodniach. W klapie nosił swastykę. Wyczuła instynktownie, że to musi być jakaś gruba ryba.

– Pozwolę sobie powiedzieć na powitanie – zaczęła Jadwiga von Hoym – że jest pani pierwszą Amerykanką siedzącą przy tym stole.

– Niezmiernie mi miło – odparła Jane.

Zasiedli wszyscy, ale zarówno rodzina Maksymiliana, jak i ich znajomy byli niezmiernie ciekawi nowej twarzy. Jane porównywała ich w myślach z nowojorską arystokracją pieniądza – z nuworyszami, których znała

i z którymi się stykała. Wiedziała, że ich słabą stroną jest próżność. Jakie wady i zalety mieli zebrani tu ludzie? Miała się o tym przekonać.

– Przyjechała pani na olimpiadę? – zapytał gość von Hoymów, człowiek w brunatnym mundurze. – Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Hans Frank i jestem prawnikiem naszego Führera.

Jane nigdy wcześniej nie słyszała tego nazwiska, ale wzbudziło w niej niepokój. Ten człowiek jest niebezpieczny – pomyślała.

– Nazywam się Jane Coulfield i nie przyjechałam do Niemiec na olimpiadę, ale ze względu na moje zainteresowania filozoficzne.

Jadwiga von Hoym i Hans Frank wymienili spojrzenia. Kobieta, która interesuje się filozofią, do tego Amerykanka – to musiało wzbudzić zainteresowanie.

– A cóż panią tak bardzo interesuje w naszej filozofii? – zapytał Hans Frank.

– Interesuje mnie, w jaki sposób Martin Heidegger przetransformował filozofię z systemów filozoficznych, które zaczęły się od Hegla, w filozofię egzystencji.

– Przecież Hegel to myśliciel wielkiej klasy! – zaoponował Hans Frank.

– Nie odbieram mu dokonań ani wielkości jego analitycznego umysłu. Ale pogłębił on rozdźwięk między podmiotem i przedmiotem poznania. Heideggera zaś to nie interesuje. Dla niego kluczem do zrozumienia rzeczywistości i człowieka jest kategoria egzystencji.

– Drodzy państwo – przerwał im Maksymilian. – Reszta po kolacji.

Wszyscy się roześmiali. Jane zrobiła wrażenie. Siedząc naprzeciwko starej pani von Hoym, dowiedziała się wiele o losach rodziny oraz o tragedii, jaka spotkała Maksymiliana zaraz po wielkiej wojnie. Jego rodzice jechali do Monachium automobilem i z powodu trudnych warunków atmosferycznych mieli wypadek – rozbili się na drzewie. Maksymilian i Anabelle zostali więc sami. Trafili pod jej opiekę. Jane poczuła sympatię do starszej pani, która rozmawiała z nią nienagannym angielskim. Na kolację podano zupę z raków, suflet z warzywami i mozelskie białe wino. Żartowali i wymieniali poglądy na temat filmu, teatru, dobrej

książki. Jane uznała, że to był bardzo dobry pomysł, aby poznać to towarzystwo. Pod koniec kolacji, gdy kelnerzy w liberiach podali deser, Anabelle von Hoym, która przysłuchiwała się błyskotliwej wymianie zdań z Frankiem, zapytała Jane:

– Którego z niemieckich pisarzy uważa pani za największego?

Jane odparła bez wahania:

– Thomasa Manna.

Hans Frank usłyszał to. Odpowiedź wyraźnie mu się nie spodobała. Rzucił coś w rodzaju: co Amerykanka może wiedzieć o niemieckiej kulturze? Po kolacji poszedł na drinka i cygaro z Maksymilianem. Jednak na Anabelle słowa Jane zrobiły dobre wrażenie.

– Odważnie zagrałaś – oznajmiła.

– Powiedziałem prawdę – odparła Jane, podnosząc do ust kieliszek wina.

– Thomas Mann nie jest już od tego roku Niemcem. Wyrzekł się obywatelstwa i mieszka teraz w Czechosłowacji – oświadczyła Anabelle, ale w jej głosie nie było potępienia. – Dlatego mówię, że zagrałaś odważnie. Hans Frank to wysoko postawiony funkcjonariusz partyjny i twoja opinia o Mannie zostanie z pewnością zapisana skrzętnie na Gestapo.

– Boisz się ich? – zapytała Jane.

– Kogo?

– Nazistów.

– Jane, nie znasz Niemiec. To kraj, w którym trzeba się podporządkować. Najczęściej ludzie robią to dla świętego spokoju, dla kariery.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Ty powinnaś znać odpowiedź na to pytanie lepiej niż ja – odparła Anabelle. – Przejdźmy się po kolacji, ogrody są cudowne.

Zrobiły tak, jak chciała siostra Maksymiliana.

*

Wieczorem Jane nie mogła spać z powodu upału. Otworzyła na oścież okno do pokoju, aby wpuścić więcej powietrza. Wtedy usłyszała szepty.

Wsłuchała się – dyskutowały dwa głosy, męski i żeński. Jednak nie mogła rozeznać słów. Dopiero po chwili dźwięki zaczęły układać się w zrozumiałe wyrazy.

– Po co ją tutaj przyprowadziłeś? Mało ci dziwek?

– Anabelle, uspokój się – odrzekł męski głos.

– Wiesz, ile dla mnie znaczysz... wiesz, że nie toleruję innych kobiet u twego boku.

– Uspokój się.

– Jak mam być spokojna! Widzę, jak na nią patrzysz... Nie kłam! Pożądasz jej! – W kobiecym głosie pobrzmiewało coraz większe rozdrażnienie.

Jane słuchała tego ze ściśniętym sercem. Odgadła, że tych dwoje to Maksymilian i jego siostra Anabelle. Ale treść ich rozmowy nie pasowała do relacji, jaką powinien mieć brat z siostrą.

– Ona niedługo wyjedzie.

– Ma zniknąć z twego życia! – zażądała Anabelle.

– Dobrze, wyjedzie. Zaprosiłem ją, bo znamy się ze Stanów.

– Tam pewnie z nią spałeś!

– Nie, nigdy, Anabelle. Kocham tylko ciebie. I zawsze będę.

Wkrótce potem głosy ucichły. Jane stała jak zahipnotyzowana przed oknem. Zdało się jej, że coś skrzypnęło. Zaniepokojona postanowiła wyjść i sprawdzić. Ruszyła bezszelestnie po zimnej, drewnianej podłodze pałacu, cicho, jak gdyby przemykała w powietrzu. Zatrzymała się obok drzwi do pokoju Anabelle. Wydawało się jej, że tych dwoje uprawia miłość, jak gdyby relacja brata i siostry im nie wystarczała. Poczuła się intruzem i szybko się wycofała.

Jednak następne dni nie przyniosły kryzysu w relacjach. Anabelle zaproponowała wspólną z Maksymilianem wycieczkę do Bayreuth.

– Dlaczego tam? – zapytała Jane.

Maksymilian i Anabelle – rodzeństwo, ale i para kochanków, która nieoczekiwanie z dnia na dzień przestała się z tym kryć przed swoją nową znajomą – parsknęli śmiechem.

– Jane, wszystkie liczące się osoby w Niemczech jadą do Bayreuth pod koniec sierpnia, czy tego chcą, czy nie.

– Z jakiego powodu?

Znów się roześmiali.

– Festiwal wagnerowski. Skoro interesujesz się niemiecką filozofią, musisz być w Bayreuth i wysłuchać *Parsifala* lub *Zmierzchu bogów*.

Rodzeństwo spakowało się na kilka dni i poradziło, żeby Jane uczyniła tak samo. W końcu Amerykanka była gotowa, bagaże służba umieściła w aucie. Maksymilian, widząc zbliżającą się dziewczynę, ubraną w niebieską sukienkę po jego żonie, rzekł:

– Wiedziałem, że w niebieskim będzie ci do twarzy, Jane.

Wsiedli do sportowego mercedesa i ruszyli do Bayreuth, gdzie Jane chciała zakosztować ducha absolutnego: idei, która spajała Heideggera, nazistów, jej gospodarzy. Chciała się przekonać, czy duch ten istnieje – i czy to demon, czy też anioł.

Nowy Jork, sierpień 1936

W pewnych kręgach informacje przepływają drogą nieoficjalną. Pogłoski o kłopotach, w jakie prawdopodobnie wpadła Jane, w końcu dotarły do Samuela Singera. Sobie tylko znanymi kanałami i dzięki kontaktom w sferach rządowych dowiedział się o zabójstwie agenta Flynna i uzyskał możliwość wglądu w akta sprawy prowadzonej przez Federalne Biuro Śledcze. Istotnie – Jane była wymieniana jako jedna z podejrzanych lub biorących udział w tym wydarzeniu. Samuel postanowił reprezentować przybraną córkę. W amerykańskim systemie prawnym istniało pojęcie dealu, rozumianego jako ugoda, a on był zbyt doświadczonym prawnikiem, aby z niego nie skorzystać. W tym celu musiał umówić się z J. Edgarem Hooverem, który był sprężyną całego śledztwa. Ich relacje były skomplikowane – szef FBI wiedział o usługach Samuela dla nieżyjącego wybitnego gangstera. Jednak obaj przede wszystkim cenili dyskrecję i informację. W Waszyngtonie, centrum politycznym Stanów

Zjednoczonych i centrum wszelkich intryg rozgrywających się blisko władzy, takie spotkania były na porządku dziennym.

– Ile to lat, Samuelu?

– Od śmierci Rothsteina – odparł Samuel.

Usiedli w starej restauracji Taco, gdzie bywała śmietanka polityków i gangsterów. To Hoover wyszedł z propozycją spotkania właśnie w tym miejscu. Zamówili po szklaneczce dobrego burbona, który dwadzieścia lat leżakował w beczce z kanadyjskiego dębu. Teraz już mogli to zrobić bez obaw o złamanie ustawy prohibicyjnej.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał Samuel.

Szef FBI nie lubił tak od razu przechodzić do rzeczy. Podczas takich spotkań kolacja jest celebracją, pachnący krwisty stek wymaga smaku i gustu. Ale uznał, że im szybciej Samuel się dowie, o co chodzi, tym lepiej.

– Kilka miesięcy temu pewien niemiecki dyplomata zamordował, co wiemy z pewnością, jednego z naszych agentów, Flynna, w Filadelfii. Tak się złożyło, że człowiek ten przebywał na Uniwersytecie Harvarda i popłynął z twoją córką do Niemiec.

– Z moją córką?

Hoover napił się brązowozłotego burbona.

– Nie wiesz wszystkiego. Prowadziliśmy operację nadzoru, w jaki sposób Niemcy zbierają u nas pieniądze na swoją armię. Jak wiesz, oficjalnie pomaga im Henry Ford, znany z antysemickich haseł, ale twoja córka nie tylko pojechała na stypendium. Miała jeszcze jedną rolę...

– Zdumiewasz mnie.

– Mam to we krwi – odparł szef FBI. – Rzecz w tym, że straciliśmy z nią kontakt. W czasie igrzysk olimpijskich w Berlinie pracownicy naszej ambasady zrobili jej kilka zdjęć w towarzystwie tego Niemca. Co potwierdzałoby moje przypuszczenie, że twoja córka ma z nim romans.

– To już za wiele – zaoponował Samuel.

– Proszę, wysłuchaj mnie do końca. Nasi ludzie w Berlinie nie wiedzą nic o jej pracy dla FBI, a chcielibyśmy, żeby zaczęła się wreszcie wywiązywać z przyjętych zobowiązań.

– Proszę, wyjaśnij, co masz na myśli.

Hoover był twardym graczem. Każdą partię rozgrywał na swój sposób.

– Chodzi mi o jej nagły wyjazd. Przecież ona znała Flynna, to on ją do nas przyprowadził. Niektórzy z naszych śledczych sugerują, że Jane jest związana z tym Niemcem, że gra dla niego.

Samuel zaczynał rozumieć, do czego zmierza jego rozmówca.

– To bzdury. Dobrze o tym wiesz.

Teraz szef FBI się uśmiechnął.

– Jedz, stek jest wyśmienity.

– Ona jest moją córką – rzekł Samuel. – Niemiec nie może być związany z Żydówką, przecież sam rozumiesz.

– Ale my jej wystawiliśmy paszport na nazwisko twojej żony. Niemcy nie wiedzą o jej żydowskim pochodzeniu. – Hoover spokojnie przeżuwał spory kawał mięsa. – Chcę, żeby ona zbliżyła się do tego Niemca. Po analizie jego spotkań, o których wiemy, bo Flynn go regularnie śledził, sądzimy, że to pracownik Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, tajny, ale niebezpieczny. Kobieta zaś ma pewne zdolności, by się do niego zbliżyć i zdobyć informacje. Nawet jeśli wymaga to, że tak to ujmę delikatnie, pewnej poufałości.

– Jak śmiesz? – Samuel nie panował już nad nerwami.

– Wiem dobrze o twoich konszachtach z Rothsteinem. To już wystarczy, żeby wywalić cię z palestry, ale ja jestem naprawdę bardzo łaskawy. Chcę tak niewiele.

– Moja córka ma się...

– Tak, Samuelu, twoja córka ma się trochę puścić z tym Niemcem i wydobyć z niego to, co chcemy. W przeciwnym razie z naszej ambasady w Berlinie wypłynie pewien niewygodny dokument, który poświadczy władzom niemieckim jej pochodzenie. Zrozumiałeś, Samuelu? To jest mój deal. Twój zmarły przyjaciel Rothstein był znany z korumpowania urzędników i był w tym mistrzem. Dzięki takim adwokatom jak ty. Dlatego zrobisz teraz to, o co grzecznie proszę. Napiszesz list do Jane i zaproponujesz jej spotkanie w Paryżu, powiedzmy teraz, jesienią.

Przedstawisz jej moją ofertę i zaznaczam, że to jest oferta nie do odrzucenia.

Samuel znalazł się w potrzasku. Był prawnikiem gangstera – fakt. Ale teraz siedział obok człowieka dużo potężniejszego. Chciał stąd jak najszybciej wyjść. Stracił apetyt na steki.

– To wszystko?

– Nie jesz? Każę ci zapakować.

– Zbytek łaski – odparł Samuel. Wstał od stołu. Musiał się zgodzić na razie na warunki Hoovera, ale to nie oznaczało przecież, że skapitulował.

Odszedł z godnością.

Rozdział VIII

Parsifal

Bayreuth w czasie festiwalu wagnerowskiego zamieniało się w targowisko próżności. Jane już zauważyła, że próżność Niemców miała przede wszystkim charakter rasowy, ale w tym miejscu zyskiwała coś jeszcze: osobliwy posmak tak zwanej kultury wysokiej. W miasteczku mieszkała wciąż Winifred Wagner, synowa wielkiego kompozytora i wdowa po jego synu. Przyjeżdżali tu wszyscy ważni ludzie, zwłaszcza przemysłowcy, którzy zawarli z Hitlerem sojusz, kiedy ostatniego czerwca 1934 roku w noc długich noży kazał wymordować całą wierchuszkę SA – oddziałów szturmowych; w całych Niemczech SS, nowa gwardia Hitlera, zabiła ponad siedemdziesiąt osób, w tym Ernsta Röhma i Georga Strassera, wpływowego członka NSDAP, który zachowywał się krytycznie wobec Himmlera i Göringa.

Jane z ciekawością obserwowała dwoje kochanków – brata i siostrę. Ale miała też wrażenie, że zaproszenie do Bayreuth było jakąś formą zabawy

z nią; igraszki, która zdarza się ludziom pewnym swojego stanowiska i próżnym.

– Chciałabym poznać nowych ludzi – powiedziała do Maksymiliana, gdy ten pruł po szosie sportowym modelem mercedesa.

– Poznasz – odparł.

– Wyobraź sobie, że na to liczę.

Samochód pędził w stronę ulubionego miasta partii hitlerowskiej.

*

Jane i rodzeństwo von Hoym zatrzymali się w hotelu Goldener Hirsch, ale tylko dzięki wcześniejszej rezerwacji. Anabelle z bratem mieli wspólny pokój. Gdy spotkali się pierwszego dnia na śniadaniu, Maksymilian był w znakomitym humorze. Jane zaskoczył jego widok w czarnym mundurze SS. Zrozumiała, że wizyta w Ameryce nie była przypadkowa, a praca na Uniwersytecie Harvarda to jedynie przykrywka do innych zadań.

– Widzę, przyjacielu, że masz na sobie czarną zbroję – powiedziała z lekko wyczuwalnym przekąsem.

– Nie ma sensu udawać – rzekł Maksymilian. – Jesteśmy w Bayreuth, mieście Wagnera, kompozytora największego ze wszystkich niemieckich kompozytorów. W naszym świecie każdy musi być sobą, każdy ma jakieś zadanie do spełnienia dla Führera. Ja też mam swoje, Jane.

Dziewczyna spojrzała na jego czarny mundur. Wyglądał nienagannie – dzieło Hugo Bossa. Nie znała się na stopniach, ale Maksymilian nosił po prawej stronie kołnierza naszywkę z czterema gwiazdkami.

– Jesteś oficerem SS? – zapytała.

– W stopniu kapitana. Jestem oficerem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Mój szef też tu dziś będzie. Poznasz go, ponieważ pójdziemy się przywitać do Winifred Wagner.

Jane wiedziała, kim ona była – Angielką, która wyszła za mąż za syna kompozytora i urodziła mu czwórkę dzieci. To spotkanie mogło być ciekawe. Fakt, że Maksymilian założył mundur tak otwarcie i nie krył się z niczym, podpowiadał, że festiwal wagnerowski w Bayreuth stanowił coś

w rodzaju okazji do celebracji, stopienia się wysokiej kultury niemieckiej i hitleryzmu. Był to swoisty teatr ze swastyką jako decorum.

Anabelle dotychczas przypatrywała się Jane, ale teraz zmieniła temat:

– Interesowałaś się muzyką Wagnera?

– Niespecjalnie. Zawsze wydawał mi się zbyt monumentalny, patetyczny. Nie potrafiłam znaleźć w nim lekkości oper Mozarta. Kiedy byłam mała, często z rodzicami wybieraliśmy się do Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

– To wspaniała scena, choć nie tak dobra jak europejskie, La Scala czy londyńskie Covent Garden. Natomiast w Bayreuth są dwie opery. Ta festiwalowa, którą wystawił sam Wagner, oraz starsza, osiemnastowieczna, którą wybudowała siostra Fryderyka Wielkiego. – Po czym po chwili dodała: – Festiwal odbywa w pawilonie operowym wybudowanym przez Wagnera.

– Kanclerz już jest w Bayreuth? – zapytała Jane, która uparcie nie chciała wypowiadać słowa „Führer".

– Nie, Führer przyjeżdża zawsze w ostatniej chwili, wstępuje na herbatkę z konfiturami do Winifred, a potem już tylko do teatru – wyjaśnił Maksymilian. – Chcielibyśmy cię o coś zapytać, Jane.

– Zamieniam się w słuch – odparła.

– Jak wiesz, lub może jak się już zdołałaś domyślić, nasza relacja nie jest tylko relacją rodzinną. Jesteśmy razem od śmierci rodziców. – Anabelle urwała i obserwowała reakcję dziewczyny. – Odkryliśmy jednak, że pragniemy więcej. Jesteśmy bogami tutaj, na ziemi, Jane, ponieważ nie ma żadnego innego boga poza tym, którego sami sobie tworzymy.

– Nie rozumiem.

– Wierzymy w bóstwo człowieka. – Anabelle wpatrywała się z coraz większą pasją w młodą Amerykankę. – Odkryliśmy z Maksymilianem, że pragniemy dopełnić siebie poprzez uczestnictwo w naszej relacji osoby trzeciej.

Jane parsknęła poranną kawą. Teraz już rozumiała, dlaczego zachowywali się tak bezpruderyjnie. Oni chcieli, żeby ich zobaczyła razem

w nocy...

– Czy to propozycja? – zapytała po chwili.

– Tak, bardzo nam się podobasz – rzekła Anabelle. – Maks tyle mi o tobie opowiadał. Wpadł na ten pomysł, jeszcze kiedy był w Ameryce.

Jane spojrzała teraz na beztrosko roześmianego Maksymiliana von Hoyma w paradnym czarnym mundurze od Hugo Bossa. Przypatrywał się jej, paląc papierosa. Zebrała się w sobie i chcąc być grzeczną – według maksymy, którą włożył jej do głowy Samuel Singer: *be kind and be beautiful* – oświadczyła:

– Dziękuję za propozycję, ale moja odpowiedź brzmi: stanowczo nie.

Maks przez jedną, krótką chwilę wydał się zawiedziony, ale zaraz potem na jego twarz powrócił obezwładniający uśmiech.

– Widzę, że masz zasady, Jane – rzekł po chwili.

– A czy teraz ja mogłabym zadać pytanie?

– Oczywiście – odparł mężczyzna.

– Czy z tego powodu odeszła twoja żona?

Maksymilian zareagował spokojnie:

– Można powiedzieć, że w dużej mierze tak. Ale moja żona nie rozumiała naszej relacji i tego, że chcemy osiągnąć wyższy poziom istnienia. Nie miałem o to pretensji. Jesteśmy w trakcie procedury rozwodowej.

– Cóż, szkoda, Jane – dodała Anabelle. – Ale mam nadzieję, że spędzimy razem wspaniały dzień.

Tak też się stało. Jane włożyła swoją berlińską kreację, którą panie obsługujące hotel wyprały i fantastycznie wyprasowały. Czuła się wspaniale, ale mimo to po raz pierwszy doświadczyła niemal metafizycznego wrażenia – wręcz przekonania – że nadciąga ciemność. Odczucie było tak silne, że ogarnął ją strach, wpełzł do jej duszy, na samo dno bytu. Po chwili jednak opanowała się. Dzień był piękny, lekko upalny, a ulice Bayreuth tonęły w kwiatach i swastykach.

*

Willa Wahnfried otoczona była wspaniałym ogrodem. W owym czasie zamieszkiwali ją synowa Wagnera, Winifred, oraz jej dzieci, z których Willand, szesnastoletni wnuk kompozytora, paradował w mundurze SA po ulicach miasteczka. Jane pomyślała, że nazwa willi, która w języku niemieckim oznacza szaleństwo i pokój, doskonale pasuje do Niemiec 1936 roku. We trójkę było raźniej, ale Maksymilian od razu wdał się w jakąś rozmowę z ludźmi w czarnych mundurach. Natomiast Anabelle, która znała Winifred z wcześniejszych wizyt, przedstawiła jej Jane.

– Jestem bardzo zadowolona, że w Ameryce zaczynacie słuchać Richarda Wagnera – powiedziała kobieta. Płynnie przeszła na angielski, jej pierwszy język.

– Słuchamy muzyki, ale zamykamy uszy na resztę – dość odważnie odparła Jane.

Winifred była w doskonałym humorze.

– Powiem coś w sekrecie: ja też próbowałam, ale osobowość Führera mną wstrząsnęła.

– To ciekawe – powiedziała Jane. – Jest pani pierwszą osobą, od której słyszę coś takiego.

– Jak ma pani na imię? – zapytała Winifred Wagner. – Może przejdźmy się po ogrodzie. Niezbyt często mam tutaj gości z Ameryki.

– Jane.

– Ile masz lat, Jane?

– Dwadzieścia jeden.

– To cudowny wiek. Ja w twoim wieku miałam już dzieci i odpowiadałam za rodzinę. W Niemczech znalazłam dom, moje miejsce na ziemi, wspaniałego męża... I choć Opatrzność odebrała mi go sześć lat temu, dzięki Führerowi podjęłam się koordynacji festiwalu wagnerowskiego. Króluje muzyka, która jest tak ściśle złączona z ideą niemiecką, że właściwie stanowią jedność.

Odpowiedź Winifred Wagner dała Jane do myślenia. Zakładała, że żona syna kompozytora nie zna filozofii Heideggera. A jego słowa wyraźnie świadczyły, że dwoistość natury bytu została pokonana i ucieleśniona

w Niemczech Hitlera. Gdy dziewczyna zdała sobie z tego sprawę, uznała, że w tych Niemczech nie ma już czego szukać.

– Co panią fascynuje w tym człowieku? – zapytała.

– Wizja – odpowiedziała bez wahania Winifred Wagner. – Wizja wielkości Niemiec, oparta na czystości rasy i krwi. Nie łudźmy się, Anglia, mój stary kraj, źle uczyniła, przystępując do wojny z Niemcami podczas ostatniej wielkiej wojny. Zrobiła to namówiona przez Francję, która nie ma woli i mocy.

I znów Jane przysłuchiwała się jej wypowiedzi poprzez pryzmat filozofii. Wola i moc to hasła nietzscheańskie, ale bez kontekstu, sprymitywizowane i dostosowane do języka hitlerowców, którym Winifred nasiąknęła, przyjaźniąc się z Wodzem.

– Ale powiem ci jeszcze coś w sekrecie, moja droga Jane, jeśli mogłabym tak do ciebie mówić – rzekła synowa wielkiego kompozytora. – Francja też nie kierowała się własnym interesem, zwiedziona przez Rosję, którą rządzą...

– Nie rozumiem – przerwała jej Jane, która nie nadążała za wywodem.

Winifred Wagner odpowiedziała bez ogródek:

– Rosją żądzą Żydzi. Führer obiecał mi ostatnim razem, jak się widzieliśmy, że pozbędzie się tej plagi. Że to jego misja.

Jane nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Być może w Nowym Jorku uważano tę gadaninę za absurdalną, bezkształtną i w gruncie rzeczy jałową, ale ona, będąc tu, widziała, że taka jest oficjalna polityka państwowa. W tym momencie poczuła, że musi wyrwać się z kipieli, która zaczęła ją wciągać niebezpiecznie głęboko. Zapragnęła wydostać się z Niemiec. Jeśli miała jakiekolwiek złudzenia, to właśnie się skończyły. Od tego wszystkiego źle się poczuła. Zatrzymała się.

– Zrobiło mi się duszno – powiedziała. – Bardzo ciepły dziś dzień.

– Wróćmy do willi. Mam wspaniałą lemoniadę. – Winifred delikatnie ujęła oszołomioną Jane pod rękę i poprowadziła ją przez park w stronę, skąd dobiegały głośne śmiechy i gwar rozmów.

Jane lemoniadę oczywiście wypiła, ale wciąż źle się czuła. Nie było to związane z chorobą, samotnością czy poczuciem zagrożenia. Zaczęła rozumieć wewnętrznego ducha, o którym tyle mówił jej profesor Heidegger. Szukała odpowiedzi, wertując jego książkę, dzięki której stał się sławny w świecie filozoficznym. Teraz dotarło do niej, że się myliła. Nawet jeśli Heidegger rzeczywiście zbudował coś niezaprzeczalnie nowego w rozumieniu egzystencji człowieka, to popierając brunatny reżim narodowych socjalistów, przekreślił samego siebie.

Anabelle zauważyła nową przyjaciółkę.

– Co się stało? Wyglądasz, jak gdybyś zobaczyła potwora.

Jane miała ochotę odpowiedzieć, że faktycznie go ujrzała, ale powstrzymała się, wiedząc, że nie może ufać Anabelle. Przypomniała sobie słowa gospodyni z Fryburga Bryzgowijskiego. Chciała się wyrwać, ale teraz czekała ją muzyczna uczta: *Parsifal* w budynku festiwalowym, opera w trzech aktach.

*

Po operze, gdy wszyscy wychodzili z budynku festiwalowego, Jane zwróciła się w stronę Maksymiliana i Anabelle.

– Wstrząsające wrażenie – powiedział Maksymilian. – Dopiero niedawno odkryliśmy tak naprawdę Wagnera. Czym innym jest znać jakąś operę, nawet ją słyszeć, a czym innym odkryć ją aż do końca.

– Co to znaczy?

– Zrozumiałem Wagnera, gdy w zeszłym roku obserwowałem, jak Führer przeżywał tę muzykę.

Cóż miała odpowiedzieć na takie dictum? Uśmiechnęła się i starała się uważać, żeby jej uśmiech nie wydał się prowokacyjny lub złośliwy. Chciała jak najszybciej wydostać się z Bayreuth. Nagle ktoś z tyłu, z tłumu ludzi wychodzących z budynku festiwalowego, wypowiedział na głos jej imię. Zaskoczona, natychmiast się odwróciła. W jej stronę przedzierał się chłopak, którego twarz kojarzyła, ale nie bardzo mogła przypomnieć sobie jego nazwisko.

– Jane, jak miło cię spotkać akurat na święcie Wagnera! – wykrzyknął ów młody człowiek w eleganckim garniturze.

Jane cały czas się wydawało, że go zna. Po chwili sobie przypomniała. To był Eugen Fink, jeden z doktorantów Heideggera. Razem nie tak dawno jechali z delegacją uniwersytetu we Fryburgu do Berlina na igrzyska olimpijskie.

– Ty też zaliczasz się do bezkrytycznych wielbicieli jego gustu muzycznego? – zadała pytanie.

– Ja przyjechałem tutaj dla muzyki, ale co do reszty... Świat jest taki, jaki jest. – Eugen Fink powiedział to z pewnym dystansem. Nie wiedział, jak dziewczyna zareaguje i co tak naprawdę myśli.

Jane zauważyła, że Maksymilian i jego siostra, trzymając się pod rękę, poszli dalej, nie czekając na nią. To była dla niej szansa. Stanęła z boku schodów, opadających od budynku festiwalowego w stronę szerokiej arterii wiodącej do centrum Bayreuth.

– Gdzie się zatrzymałaś, Jane?

– W hotelu Goldener Hirsch.

– Jak długo chcesz tu zostać? Wybacz, że tak wypytuję, ale profesor Heidegger pytał o ciebie.

– Myślałam, że wrócę we wrześniu, gdy wszyscy będą po urlopach, ale teraz nie wiem, czy chcę tutaj dalej być.

– Stało się coś?

Jane popatrzyła badawczo na Eugena Finka, jego przystojną, gładko ogoloną twarz.

– W pewnym sensie.

– Jutro jadę samochodem do domu do Fryburga, więc możesz się zabrać, jeśli chcesz.

– Spadasz mi dosłownie z nieba! – Ucieszyła się. Po krótkiej rozmowie pożegnała się i wraz z tłumem udała się do hotelu.

Rozdział IX

Afekt

Koniec sierpnia 1936, Bayreuth

Po śniadaniu, na które Anabelle nie zeszła, ponieważ miała atak bólu głowy po wypiciu dużej ilości szampana dnia poprzedniego, Jane pożegnała się z Maksymilianem.

– Jaka szkoda, Jane! – Mężczyzna był zaskoczony decyzją swojej amerykańskiej koleżanki.

– Wiem, ale pojawiła się okazja. Kolega z seminarium doktorskiego we Fryburgu jedzie samochodem i mnie zabierze. Nie martw się. Na pewno się jeszcze spotkamy.

Nie chciała dodawać nic ponad to. Jednak czuła, że historia z Maksymilianem jeszcze się w jej życiu nie skończyła, że w jakiś niewytłumaczalny sposób powróci. Ludzkie istnienia, co przecież dobitnie pokazał Heidegger w swoim *opus magnum*, mogą się nawzajem krzyżować, nachodzić na siebie w dążeniu do wypełnienia bycia w świecie. W tych skomplikowanych relacjach, z których każda jest niepowtarzalna, człowiek powinien znaleźć wypełnienie swojej egzystencji. Nadanie jej sensu jest zawsze upodmiotowieniem relacji, a nie jej uprzedmiotowieniem. Jane wiedziała, że wypowiedziana explicite prośba tych dwojga o trójkąt miłosny była tym drugim. Nie chciała, aby ktokolwiek ją uprzedmiotowił. Dlatego zdecydowanie odmówiła. Teraz uznała, że pora wyrwać się z relacji, która była trująca – tak jak relacja brata i siostry.

– Jak uważasz. – Maksymilian był wyraźnie niezadowolony. – Ale pomyśl, co tracisz.

– Nigdy nie oglądam się za siebie. Chcę patrzeć na to, co zyskam.

Mówiąc to, pochłaniała śniadanie z szybkością wprost z Wall Street. Myślami była już w samochodzie Eugena Finka, który zgodnie z umową przyjechał po godzinie dziewiątej. Jane cmoknęła Maksymiliana

w policzek. Mężczyzna pomógł jej zanieść walizkę. Fink i von Hoym zmierzyli się wzrokiem. Jane wsiadła do samochodu marki Opel. Ruszyli przed siebie, a Maksymilian odprowadził ich wzrokiem, niesyty przygody, która jeszcze się nawet nie zaczęła, a już skończyła.

*

Eugen Fink zaplanował trasę z Bayreuth do Norymbergi, a dalej szosą do Stuttgartu. Przed nimi było wiele godzin drogi. Gdy minęli z dobrą prędkością Norymbergę, zaczęli rozmowę.

– Eugen, co tu się dzieje?

Pytanie Jane nie sprawiło, że poczuł się raźniej czy bezpieczniej.

– Odpowiem pytaniem, Jane. Co sądzisz o profesorze Heideggerze?

– Fascynował mnie, choć wiem, że istnieje obiektywna różnica między dziełem i jego twórcą. Jego filozofia w odniesieniu do egzystencji rozpiętej między dążeniem ku śmierci i pragnieniem bycia w świecie stanowi zupełnie nową jakość. Czerpał z Kierkegaarda i z Nietzschego. To mnie urzekło – mówiła z pasją dziewczyna. – Teraz go poznałam i widzę Niemcy takimi, jakimi są naprawdę.

Nie do końca sobie ufali. W Niemczech hitlerowskich przyznanie się do poglądów krytycznych wobec reżimu było odwagą. O mały włos, a Jane popełniłaby błąd, wygadując się przed Anabelle. Nie do końca wiedząc dlaczego, postanowiła jednak zaufać temu młodemu człowiekowi.

– A jakie są naprawdę Niemcy według ciebie? – zapytał Eugen Fink, rzucając jej badawcze spojrzenie.

Jane zdecydowała się powiedzieć to, co myśli.

– Przerażają mnie. Mam wrażenie, że w Berlinie ujrzałam uśmiechnięty reżim, ale nie mogłam zobaczyć potworności. Te są zakryte. Jednak wyczuwam je. Są pod spodem, prawda?

– Dachau, Jane.

– Co to znaczy?

– To obóz koncentracyjny dla przeciwników reżimu. Koło Monachium. Nie wiemy o nim zbyt dużo. Jedyne informacje, jakie mamy, pochodzą

od tych, którzy zostali zwolnieni.

– Kogo aresztują?

– Komunistów i socjalistów, socjaldemokratów, ludzi lewicy, związków zawodowych, Żydów, a także homoseksualistów. Pakują ich razem ze zwykłymi przestępcami. Mało wiemy na ten temat, ale prawda jest dostępna, Jane. Dla tych, którzy chcą ją ujrzeć. – Eugen Fink przez chwilę milczał. – Mogę się tylko cieszyć, że przejrzałaś na oczy. Choć twoja fascynacja Heideggerem to nic złego. Wszyscy, którzy przychodzą na uniwersytet i interesują się naprawdę filozofią, ulegają jego potężnemu powabowi. Ja również uległem i w jakimś sensie dalej ulegam, ponieważ zostałem jednym z niewielu doktorantów, którzy przy nim zostali po sprawie Jaspersa i rezygnacji Heideggera z funkcji rektora uniwersytetu dwa lata temu.

Samochód mknął po szosie.

– O co chodziło w tym konflikcie?

– Przecież czytałaś pisma Heideggera, więc musisz wiedzieć, o co chodzi. Jaspers i Heidegger wywodzą się z tego samego środowiska filozoficznego. Obydwaj wyrośli z seminarium i zajęć Husserla i wiele mu zawdzięczali. Heidegger poznał Jaspersa podczas swojej pierwszej profesury w Meßkirch. Przyjaźnili się krótko. Kiedy Heidegger został rektorem w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku, zakazał wstępu na uniwersytet Jaspersowi, ponieważ jego żona jest Żydówką.

– To wstrętne i nikczemne!

– To prawda, Jane, ale my w Niemczech żyjemy w schizofrenii, ponieważ to nie jest jakiś staromodny, średniowieczny antysemityzm, ale oficjalna polityka państwowa – odparł Eugen Fink. – Wiem, jakie to jest wstrętne, ale przestrzegam prawa.

– Dlaczego? Dlaczego wy, Niemcy, słuchacie, a nie buntujecie się?

– Jane, znasz przecież odpowiedź. Hegel. Państwo jest uosobieniem boskiego porządku na ziemi.

– W takim razie absolutyzm Niemiec jest zaprzeczeniem wolności jednostki.

– Tak, ale ta wolność została przeniesiona na poziom kolektywny, to znaczy wsi, społeczności, klasy czy też większej całości, dzięki której każdy Niemiec wie, jakie są jego zadania i obowiązki.

– To nie jest wesoła perspektywa dla kogoś, kto zna prawdę, jak ty – zauważyła Jane.

– Nie, nie jest. Ale to jest mój kraj, Jane. Co zamierzasz?

– Chciałabym wyjechać – odparła otwarcie dziewczyna.

– To zrozumiałe. – Fink zastanowił się przez chwilę. – Jednak zanim wyjedziesz, chciałbym, żebyś poznała kogoś, kto może całkiem zmienić twój sposób myślenia.

– Kto to taki?

– Ksiądz Rahner. Najwybitniejszy teolog znający filozofię, jakiego spotkałem.

Ostatnie zdanie Eugen wypowiedział z wielką wiarą w głosie. Słysząc to, Jane nie wątpiła, że być może dzięki temu księdzu dokona się ostateczny przełom w rozumieniu przez nią nazizmu i Niemiec.

*

Frau Auschenwald, gdy tylko zobaczyła Jane w drzwiach swojego mieszkania w kamienicy na starym mieście, naprawdę się ucieszyła. Polubiły się.

– Widzę, że wróciła pani z wielkiego świata do naszego małego. Tutaj też się działy rzeczy ciekawe. Mój Peter całkiem bez pani wariuje, mam z nim same kłopoty. A tak w ogóle przyszedł list od pani ojca.

Mówiąc to, sięgnęła do szafki, w której trzymała korespondencję. Jane bardzo się ucieszyła, że Samuel napisał. Była bardzo ciekawa, co słychać w domu, co z matką – która zapewne ciągle się dąsa, a mimo to ojciec ciągle ją kocha – i jakich znowu długów narobił jej niepoprawny brat Michael. Podziękowała, zabrała walizkę i zatargała ją do swojego pokoju, po czym nerwowo rozerwała kopertę i zaczęła czytać.

Nowy Jork, 15 sierpnia 1936

Droga Jane,

mam nadzieję, że mój list nie sprawi ci kłopotu. Piszę te słowa w nadziei, że podejmiesz rozsądną i wyważoną decyzję. Niestety, sprawy się skomplikowały i bardzo proszę, abyś zechciała się ze mną spotkać w Paryżu we wrześniu bieżącego roku. To ważne.

Kocham Cię

Samuel

Jane zdenerwowała się bardzo. Nie rozumiała, co ojciec chciał jej powiedzieć, ale list oznaczał jedno – jej czas w Niemczech dobiegał końca.

*

Kilka dni później na uniwersytet zaczęli zjeżdżać się pierwsi studenci, głównie ci, którzy mieli do zaliczenia jakieś poprawki. Jednak Jane znalazła czas, żeby znów spotkać się z Eugenem Finkiem. Miała się dowiedzieć wiele rzeczy o Niemczech, których nie mogła usłyszeć w oficjalnym obiegu.

Fink zaprowadził ją do zakrystii kościoła uniwersyteckiego, gdzie mogła w spokoju porozmawiać z księdzem Karlem Rahnerem.

– Zostawię was – rzekł i wyszedł dyskretnie.

– Proszę usiąść – zaproponował ksiądz Rahner. – Proszę wybaczyć, że to spotkanie przebiega w taki sposób, ale jako ksiądz katolicki nie mam innego wyjścia, gdy w grę wchodzi rozmowa z młodą i ładną kobietą. Fryburg to małe miasto. Proszę mi wierzyć, tu podstawowym towarem jest plotka.

– Czy Luter nie próbował rozwiązać problemu Kościoła z kobietami? – zażartowała Jane, dla której to była naprawdę nowa sytuacja. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z księdzem katolickim, i do tego jeszcze filozofem.

Ksiądz Rahner uśmiechnął się i spojrzał na interlokutorkę zza grubych okularów.

– Luter w pewnym sensie doprowadził nas do miejsca, w którym jesteśmy teraz jako Niemcy i chrześcijanie – odparł.

Na zapleczu zakrystii była mała kuchnia węglowa z fajerką, księża gotowali na niej wodę na herbatę. Rahner przygotował napój, podał dwie filiżanki.

– Pije pani słodką czy gorzką?

– Zawsze gorzką, bo czekam, aż osłodzę sobie życie – odpowiedziała Jane.

Znów uśmiech.

– A ja zawsze słodką, ponieważ w życiu nie spodziewam się słodyczy. – Szczodrze nasypał sobie cukru do herbaty.

– No i wyszła nam wspaniale różnica w filozoficznym postrzeganiu życia. – Jane już zaczynała lubić pierwszego katolickiego księdza, jakiego spotkała w życiu.

– Proszę opowiedzieć coś o sobie – zaproponował ksiądz Rahner. Usiadł za stołem i popijał gorący ulepek.

Jane krótko przedstawiła siebie oraz swoje poszukiwania filozoficzne. Scharakteryzowała amerykański pragmatyzm i heglizm, które dominowały na amerykańskich uniwersytetach. Rahner słuchał – naprawdę potrafił słuchać ludzi.

Wyznała, że ma problem z Heideggerem. Problem filozoficzny i ludzki.

– Zatem to dwa problemy – odparł ksiądz. – Zacznijmy może od ludzkiego. Obok niego nie można przejść obojętnie. Pod względem filozoficznym jest niezrównany. Mam na myśli to, w jaki sposób używa języka do analizy filozoficznej. To prawda, że nadał pojęciom dawno już istniejącym, takim jak byt, zupełnie nowe znaczenia, których się nie domyślaliśmy. Słusznie się o nim mówi, że wydobył filozofię z miejsca, do którego skierowali ją Kant, nierozumiejący w ogóle kategorii egzystencji, i Kartezjusz, który na dwa wieki wepchnął ją w niemożliwy dualizm duszy i substancji. Dzisiaj wiemy, że świat nie działa po kartezjańsku, a matematyka nie działa tak, jak opisał ją Kant. Ale, jak pewnie pani wie, nad profesorem Heideggerem ciąży jeszcze sprawa

Jaspersa i tego, że po zdobyciu władzy przez narodowych socjalistów zdecydowanie podążył w ich stronę. Mogę tylko powiedzieć, że to bardzo przykre. Zakaz wchodzenia na uniwersytet, który wydał Jaspersowi, personie równej mu sławą, wywołał sprzeciw środowiska akademickiego, a to zmusiło go do złożenia rektorstwa rok później.

– To też już wiem – odparła Jane. – Kwestia ambicji.

– Każdy ma słabości. Mam je ja, ma je i pani. Myślę, że oczywiście pycha czy też próżność, choć są to dwie zupełnie inne sprawy, nie były obce profesorowi. Mam pytanie do pani, proszę wybaczyć mi bezpośredniość. Jaki jest stosunek profesora do pani?

Jane wyczuła, że tutaj jest jakiś kontekst, którego jeszcze nie rozumiała. Oni coś o Heideggerze wiedzą – pomyślała.

– A co ksiądz ma na myśli?

– Jak panią traktował?

– Dobrze – odparła Jane. – Na początku z wyraźnym lekceważeniem, bo jestem kobietą. Natomiast gdy zaczęliśmy zagłębiać się w sprawy filozoficzne, zaczął je wyjaśniać, naprowadzać na odpowiedzi. Oceniam to pozytywnie. Jednak nie rozumiałam jego słów, że obecny system w Niemczech najpełniej odbija ideę niemiecką.

– Dziękuję za szczerość. Proszę zachować najdalej idącą ostrożność w relacjach z profesorem. Myślę, że i ja sam zapłaciłem pewną cenę za to, że zbliżyłem się do niego filozoficznie. Filozofia w Kościele katolickim to wciąż tomizm, a jakiekolwiek inne spojrzenie budzi lęk. Mój promotor odrzucił moją rozprawę doktorską, ponieważ za bardzo zbliżyłem się filozoficznie do Heideggera i za pomocą jego pojęć spojrzałem na Świętego Tomasza z Akwinu. Wyczuwam u pani lęk związany z Niemcami dziś. Cóż, Niemcy są prowadzone przez strasznie złych ludzi i mówię to z pełną świadomością. Ale brakuje mi odwagi, żeby to powiedzieć publicznie. Nie jest mi też łatwo mówić o tym przy kobiecie.

Jane słuchała Rahnera i doceniała go. Otworzył się przed nią, zmuszając w ten sposób do zwierzeń i ją. Potrzebowała tego, bo wszystkie relacje,

które do tej pory zbudowała w Niemczech, były powierzchowne, bezwartościowe i wiodące do pustki.

– Urodziłam się w Ameryce w mieszanej rodzinie angielsko-żydowskiej – powiedziała nieoczekiwanie dla siebie. – W paszport mam wpisaną tylko angielską część nazwiska, po mamie.

To wyznanie zmieniło rozmowę. Stała się spowiedzią bez spowiedzi, dialogiem, w którym nie chodzi o wymianę poglądów, ale o prawdę.

– Wiedziałem z opisu Eugena Finka, że jest pani niesamowitą kobietą, która musiała wywrzeć na Heideggerze wrażenie. Ale pani tożsamość musi być tutaj skrzętnie ukrywana.

– Jest ksiądz pierwszą osobą, której to mówię.

– Dziękuję za zaufanie i doceniam to. Jednak stawiam sprawę jasno: im dłużej będzie pani w Niemczech, tym większe będzie ryzyko wystawienia pani na prawdziwe niebezpieczeństwo. Jest wielu ludzi, którzy często i dużo mówią na Gestapo. Zresztą to problem ogólnonarodowy. Niemcy stały się narodem donosicieli. To wstrętne. Jeśli mogę pani w jakikolwiek sposób pomóc, proszę się nie wahać mnie o to prosić.

– Chcę szybko wyjechać z Niemiec. Ale muszę się pożegnać z Heideggerem.

– Proszę tego nie robić – rzekł ksiądz Rahner. – On na to nie zasługuje. To wielki filozof, może nawet największy obecnie żyjący w Europie, ale to nikczemny człowiek. Rozumie pani? Zrobił coś stokroć gorszego niż niewpuszczenie Karla Jaspersa na uniwersytet, ale nie mogę tego ani upublicznić, ani nic z tym zrobić, ponieważ ucierpi wielu ludzi. Chodziło o kobietę. Prawda nie zawsze ma swój czas na ujawnienie. Na razie jesteśmy spowici mrokiem, panno Jane. Ten mrok jest tak gęsty, że dla większości moich rodaków stał się światłem. A gdy światło jest w istocie ciemnością, straszna to ciemność. Dlatego proszę nie czekać, tylko wyjechać. Gdzie pani chciałaby pojechać?

– Do Paryża.

– Eugen Fink powiedział mi, że jedzie tam za cztery dni na wykłady.

– Dziękuję bardzo! – Jane się rozpromieniła.

Ta rozmowa była dla niej ważna. Przede wszystkim dlatego, że oznaczała zburzenie muru wobec katolicyzmu, który był dla Amerykanki żydowskiego pochodzenia czymś zupełnie obcym. Wydawało jej się, że z postaci księdza Rahnera emanuje jakaś wewnętrzna siła, której źródła nie potrafiła wówczas ani opisać, ani zdiagnozować, skąd ją czerpał.

– Jak ksiądz sądzi, co będzie z Niemcami? – zadała pytanie.

Rahner popatrzył na nią poważnie. Zastanowił się głęboko, napił się herbaty, poprawił okulary.

– Hitler wciągnie Niemcy do piekła. Jestem tego pewien. Jego reżim jest tak zwierzęco pogański w symbolice, tak okrutny wobec mniejszości, wobec Żydów... Nie mam wątpliwości, że wszyscy tego doświadczymy. To nie jest kwestia czy, ale kiedy, panno Jane. Proszę wracać do Ameryki. Tam Hitler pani nie dosięgnie.

– Straszne rzeczy ksiądz mówi. – Poczuła się nieswojo. – Czy nie ma nadziei?

– Nadzieja jest zawsze.

Jane zrobiło się nieco lepiej. Ten człowiek umocnił ją w postanowieniu opuszczenia Niemiec.

*

Po rozmowie z księdzem Rahnerem poszła na uniwersytet. Praca w bibliotece nad tekstami Heideggera zabrała jej trochę czasu. Potem wstąpiła na targ, ponieważ Frau Auschenwald nie czuła się najlepiej i poprosiła ją o kupienie jarzyn. Dziewczyna zadała sobie pytanie, co takiego porabia jej syn, skoro obca kobieta, lokatorka, robi jej zakupy. Po południu czytała, po czym zjadły z gospodynią kolację, na którą składały się duszone warzywa i kieliszek wina reńskiego. Potem przyszedł Peter. Ostentacyjnie nie przywitał się z Jane, gdyż źle znosił jej długie zniknięcie. Jednak jej nastrój do flirtu z chłopakiem też jakoś przeszedł. Ostatnie tygodnie były zbyt intensywne, by próbowała raz jeszcze zaspokoić własną próżność. Wykąpała się szybko i nie zostawiła żadnej przestrzeni do podglądania – zakryła dziurkę od klucza ręcznikiem.

Wróciwszy do swojego pokoju, zapaliła lampę naftową, z którą należało się ostrożnie obchodzić. Skupiła się na lekturze i straciła poczucie czasu.

Wciąż jeszcze siedziała nad książką, gdy ktoś zapukał delikatnie do drzwi. Peter. Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

– Przeczytałem książkę Manna.

Jane popatrzyła na niego rozbawiona.

– A co z niej zrozumiałeś?

– Ta książka jest bardzo trudna i dziwna. Wydaje mi się, że identyfikuję się z Castorpem w jego miłości do tej Rosjanki Chauchat, ale wielu rzeczy nie rozumiem.

A jednak przeczytał – pomyślała Jane. Teraz był nawet ładny, w tej piżamie, z egzemplarzem powieści Manna w ręku.

– Owszem, z pewnością tak jest przy pierwszym czytaniu.

– Nie wie pani, ile mnie kosztowało przeczytanie tej książki. Starałem się nie napytać sobie biedy – ciągnął Peter. – Sama pani rozumie... Gdyby ktoś mnie zobaczył, miałbym kłopoty w Hitlerjugend.

– Chodź tu do mnie – powiedziała Jane. – Usiądź.

Chłopak był niesamowicie zdenerwowany, cały drżał jak osika na wietrze w grudniowy dzień. Jane nagle zdała sobie sprawę z tego, że bycie nastolatką ją nudziło. Wolała książki niż plotki u koleżanek; sztywne zasady żydowskiego domu też nie zachęcały do zbytniej samodzielności. Wywalczyła sobie pozycję, by móc zakosztować wolności. Na początku ten chłopak ją irytował, potem drażnił, ale teraz nie potrafiła określić, jakie uczucia w niej wzbudza. Doskonale wiedziała, że to ona uwodziła jego. Jego męki, by zobaczyć cokolwiek przez dziurkę od klucza lub lekko uchylone drzwi, stanowiły dla niej coś w rodzaju osobliwej zabawy o lekkim zabarwieniu erotycznym. Teraz Peter był u niej w pokoju, z opasłym tomiskiem Manna w dłoniach, ale widziała, że wpatrywał się w nią.

To był moment. Decyzja została podjęta. I tak przecież wyjeżdżała, więc jedno złamane serce młodego Niemca, którego najpewniej nigdy już miała w życiu nie spotkać, niewiele znaczyło. Wstała.

– Nie jestem zła ani zepsuta, Peter – powiedziała. – Ale skoro przeczytałeś *Czarodziejską górę*, wiesz już, że czasami nasze pragnienia wskazują, czego nam brakuje.

– Co pani ma na myśli? – zapytał.

Jane podeszła do niego i chwyciła jego dłoń. Miał długie palce. Pocałowała jego środkowy palec, po czym położyła dłoń na swojej piersi. Chłopak szybko oddychał.

– Chcesz tego?

– Marzę o pani od pierwszego dnia, kiedy przyszła pani z walizkami pod naszą kamienicę.

Jane uśmiechnęła się. Pocałowała go. Jego usta miały słonawy smak. Podeszła do biurka, zgasiła lampę naftową. W pokoju zrobiło się ciemno, tylko blask miejskiej latarni oświetlał nieznacznym białawym snopem światła fragment pomieszczenia. Jane ściągnęła z siebie szlafrok. Była naga. Zbliżyła się do chłopaka i pocałowała go raz jeszcze. Pchnęła go na łóżko. Tej nocy zostali kochankami, z których tylko jedno wiedziało, że to, co się zaczęło tej nocy, musi się skończyć ze świtem.

Jane nie podejrzewała jednak, że ta noc zawiedzie ją dalej – ku przyszłości, której w owej chwili nie mogła sobie wyobrazić. Goethe napisał przecież: „Trwaj, chwilo, o chwilo, jesteś piękną!”[11].

Rozdział X

Kraj dobrych ludzi

Berlin, początek września 1936

Maksymilian von Hoym miał niejasne poczucie, że Jane im się wymknęła. Chcieli sobie urządzić jej kosztem zabawę, ale dziewczyna ich w jakiś sposób przejrzała. Wkrótce von Hoym miał zamiar odwiedzić ją we Fryburgu, jednak z początkiem września wezwał go na rozmowę

do budynku RSHA[12] w Berlinie szef urzędu, wszechwładny Reinhard Heydrich. Maksymilian zupełnie nie wiedział, czego może dotyczyć rozmowa. Był oficerem SD, a więc Służby Bezpieczeństwa, specjalnej formacji budowanej przez Heydricha trochę w opozycji do wywiadu wojskowego, któremu blond bestia nie ufała, a trochę dlatego, żeby Hitler miał bezpośrednie narzędzie sięgające za granice państwa, jeśli należało użyć siły, dokonać mordu, porwania lub... zdobywać walutę na rzecz Rzeszy. Tajemnicą poliszynela było, że w roku 1936 zaczęły się kłopoty gospodyń wiejskich w Niemczech w związku z niedoborami oleju jadalnego, który trzeba było kupować za walutę. Jednak niemieckie obligacje oraz – co ważniejsze – marka nie cieszyły się zainteresowaniem na giełdzie w Londynie. Von Hoym jeździł regularnie za granicę, więc rozumiał problem.

Przyjechał samochodem na Prinz Albert Straße, gdzie pod numerem ósmym znajdował się wielki, ponury gmach resortu. Von Hoym podlegał pod departament VI – Ausland, czyli wywiad zagraniczny. Świetnie mówił po angielsku, co zawdzięczał między innymi studiom na Oxfordzie, ukończonym w roku 1929. Do partii nazistowskiej zapisał się – jak większość Niemców – po przejęciu władzy przez Hitlera. Był więc koniunkturalistą, wykorzystującym szansę kariery w nowym państwie, przy czym jego arystokratyczne pochodzenie nie było atutem. Świetnie wiedział, jacy ludzie trafiali do NSDAP i jaka była ich konduita intelektualna. Heydrich pod tym względem był wyjątkiem – grał na skrzypcach i interesował się filozofią. Był zarazem jedynym człowiekiem, którego Maksymilian autentycznie się bał. Szedł więc na rozmowę z dozą niepewności.

Zastał Heydricha podczas codziennego czterdziestopięciominutowego treningu szermierczego. Szef SD uwielbiał nie tylko muzykę (był przecież dzieckiem śpiewaka operowego), ale także sport, a szermierka należała do jego ulubionych dyscyplin. Von Hoyma oczywiście wpuszczono, ale musiał czekać przed specjalnym pomieszczeniem wyłożonym drewnem, gdzie Heydrich ćwiczył. Zmuszając do czekania, szef SD pokazywał miejsce

w szeregu. W końcu, po zakończonej walce, w której blond bestia znajdowała przyjemność, kazał przyprowadzić von Hoyma do siebie.

– Gratuluję zwycięstwa, Herr Obergruppenführer.

Heydrich siedział na krześle, floret leżał na kolanach. Lewą ręką ocierał pot z czoła, a w prawej trzymał szklankę herbatki miętowej, która – jak uważał – świetnie gasiła pragnienie.

– Przegrałem – powiedział, wprawiając von Hoyma w osłupienie.

– A kto był przeciwnikiem?

– Hrabia Esterházy z ambasady Węgier – odparł Heydrich. – Mam szacunek do przeciwników, którzy pokonują mnie w otwartej walce. Ale co mam powiedzieć o moich oficerach, których uważam za lepszych od mendowatych służbistów z Abwehry, a których potrafi wykiwać byle amerykańska panienka.

Von Hoym czuł się całkowicie zbity z tropu.

– Przepraszam, Herr Obergruppenführer, ale nie rozumiem.

– Nie rozumie pan? W takim razie udamy się do mojego gabinetu, tam pan zrozumie.

Ale znów Maksymilian musiał czekać, aż Heydrich się odświeży i przebierze w nową koszulę, którą zawsze zabierał do pracy. Gdy założył już mundur, von Hoym grzecznie siedział w jego gabinecie z wielkim globusem i zdjęciem rodzinnym na biurku.

– Czyli twierdzi pan, że nie rozumie tego, co powiedziałem? – zapytał ponownie Heydrich.

– Nie.

– Proszę popatrzeć zatem.

Heydrich wyjął z biurka teczkę i podał ją Maksymilianowi. Była w niej obszerna charakterystyka agentki amerykańskiej, która pojawiła się latem tego roku w Rzeszy. Von Hoym patrzył na zdjęcia Jane Coulfield, żydowsko-amerykańskiej studentki filozofii z Uniwersytetu Harvarda – miała zbierać informacje o niemieckim świecie akademickim. Patrzył i nie mógł uwierzyć.

– Skąd pan ma te materiały?

– Od naszego kontaktu w ambasadzie amerykańskiej – rzekł Heydrich. – Mam blisko ambasadora szepczące i jemu, i mnie usta. Ta sprawa jest pewna. Czy to prawda, że zabił pan w Ameryce agenta FBI?

Maksymilian poczuł się jak zwierzątko złapane na podjadaniu.

– Tak... – powiedział po chwili. – Musiałem to zrobić, ponieważ ten facet chodził za mną od dłuższego czasu. I widział, jak Kuhn przekazywał mi dolary dla banku Rzeszy.

– Postąpił pan bardzo nieprofesjonalnie i głupio. Przede wszystkim ogromnie zirytowało to Amerykanów. Na zbieranie pieniędzy mogli przymknąć oko, ale nie na zabicie w gangsterskim stylu agenta FBI. Jednak nie spalił pan wszystkiego ostatecznie. Podobno sam szef FBI, J. Edgar Hoover, wysłał do ambasadora list, w którym domaga się podjęcia kroków formalnych przeciwko panu, ale również podejrzewa tę żydowską hochsztaplerkę o współudział i pomoc panu w tym morderstwie.

– Ależ ona...

– Niech pan milczy, von Hoym! – rzekł twardo Heydrich. – Czy zaciągnął ją pan do łóżka? Nie mam nic przeciwko temu, by moi oficerowie sypiali z kurwami, byle tylko dyskretnie i nie poza małżeństwem. Führer jest na to wyczulony. Nie mam też nic przeciwko morderstwu, jeśli służy ono Rzeszy. Ale pan, von Hoym, działając nieprofesjonalnie w Ameryce i paląc nasze możliwości zbierania gotówki w tym kraju, dał się podejść. I to komu? Żydowskiej sprytnej intrygantce!

Maksymilian czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Jego kariera...

– Wie pan, von Hoym, co w tym wszystkim jest najgorsze?

Popatrzył idiotycznie na swojego szefa.

– To, że będąc w Ameryce, nawet nie domyślił się pan jej żydowskiego pochodzenia i pomógł jej w przyjeździe tutaj!

Maksymilian przynajmniej w tej sprawie postanowił się bronić.

– Ona nie informowała o swoim pochodzeniu. Na zajęcia przychodziła pod nazwiskiem Coulfield.

– Nie ma sensu zaprzeczać, von Hoym. Powinien pan zostać zdegradowany i rozstrzelany za pański idiotyzm, partactwo i złamanie

ustaw norymberskich – wycedził Heydrich, ale Maksymilian zrozumiał tryb warunkowy, którego użył przełożony.

– Nie naruszyłem ustaw norymberskich – odpowiedział urażony.

Heydrich bezczelnie się uśmiechnął.

– Czyli dała panu kosza?

– Tak, w pewnym sensie tak.

– Mam do pana pewną słabość – rzekł Heydrich. – Ze względu na pana pochodzenie i rodzinę. Zresztą w opinii Hansa Franka ona mogła pana omamić. Wspomniał mi o rozmowie z nią w pana domu. Frank mówi, żeby pana nie rozstrzelać i nie degradować, tylko wysłać na zbity pysk do Hiszpanii via Paryż jako agenta przebranego za niemieckiego komunistę.

W tym kraju toczyła się wojna domowa. Maksymilian rozumiał ryzyko.

– I ja się z nim zgadzam – kontynuował szef SD. – Wysyłam pana do Hiszpanii w trybie pilnym. Nie ma czasu do stracenia. Potrzebują tam specjalisty. Będzie pan naszym łącznikiem między generałem Franco i SD. Żydówką zajmiemy się sami. Z tego, co wiem, jest jeszcze na terenie Rzeszy. Proszę wykonać zadanie i nie pokazywać mi się na oczy.

– Tak jest! – Von Hoym trzasnął przepisowo butami i wzniósł rękę w rzymskim salucie.

Stracił twarz, ale zachował stopień, pozycję i życie. To dużo. Jednak poprzysiągł sobie, że musi się jeszcze raz spotkać z Jane Coulfield, która sprytnie i skrzętnie ukryła przed nim swoje pochodzenie i zrobiła z niego idiotę.

*

Tymczasem we Fryburgu Bryzgowijskim Jane nie zdawała sobie sprawy z wyroku, jaki zapadł w berlińskim gabinecie. Zmagała się ze sobą, ponieważ uwiedzenie młodocianego Petera nie było tym, czego od siebie samej oczekiwała.

– Popełniłaś błąd – powiedziała rano do swego odbicia w lustrze, szczotkując włosy.

Przy czym cały czas powtarzała sobie, że przecież go nie kocha. To musiał być przypadek. Uwiodłam go z próżności – powtarzała w myślach. Po wspólnie spędzonej nocy, która dała rozkosz i jej, i jemu, patrzyła na kochanka inaczej niż miesiąc wcześniej. Igrała z ogniem w państwie ekstremalnie jej nieprzyjaznym. Nie miała żadnych wątpliwości, że to szaleństwo – i musi się zakończyć, zanim na dobre się zacznie. Postanowiła, że powie mu to, zanim wyjedzie.

Tego dnia, który w zamyśle dziewczyny miał być dniem pożegnania, wiedziona niewytłumaczalnym instynktem lojalności wobec Heideggera poszła na uniwersytet. Chciała się z nim pożegnać, wbrew temu, co radził jej ksiądz Rahner. Nie do końca była w stanie przyjąć prawdę, że wielki profesor Martin Heidegger to zawzięty nazista, który skrzętnie i umiejętnie ukrywa się pod płaszczykiem kultury, intelektu i filozofii. Jane zmierzała do sekretariatu profesora, by poprosić o rozmowę z nim, gdy zauważył ją Eugen Fink.

– Jane, co ty tutaj robisz?

– Sama nie wiem – odparła niechętnie.

Mimo wcześniejszych planów postanowiła pójść z Finkiem. Zaczęła się wahać, czy rzeczywiście będzie w stanie wyjechać – w głowie miała imię innego mężczyzny.

– Nie powinnaś tutaj przychodzić – wyznał jej szczerze Fink. – Ja też uciąłem sobie z księdzem Rahnerem długą pogawędkę o tobie. Postanowiliśmy ci pomóc. Nie możesz zostać dłużej w Niemczech. To nie jest kraj dla dobrych ludzi.

– Przyznaję, że czułam wdzięczność wobec Heideggera i chciałam się pożegnać. Jednak... Czy teraz odprowadzisz mnie na kwaterę? W zasadzie jestem spakowana.

Rzeczywiście Jane nie miała zbyt wielu rzeczy, kupiła sobie tu tylko to, czego potrzebowała. Zostało jej jeszcze sporo marek niemieckich z wymiany dolarów w banku. Eugen Fink był szarmancki i poszedł z nią z uniwersytetu na stare miasto, mieszkała bowiem niedaleko katedry.

W pewnej chwili, kilkaset metrów od kamienicy, dał jej znak, by zatrzymali się w kawiarni.

– Dlaczego tak się zachowujesz, Eugen? Co się stało? – zapytała zdziwiona.

Zajęli stolik w kawiarni.

– Bo znam mój kraj – odparł. – Przed twoją kamienicą zaparkowało Gestapo.

Jane poczuła się, jak gdyby ktoś wbił jej w brzuch ostry przedmiot. Przez moment miała problem z oddechem, ale po chwili uspokoiła się, wdychając i wydychając powietrze. Siedzieli razem w kawiarni. Gdy podeszła właścicielka, zamówili po kawie zbożowej z mlekiem i jakieś ciastka, choć Jane była pewna, że nie przełknie ani kęsa.

Popatrzyła na dobrze znaną kamienicę – rzeczywiście przed budynkiem stał zaparkowany czarny samochód. Nie śmiała pytać, skąd Eugen Fink wiedział. Domyśliła się, że smutni panowie z Gestapo zabierali jakichś jego kolegów i przyjaciół z uniwersytetu. Teraz mogła tylko czekać.

– Wydaje mi się, że nie możesz wrócić na kwaterę. – Fink upił łyk kawy.

– A Frau Auschenwald?

– Ona sobie poradzi. Ale ty musisz zniknąć z Niemiec dzisiaj – powiedział z pewnością w głosie.

– Co robimy?

– Czekamy, aż pojadą – odparł. I dalej siorbał zbożową kawę, wpatrując się bez emocji w ulicę.

*

Eugen Fink miał rację, gdy powstrzymywał dziewczynę przed pójściem do mieszkania Auschenwaldów. Gestapo dotarło tam zaraz po wyjściu Jane na uniwersytet. Przyjechało trzech funkcjonariuszy po cywilnemu, ale zaparkowane auto miało numery zaczynające się od dwóch run składających się na „SS”[13]. Mężczyźni weszli na górę i stanowczo zapukali do drzwi. Frau Auschenwald otworzyła, zupełnie zaskoczona.

– Czy tutaj mieszka Fräulein Coulfield?

– Wyszła – odparła kobieta.

Jeden z gestapowców pokazał jej papier zezwalający na przeszukanie mieszkania. Nie oponowała. W tej chwili ze swego pokoju wyszedł Peter. Był ubrany w mundur Hitlerjugend, co zaskoczyło funkcjonariuszy.

– Panowie w jakiej sprawie?

– W sprawie lokatorki, która wynajmuje tu pokój.

– Proszę, to tu. – Peter otworzył drzwi do pokoju Jane, a matka popatrzyła na niego z wściekłością. Jednak on uspokoił ją gestem dłoni.

Gestapowcy zaczęli przeszukanie.

– Panowie, to mieszkanie jest własnością obywatelki Rzeszy, osoby o nieposzlakowanej opinii – rzekł Peter, który nie chciał, aby wywalili wszystko do góry nogami, jak mieli w zwyczaju.

Jane w zasadzie im pomogła, ponieważ nad ranem sama się spakowała, gdy Peter spał jeszcze w łóżku. Nie znaleźli niczego podejrzanego. Trochę książek z biblioteki uniwersyteckiej, wypożyczonych legalnie. Brakowało natomiast jej dokumentów i pieniędzy. Gestapowcy nie byli zadowoleni z przeszukania. Postanowili zostać i zaczekać na dziewczynę, ku wielkiemu niezadowoleniu Frau Auschenwald, której nie podobało się Gestapo i smutni panowie w czarnych płaszczach. Syn podszedł do matki i czule się z nią pożegnał.

– Teraz wychodzę, mamo – powiedział, wkładając w jej dłoń małą karteczkę, którą wypisał, gdy tamci zajęci byli przerzucaniem rzeczy Jane.

Kobieta szybko zerknęła na treść: „Nad wszystkim panuję, mamo". Zaskoczyło ją to. Peter panował ostatnio tylko nad lokalnym Hitlerjugend i Frau Auschenwald nie mogła mieć pewności co do nagłej zmiany w zachowaniu syna.

*

Tymczasem Jane i Eugen Fink siedzieli w kawiarni nieopodal. Oboje zwrócili uwagę, że z kamienicy wyszedł Peter Auschenwald. Chłopak bez trudu ich zauważył i dał znak ręką, by ruszyli za nim. Eugen zostawił

na stoliku pieniądze za kawy i ciastka. Poszli za Peterem. Ten skierował się prosto do katedry. W jej spokojnym, ciemnym wnętrzu nastąpiło ostatnie spotkanie.

– Jane, tutaj są twoje dokumenty, w tym paszport i pieniądze. Ukryłem je.

– Ale jak ty to zrobiłeś?

– To już moja rzecz – rzekł Peter, który po raz pierwszy w życiu kogoś naprawdę pokochał. – Teraz musisz uciekać. Gestapo po ciebie przyszło, czekają w domu mojej matki. – Po czym zwrócił się do nieznanego mu bliżej Finka: – Zabierz ją stąd.

Jane była w rozsypce. Nagle tych wszystkich spraw było za dużo: ucieczka, rozmowa z księdzem Rahnerem, niespodziewane uczucie do młodego Niemca. Tej ostatniej naprawdę się nie spodziewała.

– Znajdziemy się – powiedział Peter i przytulił dziewczynę. – Uciekajcie stąd.

Eugen Fink wiedział, co trzeba zrobić. Jane nie chciała wyjść, ale musiała się podporządkować. Cała trójka zdawała sobie sprawę z tego, że stało się coś bardzo złego i że Gestapo będzie nastawać na jej życie. Zanim wyszli z katedry, kobieta spojrzała na młodego Niemca jeszcze raz – inaczej, niż pragnąłby tego jej umysł. Czyżby naprawdę go kochała?

Miesiąc później, Paryż

Wrzesień w stolicy Francji potrafi zachwycić. Było ciepło i przytulnie, nawet cień wielkiej katedry wydawał się nic nieznaczący wobec potęgi słońca. Elegancka młoda kobieta czekała w patio restauracyjki. Zamówiła omlet i kieliszek wina, a potem kawę – piekielne espresso z wodą w osobnej szklance. Jane czekała na Samuela. Dzięki Eugenowi Finkowi wydostała się z Niemiec, choć nie ominęły jej nerwowe chwile na granicy. Wydawało jej się, że pogranicznicy niemieccy strasznie długo sprawdzają jej paszport. Ale pewnie po prostu była zdenerwowana.

– Jane? – usłyszała za plecami znajomy głos Samuela.

Zerwała się i rzuciła ojcu na szyję. Ich więź pozostawała niezmienna, mimo wiedzy o ojcostwie biologicznym gangstera, którego Jane nigdy na oczy nie widziała.

– Wydaje mi się, że minęła epoka, choć wyjechałaś z Ameryki tak niedawno – rzekł Samuel.

Dziewczyna popatrzyła na niego smutnym wzrokiem.

– Rzeczywiście, ojcze, to cała epoka w moim życiu.

– Doprawdy? To przecież cztery miesiące ledwo.

Jane westchnęła.

– To była niedostrzegalna zmiana, a jednak jestem inną Jane. Zniknęła ta beztroska w gruncie rzeczy trzpiotka, którą byłam w Nowym Jorku.

Samuel nie miał dobrych informacji. Opowiedział jej o spotkaniu z J. Edgarem Hooverem. Dopiero teraz dziewczyna dowiedziała się o śmierci Flynna i prawdopodobnym udziale Niemca w zabójstwie. Dotąd była tego wszystkiego nieświadoma.

– Samuelu, nie miałam z tym nic wspólnego.

– Ja ci wierzę, ale Hoover jasno dał mi do zrozumienia, że masz napisać raport o Niemczech i wówczas oni dadzą ci spokój.

– Raport napisałabym i tak, ale postanowiłam, że nie wrócę do Stanów, tato.

Spodziewał się tego. Miał jeszcze jeden pomysł na starość. Elisabeth już prawie się zgodziła. Teraz przedstawił go córce – zareagowała entuzjastycznie. Samuel chciał kupić dom w Prowansji i przenieść się ze Stanów do Europy. Jane mogła patrzeć z optymizmem w przyszłość. Rodzina miała być znów razem. Nie wiedziała tylko, że to były zwykłe mrzonki.

*

Pozostała jeszcze jedna sprawa – szef FBI i jego żądanie. Samuel dość delikatnie przekazał jej treść rozmowy z Hooverem, ale Jane nie była głupia i umiała czytać między wierszami. Nie chciała, aby ten potężny człowiek pozostawał w Stanach Zjednoczonych polującym na nią

przeciwnikiem. Wiedziała, że jest mściwy i pamiętliwy. Dlatego napisała ponad pięćdziesiąt stron raportu o hitlerowskich Niemczech, ukazując szerokie tło akademickie romansu intelektualnej śmietanki Niemiec z ruchem nazistowskim. Opisała, jak w jej przekonaniu arystokracja niemiecka dała się porwać nazistom. To była ogólna część analityczna jej raportu.

W części poświęconej śmierci agenta Flynna zaprzeczyła jakimkolwiek swoim związkom z tą sprawą. Scharakteryzowała Maksymiliana von Hoyma jako groźnego agenta hitlerowskiego, który usytuował się w sercu intelektualnym USA, jakim był Uniwersytet Harvarda. Opisała swoje z nim relacje, które nigdy nie przekroczyły granicy intymności. Zaprzeczyła też, jakoby udzielała jakichkolwiek informacji stronie niemieckiej. Nikt nie wiedział, że pracowała dla FBI.

Jane była głęboko poruszona sposobem, w jaki Hoover potraktował Samuela, ale uznała, że nie warto o to prowadzić z nim sporu – od niego zależało bowiem, czy FBI będzie chciało postawić jej zarzuty, czy też odpuści. Zaproponowała, że nie będzie się uchylać od składania zeznań, gdyby to było konieczne. Ale w ambasadzie w Paryżu. Tam też przekazała raport, mając nikłą nadzieję, że wszystko potoczy się po jej myśli.

*

PARYŻ, GRUDZIEŃ 1936

Jane była zaskoczona, gdy na adres jej mieszkania wynajmowanego w Paryżu przyszedł list z amerykańskiej ambasady, wzywający ją na spotkanie. Nie spodziewała się tego, ale doszła do wniosku, że to najlepsze, co mogło się jej przytrafić, ponieważ będzie mieć szansę na oczyszczenie się z zarzutów. Ubrała się więc skromnie, ale elegancko. Nie użyła też wyzywającej szminki ani nie ukryła się pod agresywnym makijażem. Włożyła ciepły płaszcz, ponieważ pogoda w Paryżu sprawiała figle. Przeplatały się dni ze śniegiem i dżdżyste ponad miarę, gdy człowiek

nie chce wyścibić nosa spod pierzyny. Poszła do ambasady pieszo, gdyż mieszkała w Dzielnicy Łacińskiej przy rue Saint-Séverin.

W ambasadzie amerykańskiej wszystko poszło szybciej, niż się spodziewała. Przesłuchał ją jakiś gryzipiórek, który wypytał ją raz jeszcze o Flynna oraz von Hoyma. Złożyła zeznania szczegółowe i wyczerpujące. Dowiedziała się, że dyrektor FBI samodzielnie podejmie decyzję w jej sprawie, ale na tym etapie jej udział jest zakończony. Gdy wychodziła z budynku, inny mężczyzna, zapewne Amerykanin, zaprosił ją do pobliskiej kawiarni. Miał tam na nią ktoś czekać. Jane mogła się jedynie domyślać, kto to taki.

*

– Czy pan zawsze lubi robić wrażenie, panie dyrektorze Hoover? – zapytała Jane.

Dyrektor FBI wybrał się do Paryża osobiście w sobie tylko wiadomym celu. Nie musiał się nikomu tłumaczyć ze swoich decyzji ani podróży.

– Niech pani siada, miss Coulfield – zaproponował. – Zje pani ze mną lunch.

Jane czuła się zaskoczona, że szef Biura pofatygował się do Paryża, ale szybko zrozumiała, że miał we Francji sprawy ważniejsze niż ona, a spotkanie z nią zaaranżował tylko przy okazji.

Usiadła. Pogawędzili o Paryżu.

– Po dokładnej analizie śmierci Flynna doszliśmy do wniosku, że pani nie miała nic z tym wspólnego.

– Przecież pan to wszystko wiedział. Dlaczego tak pan potraktował mojego ojca?

– Miałem w tym pewien cel. Chciałem mieć raport napisany pod presją tego, jakie w istocie są Niemcy. Jak pani wie, prezydent Roosevelt nie chce angażować się w Europie, dopóki mamy własne kłopoty. Zabójstwo Flynna stało się argumentem w przekonaniu prezydenta, aby Stany Zjednoczone zrezygnowały ze wspierania Niemiec Hitlera. Jego rząd nie dostanie już od Henry'ego Forda niczego. Zadbam o to.

– Pan cynicznie wykorzystał śmierć Flynna do osiągnięcia swoich celów politycznych – oświadczyła nagle Jane.

J. Edgar Hoover uśmiechnął się.

– Polityk musi wyprowadzić korzyść dla swojego kraju z każdej sytuacji. Pani raport jest wybitny. Scharakteryzowała pani Niemcy najgłębiej, jak to było możliwe. I może pani dalej dla nas pracować.

– Dziękuję, ale nie. Nie przywyknę do pańskiego cynizmu, panie dyrektorze. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że poświęciłby mnie pan bez żadnego wyrzutu sumienia dla wyższego celu.

– To pani wola – oznajmił szef Biura. – Uszanuję ją.

Rozstali się w przyjaźni. Jednak Jane nie mogła pozbyć się wrażenia, że odmawiając J. Edgarowi Hooverowi, skierowała swoje życie w inną stronę.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział XI

Adagio for Strings

Paryż, wiosna 1937 roku

Amerykański kompozytor Samuel Barber przybył do Paryża na prapremierę swojej najnowszej muzycznej impresji, zatytułowanej *Adagio for Strings, opus 11*, którą napisał w Rzymie. Nie był pewien, jak utwór zostanie przyjęty, ponieważ nie przekraczał dziesięciu minut i trudno było przekonać szefa jakiejś prywatnej orkiestry do zagrania go. Ludzie przychodzili na koncerty i płacili za więcej niż dziesięć minut muzyki. Jednak Samuel Barber był człowiekiem, którego natura obdarowała nie tylko geniuszem muzycznym, ale też niezwykłym uporem. Nie chciał przepisywać utworu na symfonię trwającą czterdzieści minut lub więcej. Uważał, że jest to dzieło skończone i pełne – wyjmiesz jeden takt, a wszystko się rozsypie. Dołożysz coś, wydłużysz partyturę – wszystko straci swój sens, skumulowany do piorunującego efektu. Przyjaciel i towarzysz życia Barbera, Gian Carlo Menotti, także kompozytor, po wysłuchaniu pierwszego wykonania utworu jesienią 1936 roku w Rzymie zapłakał.

– To dziesięć minut nieskończonego piękna.

Barber był człowiekiem nieufnym, co wynikało z jego stylu życia i osobliwego przeżywania świata. Nie umiał się chwalić swoim dziełem, ponieważ znał gusta Amerykanów lubiących musicale, songi czy ostatnio szalejący po Harlemie i w całych Stanach jazz. Długo też szukał miejsca

na wykonanie tego utworu. W końcu dał się przekonać. *Adagio for Strings*, dziewiętnastominutowy *Strings Quartet* i *Symphony for One Movement* trwały razem około pięćdziesięciu minut – taki program miał szansę. Jednak Barber wciąż podchodził z dużym niepokojem i dystansem do tego pomysłu. Przeżywał bardzo, jeśli ludzie nie rozumieli jego muzyki lub okazywali dezaprobatę. Szukał idealnego balansu między harmonią, dysonansem i lirycznością melodii, idealnego punktu równowagi między tymi napięciami. W tym duchu napisał *Adagio for Strings*.

W Paryżu, ostatnim europejskim mieście przed rejsem powrotnym do Ameryki, komponował do południa, potem udawał się z Gian Carlem na obiad lub – gdy partner nie mógł iść, bo miał również swoje muzyczne sprawy do załatwienia w Paryżu, jak tego dnia – szedł do restauracji sam. Tego dnia wybrał się do Le Consulat na Montmartrze. Gęste uliczki i niepowtarzalny klimat dzielnicy artystycznej odpowiadały jego gustowi estetycznemu. Po południu kręciło się tam sporo studentów akademii sztuk pięknych, taszczących swoje wielkie teczki rysunkowe i próbujących uchwycić coś charakterystycznego w gołębiach lub przechodzących osobach. Barber zauważył, że w restauracji, w jej patio wychodzącym na ulicę, siedziała zaczytana piękna dziewczyna. W jej urodzie było coś niepokojącego i eterycznego. Twarz skryła pod kapeluszem i zdawało się, że nie zwraca uwagi na szkicujących ją trzech młodych studentów malarstwa. Spodobała się Barberowi ta scena: on obserwuje ich, obserwujących ją.

Przerwał mu kelner.

– Co podać?

– Lemoniadę arbuzową z lodem i listkiem mięty. – Naturalny wybór, wszak było ciepłe popołudnie.

– Piękna dziewczyna, co? – zagadnął kelner. – Codziennie tu przychodzi z książką. Czyta.

– Czytanie to oddychanie dla duszy – odparł Samuel Barber.

– Mówią, że ona jest Amerykanką, ale to nic pewnego.

Kelner poszedł po lemoniadę, a kompozytor przyjrzał się książce. Pod tym kątem nie bardzo mógł dostrzec okładkę. W pewnej chwili dziewczyna przerwała czytanie, włożyła zakładkę do środka i zamknęła książkę. Dopiero teraz dostrzegł tytuł. Francuskie wydanie *Albo – albo* Sørena Kirkegaarda. Barber pomyślał, że dziewczyna zastanawia się nad jakąś kwestią filozoficzną; książki Duńczyka były niezwykle wymagające. Zainteresował się, po chwili namysłu postanowił zaryzykować i zapytał:

– Czy życie oszczędziło tego wyboru Duńczykowi?

Dziewczyna odwróciła się i odparła:

– Nie wiem. Ale ja już stanęłam przed takim wyborem.

– I co pani wybrała?

– Jestem tutaj, a nie tam, skąd wyjechałam.

– A gdzie było owo „tam”? – zapytał Barber.

– Niemcy.

– To chyba trudny temat.

W międzyczasie kelner przyniósł lemoniadę.

– To moja ulubiona – powiedziała, spojrzeniem wskazując szklankę.

– W takim razie dla pani to samo – zwrócił się Barber do kelnera, a ten uśmiechnął się i poszedł zrealizować zamówienie.

Na krótką chwilę zapadła niezręczna cisza.

– Jest pani filozofką? – zapytał kompozytor.

– To trudne pytanie. Staram się, uczę się filozofować. Na razie czytam i analizuję. A pan?

– Jestem muzykiem.

– Gra pan na instrumentach? Na jakich?

– To nie tak – odparł Barber. – Zaczynałem jako śpiewak operowy. Mam trzyskokowy baryton, ale nie było mi chyba dane śpiewać w La Scali czy Covent Garden. Zająłem się kompozycją. Piszę muzykę.

– A więc jest pan kompozytorem?

– Tak, myślę, że tak. – Niesamowicie go to peszyło.

Zazwyczaj w takich przypadkach znajomość się kończyła, bo Barber uciekał, krył się w swoim świecie nut, które nie były tak brutalne

i nieludzkie jak ludzie. Jednak dziewczyna miała dużo empatii. Jak gdyby zdała sobie sprawę z tego, że on może zaraz zniknąć.

– Wiem, że to niełatwe. Miałam okazję wysłuchać *Parsifala* w Bayreuth podczas ostatniego festiwalu. Dzieło Wagnera jest wielkie, ale teraz zostało podporządkowane idei niemieckiej. Wtedy muzyka zawsze przegrywa.

Odpowiedź dziewczyny sprawiła, że płochliwy Barber popatrzył na nią inaczej. Ona zrozumie. Na pewno zrozumie moje *Adagio for Strings* – pomyślał mężczyzna.

– Nazywam się Samuel Osmond Barber – powiedział, wstając, i wyciągnął dłoń.

– Jestem Jane Coulfield. – Podała mu rękę z wdziękiem.

– Interesujesz się muzyką? – Barber przeszedł na ty, wszak oboje byli Amerykanami.

– Interesują mnie tworzenie, zdolność do tworzenia i relacja do istnienia – odparła Jane. – Muzyka mieści się zatem w tym, co zajmuje mnie w filozofii. Czy mogę mieć do ciebie pytanie?

– Proszę.

– Kierkegaard twierdzi, że człowiek, tworząc coś, musi zawiesić swoje istnienie, żeby przenieść część siebie, to znaczy dokonać transcendencji Ja na coś, co jest tworzone. Przepraszam za język, ale filozofia wymaga precyzji. Czy pisząc muzykę, masz wrażenie, że oddajesz utworowi część siebie?

Dziewczyna zadała to pytanie i upiła łyk lemoniady, którą właśnie przyniósł kelner z Le Consulat. Jej pytanie trafiło w sedno. Barber przeżywał muzykę na zasadzie całego zaangażowania w nią, dlatego tak niewielu mogło doświadczyć jego wnętrza, spojrzeć w nie... Lub inaczej – tak niewielu doświadczyło tego, że Barber obdarowywał kogoś innego sobą. Jedynie jego rodzice, mieszkający w Pensylwanii, w rodzinnym domu, i ostatnio Gian Carlo Menotti. Pierwszego dnia, kiedy spotkali się w 1930 roku, rozmawiali o muzyce i praktycznie od razu stali się nierozłączni. Barber miał teraz wrażenie, że ta dziewczyna może stać się jego przyjaciółką, że zrozumie jego muzykę.

– Napisałem niedawno utwór, który stanowi część mnie. Chciałem w nim opowiedzieć o samotności człowieka i okrucieństwie czasów, w jakich żyjemy.

– Czy słyszałam go już?

– Z pewnością nie. Chciałbym, żeby jego europejskie prawykonanie odbyło się w Paryżu. Czy chciałabyś posłuchać, gdy orkiestra go zagra?

– Z wielką radością, chociaż nie znam twojej muzyki – powiedziała Jane. – Kiedy to się odbędzie?

– W konserwatorium za tydzień. Zapraszam cię zatem.

Gdy tak rozmawiali, a tak naprawdę przelewali w siebie swoje lęki, nadzieje i dusze, zjawił się Gian Carlo, który wcześniej umówił się z Barberem na popołudniową kawę. Zastał go gawędzącego z piękną dziewczyną. Nie chciał przeszkadzać – był uosobieniem taktu i dobrego wychowania. Obserwował z boku kochanka i nieznajomą. Nie słyszał ich rozmowy, ale doszedł do wniosku, że musiała być pasjonująca. Czuł się niemal jak intruz. W końcu Barber go dostrzegł i przywołał ruchem ręki. Tak Gian Carlo Menotti poznał Jane. I popołudnie zamieniło się w długi wieczór, pełen dobrego jedzenia, śmiechu i pasjonującej rozmowy o tworzeniu.

*

Od spotkania z Menottim i Barberem Jane nabrała w Paryżu śmiałości. Udało jej się wynająć na rok mieszkanko w IX dzielnicy Paryża. Ojciec wsparł ją finansowo – przywiózł sporą gotówkę w dolarach. Lubiła niezapowiedziane wizyty Samuela.

– Nie trzymaj pieniędzy w domu, tylko je ulokuj, Jane. Pieniądz rodzi pieniądz. Ja muszę wrócić do Nowego Jorku, żeby przekonać Elisabeth do końca. Sama wiesz, jaka jest. Nie może ruszyć się bez swego syneczka.

– Och, Michael. On przepuszcza twoje pieniądze.

– Na szczęście ty jesteś zabezpieczona spadkiem po ojcu. Musisz wiedzieć, że to jest gotówka, której szukała połowa rodzin mafijnych od Nowego Jorku po Chicago.

– Ile tego jest naprawdę?

– Pół miliona. Zdołałem ci teraz przewieźć pięćdziesiąt tysięcy.

Jane znała Samuela. Naprawdę uważał ją za córkę.

– Proszę, używaj tych pieniędzy, wyprowadź nas z długów, których narobił Michael. Sprzedajcie, co trzeba w Nowym Jorku, i wracaj, tato, do mnie.

Stary Samuel uśmiechnął się. Lubił, gdy nazywała go tatą.

– W Nowym Jorku nie sprzedam domu – oświadczył po chwili. – Wynajmę go, skoro mogę korzystać z pieniędzy po Arnoldzie.

– Zrób to, proszę, tato. Przekup, kogo trzeba.

Samuel był ciekawy, jak Jane wyplątała się ze sprawy z FBI.

– Napisałam raport.

– Co w nim napisałaś? Przyznaj się.

Jane udała niewiniątko.

– Napisałam, że w Europie wybuchnie wojna. Hitler to zafunduje Europejczykom.

Samuel przestraszył się.

– Naprawdę?

– Coś ty, trochę podkoloryzowałam. Znasz mnie.

Uśmiali się. Żadnej wojny nie będzie – pomyślała Jane. To przecież niemożliwe, żeby Europejczycy po raz drugi popełnili samobójstwo. Trzy dni później Samuel z dworca du Nord udał się pociągiem do Cherbourga, a stamtąd brytyjskim statkiem pasażerskim popłynął do Nowego Jorku.

*

Sala koncertowa w paryskim konserwatorium muzycznym zapełniła się po brzegi, co stanowiło spore zaskoczenie dla Barbera, bardzo przejętego paryską prapremierą swoich utworów. *Adagio* zostało ułożone w środku – między *Strings Quartet* i *Symphony for One Movement*. Był niezmiernie ciekawy, jak zostanie odebrane. Jane przybyła z nadzieją na wysłuchanie muzyki, która przemówi do jej duszy. Tak sobie to tłumaczyła. Podeszła przed koncertem do Barbera, którego zżerała trema. Nawet Menotti nie

był w stanie temu zaradzić – Barber miał taką osobowość, bardzo się przejmował publicznym odbiorem jego utworów.

Strings Quartet, harmonicznie pełne dzieło, któremu nie można było nic zarzucić, nie zrobiło szczególnego wrażenia. Ale potem zaczęło się *Adagio for Strings*. Od pierwszych taktów wśród słuchaczy zapadła cisza. Istniała tylko muzyka Barbera. Około drugiej minuty eksplodowała w pełni – w sposób, który oddawał to wszystko, czego Europejczycy doświadczyli w ostatnich latach. Jane zamknęła oczy i dała się oczarować muzyce. Kolejny utwór, dziewiętnastominutowa symfonia – cóż, bardzo dobra w swojej klasie, ale Jane myślami była przy *Adagio for Strings*. Gdy koncert się zakończył, ludzie wstali z miejsc i klaskali długo, dopóki dyrygent nie wskazał na Samuela Barbera siedzącego obok Menottiego w pierwszym rzędzie.

– Autor jest z nami!

I wówczas wśród burzy oklasków rozległy się jeszcze okrzyki. Barber nie spodziewał się tak entuzjastycznego przyjęcia *Adagia*, zwłaszcza że właściwa premiera symfoniczna i nagranie dla NBC zostały już zakontraktowane w Ameryce. Jane biła brawo, aż zabolały ją dłonie. Po koncercie podeszła do Barbera, wzruszonego i rozpromienionego jak nigdy.

– Było wspaniale!

– Czy ujęło cię *Adagio*?

– To jeden z najbardziej wzruszających utworów, jakie słyszałam. Jestem pewna, że przejdzie do historii muzyki naszego wieku. – Jane szczerze powiedziała to, co myśli.

Menotti natychmiast to podchwycił:

– Widzisz, Sam, jak ona ci kadzi? Zaczynam się robić zazdrosny.

Jane doskonale rozumiała, że to żart. Zgodzili z Menottim, że *Adagio for Strings* dopiero z czasem pokaże, jak wielką jest muzyką.

– Musisz kogoś poznać – powiedział rozpromieniony Samuel Barber. Ten wieczór należał do niego.

Wziął Jane pod rękę, a Menotti podreptał za nimi. Podeszli do dwóch kobiet, które rozmawiały w foyer sali koncertowej, pijąc lekki poncz. Uwagę Jane przykuła szczególnie jedna z nich. Miała na oko sześćdziesiąt lat, swoją puszystość ukrywała pod luźnymi ubraniami. Na ten wieczór ubrała suknię, a na szyi ułożyła szal ze srebrną broszką. Na widok Samuela Barbera kobieta uśmiechnęła się. Uniosła w jego stronę kielich z ponczem, po czym wypiła go duszkiem.

– Samuelu, przyjacielu, dziś jest twój tryumf!

– A już myślałem, że powiesz coś w rodzaju: „Dziś w Paryżu zatryumfowała amerykańska muzyka".

– Wiesz, Sam, że nie jestem kabotynką. Alice by mi nie wybaczyła i z pewnością naraziłabym się na krytykę.

Mówiąc to, spoglądała na swoją stonowaną i milczącą towarzyszkę, która sączyła poncz.

– Oczywiście, zaczęłabyś sama poprawiać swoje teksty – odezwała się cicho.

– Lubię te groźby!

Jane uznała, że muszą być najlepszymi przyjaciółkami lub nawet kimś więcej. Tak więc w foyer stanęli w kręgu sami Amerykanie: Samuel Barber i Gian Carlo Menotti, Gertrude Stein i Alice B. Toklas, i właśnie Jane. Na nią padło spojrzenie kobiety z broszką.

– A kogóż bogowie nam tu zsyłają? Sam, wytłumacz się, nicponiu – zwróciła się do kompozytora.

– Pozwolisz, Gertrude, że ci przedstawię. To moja przyjaciółka, Jane Coulfield, a ty, Jane, pozwól, oto wielka muza i najlepsza ambasadorka Ameryki w Paryżu i może w całej Europie, Gertrude Stein.

A więc to ona! – pomyślała Jane. Nigdy nie przypuszczała, że pozna ją osobiście.

– Musisz, moja droga, być nieprzeciętna w tym, co robisz, że Samuel nazywa cię przyjaciółką.

– Nie wiem, czym sobie zasłużyłam – odparła dziewczyna.

– Jedna rozmowa o muzyce i filozofii wystarczyła – odparł Barber. – Jane studiuje filozofię na Harvardzie i przebywała w Niemczech. Ale musiała stamtąd uciekać.

Gertrude Stein była wielką osobowością świata sztuki i kultury. Żaden pisarz nie mógł stać się naprawdę znany, tak przynajmniej mawiano, jeśli nie przeszedł przez jej otwarty salon literacki. Żaden malarz nie mógł zakosztować w pełni sławy, jeśli Gertrude nie zaprosiła go na jeden ze swoich wieczorów autorskich. Była jedną z najbardziej opiniotwórczych osobistości tego świata.

– Z jakiego powodu wyjechałaś, jeśli mogę zapytać?

– Za nazwisko Singer, w dużym skrócie. W Niemczech rozdają za nie nagrody – odparła Jane.

– To oczywiste – rzekła Gertrude. – Ciągle powtarzam, że ten maniak z Austrii zmajstruje nam wojnę, ale nikt mi nie wierzy. Co tam robiłaś?

– Studiowałam u Heideggera jego dzieła i chyba zrozumiałam, na czym polega „duch niemiecki".

– Umieram z niecierpliwości, kiedy mi o tym opowiesz. Muszę wiedzieć wszystko.

I tak Jane została wciągnięta w świat Gertrude Stein. Lepiej trafić nie mogła.

Rozdział XII

W kręgu Gertrude Stein

Wiosna 1937, Paryż

Salon artystyczny Gertrude Stein mieścił się w mieszkaniu przy rue de Fleurus pod numerem dwudziestym siódmym. Znali to miejsce pisarze – Ezra Pound, James Joyce, Scott Fitzgerald czy Sinclair Lewis. Bywali tu malarze – Henri Matisse, ostatnio też Pablo Picasso. Każdy, kto tworzył,

marzył, by trafić na salon przy rue de Fleurus, ale nie każdy miał intelektualne możliwości, by tego dokonać. Dla Jane oznaczało to awans, z którego nie zdawała sobie sprawy.

Tego dnia Gertrude przebywała u siebie, pijąc kawę z najnowszym przyjacielem Samuelem Barberem. Wszyscy liczący się pisarze, kompozytorzy, filozofowie, malarze i reżyserzy teatralni zaliczali się do jej przyjaciół. Alice B. Toklas, partnerka Gertrude, przemykała gdzieś z boku. A to przyniosła kawę, a to ciasteczka. Czekali na Jane, która zjawiła się punktualnie z dużą paczką ciastek z lokalnej piekarni, wypełnionych kremem kasztanowym, migdałami – wyglądały smakowicie.

– Daj te wszystkie słodkości Alice, kochanie, ona się nimi zajmie – rzekła Gertrude, która naprawdę ucieszyła się z przyjścia Jane.

– Oczywiście. – Alice B. Toklas przyjęła od Jane pakunek z ciastkami. – Ja tu tylko sprzątam.

– Nie słuchaj jej – rzuciła natychmiast Gertrude, która miała osobliwy sposób doceniania swojej partnerki. – Ona jest tutaj ważniejsza ode mnie. Bez Alice, moja droga Jane, nie byłoby salonu literackiego, ponieważ żaden malarz ani pisarz nie przyjdzie na pogaduchy do starej baby bez odpowiedniej ilości alkoholu, a ten zapewnia w wielkich ilościach i w jakości, o której nie mam wiedzy, właśnie Alice.

– Ja wszystko słyszę i zapisuję w moim sercu. – Natychmiast padła riposta. – Parzę kawę.

– Twoje serce jest wielkie i święte!

– Tylko nie święte!

– Wielkie, cudowne i święte! I bije dla mnie, moja droga! – odkrzyknęła z uśmiechem Gertrude Stein, po czym zwróciła się do Barbera i Jane, zaskoczonych i rozbawionych tą wymianą zdań: – Alice, musicie wiedzieć, uwielbia mnie upokarzać, mówiąc moim gościom, że nic w tym domu nie znaczy. A jest dokładnie przeciwnie. Popatrzcie!

Gertrude sięgnęła po swoją ostatnią książkę – *Autobiografię Alice B. Toklas*, wydaną w roku 1934, która stała się prawdziwym bestsellerem. Był to pamiętnik, pisany jak dzieło literackie, z uwypuklonym

wewnętrznym ja wydającym subiektywne sądy. Książka stanowiła coś pomiędzy pamiętnikiem, powieścią i dziełem non-fiction, życie codzienne zostało w niej pokazane z wielkim kunsztem.

– To jest dowód, ile Alice dla mnie znaczy! – powiedziała Gertrude.

Właśnie w tej chwili weszła Alice, niosąc na tacy zaparzoną kawę, którą sama zmieliła w młynku i zaparzyła w imbryku, zagrzała też mleko w osobnym garnuszku.

– Ten dowód dodatkowo mnie obciążył. Mnie, pracującą jak niewolnica w tym domu – oświadczyła sucho Alice. – Czy wiecie, kto musiał robić redakcję i korektę tej powieści?

– Ty, kochana!

– Nie macie pojęcia, ile mnie kosztowało przekonanie jej do redakcji opartej na skrajnej tyranii stylistyczno-semantycznej – powiedziała Alice B. Toklas.

– Jesteś niemożliwa! – krzyknęła Gertrude.

– Już sobie idę usiąść – oznajmiła Alice, po czym nalała wszystkim kawy, na końcu sobie, i zajęła miejsce z boku przy drzwiach.

– Proszę, usiądź przy nas – poprosiła Gertrude.

– Z tej pozycji ogarniam wzrokiem waszą trójkę, a siedząc obok ciebie, znów zostałabym zdominowana przez twoją obezwładniającą wolę – odparła Alice.

– Obezwładniającą wolę! Też znów wymyśliłaś! Dość, dość. Teraz chciałabym, żeby wreszcie gość mógł się wypowiedzieć – zaproponowała pisarka.

– I to właśnie jest manifestacja twojej woli. A teraz milczę!

Jane odgadła dzięki swojej wrodzonej empatii, że te dwie kobiety znaczyły dla siebie tak wiele, że nie potrafiłyby już żyć bez siebie. Był to związek oparty nie tylko na uczuciu, ale także na wspólnej pasji, jaką są malarstwo i książki. Spoiwo intelektualne było niezwykle ważne. Jane zdała sobie sprawę z tego, że nigdy z nikim nie udało jej się stworzyć takiej więzi. Bo przecież romansu z młodym Niemcem – który miał pozostać jej tajemnicą – nie można było z tym nawet porównać.

– Jane, zaintrygowałaś mnie informacją, że przebywałaś w Niemczech. Ja, mimo że siedzę tyle lat w Paryżu, nigdy nie mogłam się przełamać i tam pojechać. Może dlatego, że przeżyłam wielką wojnę tutaj i wiem, jaką grozę wywoływało podejście Niemców nad Marnę. Nie chciałabym doświadczyć tego raz jeszcze. Opowiedz mi, proszę, co tam robiłaś. Jakie intelektualne prądy cię tam zawiodły? – zapytała po dłuższym wywodzie Gertrude Stein.

Jane napiła się kawy. Barber wpatrywał się w nią równie tajemniczo, co gospodyni. Dziewczyna się trochę peszyła.

– Powodem mojej wizyty w Niemczech była filozofia. Nie da się uprawiać filozofii naprawdę głęboko, jeśli kontekst niemiecki pozostaje niezbadany. Dla mnie zupełną nowością jest spojrzenie Heideggera, który zastosował kategorię egzystencjalną do stworzenia oryginalnego metafizycznego spojrzenia na człowieka.

– Metafizyka jest dla mnie, moja droga, pojęciem pustym – przerwała Gertrude, która w dyskusji odznaczała się niepohamowaną pasją. Stanowiło to niezwykle oryginalną cechę jej osobowości, ale też niezaprzeczalną wadę.

– Ale metafizyka, niezależnie od tego, co pani sądzi, jest istotną kategorią pozwalającą uchwycić ludzkie istnienie, egzystencję poza nim samym. Dzięki niej człowiek może przekraczać samego siebie, doświadczać innych istnień, przenikać je. Ta metafizyka wiąże się nie z kategorią Boga, tylko jest metafizyką człowieka. Jej źródłem jest istnienie przygodne, ale tylko dostrzegając je w sieci innych istnień, możemy zobaczyć sens nas samych.

Barber i Alice, przysłuchujący się tej wymianie argumentów filozoficznych, byli pod wielkim wrażeniem. Szalenie ich ciekawiło, jak ta rozmowa się potoczy i dokąd zaprowadzi dyskutantki.

– Zaskakujesz mnie, Jane. Przyznam szczerze, że nie czytałam Heideggera. Ostatnio pisał do mnie Jean-Paul Sartre, którego też chciałabym ci przedstawić. On jest pod wpływem Heideggera, ale ja zachowuję dość duży dystans.

– Heidegger jest filozofem hermetycznym, ciężkim w odbiorze podczas czytania. Jednak jego dzieło było punktem wyjścia do zrozumienia Niemiec teraz, w naszym czasie, i okrutnego systemu politycznego.

– Fascynujące, prawda? – zwrócił się do Gertrude Stein Barber.

– Postanowiłam zbadać, na ile to było możliwe, jak funkcjonuje ów niemiecki duch, o którym Heidegger mówił mi we Fryburgu.

– I do jakich doszłaś wniosków, moja droga?

Jane musiała się zastanowić i zebrać myśli.

– W Niemczech panuje brutalna dyktatura o podłożu rasistowskim. Żydzi są wykluczeni z życia publicznego. Hitler jest uosobieniem tych zmian, ale jego pozycja to wypadkowa użycia siły w wewnątrzpartyjnej czystce, czyli noc długich noży, przed prawie trzema laty. Wszechwładne wydaje się Gestapo, tajna policja polityczna, a młodzież jest urabiana dokładnie na modłę hitlerowską przez obowiązkowe pranie mózgów w tak zwanej młodzieży Hitlera, Hitlerjugend.

– A kobiety? – zapytała Gertrude.

– To jest najciekawsze. Wydaje mi się, że ogromna rzesza kobiet niemieckich była aktywną podporą reżimu, gdy Hitler dochodził do władzy w styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku – powiedziała Jane. – Z moich obserwacji wynika, że reżim popierają kobiety z elit arystokratycznych, ale też Niemki, które przy czwórce czy piątce dzieci otrzymują od państwa realną pomoc. A te najbardziej zasłużone mogą otrzymać od Führera medal: brązowy, srebrny lub złoty. Rodziny wielodzietne są nagradzane podatkiem mniejszym nawet o dwadzieścia procent w porównaniu z tymi, którzy nie mają dzieci lub mają ich mało.

– Przemyślana polityka państwowa. – Gertrude Stein zamyśliła się. – To przerażające. Ale nie wiem, czy we Francji, mojej drugiej ojczyźnie... Okropnie nie lubię tego słowa, bo jest emanacją męskości! Czy tam zdają sobie z tego sprawę. Zastanawiam się, co możemy zrobić.

To było pierwsze sensowne pytanie tego wieczoru.

– Ludzie kultury nie chcą się zaangażować politycznie – stwierdził Barber.

– Nie wszyscy, mój drogi, nie wszyscy. Znam tu we Francji André Malraux, Sartre'a, Hemingwaya, który teraz jest w Hiszpanii walczącej z faszystami. Możemy zrobić bardzo wiele. Ja na przykład występuję od jakiegoś czasu, żeby Hitler dostał Pokojową Nagrodę Nobla.

– Nie o to chodzi – wtrąciła siedząca z boku Alice B. Toklas.

– Moja droga, nie rozumiesz mnie. Ja go chcę ośmieszyć! Takiego tyrana, przewrażliwionego na swoim własnym punkcie, można i trzeba ośmieszyć publicznie. Przecież te jego pozy, które pokazują czasem w kronice filmowej przed seansem w kinach, to mieszanina wściekłości i kretynizmu. Czemu z niego nie urządzić zbiorowego wyszydzenia? To go zaboli.

– Możliwe, ale to niejedyna rzecz, którą można zrobić. Trzeba docierać do polityków – powiedział Barber.

– Mój drogi, to są wszystko pawiany podszyte tchórzem. Widzę niezdolność do przeciwstawienia się tyranowi. Spójrz na ich reakcję na wojnę w Hiszpanii. Brytyjczycy i Francuzi mówią o komitecie nieinterwencji, a Hitler i Mussolini wysyłają samoloty, artylerię i Bóg wie co jeszcze – zaoponowała Gertrude, dla której dyskusja była żywiołem. Uwielbiała to.

– Najgorsze wydaje mi się to, w jaki sposób zawładnął umysłami tych, którzy z definicji powinni się przeciwstawić – powiedziała Jane. – Heidegger jest naprawdę wielkim profesorem filozofii. Wielkim, ponadprzeciętnym umysłem. A tymczasem, gdy został rektorem uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim, zakazał wstępu wszystkim osobom narodowości żydowskiej, w tym Karlowi Jaspersowi, który ma żonę żydowskiego pochodzenia. Popiera Hitlera i nazistów w sposób niezaprzeczalny. Jak to możliwe?

– To proste – odparła Gertrude.

– Jak to proste? – zapytała zaskoczona Jane.

– Brzytwa Ockhama, moja droga – odparła Gertrude. – Wszystko rządzi się takimi samymi prawami, a najprostsze wyjaśnienie jest zazwyczaj najlepsze. Abstrahuję teraz od zjawisk fizycznych. Według mnie Hitler nie spadł z nieba. On po prostu uosabia to, czego Niemcy pragną, a pożądają

władzy nad Europą. Niemcy są za małe na to, by rządzić światem, ale w sam raz na Europę. Heidegger ulega temu samemu mirażowi o potędze. Pragnie jej. Tak to widzę.

– Czy przeczytałabyś mój raport? Zrobiłam go dla pewnej amerykańskiej instytucji publicznej, ale nie mam wątpliwości, że nikt do tego nawet nie zajrzy. Wszyscy widzą w Hitlerze jedynie nacjonalistę, a to niebezpieczne. Widziałam fanatyzm, z jakim był witany podczas igrzysk olimpijskich. On się nie zatrzyma – powiedziała z naciskiem na ostatnie zdanie Jane.

– Daj – odparła Gertrude. – Zastanawiam się, czy nie mogłabyś napisać dużego artykułu do jednej z paryskich gazet, najlepiej takiej, która nie lubi Niemiec i Hitlera.

– Robisz karierę, Jane. – Samuel Barber uśmiechnął się z sympatią.

– Do której gazety?

– Proponuję jakąś centrową, nikt nie przypnie ci łatki radykalizmu.

Zrobiło się miło, mimo że poruszali trudne tematy. Na zakończenie wieczoru Alice B. Toklas zadała pytanie, które miało zburzyć dotychczasowe ustalenia – poszła o krok dalej:

– A jeśli on doprowadzi do wojny?

Wszyscy popatrzyli na Gertrude, która zazwyczaj podejmowała wyzwanie rzucane przez Alice. Tak stało się i tym razem.

– We Francji jesteśmy bezpieczni. Niemcy nie dali rady w czasie wielkiej wojny i nie dadzą rady ponownie.

Jane trochę się uspokoiła.

– Znasz powieści André Malraux? Powinnaś przeczytać jego *Dolę człowieczą*. – Pisarka wstała, podeszła do półki, sprawnym ruchem dłoni wyłuskała rzeczoną książkę i podała ją Jane.

Alice B. Toklas dyskretnie zapisała w kajeciku uczniowskim, który nosiła w kieszeni swetra, do kogo trafia książka. Robiła tak w tajemnicy przed Gertrude, która nie pamiętała, komu przekazała książki. Alice była drugą stroną Gertrude – nieodzowną, konieczną jak cień w gorący dzień, jak sucha przystań podczas ulewy. Umówiły się, że za tydzień Jane przyniesie artykuł. Ale w życiu dziewczyny miała rozpętać się kolejna burza...

*

Jane pochłonęła w kilka dni powieść Malraux, ale miała mieszane uczucia co do jej treści. Rzecz rozgrywała się w Szanghaju w roku 1927, w pamiętnym kwietniu, kiedy to nowy przywódca Republiki Chińskiej, Jiang Jieshi, znany jako Czang Kaj-szek, kazał wyciąć do nogi komunistów. Ta decyzja budziła obrzydzenie Jane, ale nie rozumiała tak prostego przełożenia spraw chińskich na europejskie. Jednak wymowa powieści, otwarcie nawołującej do rewolucji komunistycznej, uświadomiła jej, kim jest Malraux. Gertrude Stein mogła mieć swoje poglądy, ale była przede wszystkim niezwykłą osobowością i Jane uznawała ją za mentorkę. Jane napisała też artykuł o Niemczech Hitlera, zresztą bardzo krytyczny. Prasa popierająca rząd francuski (w tym wysokonakładowy „Paris-soir"), również w zakresie polityki ustępstw wobec Hitlera, z pewnością nie wydrukowałaby tego artykułu, debiutu Jane. Dziewczyna liczyła na to, że Gertrude Stein zaproponuje jej redakcję.

Umówiły się na spotkanie przy osławionej rue de Fleurus i znów czekał na Jane ktoś, kogo miała poznać. Tym razem był to André Malraux. Trzydziestopięcioletni, śniady, przystojny mężczyzna z nieodłącznym papierosem w dłoni. Jane zauważyła, że ubierał się niedbale, co nie oznaczało braku gustu ani smaku – w owym czasie stanowiło to pewien kod kultury. Sympatie komunistyczne Malraux nie były wcale tajemnicą. Gertrude Stein z premedytacją ich skojarzyła. Miała w tym swój cel.

– Poznajcie się – rzekła Gertrude. – Jane Coulfield, nasza specjalistka od spraw niemieckich. André Malraux, pisarz zaangażowany.

– W co? – zapytała kokieteryjnie Jane.

– Dziś być pisarzem to tyle, co być bojownikiem – odparł Malraux.

– Bojownikiem?

– O wolność przeciwko faszyzmowi – padła szybka odpowiedź.

Poczęstował ją papierosem. Palił francuskie gitanes. Jane uznała, że odmowa zostałaby potraktowana przez pisarza jako nietakt.

– André jest zaangażowany w sprawy hiszpańskie i niedługo wyjeżdża – wyjaśniła Gertrude.

– Chce pan walczyć z generałem Franco? – zapytała Jane.

– Nie widzę innego wyjścia. To obowiązek. To faszysta.

– O wojnie hiszpańskiej dowiedziałam się w lipcu w Niemczech.

– Wszystko wiem, Gertrude jest niepoprawnie gadatliwa – odparł Malraux. – Imponuje mi, że Amerykanka taka jak pani, wychowana w plutokratycznym świecie pieniądza, decyduje się na wyjazd i przybycie do kraju rządzonego przez Hitlera. To rak, który toczy Europę.

– Oj, moja droga, chyba jesteś w niebezpieczeństwie – powiedziała Gertrude Stein.

– Takie niebezpieczeństwa są wpisane w los kobiety. – Jane doskonale o tym wiedziała.

Ona i Gertrude Stein lubiły się. Jednak Malraux przyszedł tutaj w jakimś celu. To był idealista, o jakich w tamtych czasach nie było trudno. Jane pochodziła z innego, bardziej pragmatycznego świata.

– Po wysłuchaniu opowieści Gertrude wiem już, że jest pani osobą, której szukamy. Ja zawsze lubię stawiać sprawy jasno i przejrzyście. Ludzie lewicy w Europie chcą pomóc hiszpańskiej republice. Zgłaszają się ochotnicy. Oczywiście musimy ich przesłuchać i sprawdzić, czy faktycznie są tymi, za których się podają. Pani mówi świetnie po niemiecku i po angielsku, to pani pierwszy język.

– Na czym miałaby polegać moja praca?

– Na przeprowadzeniu wywiadu z ochotnikiem, ustaleniu, co i jak, oraz spisaniu protokołu po francusku, co też chyba nie stanowiłoby dla pani problemu.

– Po prostu Jane – zaproponowała dziewczyna.

André Malraux uśmiechnął się.

– Kiedy zaczynam? – zapytała, sięgając po filiżankę. Wyjątkowo smakowała jej zaparzona przez Alice B. Toklas jaśminowa herbata.

Gertrude Stein w międzyczasie przeczytała artykuł Jane. Był ostry, intelektualnie nieprzeciętny.

– Tekst zgłosimy do „Le Paris Observateur”, to gazeta centrowa, wyważona.

Jane mogła być zadowolona.

*

Zanim Jane tak naprawdę zaczęła kolejną przygodę, jaką była praca w organizacji Brygad Międzynarodowych, przyszła chwila pożegnania. Barber i Menotti po prawie dwóch latach podróżowania po Europie, z których i tak większość czasu spędzili w słonecznej nad wyraz, ciepłej i pachnącej domowym makaronem Italii, wracali już do Stanów Zjednoczonych, gdzie Barber miał zakontraktowane nagranie *Adagio for Strings*. Odjeżdżali do Cherbourga z dworca du Nord. Czekała tam Jane.

– Miło, że przyszłaś. – Samuel źle znosił pożegnania przyjaciół.

Przytuliła go serdecznie. Na początku ich znajomości, gdzieś na dnie jej duszy, pojawiła się płocha nadzieja, że być może Barber i ona – skoro tak dobrze się rozumieli – mogliby kiedyś... Ale zaraz potem pojawił się Menotti i zrozumiała, że ci dwaj należą do siebie i ona byłaby intruzem. Wysłuchanie *Adagio for Strings* było dla Jane czymś tak osobistym, subtelnym i na swój sposób wstrząsającym, że Samuel Barber już na zawsze miał mieć w jej sercu swoje miejsce.

– Zawsze przecież możemy się spotkać w Ameryce – powiedział, gdy stał już na schodkach do wagonu.

Ale Jane nie odpowiedziała. Nie potrafiła mówić tych wszystkich rozkosznie niepotrzebnych kłamstw w stylu „wszystko będzie dobrze” albo „znów się spotkamy”. Nie mogła teraz ani w najbliższej przyszłości wrócić do Ameryki. Jednak w owej chwili, na dworcu, poczuła, że nie wróci do Ameryki jeszcze bardzo długo. To nagłe przeświadczenie, tak nieracjonalne i nieoczekiwane, sprawiło, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Stała się niema.

To pożegnanie zdawało się zwiastować nadejście innej ciemnej chmury, której jeszcze nie widziała na nieboskłonie. Ciemność kryła się w cieniu

i jednocześnie nim była – jeszcze nienarodzona, nieprzyobleczona w ciało, ale już stawała się postrachem jej duszy.

Rozdział XIII

Brat marnotrawny

Francja, wiosna 1937

W Hiszpanii trwała dalej wojna. Paryż, ten liberalny i lewicowy, popadł w przygnębienie, ale nie na długo. Socjalistyczny rząd Léona Bluma patrzył przez palce na szmugiel ochotników, broni i środków, udzielając cichego poparcia, choć formalnie dystansował się od wojny hiszpańskiej. Malraux starał się być wszędzie i osobiście wszystkim kierować. Jane zaczęła pracę w ośrodku pomocy republikanom.

– Naprawdę cieszę się, że się zdecydowałaś – powiedział do niej pewnego dnia.

– Chcę się przydać w walce o słuszną sprawę.

Jane nie wiedziała, że jej pomoc dla sprawy Brygad Międzynarodowych będzie mieć konsekwencje. Policja francuska niechętnie patrzyła na kolejnych komunistów, radykałów lewicowych, pięknoduchów czy trockistów ciągnących do Paryża, centrum przerzutu i rejestracji ochotników do Hiszpanii, niczym pielgrzymki pobożnych muzułmanów do Mekki. Tego dnia, kiedy zjawiła się w centrum, zauważył ją pewien francuski policjant, który nie znosił komunistów i walczył z nimi przez całe życie. Prowadził swoisty dziennik obserwacji i tego dnia zanotował: „14 listopada. Chmury. Pada lekki deszcz. Malraux przyprowadził swoją kolejną kochankę do pomocy przy organizacji tej czerwonej bandy".

Ten policjant nazywał się Edgar Juvet[14].

*

Jane, odkąd opuściła Niemcy, doświadczała dziwnego rozdwojenia. Rzucała się na każdą aktywność i przygodę, jak gdyby chciała zakosztować więcej. O młodym Niemcu, który się w niej zakochał, prawie całkiem zapomniała, co jednoznacznie świadczyło, że nie była to miłość, lecz płoche pożądanie, tyleż głupie, co niedojrzałe. Ale młodość jest przecież po to, by popełniać wszystkie możliwe błędy.

Tego dnia wróciła do swojego mieszkania przy rue Lamartine niedaleko placu Montholon. Czynsz był drogi, ale Jane miała pieniądze i nie żałowała ich na życie. Na schodach przed mieszkaniem czekało ją nie lada zaskoczenie.

– Witaj, Jane – powiedział mężczyzna siedzący na schodach.

Dziewczyna zaniemówiła na chwilę. To był jej brat Michael.

– Co ty tutaj robisz? Nie spodziewałam się ciebie, a ojciec nic nie pisał.

Michael opuścił głowę.

– Czy mogłabyś mnie wpuścić? Wyjaśnię w mieszkaniu – rzekł. – Nic się nie zmieniłaś, wciąż masz tę nieznośną manierę upokarzania mnie w różnych sytuacjach.

Zaskoczenie przeszło w irytację, ale Jane postanowiła go wpuścić. Wychowali się razem, mieli wspólną matkę. Byli bratem i siostrą, nawet jeśli nie było im to po drodze.

– W porządku.

Weszli do mieszkania. Michael miał tylko jedną walizkę. A przecież szastał pieniędzmi Samuela. Hulaj dusza, piekła nie ma – tak można było określić jego dewizę życiową.

– Mam kłopoty, Jane – powiedział smutno.

– Wiedziałam, że tak kiedyś będzie. Tyle razy się o to kłóciliśmy.

– Możesz mnie smagać uwagami, ale to mi nie pomaga.

– Co się stało?

Opowiedział jej wszystko. Kilka miesięcy wcześniej ojciec przed wyjazdem do Paryża oświadczył mu, że kończy się kredyt, ponieważ razem z matką zdecydowali o przenosinach do Francji. W ten sposób odciął go od pieniędzy. Jednak Michael był już uzależniony od hazardu. Zawsze

wierzył naiwnie, że się odegra, że jest w tym dobry. Ale w grach na duże stawki byli lepsi niż on, poza tym kusiły go nielegalne salony gry w Nowym Jorku, gdzie najprawdopodobniej grano albo oznaczonymi kartami, albo dwóch lub trzech wyjadaczy celowo obstawiało takiego jak on nadzianego durnia, pozwalając mu wygrać mniejsze sumy ze dwa lub trzy razy, ale potem ogrywali takiego gościa do cna. I to właśnie spotkało Michaela.

– Jestem ugotowany – powiedział załamany, siadając na krześle.

– Co zrobiłeś?

– Ukradłem ojcu pieniądze, żeby spłacić tamtych facetów, z którymi grałem i przegrałem. Grałem czekami bez pokrycia i teraz grozi mi kulka.

Jane w porywie wściekłości zdzieliła brata ścierką po twarzy, ale Michael, choć bojowo nastawiony, nie bronił się.

– Zniszczyłem jego plan wyjazdu do Francji, do ciebie – powiedział. – Nie wie, że tutaj jestem.

– Ile tego było?

– Dwieście tysięcy dolarów.

Jane nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Ty głupcze! Ty idioto...

Rozpłakała się. Tego było za dużo. Cały dorobek ojca! Samuel sprzedał większość nieruchomości w nadziei na załatwienie spraw związanych z przeprowadzką do Francji.

– Jak ukradłeś je ojcu?

– Znałem numer konta przecież. Podrobiłem jego podpis na czeku. Jane, posłuchaj, gdybym tego nie zrobił, ci faceci by mnie zabili.

– Mafia?

– Tak.

Wybuch wściekłości nic by już nie zmienił. Jane musiała obmyślić plan, jak mimo wszystko pomóc bratu. Syn marnotrawny szukał możliwości odkupienia winy. Gorączkowo rozważała, jak wyjść z tej sytuacji.

– Nie możesz tu zostać. Nie stać mnie na to, żeby cię utrzymywać – powiedziała. – Co jesteś gotów zrobić, żeby się zmienić?

Michael nie był człowiekiem złym, ale bez wątpienia lekkomyślnym. Miał świadomość tego, co zrobił Samuelowi, i gryzło go sumienie.

– Wszystko – odparł krótko brat marnotrawny.

– W takim razie bądź gotów na wszystko – odparła Jane, która właśnie wpadła na pewien pomysł.

*

Rejestracja ochotników odbywała się w pomieszczeniach na tyłach jednej z fabryk paryskich, które wynajęła redakcja dziennika „L'Humanité", organu Francuskiej Partii Komunistycznej. Jane pracowała tam codziennie przy spisywaniu życiorysów ochotników. Uważała to za bezsensowne. Gdy ktoś chciał walczyć, należało mu pozwolić. Denerwowała ją ta biurokratyczna obsesja, komunistyczna dokładność.

– Dlaczego tak prześwietlamy życie tych ludzi? – Któregoś dnia nie wytrzymała i zapytała o to wprost młodego komunistę z Jugosławii, który przybył ze Splitu w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców i przyprowadził wielu ochotników.

– Jesteście komunistką? – zapytał.

Był to postawny, wysoki mężczyzna, raczej nieokrzesany, ale sprawiał wrażenie sprawnego organizatora. Miał orli nos i wyglądał dość władczo. Jane odniosła wrażenie, że to człowiek bezwzględnie dążący do celu. Mówił po francusku płynnie, ale z wyczuwalnym akcentem.

– Dlaczego pan zwraca się do mnie przez wy?

– Tu nie ma panów. Jesteście komunistką czy nie?

– Nie, nie jestem – odparła Jane.

– To co tutaj robicie?

– Pomagam. Dlaczego miałabym się wam tłumaczyć? – Jane chciała już powiedzieć „pan", ale w porę ugryzła się w język. Ton tego człowieka ją irytował.

– To róbcie swoje i się nie wtrącajcie. Towarzysze chcą wiedzieć, kto tutaj przychodzi. Musimy to wiedzieć.

Zacisnęła zęby i przestała dopytywać. Nie zdawała sobie sprawy ze stalinowskiej paranoi. Świat drugiego totalitaryzmu był dotychczas przed nią ukryty.

Po południu, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich kwater, ów człowiek z Jugosławii o pseudonimie Tito zaczepił Jane.

– Przepraszam was, zachowałem się gburowato.

– Fakt.

– Dajcie zaprosić się do robotniczej tawerny na wino.

Dla Jane to była nowość. Nie była wcześniej w takim miejscu. Poszła nie bez pewnych obaw, ale Tito miał posłuch u tych ludzi. Usiedli w tawernie. Czuła na sobie wzrok mężczyzn, kobiet było zaledwie kilka, towarzyszyły mężczyznom. Panowała wesoła atmosfera, słychać było pieprzne żarty i wybuchy śmiechu. Dla Tity było to naturalne środowisko, dobrze się tu czuł. Zamówili karafkę wina.

– We Francji wino tanie jak u nas – powiedział.

– Jesteście z Jugosławii? Opowiedzcie mi o swoim kraju. Dla mnie to bardzo egzotyczne.

– Dlaczego? A skąd wy jesteście?

– Zgadnijcie.

– Mówicie z towarzyszami po niemiecku, więc pewnie jesteście z Reichu.

– Pomyłka.

– Ile jeszcze mam szans?

– Dwie.

– Czyli do trzech razy sztuka?

– Nie inaczej – odparła Jane, którą cała sytuacja zaczęła bawić.

– Może z Austrii?

– Też nie.

Tito miał ostatnią szansę. Dziewczyna mu się podobała, bez dwóch zdań. Błękitne oczy, kasztanowe włosy – zaskoczenie.

– Jesteście Francuzką?

Jane się zaśmiała. Tito przegrał i był bardzo niezadowolony.

– Jestem Amerykanką.

– Niesłychane! – Tęgo pociągnął wina. – Nigdy bym nie pomyślał, że jesteście z Ameryki. Dla mnie ten kraj to synonim dzikości. Ci wszyscy rewolwerowcy, Indianie, kowboje... I te wasze wielkie miasta, jak Nowy Jork. Chciałbym kiedyś tam pojechać, ale teraz mam inne zajęcia.

– Partię i Stalina?

Popatrzył na nią badawczo.

– Nie nadajecie się na komunistkę – oświadczył krótko, choć doskonale znał paranoję stalinizmu i był w niej na razie po uszy zanurzony.

– Nie, nie nadaję się – potwierdziła dziewczyna. – Jestem zbyt wolna, mam zbyt dużą potrzebę indywidualizmu.

Tito w zasadzie powinien zrobić jej wykład o niebezpieczeństwach indywidualizmu, który należy zastąpić kolektywnym myśleniem. Ale on patrzył na nią jak na atrakcyjną kobietę, a Jane to wyczuwała.

– Mieliście mi powiedzieć o swoim kraju.

– Jugosławia może być wielkim państwem, jeśli pokona swoje demony.

– Co to za demony? – zapytała Jane. – Lubię te metafizyczne porównania w ustach komunisty.

– Nacjonalizm Serbów, nacjonalizm Chorwatów i religia tych dwu nacji oraz islam, którzy wyznają Bośniacy i Albańczycy. Mój kraj jest złożony z wielu narodowości, które przez wieki musiały żyć pod panowaniem Turcji osmańskiej.

– Stąd islam?

– Tak. Ale religia sprzężona z nacjonalizmem to mieszanka wybuchowa. Naprawdę nic wam nie mówi nazwa „ustasze”? – zdziwił się Tito.

– Nie, pierwsze słyszę.

– A o zabójstwie francuskiego ministra Barthou i króla Jugosławii Aleksandra Karadziordziewicia w trzydziestym czwartym nie słyszeliście?

Jane czytała o tym w jakiejś nowojorskiej gazecie, ale kto wówczas przejmowałby się takim krajem jak Jugosławia i jakimś zamachem w Europie. Tito zrobił jej wykład o Jugosławii, zapoznał z nacjami ją zamieszkującymi, religiami – sam był ateistą i w religii widział zagrożenie dla jedności jugosłowiańskiej. Mówił dużo o swoim kraju, ale mało

o komunizmie jako takim. Dlatego też Jane, która była analityczką i miała podejście naukowe, szybko zdała sobie sprawę z tego, że ten człowiek o dziwnym przydomku Tito (prawdziwego imienia i nazwiska nie chciał jej podać) jest komunistą przede wszystkim dlatego, że pragnie w tej idei odnaleźć zwornik dla swojego kraju. Według niego popieranie Serbów przez nowego regenta Jugosławii, księcia Piotra Karadziordziewicia, nie było złe – sam Tito pochodził z mieszanej serbsko-chorwackiej rodziny, ale wierzył, że dopiero socjalizm może przynieść likwidację nacjonalizmu.

– Który z nacjonalizmów jest gorszy? Serbski czy chorwacki?

– Oba są trujące – odparł. – Ale nacjonalizm serbski jest przede wszystkim skierowany przeciwko muzułmanom, a dopiero w drugiej kolejności przeciw Chorwatom. To są bratnie nacje, ponieważ mówią tym samym językiem, choć zapisywanym inaczej, za pomocą cyrylicy lub alfabetu łacińskiego. Podporą Chorwatów jest ich fanatyczny katolicyzm, tak jak podporą Serbów jest fanatyczna Cerkiew prawosławna. Religia to kolejna trucizna, i wzmacnia tę pierwszą, czyli nacjonalizm.

– A teraz chcecie walczyć z faszyzmem w Hiszpanii?

– To mój obowiązek. Wielu ludzi z Jugosławii pojedzie walczyć za republikę i mam nadzieję, że nam kiedyś też ktoś pomoże przegonić króla i nacjonalistów. I urządzić Jugosławię na nowo – powiedział Tito.

Jane pomyślała, że ten mężczyzna musi być idealistą. Choć oczywiście nie znała jego wewnętrznych umocowań w partii komunistycznej i ceny, jaką musiał zapłacić w tym niebezpiecznym czasie. Jego żona, poznana w Moskwie austriacka komunistka Lucia Bauer, została wydana w ręce NKWD, tymczasem jemu sowiecka policja pozwoliła wyjechać przez Jugosławię i Francję do Hiszpanii.

– Życzę więc wam wszystkiego dobrego. Nie powiecie mi, jak się nazywacie naprawdę? – zażartowała na koniec, gdy karafka była już pusta.

– Nie mogę. Jestem Tito.

– A ja Jane. Mam nadzieję jeszcze z wami niejeden raz porozmawiać. Teraz muszę już iść.

– Pozwólcie mi się odprowadzić. Późno się zrobiło.

I towarzysz Tito odprowadził ją do mieszkania, w którym czekał jej brat utracjusz.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie znaczenie będzie miała dla niej ta znajomość. Ludzie napotkani na naszej drodze są nam dani przez los tylko na chwilę, ale czasem mają moc zmieniania życia. Jane i Tito po prostu się polubili. Ta przyjaźń miała się okazać w jej życiu większym bogactwem od złota.

*

W Paryżu tymczasem cały czas trwał proces rozpoznawania, szkolenia i wysyłania ochotników, o czym francuski rząd wciąż milczał, choć niektórzy funkcjonariusze policji byli wściekli na postawę władz.

Jane, dla której mieszkanie z bratem stawało się coraz większym obciążeniem, dostała list od ojca. Samuel pisał w nim, że ze względu na ogromne straty finansowe powstałe po kradzieży pieniędzy nie będzie w stanie przenieść się do Francji, jak planował. To był cios. Prosił o wybaczenie – cały Samuel! Aby uratować dom w Nowym Jorku, brał nowe, intratne sprawy sądowe i pracował całymi dniami. Postępek syna szczególnie źle zniosła Elisabeth. Zachorowała, jak to określił Samuel, na dziwny rodzaj melancholii przeplatanej płaczem i zamykaniem się na całe dnie w pokoju. Samuel oczywiście wyczuł, że Michael mógł uciec tylko do Francji, i nie miał o nic do Jane żalu. Jednak prosił ją usilnie, by nie dawała mu ani grosza z pieniędzy Rothsteina. Na szczęście przed kradzieżą Samuel zdążył przekazać trzydzieści tysięcy dolarów, które jej przysługiwały, do banku w Monte Carlo na terenie suwerennego miasta-państwa Monako, a Jane znała numer konta i hasło.

Dziewczyna odpisała ojcu, że wprawdzie Michael jest u niej, ale podjęła już decyzję, że będzie musiał zmyć z siebie hańbę. Wkrótce złoży mu propozycję nie do odrzucenia. List włożyła do koperty i idąc do swojej republikańskiej misji, wysłała go do Ameryki.

Tego dnia przybyła grupa ochotników do Brygad Międzynarodowych z Austrii. Należało ich wypytać o to i owo po niemiecku. Chętni czekali

na zewnątrz hali fabrycznej. Jane podeszła do okna. Nagle znieruchomiała. Jedna twarz była tak przerażająco znajoma, jak gdyby należała do człowieka, którego widziała wczoraj. Ta sama twarz i... niezwykła transformacja. Ubranie jak u robotnika. Znoszona marynarka była przesiana na łokciach, koszula czasy świetności miała dawno za sobą. Do tego wąsy i broda, która najwyraźniej z rzadka oglądała brzytwę, mydło i wodę kolońską.

– Idźcie natychmiast po Titę – poprosiła Jane.

Dwie Francuzki, które z nią pracowały, zauważyły, że Amerykanka – jak na nią mówiono – dziwnie się zachowuje, nienaturalnie. Jak nigdy. Jedna z nich oczywiście poszła po Titę, który wrócił niedawno z Hiszpanii. Szlak był trudny, bo wiódł z Paryża na granicę francusko-hiszpańską w Pirenejach, a potem do Albacete. Tito pojechał do Hiszpanii ze sprawdzonymi ochotnikami i teraz wrócił, by przewieźć przez granicę kolejną grupę.

– Co się stało, Jane? – Zawsze zwracał się do niej po imieniu. Lubili się.

– Ten człowiek. – Wskazała dłonią postać palącą papierosa wraz z innymi austriackimi ochotnikami. – Nazywa się Maksymilian von Hoym i jest oficerem niemieckim. To na pewno szpieg.

– Skąd wiesz?

– Bo jeszcze rok temu pracował na amerykańskim Uniwersytecie Harvarda. Był wtedy lektorem języka niemieckiego. To niebezpieczny człowiek – odparła zdecydowanie dziewczyna.

– Rozumiem, Jane – rzekł Tito. – Nie możemy go wystraszyć, bo ucieknie i niczego się nie dowiemy. Proponuję zrobić to tak...

*

Komisarz paryskiej policji Edgar Juvet był człowiekiem staroświeckim. Nigdy się nie ożenił, a znajomi dobrze znali jego starokawalerskie zwyczaje. Nie nadużywał alkoholu, nie chodził na dziwki, choć pewnie mógłby jako policjant mieć zniżkę w niektórych burdelach chronionych przez policję lub takich, które dawały politykom to, co chcą, ze zniżką. Był

zwolennikiem skrajnej prawicy francuskiej i kagulardem[15]. Komunistów nie znosił, a rządy Léona Bluma i jego Frontu Ludowego uznawał za nieszczęście dla Francji. Choć formalnie nie powinien tego robić, po godzinach śledził i badał członków formujących się we Francji Brygad Międzynarodowych, które walczyły w Hiszpanii. Uważał, że ktoś taki jak generał Franco przydałby się we Francji na półtora etatu.

Tego dnia, gdy dawny znajomy Jane pojawił się w punkcie werbunkowym Brygad Międzynarodowych, Juvet obserwował sytuację z kamienicy naprzeciwko hali fabrycznej. Właścicielka mieszkania, w którym przesiadywał, wdowa, zresztą kagulardka, nie miała nic przeciwko temu, byle tylko „ktoś dokopał czerwonym". Juvet miał lornetkę i przez na wpół otwarte okna hali fabrycznej, której właściciel wynajął ją redakcji komunistycznego pisma „L'Humanité", mógł widzieć, co się dzieje wewnątrz.

*

Zgodnie z decyzją Jugosłowianina przy przyjmowaniu ochotników zmieniła Jane francuska koleżanka, której asystował sam Tito. Zdemaskowany przez nią Niemiec niczego się nie domyślał. Podszedł do stolika, ale wtedy okazało się, że Francuzka nie zna niemieckiego. Tito w umówiony wcześniej sposób ją odprawił. Wtedy weszła Jane i zasiadła dokładnie naprzeciwko von Hoyma.

– Dzień dobry, Maksymilianie. Zdumiewająca metamorfoza – oświadczyła.

Von Hoym popatrzył na nią przez krótką chwilę całkowicie zaskoczony. Ale był profesjonalistą. Od właściwego zachowania zależało jego życie.

– Nie znam pani – oświadczył.

– Ale ja cię znam, Maksymilianie.

– Proszę, niech pani sprawdzi w dokumentach.

Jane zajrzała w papiery. Według nich siedział przed nią Manfred Schmidt. Jednak ona była zbyt sprytna, żeby się nie domyślić,

że dokumenty były doskonale sfabrykowane przez RSHA. Podała je Ticie, jego ludzie otoczyli Niemca.

– Proszę z nami na rozmowę.

Wtedy Maksymilian nie wytrzymał. Błyskawicznym ruchem zerwał się i wykręcił rękę jednemu z ludzi Tity. W jego dłoni błysnął sprężynowy nóż, zresztą ten sam, którym Niemiec zabił agenta FBI w Filadelfii. Jednak Tito i jego ludzie byli przygotowani na taką ewentualność. Jeden z nich zaszedł Niemca od tyłu i grzmotnął go silnie krzesłem. Maksymilian krzyknął, wypuścił nóż i zwalił się zamroczony na podłogę. Zamierzali go podnieść i zaciągnąć do jakiegoś ustronnego pomieszczenia, gdzie najprawdopodobniej agent niemiecki dostałby kulkę, a ciało trafiłoby w nocy do Sekwany.

Tak by się stało, gdyby nie wtrącił się w to Edgar Juvet, który obserwował wszystko z okna kamienicy naprzeciw i – wiedziony instynktem – ruszył do fabryki, gdy tylko zauważył, że rozmowa z tym ochotnikiem przebiega w inny sposób niż zazwyczaj.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał, podnosząc legitymację policyjną, żeby wszyscy dokładnie ją zobaczyli.

Teraz to Tito, Jane i pozostali ochotnicy byli zaskoczeni. Unieszkodliwienie w ten sam sposób francuskiego policjanta nie wchodziło w rachubę. Było nie do przyjęcia. Mogłoby znacznie pogorszyć sytuację półlegalnie działającego ośrodka do przerzutu ochotników do Hiszpanii.

– Mamy tutaj nieporozumienie w rodzinie – rzekł Tito.

– Niech pan nie robi ze mnie durnia. Zdaje się, że napadliście tego człowieka. Dlaczego?

Maksymilian po uderzeniu krzesłem stracił na chwilę przytomność, ale już powoli dochodził do siebie.

– Niech mnie pan stąd zabierze – powiedział po francusku, co stanowiło dla Tity dowód, że Jane mówiła prawdę.

– Ten człowiek jest niemieckim agentem i działa też przeciw Francji – rzekł, choć wiedział, że agent SD się wywinie.

– To już ja ocenię – powiedział Juvet.

I zabrał Niemca ze sobą.

*

Po tym wydarzeniu Jane zdała sobie sprawę z tego, że teraz na pewno w Niemczech jest spalona, a von Hoym, zdemaskowany jako agent hitlerowskiej służby bezpieczeństwa, to jej osobisty i przez to śmiertelny wróg. Miała przeczucie, że zagrożenie kiedyś wróci, ale też wiedziała, że zrobiła dobrze, demaskując agenta, który mógł mocno namieszać w Hiszpanii. Problemem był też brat, pogrążony w całkowitej apatii. Jane uznała, że Michael musi mieć jakiś cel w życiu. Być może powinien doznać wstrząsu, który sprawi, że przepracuje swoją naturę i stanie się kimś innym. Było w tym myśleniu trochę naiwności, ale dwudziestokilkuletnia dziewczyna ma prawo tak myśleć. Jedno wiedziała z całą pewnością – brat był tak bardzo zapatrzony w siebie, że zapewne niełatwo będzie go przekonać do jej propozycji.

– Michael, chcę, żebyś zrobił coś ze swoim życiem. Coś dobrego i pożytecznego.

– Co masz na myśli? – zapytał, popijając jakieś tanie wino i gryząc bagietkę.

Jane była zdeterminowana, by załatwić wreszcie tę sprawę.

– Myślę, że nie jesteś złym człowiekiem. Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś ojcu, i wiesz, że na razie nie możesz wrócić do USA. Tutaj też nie możesz zostać. Ja mam swoje pieniądze, mniejsza o to skąd.

– Po twoim biologicznym ojcu – rzekł Michael, ale nie zabrzmiało to konfrontacyjnie.

– A więc wiesz? Tym lepiej. Zdecydowałam się na życie we Francji i zrobię wszystko, żeby ściągnąć tutaj Samuela i mamę, choć pewnie nie będzie łatwo po tym, co zrobiłeś. Chcę, żebyś odnalazł cel życia. Proponuję, abyś wstąpił do Brygad Międzynarodowych. Dwunasta brygada imienia Lincolna grupuje Amerykanów i część Brytyjczyków, którzy walczą

przeciwko faszystom w Hiszpanii. Dołącz do nich. Wielka wina może być zmazana przez wielką ofiarę.

Jane sama była zaskoczona, że to powiedziała. Wyszedł jej aforyzm w stylu Nietzschego. Teraz spodziewała się ataku histerii Michaela oraz jego natychmiastowej odmowy, ale miło się zawiodła.

– Zgoda.

Jane parsknęła z niedowierzaniem, wietrząc jakiś nowy podstęp brata, któremu nie ufała w pełni.

Jednak Michael też uważał, że to dobry pomysł. Nie chciał siedzieć w Paryżu jak pasożyt. Wiedział, że uzależnił się od hazardu, ale nie był skończonym draniem, za jakiego mieli go z pewnością ojciec i siostra. Chciał odkupić winę, a poza tym nie docierało do niego, że może zginąć. Młodzi ludzie myślą, że będą żyć wiecznie, a Michael nie był wcale wyjątkiem. Pragnął też naprawić relacje z ojcem – skoro nie mógł mu oddać pieniędzy, mógł przynajmniej wrócić jako bohater wojenny.

Następnego dnia zgłosił się na ochotnika do Brygad Międzynarodowych. Jane wyjawiła jego tożsamość Ticie, który spojrzał na dziewczynę jeszcze bardziej zadziwiony. Zaczynała się wojenna tułaczka Michaela.

Rozdział XIV

Aresztowanie

Paryż, w tym samym czasie

Edgar Juvet patrzył Niemcowi w twarz w areszcie. Policjant powinien teraz sprawdzić dokumenty, którymi ów niedoszły kandydat do Brygad Międzynarodowych się posługiwał. Powinien zadać wiele pytań. Ale nie zrobił tego. Juvet wyjął paczkę papierosów i poczęstował Niemca. Ten ochoczo zapalił.

– Lubię francuskie papierosy – powiedział czystym francuskim, bez akcentu. – Są lepsze od niemieckich. Tytoń jest delikatniejszy. Choć oczywiście palenie chyba nie jest zdrowe, tak przynajmniej twierdzi Führer, który nie znosi zapachu papierosów i palenia w swojej obecności.

Ta deklaracja w zasadzie mogłaby służyć jako przedstawienie się. Juvet to wiedział i Niemiec też to wiedział. Od nich dwóch zależało, jak ta nowa, zaskakująca dla nich samych znajomość się rozwinie.

– Za co pana tak sponiewierali?

Niemiec zaciągnął się papierosem.

– Naprawdę dobre – rzekł i puścił kółko z dymu. – Jedna z tych kobiet to Amerykanka żydowskiego pochodzenia, która mnie zdemaskowała. Jest niebezpieczna dla Niemiec i myślę, że może być niebezpieczna dla Francji.

– W jakim sensie? – zapytał Juvet.

– Nie widzi pan, że kuma się z czerwonymi? Myślę, że we Francji macie z nimi same problemy.

– To prawda. Niech mi pan opowie o tej Amerykance.

Von Hoym, korzystając z okazji, wyłożył całą historię tak, jak gdyby Jane była jedną z najniebezpieczniejszych agentek Kominternu, która przeniknęła na niemieckie uniwersytety, do arystokratycznego domu, a zdemaskowana przez hitlerowską służbę bezpieczeństwa uciekła do Francji i tylko przez przypadek wpadł na nią agent niemiecki. Nie miał zamiaru podawać francuskiemu policjantowi swojego prawdziwego imienia i nazwiska, ale słusznie wyczuł, że łączy go z nim antykomunizm.

– To ciekawe, co pan mi mówi – rzekł Juvet. – Proszę na drugi raz uważać, bo może mnie nie być w pobliżu. – Mówiąc to, oddał Niemcowi dokumenty.

Von Hoym nie dziękował ludziom, ale tym razem poczuł sympatię do francuskiego stróża prawa.

– Kto wie, czy kiedyś nie zostaniemy sojusznikami – oznajmił na odchodne.

– Biorąc pod uwagę relacje naszych krajów, niestety, będzie to bardzo trudne – odparł Juvet.

Maksymilian był wolny. Wprawdzie nie miał czego szukać w Brygadach Międzynarodowych i z pewnością szef Reinhard Heydrich będzie znów wściekły, ale przecież nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wyszedł z komisariatu i zniknął gdzieś w Paryżu.

*

Jane zupełnie nie podejrzewała, jakie kłopoty miały się zwalić jej na głowę za sprawą upierdliwego policjanta. Cały czas pomagała w punkcie werbunkowym Brygad Międzynarodowych. A Juvet zaczął ją śledzić. Notował, skąd wychodziła i dokąd szła – codziennie, co do minuty. Aż w końcu, pod koniec kwietnia 1937 roku, gdy szła chodnikiem, zatrzymał się przed nią citroën traction avant w kolorze grafitowym.

– Pani Jane Coulfield? – zagadnął Juvet, wysiadając z samochodu.

– Tak – powiedziała zdezorientowana Jane.

– Proszę ze mną. Jest pani zatrzymana.

– Co takiego? Jakim prawem?

– Jest pani osobą o nieuregulowanym statusie prawnym. Proszę za mną.

Juvet chwycił dziewczynę pod ramię i poprowadził do samochodu. Na szczęście zatrzymanie odbyło się niedaleko hali fabrycznej, gdzie przybywali ochotnicy – może nie tak masowo jak na początku hiszpańskiej wojny domowej, ale jednak codziennie kilka osób zgłaszało się do centrum rekrutacji pod szyldem dziennika „L'Humanité". Ktoś natychmiast zawiadomił tych ludzi, że Amerykanka została zatrzymana – a przynajmniej tak to wyglądało. Jednak Tito od dwóch tygodni był znów na kursie do Hiszpanii. Uznano więc, że zabrał ją jakiś przyjaciel lub facet, z którym się zadawała. Nikomu przez myśl nie przeszło, że Jane była singielką.

Zniknęła. Brat pojechał z ostatnim transportem ochotników na Półwysep Iberyjski. Nie było nikogo, kto by jej pomógł, kto w ogóle by zauważył, że wyparowała.

*

Jane została przewieziona do komisariatu policji przy placu Bastylii. Tam Juvet przesłuchiwał ludzi w swoim gabinecie. Była bardzo wzburzona, ale w samochodzie przypomniała sobie radę Samuela, który kiedyś powiedział jej, że gdyby kiedykolwiek została zatrzymana, ma żądać prawnika, niczego nie podpisywać, domagać się potwierdzenia swoich niezbywalnych praw, a w przypadku zatrzymania za granicą – powiadomienia ambasady. Jednak z uwagi na skomplikowaną sytuację jej i Samuela ambasada odpadła jako miejsce szukania ratunku.

Musiała się poddać procedurze jak przy aresztowaniu. We Francji wyglądało to podobnie jak w Ameryce. Odciski palców, choć daktyloskopia wciąż się rozwijała. Trzy fotografie – jedna en face, dwie z boku. Nie zastosowano przeszukania osobistego ani kontroli osobistej. Po zakończeniu tych czynności Juvet kazał dziewczynie usiąść naprzeciwko siebie. Na jego biurku, wielkim jak w gabinecie Ludwika XVI, walały się papierzyska, teczki, zmięte kartki i ołówki.

– Ma pan niezły bajzel na tym biurku. Czy otrzymam informację, na jakiej podstawie zostałam zatrzymana? – Jane, nie czekając, opanowała strach i przeszła do ataku.

– Ja tutaj zadaję pytania – odparł sucho Juvet.

– No nie mogę się doczekać.

Glina dalej czegoś szukał w papierzyskach. Gdy już to znalazł, otworzył kałamarz, pióro wieczne i zaczął wypełniać formularz.

– Imię i nazwisko.

– Proszę sobie z paszportu odpisać. Nie pomyli się pan przy przepisywaniu.

Jane celowo grała mu na nerwach. Nie miała zamiaru być pokorna i czekać na to, co przyniesie los. Juvet musiał spisać dane z dokumentów.

– Data urodzenia i imię ojca.

– Tam wszystko jest napisane. Zakładam, że umie pan czytać.

Znów to samo.

– No więc jest pani we Francji nielegalnie.

– I co z tego?

– Jest pani nielegalnie – powtórzył Juvet. – I do tego podjęła się pani pomocy nielegalnej organizacji komunistów, przerzucającej ochotników do Hiszpanii, co łamie ramy komitetu nieinterwencji, którego stroną jest Francja.

– Nie odpowiem na żadne pana insynuacje. Chcę zadzwonić do prawnika.

– Nie zgadzam się.

– Chcę skorzystać z moich praw.

– Nie chce pani współpracować z władzami. To niełądnie. Dostanie pani dziś izolatkę.

– Co? Jakim prawem?

– Dość tego, kurwa mać! – krzyknął Juvet. – Wiem o tobie wszystko, ty komunistyczna pindo!

Z wściekłością chwycił słuchawkę aparatu telefonicznego i wybrał wewnętrzny numer na podwójnej alfanumerycznej tarczy.

– Do aresztu z nią! Do szóstki!

Po chwili weszło dwóch innych francuskich gliniarzy, którzy dość obcesowo wzięli ubraną w zimowy płaszczyk dziewczynę pod ręce i poprowadzili na korytarz, potem w dół, do piwnicy. Szósta cela znajdowała się w głębi. Było to pomieszczenie bez okien, pogrążone w ciemności, z brudnym, cuchnącym siennikiem zamiast łóżka. Jak widać, Juvet zaliczył ją do grona wyjątkowo niebezpiecznych przestępców.

*

Z uwagi na niskie temperatury noc w nieogrzewanej celi była dla Jane straszna. Siedziała na brudnym sienniku w całkowitej ciemności, bez pieniędzy, bez dokumentów. Rozpłakała się. Płakała długo, to przyniosło jej ulgę. Starała się masować palce stóp, by zapobiec drętwieniu. W celi cuchnęło, ale jakoś opanowała mdłości. Dla osoby przyzwyczajonej do życia na pewnym poziomie stanowiło to tak dalece ekstremalne

doświadczenie, że osoby o słabszym charakterze załamałyby się. O to chodziło Juvetowi. Jane miała się załamać, zacząć skamlać o litość, po czym on łaskawie zgodziłby się na deportację.

Ta ciężka noc była nowym doświadczeniem – przerażającego opuszczenia, w którym nikt nie może pomóc, w którym została odcięta od wszystkich przyjaciół i rodziny. W pewnym momencie straciła poczucie czasu. Po północy, w przeraźliwym zimnie, zmęczenie ją pokonało i usnęła. Śniła o dziwnym miejscu, nad wielką rzeką, otoczonym drutem, z którego nie sposób było się wydostać. Najgorsze jednak było to, że w tym śnie miała dziecko! Nie chciała go i odrzucała. Ale wracało do niej. Obudziła się nad ranem i przypomniała sobie słowa Elisabeth, swojej matki, że kiedy śni się dziecko, to oznacza kłopot.

A co ja teraz mam, jeśli nie kłopoty? – przemknęło jej przez myśl.

Po chwili usłyszała zgrzyt klucza. Przestraszyła się bardzo. Jednak nagle rozległ się inny dźwięk. Dostrzegła wiaderko lub jakiś drewniany przedmiot na podłodze. Okazało się, że ktoś szorował podłogę, moczył szczotkę i znów szorował. Jane wydawało się, że to sprzątaczka.

– Proszę pani, czy pani mnie słyszy?

Tajemniczy ktoś przerwał pracę. Zapadła cisza.

– Jest tutaj ktoś? – zapytał kobiecy głos.

– Tak, nazywam się Jane – powiedziała przerażona dziewczyna, nie chcąc spłoszyć sprzątaczki. – Proszę zawiadomić moją rodzinę. Trzymają mnie tutaj bez oskarżenia, bez zarzutów.

– Ja nie mogę – rozległ się głos za drzwiami. – Ja tutaj tylko sprzątam. Wyrzucą mnie, jeśli się dowiedzą.

– Nikt się nie dowie – uspokajała Jane. – Proszę mi pomóc. Błagam.

Chwila nieznośnego milczenia.

– Dobrze, kogo zawiadomić?

– Gertrude Stein. – Jane podała jej alfanumeryczny numer dostosowany do podwójnej tarczy aparatu. – Zapamięta pani?

Sprzątaczka powtórzyła numer.

– Proszę go sobie powtarzać. Dziękuję.

Kobieta skończyła czyszczenie cel, ale oczywiście do szóstki nie weszła. To była cela specjalnego przeznaczenia, dla specjalnych przestępców. Takich jak Jane.

Mijały kolejne godziny. Dziewczyna mogła sobie dawać jakoś radę bez jedzenia, ale nie bez wody. W końcu ktoś zszedł na dół, zgrzytnął klucz w zamku i masywne, podkute żelazem drzwi się otworzyły.

– Wyłaź! – zasyczał Juvet.

Jane z trudem wstała, otrzepała się z brudu. Wydawało się jej, że cała przeniknęła ohydnym odorem tego miejsca. Niemal się potykając, podążyła do otwartych drzwi. Cela numer sześć znajdowała się na końcu korytarza, więc musiała przejść sporą odległość, a potem jeszcze wejść na ostre, betonowe i chropowate schody. Kręciło się jej w głowie, ponieważ przez wiele godzin nie miała dostępu do świeżego powietrza. Juvet na nią czekał, wyszedł sam z piwnicy i teraz stał na górze. Kiedy dziewczyna już się wygramoliła, kazał jej za sobą iść. Dopiero teraz zauważyli ją inni pracownicy policji francuskiej – gdy szła przez korytarz, upokorzona, brudna, śmierdząca od pobytu w zatęchłej celi. Rozległy się szepty, czy może tym razem twardy i nieustępliwy dla złodziei, morderców i czerwonych komisarz nie posunął się za daleko. Jane nie wyglądała ani na złodziejkę, ani morderczynię. Może była czerwona, a może nie, ale policjantom takie traktowanie kobiety – nawet jeśli uprawiała najdawniejszy zawód świata, a takie w komendzie też się zdarzały – zdecydowanie nie odpowiadało.

Juvet był nadal nieubłagany.

– Proszę siadać.

To samo miejsce, to samo krzesło. Znów przesłuchanie. Te same pytania. Jane miała dość. Naprawdę była na krawędzi załamania. Jednak Juvet nie zdążył się na dobre rozkręcić, gdy w komisariacie zaczął się jakiś rwetes. Ktoś zaczął krzyczeć. Policjanci, którzy przyszli rano do pracy, wyszli z pokojów, zaalarmowani hałasem. Jakaś kobieta – średniego wzrostu, z krótko obciętymi włosami, władcza, której tembr głosu zdradzał narastającą wściekłość, niczym brzęk gniazda szerszeni – głośno żądała:

– Gdzie jest Jane Coulfield?! Każdego z was, który brał udział w tym pogwałceniu prawa, moi adwokaci doprowadzą do bankructwa.

Wskazano jej drogę. Nie pukała ani nie czekała na zaproszenie – po prostu wparowała do gabinetu komisarza Juveta, który nagle kompletnie utracił pewność siebie.

– Gertrude! – krzyknęła z radości Jane.

Jednak Gertrude Stein, którą łatwo było wkurzyć, teraz wpadła w rytm walki. W takim stanie ścierała politycznych przeciwników na pył i proch.

– Pan jest odpowiedzialny za ten skandal!? Pan miał strzec porządku i prawa, a zamienił pan bycie policjantem w polowanie na czarownice! Ja tego tak nie zostawię, przysięgam! Aresztował pan i bez podania zarzutów przetrzymywał obywatelkę amerykańską! Poskarżę się na pana do ambasady oraz do MSZ Republiki Francuskiej! Obiecuję panu skandal i wylanie na pysk z pracy! Miłego dnia!

Choć Gertrude Stein, literacka gwiazda Paryża, miała swoje lata, jej dusza była zawsze młoda i skora do walki o dobre książki lub o przyjaciół w biedzie, których spotkało świństwo. Zbaraniały Juvet nie protestował, usiadł z wrażenia po przemowie paryskiej sławy.

Kobiety wyszły razem z komisariatu.

*

Michael trafił do brygady składającej się z Amerykanów, Brytyjczyków i Kanadyjczyków, znanej jako XV Brygada Międzynarodowa imienia Abrahama Lincolna. Miał szczęście, że znalazł się w 60. Batalionie MacKenzie-Papineau, który w większości był kanadyjski. Do tego służyło tam kilkunastu nad wyraz głośnych i nieznoszących wszelkich rozkazów, szarż i hierarchii anarchistów. Michael zrozumiał, że intuicja siostry, by zniknął w Brygadach Międzynarodowych, była dla niego nadzwyczaj korzystna. Po raz pierwszy w życiu poczuł też do niej coś w rodzaju wdzięczności. Zauważył, że jego towarzysze broni – ludzie, którzy się nie znali, którzy nigdy wcześniej się nie spotkali – tutaj stworzyli coś na kształt społeczności. Nie było w niej hierarchii.

Dla Michaela ta wojna zdawała się jakimś romantycznym mitem, wydarzeniem w stylu wojny secesyjnej, w której jakiś jego przodek wziął udział. Podobały mu się musztra, szkolenia z obsługi broni, czołganie się z bronią pod rozpiętym drutem kolczastym – tak, żeby nie poharatać sobie pleców – też stanowiło jakieś ożywcze decorum, dzięki któremu Michael zaczynał patrzeć inaczej na swoje życie.

– Palisz, bracie? – zadał mu pytanie rudy Kanadyjczyk z małej wioski z prowincji Saskatchewan.

Michael swoim burżuazyjnym przyzwyczajeniem zabrał z Francji kilka paczek tamtejszych papierosów, które tutaj uchodziły za rarytas. W porównaniu z tym, co pojawiło się w Hiszpanii po przyjeździe Rosjan, był to poziom Wersalu.

– Poczęstuj się – zaproponował.

– Nazywam się Damien.

– Michael, miło mi. – Brat Jane wyciągnął rękę.

– Jesteś Amerykaninem?

– Najprawdziwszym Jankesem z Nowego Jorku.

– Co sprawiło, że chcesz tutaj być? – zapytał Damien.

– To bardzo długa i skomplikowana sprawa.

– A moja prosta. Rodzice uprawiają zboże. Ciężko nam, ale kiedy się dowiedziałem, że w Hiszpanii wybuchła wojna, natychmiast się zaciągnąłem.

Michael uciekał przed swoim życiem. A Damien na oko nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Za mało, żeby pamiętać ostatnią wielką rzeźnię. Nagle życie prowincjonalnego Kanadyjczyka – zwyczajne życie, jakich pełno pod słońcem – zainteresowało nowojorczyka.

– Zostawiłeś rodziców? Masz rodzeństwo?

– Trzech starszych braci. Są dobrzy i zostali na farmie. Znają tylko takie życie. Mnie pociąga świat – odparł chłopak.

– I nie masz dość rycia twarzą w błocie?

– Nie, jestem przyzwyczajony do ciężkiej pracy.

Poopowiadali sobie swoje historie. Michael nigdy dotąd się przed nikim tak nie otworzył. Może wspólnota losu i ryzyko śmierci sprawiały, że nieznani ludzie spowiadali się sobie nawzajem? Rankiem następnego dnia obudzono ich i zapakowano na ciężarówki.

– Jedziecie na front w okolicy Segowii – powiedział jakiś starszy podoficer mówiący ze szkockim akcentem.

Michael przytulił się do broni. Był to meksykański karabin Fusil model 1912, kopia niemieckiego gewehra 98. Bardzo dobrze wykonany. Gwarantował celność. Michael musiał nauczyć się strzelać na trzymiesięcznym szkoleniu. Ale ściskając tę broń, miał wrażenie, że między śmiercią i nim jest już tylko ona. Przygarnął ją do siebie i zasnął, gdy samochód jechał po wyboistych drogach Hiszpanii.

Rozdział XV

Długi cień Heideggera

Paryż, koniec kwietnia 1937

– Nie wyglądasz dobrze, moja droga! – powiedziała z troską Gertrude Stein, patrząc na młodą dziewczynę, która wciąż przeżywała nagłe aresztowanie i osadzenie w cuchnącej celi.

– Nie wiem, dlaczego mnie to spotkało.

– Wszystko ma swoje wytłumaczenie. Czy kiedykolwiek zetknęłaś się z tym policjantem? Pomyśl, proszę.

Po zastanowieniu Jane opowiedziała Gertrude o von Hoymie. Zajęło jej to chwilę. Pisarka oczywiście uwielbiała, kiedy ludzie zwierzali się jej z kłopotów. Czasem to ona pomagała, a czasami inni pomagali jej.

– To dla mnie oczywiste, że nasz policjant jest w zmowie z tym Niemcem, von Hoymem – skwitowała opowieść Jane. – To znaczy, że naraziłaś się w widoczny sposób oficerowi niemieckiej policji. Niemcy

są krajem policyjnym i z nimi nie ma po prostu żadnej uczciwej dyskusji. Musisz sobie znaleźć inne, lepsze zajęcie, gdzie przynajmniej płacą. Przecież żyjesz ze swoich oszczędności. To niepraktyczne i nieefektywne, choć szalenie popularne, nie ukrywam. Większość pisarzy czy filozofów, których znam, to okropnie niepraktyczni ludzie. Sami nic nie mają, lub prawie nic, i radzą innym, jak też nie mieć nic. – To było akurat autoironiczne. Gertrude Stein lokowała swoje pieniądze z książek na giełdzie paryskiej i zarabiała z powodzeniem. Ona mogła być rentierką, bo jej pieniądze na nią pracowały.

– A ten policjant?

– Nim się nie przejmuj. Mam znajomości w rządzie. Już oni się nim zajmą. – Gertrude zamilkła na chwilę, najwyraźniej coś rozważała. – Czy nie zastanowiłabyś się nad pomocą żydowskim uchodźcom politycznym w Europie? – zapytała.

– Co masz na myśli, mówiąc o uchodźcach politycznych?

– Żydzi nie mogą czuć się bezpiecznie w wielu krajach Europy. We Francji antysemicka jest skrajna prawica. Wciąż mnie zastanawia, ilu urzędników, żołnierzy i polityków w tym kraju z radością poparłoby ustawodawstwo antyżydowskie jak w Niemczech – stwierdziła Gertrude Stein. – Popatrz na to, co się stało w Austrii. W Rumunii, na Węgrzech, w Polsce i w Jugosławii tendencje antysemickie także są bardzo silne. Ze wszystkich tych krajów ludzie decydują się na aliję do Palestyny pod brytyjskim mandatem.

– Ktoś organizuje takie centrum w Paryżu?

– Rothschildowie. Napiszę ci list polecający, gdybyś chciała pomóc i popracować. Czasami przewijają się tam fascynujący ludzie, jak na przykład niemiecka filozofka, która uciekła przed Hitlerem do Francji.

Jane bardzo to zaintrygowało.

– Kto to taki?

– Nie znam jej zbyt dobrze, rozmawiałyśmy raz na przyjęciu u baronessy Rothschild. Ona jest bardzo aktywna i interesuje się polityką. Przynajmniej

tak mi się zdawało, bo ja sama się nią interesuję – rzekła Gertrude. – Nazywa się chyba Arendt. Jakoś tak.

Jane uznała, że musi poznać tę kobietę.

*

Komisarz Juvet po nieoczekiwanym zwrocie akcji został wezwany do gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do pałacu Beauvau. Czekał na niego wściekły minister Roger Salengro, który w rządzie Léona Bluma pełnił funkcję szefa MSW oraz policji. Juvet czuł, że zostanie wylany z pracy. Bał się tego śmiertelnie, ponieważ nie umiał w życiu nic innego. Stanął przed ministrem w nienagannie wyprasowanym mundurze. Służbista w każdym calu.

– Czy pan, Juvet, wie, na czym polega teraz największy problem naszego kraju? – zapytał minister.

– Na walce z przestępczością?

– To też, ale dużo ważniejszy jest wewnętrzny spokój. Nasz rząd i republika są w bardzo trudnej sytuacji ze względu na toczącą się wojnę w Hiszpanii.

– Właśnie dlatego powziąłem pewne kroki... – usiłował się bronić Juvet.

– Pan swoim nieodpowiedzialnym działaniem na własną rękę położył na szali honor Francji! Czy pan sobie zdaje sprawę, że dziś rano musiałem się tłumaczyć amerykańskiemu ambasadorowi?

– Nie.

– No bo i skąd miałby pan wiedzieć. Nie życzę sobie, żeby interesował się pan centrum rekrutacji Brygad Międzynarodowych do Hiszpanii. Nasz rząd formalnie przystąpił do komitetu nieinterwencji, ale nie możemy przymykać oczu na postępy faszystów w Hiszpanii, na to, co robią tam Niemcy i Włosi. Dlatego od dziś przestaje się pan w ogóle interesować sprawami politycznymi jak ta, a zajmie się pan, jak zresztą był pan uprzejmy zauważyć, przestępstwami. Z tego powodu awansuję pana na szefa policji w Lannion w Bretanii.

Juvet stał jak zamurowany. Spodziewał się wylania, a tymczasem dostał kopa na prowincję.

– Nie podziękuje mi pan? To idealne stanowisko. Małe miasteczko. Morze. I pilnowanie, czy nie pokłócili się rybacy – powiedział z sarkazmem minister.

– Dziękuję.

– No ja myślę. A teraz won, żebym nie musiał już na pana patrzeć.

Juvet wyszedł. Ocalił głowę. Postanowił, że zniesie zesłanie do Bretanii, ale kiedyś wróci do Paryża i rozliczy się z tą gównianą III Republiką, która takiego obywatela jak on, tradycjonalistę walczącego z komunistami, zsyła na odległą prowincję.

Mój czas nadejdzie – pomyślał Juvet.

*

Trzy tygodnie później, kiedy Jane w zasadzie doszła do siebie po gwałtownej, nieoczekiwanej i nieprzyjemnej przygodzie z komisarzem Juvetem, zadzwoniła z dobrą wiadomością Gertrude Stein.

– Twój artykuł do gazety „Le Figaro" został zaakceptowany. Nawet zapłacą ci wierszówkę. Nie za wiele, ale zawsze coś.

– Dziękuję ci bardzo, Gertrude!

– Jutro kolejne spotkanie u baronessy Rothschild. Trzeba wpłacić pewną sumę na żydowskich uchodźców.

– Mam z czego – odparła Jane, myśląc o pieniądzach po Rothsteinie.

– Zadziwiasz mnie, moja droga. Taki datek może otworzyć ci wiele drzwi.

Umówiły się zatem na osiemnastą. Gertrude miała przyjechać po nią samochodem. Jane szybko znalazła coś w swojej garderobie, którą zdołała skompletować w paryskich butikach. Uznała, że czerń, wzmocniona czerwienią szala, pasuje na takie wieczory. Kupowanie ubrań i kosmetyków zawsze sprawiało jej radość. To była próżność, na którą z przyjemnością sobie pozwalała.

Gertrude i Alice B. Toklas – za kierownicą – zjawiły się o czasie. We trzy pojechały do baronessy Rothschild, przyjmującej gości w paryskim pałacu

przy rue Berryer 11 w 8. dzielnicy. Jane przypomniały się czasy Nowego Jorku, gdy towarzyszyła Samuelowi i Elisabeth w odwiedzinach u różnych ważnych ludzi, zazwyczaj bardzo bogatych i wpływowych. Przed bramę wjazdową co chwilę zajeżdżały nowe samochody. Lokaje w liberiach witali gości i pokazywali, gdzie należy się udać. Baronessa przyjęła życzliwie Gertrude, jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci paryskiego świata literackiego, i jej towarzyszki.

Pierwsza część spotkania poświęcona była pomysłowi pomocy Żydom, szczególnie tym ciężko doświadczanym przez reżim hitlerowski w Niemczech. Jane dowiedziała się kilku ważnych rzeczy. W drugiej części baronessa zaprosiła wszystkich na mały poczęstunek i lampkę wina.

Wtedy Jane została przedstawiona kobiecie, o której wspominała jej Gertrude Stein. Była to osoba o niezwykle wyrazistej urodzie – aszkenazyjska piękność o ciemnych włosach i oczach, które kryły w sobie inteligencję i ciekawość świata.

– Jane Coulfield.

Kobieta wyciągnęła dłoń.

– Hannah Arendt.

– Gertrude wspominała mi o pani sytuacji. Jestem w stanie pomóc, przynajmniej finansowo, gdyby zdecydowała się pani na wyjazd do Ameryki.

Hannah Arendt wydała się skonfundowana słowami Jane. Przyjmowanie pomocy od ludzi, zwłaszcza nieznanych, jest przecież krępujące.

– Czuję się zakłopotana...

– Niepotrzebnie. Wydaje mi się, że mamy wspólną pasję, jaką jest filozofia. Chciałabym panią zaprosić na obiad i długą rozmowę o niemieckiej filozofii.

Hannah Arendt zaskoczyła dobroć Jane, która dzięki pieniądzom po gangsterze mogła przynajmniej w kwestiach finansowych naprawdę wiele. W jej wieku raczej nie spotykało się kobiet rentierek, żyjących z kapitału. Świat 1937 roku nie miał kobiecie mądrej i wykształconej jak

na swój czas zbyt wiele do zaproponowania. Żeby osiągnąć sukces, musiała dwa razy bardziej się starać niż mężczyzna o podobnych kwalifikacjach i możliwościach intelektualnych. A już kobiecie o genialnej intuicji filozoficznej, o umyśle większym od niejednego z jajogłowych profesorów, członków kasty Oxfordu, Cambridge czy Harvardu, ale bez dokumentów poświadczających obywatelstwo jakiegokolwiek kraju i prawie bez pieniędzy, ten świat nie miał nic do zaoferowania. Ale wciąż jeszcze była nadzieja – mogła jej przecież pomóc inna kobieta.

*

Paryż, a konkretnie Dzielnica Łacińska, ma mnóstwo antykwariatów i księgarni prowadzonych przez ludzi kochających słowo drukowane. Jane należała do tych, którzy spędzali tam mnóstwo czasu. Szukała przede wszystkim literatury filozoficznej.

– Co pani kupiła? – Przyjemny kobiecy głos odezwał się po niemiecku, gdy Jane przeglądała francuskie prace o Kierkegaardzie.

– Jeszcze nic nie zdążyłam kupić – odparła w tym samym języku i odwróciła się.

Spotkały się znowu: dwie kobiety, dwie filozofki. Obie doświadczyły tego samego zła, choć jeszcze tego o sobie nie wiedziały.

Tym razem Jane miała graniczące z pewnością przeświadczenie, że ta znajomość przetrwa długie lata. Czytała o tym, ale nigdy osobiście nie doświadczyła sytuacji, w której instynktownie, na zasadzie przeczucia i intuicji wiemy, że napotkany drugi człowiek, drugie niepowtarzalne istnienie, jest tą osobą, z którą chcemy spędzić czas i która nas nie zawiedzie.

– Chodźmy na obiad. Opowiem pani, czego doświadczyłam.

– Może po prostu mówmy sobie po imieniu – zaproponowała Hannah Arendt.

Poszły do małej knajpki, gdzie pachniało dobrym jedzeniem i ludzie często wymieniali się przy stołach. Jane zamówiła butelkę alzackiego wina

białego, zupę z dyni, omlet z szynką i szpinakiem oraz duszoną w winie polędwicę wołową.

– Nie ma zadowalającej książki o filozofii jedzenia – zauważyła.

– Bo Europejczycy nie traktują jedzenia jako czegoś wartego filozofii. Europejczyków zajmują dalekosiężne pytania. Co to jest byt? Jak istnieje dusza? Czy poznajemy świat rzeczywiście, czy tylko wydaje się nam, że coś wiemy naprawdę?

Jane uśmiechnęła się. Hannah Arendt była jej odbiciem, nie dosłownym oczywiście, ale potrafiła mówić o filozofii tak jak ona. Jane pomyślała, że jej towarzyszka będzie kiedyś wielką profesorką i być może w ogóle pierwszą kobietą, która przebije się do mediów, do szerokiego gremium ekspertów uniwersyteckich. Ale teraz był kwiecień 1937 roku. Hannah Arendt liczyła każdy grosz i nie miała dokumentów. Była uchodźczynią w bezwzględnym świecie silnych mężczyzn.

– Jesteś Amerykanką – powiedziała Hannah. – Dlaczego zainteresowała cię niemiecka filozofia?

– Z dwóch powodów – odparła Jane. – Po pierwsze, jest najgłębsza w Europie; po drugie, ma niezwykłą rozpiętość interpretacji: od wielkich systemów, takich jak u Hegla, po poetyckie aforyzmy, które budują narrację filozoficzną, jak u Nietzschego.

– Dziękuję za słowa o niemieckiej filozofii – powiedziała Arendt. – Choć dla mnie to krańcowo trudne. Wciąż myślę w tym języku i jestem związana z niemiecką kulturą akademicką. I bardzo mi jej brakuje. Tylko że oni mnie nie chcą.

To były przerażające słowa. Znaleźć się w jakimś wewnętrznie zaakceptowanym miejscu i usłyszeć, że nikt cię tam nie chce. Być obcym wśród najbliższych to chyba najtrudniejsze doświadczenie.

– Wiem, że cię nie chcą. Gdyby wiedzieli, że jestem Żydówką, też by mnie nie chcieli.

Hannah to zaintrygowało.

– Jak znalazłaś się w Niemczech.

Jane opowiedziała więc o swojej pracy akademickiej na Harvardzie, o pragnieniu przełamania skostniałych wielkich systemów – Hegla oraz niebywale antymetafizycznego pragmatyzmu amerykańskiego.

– Ale pragmatyzm amerykański szalenie uwypukla wolność jednostki – zauważyła Arendt. – To właśnie mnie pociąga w waszym świecie.

– A mnie to wysłało na poszukiwanie metafizyki człowieka do Europy. Jestem przeciwna pragmatyzmowi, ponieważ zakłada on wielość prawd. Dwa zdania mogą stać ze sobą w sprzeczności i być jednakowo prawdziwe. Gdyby przełożyć to na etykę... Nie chciałabym być przedmiotem takiego wyboru – powiedziała Jane.

Kelner właśnie postawił przed nimi dymiący garnek z francuską zupą dyniową – pachnącą cynamonem, zaprawioną śmietaną. Obie sobie jej nie żałowały.

– Czy znasz prace Nicolai Hartmanna? – zapytała Hannah Arendt.

– Nie.

– Myślę, że to jeden z podstawowych błędów wszystkich ludzi interesujących się najnowszą filozofią niemiecką. On również wyróżnił *Dasein* w składzie bytu, ale oprócz niego także *Sosein*, czyli esencję bytu. Poza tym pisał o trybach bytu. *Seinswasein* ujmuje kategorie realności i idei, a *Seinsmodi* – kategorie zmienności bytu: konieczność bytu, jego potencjalność i aktualność, czyli to, czym byt jest teraz, a nie to, czym był wczoraj. Zajmuje się etyką transcendentalną i wartościami. Ma niebagatelny dorobek i jest nieznany poza wąskim kręgiem filozofii.

Jane była niezwykle zaskoczona słowami Hannah. Jak mogła przegapić taki dorobek? Nieuchronnie jednak ta rozmowa zmierzała do człowieka, który przyćmił Hartmanna, a którego obie znały. Jane po raz pierwszy pomyślała, że Hannah musiała znać Heideggera. Nie miała pojęcia, jakiego rodzaju była to znajomość.

– To niesamowite, że zupełnie to przeoczyłam – powiedziała Jane. – Chociaż właściwie... Nie mogłam go zobaczyć, ponieważ przesłonił mi go ktoś inny.

Hannah Arendt po raz pierwszy uciekła spojrzeniem. Wzięła w dłoń kieliszek alzackiego wina, w którego słonecznej złotej barwie kryła się pamięć lata sprzed czasu, o którym być może wolałaby nie pamiętać. Wypiła spory łyk.

– I tak oto do niego doszłyśmy – powiedziała.

– Tak. Heidegger. – Jane popatrzyła na nią ze smutkiem.

Kelner właśnie wniósł pachnące omlety i polędwicę na półmisku. Aromat winnego sosu wypełnił powietrze. Hannah Arendt odważnie podniosła wzrok i spojrzała Jane w twarz. Amerykanka zobaczyła w jej oczach cierpienie.

Hiszpania, front pod Segowią, w tym samym czasie

Huk artylerii ma w sobie coś pierwotnego, coś z gromu. Z niczym nie można go pomylić. W nocy nie dawał spać. Michael z goryczą pomyślał, że nacjonaliści mają ogromną przewagę w artylerii. Nie muszą oszczędzać pocisków, a oni musieli. Dwa ostatnie miesiące na froncie były najbardziej radykalnym oddzieleniem od życia, jakie znał. Przez ten czas – nieustannych zasadzek, odwrotów, ataków, najczęściej bezskutecznych – obserwował, jak radykalizuje się front wojny domowej w Hiszpanii.

Jego oddział przechodził przez jakieś miasteczko w Kastylii, gdzie oskarżono starą zakonnicę o szpiegostwo na rzecz nacjonalistów. Została powieszona bez sądu na drzewie i nikt nie miał dość odwagi, by odciąć ją i pochować w jakimś dole. Okrucieństwo stawało się drugim przyzwyczajeniem ludzi, których nie przyszłoby nikomu do głowy podejrzewać o takie skłonności w czasie, gdy karabiny milczały. Ale Michael nauczył się, że karabin nie kłamie. Innym razem widział, jak wieśniacy nie chcieli oddać armii republikańskiej ostatnich zapasów na przednówku – ci ludzie byli po prostu biedni. Komunistyczny oficer uznał chłopów w tej wiosce za sabotażystów i kazał ich rozstrzelać. Michael musiał uczestniczyć w egzekucji. Nie chciał trafić, ale komunista

powiedział wyraźnie, że jeśli ktoś oszczędzi wroga ludu, zajmie jego miejsce nad dołem. Wtedy strzelił.

Bardzo to przeżył. Ten zabity wieśniak przychodził potem do niego przez wiele nocy w snach. Tamtego dnia w Michaelu coś się skończyło. Rozpłynęło się wewnętrzne przekonanie, że walczy za słuszną sprawę. I nie chodziło tutaj tylko o brutalność hiszpańskiej wojny. Zauważył, że jakiekolwiek kwestionowanie rozkazów komunistycznych dowódców źle się kończy. W jego wnętrzu zmagały się ze sobą tchórzostwo i odwaga. Patrzył na wojnę i zmieniał się, przeistaczał niedostrzegalnie dla innych, ale wyczuwalnie dla siebie samego.

Paryż, w tym samym czasie

Tamtego wieczoru, gdy Hannah Arendt i Jane spotkały się na obiedzie, omlety i polędwica były wspaniałe, ale jedzenie i przyjemność z nim związana znalazły się na drugim planie. Jane zrobiło się głupio, ponieważ zauważyła, że nowy wątek, który nieuchronnie pojawił się w ich dyskusji, a który dotyczył Heideggera, wprawił Hannah w zakłopotanie. Nie przypuszczała, że młoda filozofka zdecyduje się na głębokie wyznanie.

– Nie wiem, czy chcesz rozmawiać o filozofii Heideggera, ale zapewniam cię, że teoria Nicolai Hartmanna jest głębsza i lepiej ujmuje byt jako kategorię pierwszą w filozofii – powiedziała Hannah Arendt.

– Na pewno zapoznam się z jego pracami – pospieszyła z zapewnieniem Jane.

– Nie wiem, czy w Paryżu znajdziesz jego książki. Miałam całkiem sporą bibliotekę, ale w chwili ucieczki musiałam wszystko zostawić.

– Jaki jest Heidegger? – Wiedziona impulsem Jane postanowiła przestać krążyć wokół tematu.

– Jest najlepszym i zarazem najgorszym człowiekiem, jakiego poznałam. To była fascynacja z obu stron. Spotkaliśmy się na uniwersytecie w Marburgu, gdzie uczestniczyłam w jego seminarium. Ale chodziłam też do Nicolai Hartmanna. Najpierw kłóciliśmy się o filozofię, o jego

koncepcję *Dasein*, o jego stosunek do greckiej filozofii. To było jak wir w wodzie, gdy pływasz w morzu. Nagle cię wciąga i nie jesteś już w stanie się wydostać. Imponowało mi, że starszy mężczyzna się mną zainteresował, ale potem to było zniewalające dla nas obojga.

Jane pomyślała, że przynajmniej teraz jej odczucia po spotkaniu z Heideggerem są zrozumiałe. On widział w niej odbicie Hannah Arendt, której wtedy nie znała.

– Potem stopniowo odsunęliśmy się od siebie – kontynuowała Hannah. – Ona miał żonę i dwóch synów. Nie usprawiedliwiam się. To ja zdecydowałam, żeby wyjechać do Fryburga Bryzgowijskiego na seminarium Karla Jaspersa, którego podejście do filozofii i egzystencji zafascynowało mnie bardziej niż Heidegger. U Jaspersa napisałam też dysertację magisterską o pojęciu miłości u Świętego Augustyna i interpretacji tegoż z perspektywy filozofii Jaspersa, Heideggera i Hartmanna. Potem moje relacje z Heideggerem stawały się coraz chłodniejsze. Spotykaliśmy się na różnych zjazdach filozoficznych, mimo że od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku regularnie zwracałam uwagę w towarzystwie i publicznie, że należy zwalczać reżim.

– A Heidegger jaki miał stosunek do Hitlera?

– I to jest dla mnie najbardziej przykre. Pamiętam, że w tamtym okresie w rozmowach ze mną wyrażał pogardę dla Hitlera, uważał go za prostaka. Jednak unikał wypowiedzi publicznych otwarcie sugerujących jego sprzeciw wobec NSDAP. U mnie atmosfera zgęstniała. Zarówno prywatnie, jak i naukowo oraz ogólnie życiowo. Wyszłam za mąż za Günthera Sterna, poetę i filozofa, i zaczęłam pisywać dla „Frankfurter Zeitung".

– A naukowo?

– Oczywiście chciałam pisać habilitację. Zainteresowałam się postacią żydowskiej intelektualistki z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku, Rahel Varnhagen von Ense. Miałam kilka pomysłów na tę postać i jej dorobek. Pozwolono mi pisać habilitację.

– Nie wykluczono cię z życia uniwersyteckiego?

– Wtedy jeszcze nie rządził Hitler. Jednak jeśli pytasz mnie o problem mojej tożsamości, ona zawsze pozostanie żydowska, choć posługuję się niemieckim jako ojczystym i już na zawsze będę myślała w tym języku. Zachęcam cię, Jane, abyś nie rezygnowała nigdy ze swojej żydowskiej tożsamości. Nie mówię o praktykowaniu judaizmu, ale o wartościach kulturowych z niego płynących. To też jest twój świat.

– Moja rodzina jest raczej liberalna.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Przed samym dojściem Hitlera do władzy miałam rozmowę z Jaspersem, który namawiał mnie do tego, żebym określała siebie jako Niemkę. Odparłam mu, że dla mnie Niemcy to język ojczysty, sztuka i filozofia, ale moja egzystencja i moje *Dasein* są żydowskie.

– Czy wtedy zdecydowałaś się uciec?

– Nie. Mój mąż uciekł już w marcu trzydziestego trzeciego, tuż przed pierwszym masowym bojkotem Żydów w Niemczech w kwietniu tego roku, ale ja mam duszę konfrontacyjną. Zdecydowałam się dokumentować prześladowania żydowskich obywateli przez władze hitlerowskie. Moje mieszkanie w Berlinie (tak, mieszkałam w sercu bestii z uwagi na moją pracę w Deutsche Hochschule für Politik[16]) stało się miejscem spotkań i punktem przerzutowym dla tych Żydów niemieckich, którzy nie wytrzymywali szykan. Wówczas aresztowano mnie na osiem dni.

Jane zaniemówiła. Nie wiedziała, co powiedzieć – siedziała przed nią osoba nieustraszona, nieugięta, wierząca w prawdę o potworności reżimu Hitlera. Prawdę, którą można dostrzec dzięki filozofii właśnie.

– Wypuścili cię?

– Musieli. W trzydziestym trzecim ich reżim dopiero kostniał. Ale na pewno moje akta znalazły się na Gestapo. Jednak u mnie również po tym aresztowaniu dokonała się zmiana polegająca na tym, że postanowiłam bezpowrotnie zerwać kontakty z ludźmi, którzy z powodów oportunistycznych zaczęli popierać Hitlera lub deklarować neutralność wobec niego.

– Wtedy zerwałaś z Heideggerem?

– Tak. Kiedy oficjalnie wstąpił do NSDAP, nie chciałam z nim mieć już nic wspólnego. Ja i mój mąż poruszaliśmy się w środowiskach lewicowców, takich jak Bertolt Brecht, zresztą on też jest tutaj, w Paryżu. Pozbawiono go obywatelstwa tak jak mnie. Dostałam z Niemiec list. Poinformowano mnie w nim oficjalnie, że jako wróg rasowy państwa niemieckiego nie jestem godna, aby posiadać jego obywatelstwo.

Jane zawstydziła się. Nie wiedziała o tych strasznych prześladowaniach. Nie chciała tego wiedzieć. Zachłysnęła się Heideggerem, bo „miał nazwisko", ale nie widziała głębi tego, co działo się w Niemczech.

– Co zamierzasz?

– Nie mam dokumentów, a we Francji nie patrzą na nas zbyt przyjaźnie. Mam na myśli niemieckich Żydów.

Jane opowiedziała o swojej przygodzie na policji.

– Tutaj też się zaczyna nacjonalistyczny szał – skomentowała to Arendt. – Pytałaś mnie, co robię? Pomagam we Freie Deutsche Hochschule, mam też niewielkie stypendium ufundowane przez Rothschildów.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, nie wahaj się. Jeśli nie dla siebie, to też chętnie pomogę, na ile będę mogła – powiedziała Jane.

Rozmowa z Hannah Arendt była dla niej wstrząsem. Jeszcze jedna kwestia została niedopowiedziana.

– W jakim kierunku według ciebie to się potoczy dalej?

Hannah Arendt odpowiedziała bez ogródek:

– Oni wywołają wojnę. Ich okrucieństwo, upajanie się nim, palenie książek, pogarda dla ludzkiego życia, innego niż ich, obozy koncentracyjne, o których za mało zdecydowanie w prasie francuskiej i brytyjskiej... To wszystko doprowadzi nas do piekła. Jestem tego pewna.

Te słowa jednak nie przeraziły Jane. W głębi duszy wiedziała, że to prawda, ale nie przyjęła jej jeszcze, nie zinternalizowała. Ludzie, gdy słyszą, że będzie wojna, myślą przecież, że to niemożliwe.

Rozdział XVI

Pod niebem Prowansji

Prowansja, maj 1939

Przyjaźń z Hannah Arendt przetrwała. Od momentu ich rozmowy minęły dwa lata. W tym czasie Jane nie próżnowała. W jakiś sposób tamto spotkanie dało jej więcej siły i samozaparcia. Za radą Arendt zrobiła dyplom z filozofii na Uniwersytecie Paryskim u profesora Étienne Gilsona, specjalisty od filozofii średniowiecznej. Ale w swojej tezie dotyczącej pojęcia iluminacji u Świętego Tomasza z Akwinu zastosowała instrumentarium badawcze, którego nauczyła się z niemieckiej filozofii Jaspersa i Heideggera.

Wciąż bardzo martwiła się o brata. Od połowy 1937 roku zaczęły przychodzić na adres jej mieszkania w Paryżu kartki z pieczątkami republikańskiej cenzury wojskowej. Zawierały zdania w stylu: „Jestem zdrowy. Wszystko w porządku", pisane niewątpliwie ręką brata, stąd Jane miała pewność, że Michael żyje.

Jej życie nabrało innego tempa, dostosowanego do rytmu życia we Francji. W pierwszej połowie 1938 roku, kiedy sytuacja w Europie zaczęła się gwałtownie pogarszać, Jane uzyskała pozwolenie na stałe zamieszkiwanie we Francji. Była w dalszym ciągu obywatelką amerykańską, ale jej status był zgoła inny niż Hannah Arendt. Raz jeszcze Jane zaproponowała jej pożyczkę, ale kobieta mimo trudności, jakich doświadczała w codziennym życiu, stanowczo odmówiła.

W tym też roku sytuacja finansowa Samuela zaczęła się klarować. Spłacił długi zaciągnięte przez Michaela i napisał córce, że mogą pozwolić sobie na dom w Prowansji, ale niezbyt duży i niedrogi. Najlepiej wiejski domek z ogródkiem, w którym można uprawiać warzywa. Jane zatem

zaczęła poszukiwania i znalazła odpowiednią posiadłość dzięki znajomościom Gertrude Stein. Teściowa francuskiego historyka Bernarda Faÿa zmarła i został po niej dom w Gordes, prowansalskim miasteczku na wysokim wzniesieniu, przypominającym trochę miasta w Umbrii lub Toskanii. Otaczał go mały ogród, w którym rosły granatowce i dzika winorośl. W budynku znajdowały się mała piwnica, niewielka kuchnia oraz cztery pokoiki. Jane nie zastanawiała się. Szybko sfinalizowała transakcję – jako Amerykanka z prawem pobytu we Francji mogła kupować nieruchomości. Zapłaciła w dolarach amerykańskich okrągłą sumkę. Teraz miała już wymarzony dom w Prowansji i choć nie mógł się równać z dużym, przestronnym domem amerykańskiej inteligencji na Brooklynie, dla niej wybór był prosty. Prowansja to kraina wina, lawendy i obrazów van Gogha!

Dziewczyna z wielkim niepokojem śledziła to, co działo się w Europie. W Hiszpanii szala zwycięstwa w wojnie domowej zaczęła się z wolna przechylać na stronę nacjonalistów Franco, a w marcu 1938 roku Hitler dokonał anszlusu Austrii. We Francji nie wywołało to reakcji takiej, jakiej Jane się spodziewała. Przyjęła poglądy Hannah Arendt, że należy bezwzględnie przeciwstawiać się reżimowi, nawet ryzykując konflikt zbrojny, do którego nie dojdzie, jeśli zachodnie demokracje postawią się Hitlerowi. Tylko że kraje zachodnie mu ustępowały. Jane zaglądała czasem w 1938 roku do Paryża i chcąc pomóc przyjaciółce, oddała jej swoje mieszkanie w Paryżu. Prosiła tylko, żeby listy przychodzące na ten adres przekierowywała do Prowansji.

W jednej z rozmów z Hannah zapytała, do czego mogą być zdolni Niemcy pod rządami Hitlera.

– Do każdej nikczemności, każdego morderstwa i do wojny.

Odpowiedź przeraziła Jane. Gdy zamykała swoje sprawy w Paryżu, odwiedziła Gertrude Stein oraz Alice B. Toklas. Zaprzyjaźniły się bardzo i teraz mogła zaprosić je do domu w Prowansji. Zostawiła im adres, prosząc, aby jak najczęściej się odzywały. Napisała też długi list

do Samuela i poinformowała go o kupnie domu. Podała mu adres w miasteczku Gordes.

*

Michael przez cały ten czas walczył na frontach hiszpańskiej wojny domowej, choć jego idealistyczne nastawienie, z jakim przybył do Hiszpanii, zostało nadszarpnięte przez to, czego doświadczył. Okrucieństwa komunistów wobec wszystkich jego zaprzyjaźnionych anarchistów ostatecznie go przekonały, że Republika Hiszpańska przegrywała tę wojnę z powodu fanatycznej tyranii komunistów. Michael nabrał do nich niezwykłego obrzydzenia. Jednak wciąż był w armii republikańskiej i dostał nawet awans na kaprala, za skuteczne przenoszenie pod ostrzałem meldunków ze sztabu na linię frontu. Widział wiele klęsk armii republikańskiej, bezsensowną bitwę pod Brunete, przeżył straszliwą rzeźnię o Teruel na przełomie 1937 i 1938 roku. Tam, w zamieci śnieżnej, był pewny, że straci życie. Jednak śmierć nie nadeszła.

Następne miesiące były pasmem upokorzeń i wzmagającego się fanatyzmu komunistów. Latem 1938 roku wstąpiła w niego po raz ostatni matka głupich – nadzieja. Ale tylko po to, by dać ułudę ostatniej wielkiej bitwy, republikańskiej ofensywy nad rzeką Ebro. Tam znaleźli się razem z jego przyjacielem i towarzyszem Damienem pod strasznym ostrzałem. Kanadyjczyk umierał na rękach Michaela, który nie chciał go zostawić. Podczas odwrotu Brygad Międzynarodowych tachał go ze sobą, łudząc się, że lekarze z armii republikańskiej uratują kolegę.

– Niepotrzebnie się poświęciłeś. To trup.

Mocno zmęczony widział, jak ciało kolegi zostało wrzucone do dołu, zasypane razem z innymi trupami wapnem i zakopane. Uświadomił sobie, że przez te dwa lata spędzone pod błękitnym niebem Hiszpanii nie zapytał Kanadyjczyka o adres. Teraz nikt nigdy się nie dowie, gdzie Damien został pochowany. Michael uświadomił sobie z całą mocą absurdalność i grozę sytuacji, w jakiej się znalazł.

Po Ebro Brygady Międzynarodowe zostały wycofane z linii frontu. Michael szedł wśród setek ludzi, którzy utracili wszystko, bo któż przyjąłby w Niemczech lewicowców walczących za republikę? Nie był już nikomu w Hiszpanii potrzebny. Zebrał swoje rzeczy i ruszył z Barcelony w stronę łańcucha Pirenejów. Jakiś dobry człowiek podwiózł go kilkadziesiąt kilometrów, a potem szedł wraz innymi, którzy wiedzieli, że Republika Hiszpańska jest stracona, w stronę granicy francuskiej. Doczłapał się do niej resztkami sił. Całe szczęście, że na wniosek Dolores Ibárruri bezpieka komunistyczna zwróciła członkom Brygad Międzynarodowych ich dokumenty. Amerykański paszport otworzył mu granicę francuską, czego miały nie doświadczyć setki republikanów, Katalończyków i rodowitych Hiszpanów, których Francja nie chciała przepuścić przez granicę.

Dopiero po stronie francuskiej Michael uprosił jakiegoś chłopa, by ten pozwolił mu odpocząć w stodole na sianie. Był tak zmęczony, że spał przez dwadzieścia godzin bez przerwy. Gdy się obudził, ruszył dalej, bez broni, w stronę Paryża.

*

W końcu nadszedł ten długo wyczekiwany przez Jane moment, kiedy mogła się wprowadzić do domu w Prowansji. Cieśle i malarze, którzy i tak w miasteczku nie mieli zbyt dużo pracy, przez cztery tygodnie doprowadzili dom do stanu, który zadowalał jej estetyczny gust. Była bardzo podekscytowana, nie mogła się doczekać przyjazdu rodziców – także mamy, której nie widziała od maja 1936 roku. Wypływając wówczas do Europy na pokładzie niemieckiego liniowca, dziewczyna nie wiedziała, że podróż zaprowadzi ją tak daleko – że znajdzie dom pod słońcem i niebem Prowansji.

Gordes była małą mieściną – wiadomości rozchodziły się tam niezwykle szybko. A wiadomość, że bogata Amerykanka mówiąca po francusku kupiła tutaj dom, była po prostu sensacyjna! Bardziej sensacyjne było tylko to, że nie miała męża! Mer miasteczka złożył jej wizytę przed

przyjazdem rodziców i oświadczył, że dołoży wszelkich starań, by znalazła tu swoje miejsce na ziemi. Zaproponował jej też pracę nauczycielki angielskiego w szkole dla dziewcząt. Jane z radością przyjęła ofertę. Jak się układa, to wszystko naraz! Zupełnie jednak nie myślała wówczas o tym, że to przysłowie ma również swój negatywny odpowiednik. Teraz mogła już tylko czekać na radosny dzień, kiedy przyjadą rodzice.

I ten dzień nadszedł. Samuel oczywiście przesłał list, w którym przekazał, że przypłyną z Elisabeth do Marsylii w październiku 1938 roku.

W wyznaczonym czasie pojechała po rodziców w towarzystwie chłopaka, który pracował przy renowacji domu. Nazywał się Yves Sabatier. Był prostym człowiekiem, skończył szkołę powszechną i zwykle pracował jako robotnik na polach bogatych ludzi. Jane robiła na nim ogromne wrażenie. Ale jak ktoś taki jak on mógł liczyć na spojrzenie takiej kobiety?

Statek z Ameryki dotarł na czas. Jane po raz pierwszy była w wielkim marsylskim porcie. Musiała przejść na nabrzeże, gdzie pasażerowie schodzili ze statku. Dopiero potem rozładowywano bagaże.

– Witaj, Jane! – Samuel z radością przywitał się z córką.

– Cieszę się, że dotarliście szczęśliwie – powiedziała i natychmiast spojrzała na matkę.

Ich relacje w Stanach Zjednoczonych nie były najlepsze. Jane wiele razy wyrzucała jej oziębłość. Jednak Elisabeth była jej matką. Przywitały się czule.

– Jestem szczęśliwa, mamo, że zdecydowałaś się towarzyszyć ojcu w Prowansji.

Rodzice popatrzyli na siebie. Dziewczyna zauważyła, że coś jest nie tak, ale... Przyjdzie czas i wszystko sobie wyjaśnią.

Teraz zabrała ich wynajętym samochodem – firma przeprowadzkowa zapewniła citroëna typ 23, który był przystosowany do przewożenia dużych bagaży – do Gordes. Do ich nowego domu.

*

Jane miała rację, myśląc, że w relacji rodziców coś się zmieniło. Już w Gordes, w domu, tamy konwenansów, tajemnic, fałszywej mieszczańskiej moralności pękły. Stanęli wobec siebie samych takimi, jakimi byli naprawdę.

– Jane, postanowiliśmy ci to powiedzieć wspólnie – zaczął Samuel.

– Nie osądzaj nas i wysłuchaj do końca – dodała Elisabeth.

– Postanowiliśmy się rozwieść – oświadczył Samuel. – Moja decyzja o tym, by zamieszkać z tobą w Europie nas podzieliła, ale to była tylko kropla, która przelała czarę. Zaznaczam, Jane, że ani mama, ani ja nie mamy już do siebie o nic pretensji. Po prostu nasze drogi, zainteresowania, pasje się rozeszły.

– Zamieszkam w Anglii – oświadczyła Elisabeth. – Mam tam siostrę, która nie wyszła za mąż. Po wielkiej wojnie nie było już chłopców w jej wieku. Jest sama, będziemy miały siebie.

Jane nie mogła powiedzieć, że jest bardzo zaskoczona. Rodzicom nie układało się już podczas jej studiów na Harvardzie. Mieli inne zainteresowania – ojciec pochłonięty był stale pracą, aby nadrobić szaleństwa Michaela. Jane podejrzewała, że zniknięcie brata dopełniło reszty.

– A Michael?

– Nie wiem nic poza tym, że według Sama on żyje – rzekła zrozpaczona Elisabeth, kryjąc twarz w dłoniach. – Od dwóch lat nie dawał znaku życia. Po prostu nas opuścił.

Jane popatrzyła na ojca.

– Czy mama wie?

Samuel zaprzeczył ruchem głowy. Kolejna tajemnica. Parszywa maniera ukrywania przed najbliższymi tego, co powinni wiedzieć, żeby się z tym pogodzić, a co w przypadku źle pojmowanej miłości mogłoby ich zranić. Jane była przeciwna takiemu postępowaniu. Mówiła to, co myśli.

– Mamo, najwyraźniej nie wiesz, a Samuel nie był w stanie ci tego powiedzieć, nie ze złej woli, ale ponieważ nie mieściło mu się to w głowie... Michael was okradł.

– Co?! – wykrzyknęła Elisabeth.

– Michael ukradł nam dwieście tysięcy – westchnął Samuel. – Nie byłem w stanie ci tego powiedzieć. Jane ma rację. Miał ogromne karciane długi, a ludzie, którym wisiał pieniądze, byli z mafii. Sama wiesz, że ci, którzy zabili Rothsteina, biologicznego ojca Jane, nie wybaczają długów.

– Michael uciekł z Nowego Jorku do mnie w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Był załamany. Przyznał się, że ukradł Samuelowi pieniądze. Szukaliśmy jakiegoś rozwiązania, które odsunęłoby od niego wyrok gangsterów. Zgłosił się jako ochotnik do Brygad Międzynarodowych – wyjaśniła Jane.

– Poszedł na wojnę?! – Elisabeth była załamana.

Jane nie miała pretensji do matki, że bardziej kochała syna niż ją. Tak czasami bywa, że matki bardziej kochają synów. Poszła do dużego pokoju, gdzie wciąż pachniało świeżym malowaniem, i wyjęła z kredensu kartki podstemplowane przez republikańską cenzurę wojskową. Ostatnia była z czerwca 1938 roku.

– Musimy założyć, że Michael żyje. Zna adres w Paryżu, gdzie mieszka moja przyjaciółka Hannah Arendt. Jeśli się tam zgłosi, Hannah da mi znać i sprowadzimy go tutaj.

To trochę uspokoiło Elisabeth. Jane zaparzyła znakomitej zielonej herbaty z Wietnamu. We Francji nie brakowało bowiem luksusowych towarów kolonialnych. Razem się jej napili.

– Czy wasza decyzja o rozwodzie jest nieodwracalna? – zapytała córka. – Mam prawo to wiedzieć.

Samuel westchnął.

– Podjęliśmy decyzję o trwałej separacji. Ze względów finansowych rozwód byłby bardzo kosztowny dla nas obojga. Rozejdziemy się na razie bez rozwodu, choć jeśli jedno z nas zechce się związać z kimś innym, wtedy zrobimy to prawnie i faktycznie.

– Kiedy, mamo, chcesz jechać do Anglii?

– Przed zimą. Za miesiąc. Napisałam już do siostry. Odpisała mi, że przyjmie mnie z radością.

– Dobra siostra – skwitowała Jane. – Chcesz zaczekać na jakiś sygnał od Michaela?

– O niczym innym nie marzę – odparła Elisabeth, ściskając dłoń córki.

*

Samuel, podekscytowany jak nigdy, tydzień później przyniósł lokalną gazetę z artykułem, który opisywał rozwiązanie Brygad Międzynarodowych. Wszyscy troje zadrżeli.

– Michael na pewno tam nie zostanie. Barcelona jest stracona i wojska Franco ją zajmą – rzekł. – Będzie się przedzierał przez góry.

Dla Elisabeth to było nie do zniesienia. Często płakała, a Jane pocieszała ją, jak mogła.

– Dlaczego pozwoliłaś, żeby poszedł na wojnę? – Elisabeth wciąż wracała do tego samego.

– To była jego decyzja – odpowiadała konsekwentnie dziewczyna.

Kilka dni później, już na początku listopada 1938 roku, listonosz przyniósł telegram z Paryża od Hannah Arendt. Michael zameldował się u niej. Popłakali się ze szczęścia. Elisabeth wyraźnie odżyła, jak gdyby spadł jej z serca jakiś niewyobrażalny ciężar. Jane zamówiła znów u swojego znajomego z Gordes samochód, którym we trójkę pojechali do Paryża po syna i brata marnotrawnego.

Gordes, Prowansja, święto Chanuki 1938

Jane czuła się szczęśliwa. Rodzina po tak długim czasie znów była w komplecie. Rodzice niemal zapomnieli o swoim rozejściu się, ale ona instynktownie wiedziała, że ten czas dany im jest tylko na chwilę. Brat zmienił się całkowicie – jak gdyby z wojny wrócił zupełnie inny człowiek. Wszyscy rozmawiali ze sobą jak nigdy wcześniej. Michael otworzył się i zaczął opowiadać o tym, czego doświadczył i co widział w Hiszpanii. Jane dziwiła się, że tak okrutna samowiedza – zabił kilku

nacjonalistycznych żołnierzy – potrafi z człowieka całkowicie ściągnąć dawną skórę; niemal jak w buddyjskim rytuale, w którym człowiek zdejmuje z siebie kolejne maski pozwalające mu okłamywać samego siebie. Brat okrzepł, nie był już chłopcem uzależnionym od hazardu – choć dalej grał – ale stał się mężczyzną.

– Co chcesz robić dalej, synu? – zapytał Samuel, który mu wszystko wybaczył.

Michael palił dużo papierosów, dużo więcej niż przed hiszpańską wojną. Mówił, że to jego sposób na stres. Zza siwych kłębów dymu powiedział:

– Tato, mamo, Jane, zamierzam wstąpić do US Army.

Domownicy liczyli, że może jakieś studia, może wreszcie się ożeni, założy rodzinę. Po chwili Jane zrozumiała – on po wojnie hiszpańskiej nie umiał już być kimś innym. Stał się twardym żołnierzem.

– Czyli wracasz do Stanów? – zapytała matka, przejęta tym, że odzyskała syna, by znów go za chwilę utracić.

– Tak. Chciałbym popłynąć do Stanów w styczniu nowego roku.

– W takim razie wyjadę z tobą na północ. Na statek do Ameryki najlepiej wsiąść w Cherbourgu – powiedziała Elisabeth, która chciała się jeszcze nacieszyć synem.

Jane nie miała jej tego za złe. Elisabeth nie była nigdy dla niej czułą matką.

– Przed wyjazdem tutaj uregulowałem sprawy ze wszystkimi twoimi wierzycielami – dodał Samuel. – Ja zostanę z Jane w Prowansji. Pod tutejszym niebem nic nam się złego nie stanie.

Po Chanuce, nadzwyczaj hucznej przez wzgląd na Samuela, przyszedł czas na Boże Narodzenie. Nie świętowali nigdy z tej okazji, ale teraz mieli sąsiadów katolików, którzy zaprosili ich na wigilię. Singerowie-Coulfieldowie zrewanżowali się zatem świątecznym obiadem.

Jane nigdy nie zastanawiała się głębiej nad własną tożsamością. Bycie Amerykanką jej wystarczało – Ameryka mieściła w sobie większość tradycji Zachodu. Czuła się jednak kulturowo Żydówką, choć nie praktykowała religii mojżeszowej. Według niej była dziwna i źle

traktowała kobiety, a tego nie mogła znieść. O chrześcijaństwie sporo wiedziała dzięki studiom i znajomości z księdzem Rahnerem, ale to było za mało, żeby choćby zacząć rozważać decyzję o konfesji.

Wtedy, w te podwójne święta, które spędzili razem, widziała całą ich czwórkę – szczęśliwych – po raz ostatni.

Rozdział XVII

Upadek Francji

Francja, koniec kwietnia 1940

Od początku kampanii aliantów w Norwegii Samuel był pełen złych obaw. W ciągu półtora roku pobytu we Francji zdołał sobie ułożyć tu życie. Nie zaprzestał działalności prawniczej – jako biegły adwokat został szybko doradcą amerykańskiej ambasady w Paryżu. Współpracował z amerykańskim konsulem w Marsylii, Hiramem Binghamem, do którego jeździł na golfa i szklaneczkę whiskey. Dzięki tej znajomości opiniował umowy handlowe między Stanami Zjednoczonymi i Francją. Znów Singerom wpadło trochę grosza.

Kiedy we wrześniu 1939 roku Niemcy uderzyły na Polskę, Samuel przeraził się po raz pierwszy. Przebywał w Europie, a trzeciego września Francja i zaraz potem Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom. Ale... nic więcej się nie wydarzyło. Wojska francuskie weszły dwa kilometry do Rzeszy od strony lotaryńskiej i w wyniku kilku wybuchów Niemcy stracili stado mlecznych krów. Nie było żadnego przełamywania frontu jak w czasie wielkiej wojny ani wielkich bitew usianych tysiącami poległych. Nie działo się nic. Wojnę zaczęto nazywać *drôle de guerre* – dziwną wojną. Żołnierze grali w karty, nudzili się lub pili tanie wino w oczekiwaniu na przepustkę, aby wybrać się do pobliskiego burdelu.

Najwięksi alfonsi we Francji zwietrzyli interes i otwierali domy publiczne blisko Linii Maginota.

– Jane – powiedział Samuel do córki gdzieś na początku września, kiedy Niemcy rozjeżdżali Polskę. – Już wiem, dlaczego nie ma żadnej wojny na zachodnim froncie.

– Powiedz mi, proszę, bo tego nie rozumiem.

– Linia Maginota! To ona sprawi, że Hitler nie uderzy na Francję. Czy wiesz, jaka jest liczebność armii francuskiej?

– Milion żołnierzy? – zgadywała Jane.

– Prawie trzy, cztery tysiące czołgów, nowoczesne lotnictwo. Niemcy nie są w stanie zaatakować Francji czy Belgii.

– Próbujesz mnie uspokoić, papo, ale mamy wojnę!

Temu nie można było zaprzeczyć. Wojna była. Jane w te wrześniowe dni myślami była przy bracie, który wstąpił do US Army i w Fort Bragg w Karolinie Północnej wylewał siódme poty, oraz przy Elisabeth, która od stycznia tego roku zamieszkała w Coventry u siostry, a ciotki Jane, o imieniu Samantha. Przynajmniej matka była bezpieczna – Jane nie wydawało się, by Niemcy mogli zdobyć wyspę. Jednak na początku września, już po wypowiedzeniu wojny, otrzymała alarmujący list od Hannah Arendt i jej obecnego męża, niemieckiego poety i filozofa związanego z partią komunistyczną Niemiec, Heinricha Blüchera. Arendt poślubiła Blüchera w styczniu 1940 roku. Zostali zatrzymani przez francuską policję i jako byłych obywateli Niemiec (obojgu III Rzesza odebrała obywatelstwo) wysłano ich do obozu filtracyjnego. Arendt napisała z drogi list, który jakiś uprzejmy francuski obywatel wsadził do koperty i wysłał do Jane. Hannah miała przebywać w obozie Camp Vernet przy granicy francusko-hiszpańskiej, gdzie zgromadzono kilkanaście tysięcy ludzi w barakach, bez ogrzewania, świeżej wody, lekarstw i ze ściśle reglamentowaną żywnością. Przyjaciółka nie martwiła się o siebie, ale o starszą matkę, która nie miała sił, by wytrzymać tak straszne warunki. Arendt ściągnęła matkę z Niemiec do Francji, przeczuwając najgorsze, w roku 1939.

Jane odczytała list Samuelowi.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał.

– Jak to co? Pomogę oczywiście przyjaciółce i jej rodzinie.

Poprosiła go, aby został w Gordes. Jako obywatelowi państwa neutralnego nic mu tutaj nie groziło, a rodzina Singer-Coulfield przez te dwa lata pobytu zapracowała na dobrą opinię. Jane była przecież nauczycielką angielskiego w szkole.

– Dobrze, jedź córeczko – powiedział czule stary Samuel. – Ja postaram się coś wskórać u konsula Binghama w Marsylii.

– Pojadę z Yves'em. To dobry człowiek, można mu zaufać.

Tak też uczyniła.

*

Camp Vernet powinno być miejscem wstydu Francji, choć ani jedna niemiecka bomba nie spadła jeszcze na żadne francuskie miasto. Jane z Yves'em Sabatierem dotarli tam po wielu godzinach podróży samochodem, który natychmiast został skontrolowany, podobnie jak rzeczy osobiste. Jednak żandarmi nie znaleźli niczego poza jedzeniem i ciepłymi swetrami, bo noce w górach wiosną bywają zimne.

– W jakim celu tutaj przyjechaliście? Dokumenty proszę. – Żandarmi spoglądali na nich surowo. Mieli broń gotową do użycia.

Tu nie ma żartów – pomyślała Jane.

Dziewczyna oraz Yves okazali dokumenty. Żandarm, który je oglądał, zdziwił się.

– Jest pani Amerykanką?

– Tak. I nie może mi pan zabronić kontaktu z moją przyjaciółką, Żydówką, która uciekła z Niemiec przed Hitlerem i jest zaprzysięgłym wrogiem partii hitlerowskiej. A wy zamknęliście ją w obozie! Pan się powinien wstydzić, że jest pan Francuzem!

– Ja tylko wykonuję moje obowiązki.

– Każdy może tak powiedzieć, proszę pana. Czy do pańskich obowiązków należy egzekwowanie kategorycznego zakazu odwiedzania

i zbliżania się do internowanych?

Żandarm zdziwił się, ale spokojnie odparł:

– Nie. Jak nazywa się pani przyjaciółka.

– Hannah Arendt.

– Proszę za mną. – A do Yves'a rzekł: – Pan nie. Ci ludzie nie mogą mieć kontaktu z obywatelami francuskimi, ale pani jest Amerykanką.

Jane spojrzała na swego towarzysza. Porozumieli się bez słów. Poszła ścieżką pełną kamieni i kałuż w stronę obozu. Zauważyła, że to miejsce nie rzuca się w oczy, ale jest ogrodzone drutem kolczastym. Zobaczyła długie drewniane baraki, w oknach zapalone świeczki, ponieważ budynki pozbawione były elektryczności. Dostrzegła też jeden barak sanitarny, zapewne z WC i prysznicami, ale na taką liczbę ludzi zakrawało to na kpinę. Szła, nie wiedząc, w jakim stanie znajdzie Hannah. Miała ze sobą ciężką torbę z rzeczami i jedzeniem, ale policjant pomógł ją nieść. Przynajmniej tyle. Jest uczciwy, rzeczywiście wykonuje rozkazy – pomyślała.

W końcu dotarli na miejsce. Kobiety padły sobie w objęcia. Hannah mogła docenić przyjaźń – nie każdy zdecydowałby się na taką podróż w przededniu spodziewanego niemieckiego ataku na Francję.

– Takich doczekaliśmy czasów. Wrogowie pakują nas do obozów koncentracyjnych, a przyjaciele, mam na myśli Francję, do obozów internowania – powiedziała Hannah Arendt.

Miała łzy w oczach.

– Jak mama? – spytała z niepokojem Jane.

– Źle. Cierpi z powodu zimna.

– Popatrz, co przywiozłam. – Otworzyła torbę, by pokazać ciepłe ubrania, bieliznę i skarpety, a także żywność.

– Jedzenie to tutaj złoto – powiedziała Hannah.

Było tego trochę. Sery, sucha wędlina zrobiona na prowansalski sposób – suszona na słońcu. Lekarstwa zawinięte w jakiś ręcznik, leki wzmacniające serce, jak kardiamid i kofeina, sulfonamidy i aspiryna.

– Posłuchaj, mój ojciec jest w dobrych relacjach z amerykańskim konsulem w Marsylii. Postaramy się załatwić ci tymczasowe dokumenty umożliwiające twojemu mężowi, tobie i twojej mamie opuszczenie Francji i wyjazd do USA. Ale to potrwa.

– Ja nie mam pieniędzy.

– To teraz nieistotne. Jest coraz niebezpieczniej. Nie wiem, jak rozwinie się sytuacja wojenna.

– Nikt tego nie wie. Łudzę się nadzieją, że oni tu nie dotrą – rzekła Hannah.

– Pozostaniemy w kontakcie, ale musisz osobiście napisać podanie do konsula i muszą je podpisać twój mąż i mama. Czy pan na to pozwala? – Jane zwróciła się do żandarma.

– To nie jest zabronione dla obywateli amerykańskich, ale macie piętnaście minut – odparł. Dziewczyna zrozumiała, że nie będzie się wtrącał.

Pomogła zataszczyć przywiezione rzeczy do baraku, w którym przebywało może sto osób. Śmierdziało papierosami – były tu nieodzowne jako waluta. Jane o tym nie pomyślała i nie zabrała ani jednej paczki. Była na siebie zła. Poznała męża Hannah, Heinricha Blüchera, oraz jej matkę Marthe Cohn. Heinrich miał sporo papieru i pióro, brakowało tylko spokojnego miejsca do pisania. Trudno, musieli zrobić to na szybko. Jane podała dane konsula.

– Ja ze swojej strony opiszę sytuację i mój tato zacznie to załatwiać. Musicie uzbroić się w cierpliwość – powiedziała.

– W Paryżu, w twoim mieszkaniu, zostały nasze rzeczy. Nie zezwolono nam ich zabrać. – Arendt westchnęła. – Są tam rękopisy prac filozoficznych, w kolorowych teczkach. Moje w zielonej, a Heinricha w czarnych. Gdyby ci się udało je zabrać...

– Oczywiście. I tak miałam zamiar pojechać do Paryża.

Piętnaście minut szybko minęło. Musiały się pożegnać. Popłakały się obie. Jane przytuliła przyjaciółkę długo i mocno.

– Nie poddawaj się!

Wróciła z policjantem do Yves'a. Było już ciemno i po drodze się potknęła. Zaklęła. Policjant pomógł jej wstać.

– Dziękuję panu.

– A mówiła mi pani, że powinienem się wstydzić.

– Przepraszam – odparła natychmiast.

Myślała już intensywnie, jak najszybciej i najefektywniej pomóc przyjaciółce.

*

Po trzech dniach Jane wróciła do domu, do Gordes, gdzie oczekiwał jej Samuel.

– Tato, czy pojedziesz do Marsylii do konsula z listem od Hannah Arendt, jej męża i matki? Ze względu na poglądy oraz działalność przeciwko Hitlerowi oboje mają przekreślone życie w Niemczech, a Francja w nagrodę zamknęła ich w obozie filtracyjnym. Wyobrażasz sobie coś tak podłego?

Samuel przyznał, że postępowanie władz francuskich wobec niemieckich Żydów jest pozbawione empatii, racjonalności i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

– Oczywiście, że pojadę. Skończyłem pisanie dwóch umów na dostawy francuskiego wina dla przedsiębiorstw amerykańskich. I tak musiałbym wybrać się do konsulatu, więc załatwienie tej sprawy nie powinno nastręczyć mi problemów.

– Ja pojadę do Paryża. Hannah zostawiła tam mnóstwo swoich rzeczy, cennych rękopisów filozoficznych, jej mąż także. Zabiorę je do Prowansji.

– Dobrze, Jane, ale uważaj. W razie wojny Paryż może być bombardowany – ostrzegł ją Samuel.

– Przecież mówiłeś, że Francji nic nie grozi, że Linia Maginota...

– Ale Niemcy mają lotnictwo.

– Francja też ma lotnictwo. Ja wierzę we Francję! – Dziewczyna zaakcentowała słowo „Francja".

– Ja też. – Samuel się uśmiechnął.

Rozstali się po krótkich przygotowaniach. Nie mieli świadomości tego wszystkiego, co miało nadejść.

*

Jane dotarła do Paryża bez większych problemów. Yves zawiózł ją do Awinionu, a stamtąd już pojechała autobusem do Clermont-Ferrand. Tam przesiadła się na pociąg, który przybył do Paryża w nocy z pierwszego na drugiego maja. Opóźnienie wynikało ze święta pracy, zorganizowanego przez partię socjalistyczną i związki zawodowe. W tym roku przebiegało w niesłychanie nerwowej i pełnej napięcia atmosferze. Francuzi starali się żyć normalnie, zwłaszcza że granic strzegła nie tylko ich wielka armia, ale również czynił to Brytyjski Korpus Ekspedycyjny. Obecność Anglików była dla Jane ważna; dziewczyna kierowała swe myśli ku matce.

Przybywszy do Paryża, do swojego mieszkania, zastała je zastawione sprzętami i rzeczami używanymi przez Hannah, jej męża i matkę. W kuchni znalazła niedopitą herbatę w kubku, pojawiły się na niej niebieskie naloty pleśni. Powoli doprowadziła dom do porządku.

Następnie zdołała odwiedzić Gertrude Stein. Zastała przyjaciółkę skupioną, poważną, ale pełną optymizmu.

– Droga Jane, oprócz trzech milionów francuskich chłopców w armii są też Brytyjczycy. I to dodaje mi odwagi.

– Zapominacie, co się stało z Polską – wtrąciła Alice B. Toklas.

– Zawsze znajdziesz dziurę! – krzyknęła Gertrude. Jej zdenerwowanie było zrozumiałe, wszyscy bez przerwy mówili o niemieckim ataku.

– Niepotrzebnie się unosisz. Będzie powtórka z tysiąc dziewięćset czternastego. Kolejna bitwa nad Marną i paryskie mieszczuchy zostaną uratowane! – skontrowała Alice.

Ich soczysta wymiana zdań, do której Jane zdołała przywyknąć, nie przynosiła jej teraz takiej ulgi jak kiedyś. Odczuwała coraz większy niepokój. Wieczór w towarzystwie Gertrude był jednak odskocznią w świat literatury i odwrócił nieco uwagę od przykrej rzeczywistości. Pomogło też dobre prowansalskie wino, które Jane przywiozła ze sobą.

*

Już miała wracać do Prowansji, gdy dziesiątego maja zaczął się niemiecki atak na Belgię, Holandię, Luksemburg i Francję. Niemiecka grupa armii B ruszyła na kraje Beneluxu i wciągnęła wojska francuskie i brytyjskie do walki. Teren był dobry do obrony, ale niemieccy spadochroniarze w brawurowym ataku zdobyli fort Eben-Emael, przez co linia Mozy została zagrożona. Alianci nie spostrzegli, że przez Ardeny, pasmo górskie na pograniczu Luksemburga i Belgii, przetaczała się cała grupa armii A. Niemcy czekali nawet dwa dni w gigantycznym korku, aż przejadą czołówki. Gdyby wówczas lotnictwo alianckie ich zaatakowało, losy kampanii mogłyby się odwrócić. Ale tak się nie stało.

Niemieckie oddziały pancerne przejechały przez Ardeny i wówczas nic już nie mogło ich zatrzymać. Skręcili na północ, kierując się w stronę kanału La Manche, i dotarli do ujścia Sommy pod Abbeville wieczorem 20 maja. Oznaczało to, że czterysta tysięcy żołnierzy francuskich, brytyjskich i belgijskich zostało odciętych. Niemiecki plan ataku, o czym mało kto wówczas wiedział, był dziełem Ericha von Mansteina, najlepszego generała Hitlera. Z racji tego, że był najzdolniejszy, Führer szczerze go nie znosił. Nie wziął nawet udziału w kampanii, zesłano go na jakiś stołek w Szczecinie. Jednak oryginalny plan o kryptonimie Fall Gelb[17] miał dwóch zdolnych wykonawców, którzy go rozumieli. Byli to Heinz Guderian i dowódca 7. Dywizji Pancernej, późniejszy Lis Pustyni – Erwin Rommel. W oryginalnym zamyśle Mansteina nie należało się zatrzymywać w drodze do morza. Tymczasem Hitler po przejściu Ardenów wyraźnie kazał się zatrzymać w Sedanie, miejscu, gdzie w 1870 roku Niemcy odnieśli zwycięstwo nad Francją. Guderian zignorował rozkaz Führera i nie przerwał ataku. Dwudziestego maja Niemcy dotarli do ujścia Sommy pod Abbeville, okrążając aliantów. Czołgi Guderiana zatrzymały się pod Dunkierką i nikt nie wiedział dlaczego. To nagłe zatrzymanie niemieckiego frontu de facto umożliwiło flocie brytyjskiej wywiezienie trzystu trzydziestu tysięcy alianckich żołnierzy na wyspy.

Oczywiście Jane nie miała o tym wszystkim pojęcia, podobnie jak miliony Francuzów i ludzi dobrej woli na całym świecie, którzy najpierw z niedowierzaniem, a potem z przerażeniem słuchali w radiu o tym, co działo się na froncie. Wprawdzie dziesiątego maja stał się mały cud, ponieważ skompromitowany polityką appeasementu, czyli wiecznych ustępstw, Neville Chamberlain ustąpił z Downing Street i jego miejsce zajął wojowniczy i nieustępliwy wróg Niemiec, czyli Winston Churchill, jednak to nie miało jeszcze żadnego wpływu na sytuację na froncie. Kiedy Niemcy dotarli do kanału La Manche, do Jane dodzwonił się Samuel, przerażony, i nakazał jej stanowczo:

– Uciekaj z Paryża. Oni rozjadą Francję.

Na ulicach było już pełno uciekinierów. Jedni próbowali się przedostać do miasta z rejonu walk na wschodzie Francji, inni – paryskie mieszczuchy – na wieś. Na wieść o tym, że rząd francuski wycofał się do Bordeaux, wybuchła panika. Ulice i szosy na południe od wielkiego miasta były zatarasowane całkowicie. Jane była świadkiem ataku dwóch niemieckich myśliwców Messerschmitt Bf-109 na kolumnę uchodźców. Nigdy wcześniej tak się nie bała. Wszyscy uciekali pod drzewa, a karabiny maszynowe kosiły ludzi, zabijały też konie, w powietrze wzbijały się ziemia i odłamki. Krzyki atakowanych zlewały się z rykiem silników. Jane wyszła z tego bez szwanku, ale uświadomiła sobie, że nie jest w stanie iść kilkaset kilometrów na południe. Przeklinała dzień, w którym postanowiła udać się do Paryża. Nie widząc sensu dalszej podróży, wróciła do miasta.

Miała widzieć klęskę Francji w całym jej upokorzeniu.

Rozdział XVIII

Osaczenie

Paryż, 14 czerwca 1940 roku

Tego dnia ogłoszono przez megafony, że Paryż staje się miastem otwartym. Około godziny dziesiątej przed południem przechodnie zauważyli, że na placu de la Concorde – placu Zgody, który tyle znaczył w micie republikańskiej Francji – pojawiło się kilku żołnierzy w mundurach w kolorze *feldgrau*[18]. Zachowywali się głośno, pili tanie wino. Paryżanie, mijając ich, zasłaniali twarze gazetą, kapeluszem lub odwracali wzrok, byle na nich nie patrzeć. Tylko jeden z Francuzów nie odwracał wzroku. Wręcz przeciwnie – wydawał się mile usposobiony wobec przybywających do miasta Niemców. Wrócił niedawno z zesłania w Bretanii, z zapadłej dziury nad Oceanem Atlantyckim, gdzie w gospodzie podawano słaby cydr.

Edgar Juvet był pełen nienawiści do tych, którzy według niego przyczynili się do jego nędzy i zesłania na zapadłą bretońską dziurę. W jego mniemaniu nadszedł czas ostatecznego rozrachunku z komunistami, socjalistami, lewicą, masonerią, Żydami, Cyganami i wszystkimi tymi, którzy zhańbili Francję. Czas złożyć III Republikę do grobu, a mógł tego dokonać tylko jeden człowiek, który sprawował legalną władzę. Był to marszałek Philippe Pétain.

PARYŻ, 30 CZERWCA 1940

Gdy Niemcy wkroczyli do Paryża, Jane była już z powrotem w swoim mieszkaniu. Żałowała, że nie udało jej się skontaktować z Samuelem, który przebywał albo w Gordes, albo w Marsylii, u swojego przyjaciela konsula. Była jednak pewna, że przebywa on w części Francji, gdzie nie dotarły wojska niemieckie. Zrobiło się dużo chaosu wokół tego, co francuska generalicja podpisała w Compiègne (w tym samym wagonie, w którym zawieszenie broni musieli podpisać Niemcy w listopadzie 1918 roku), i choćby z tego powodu Jane przemknęła do mieszkania Gertrude Stein i Alice B. Toklas. Zastała przyjaciółkę przybitą i wyprowadzoną z równowagi.

– Czy ty wiesz, co ci durnie podpisali?

– No właśnie nie bardzo rozumiem, co to ma wszystko znaczyć.

Gertrude Stein niemal wpadła w histerię przez te wszystkie straszne wydarzenia i całkowitą klęskę Francji, tak nieoczekiwaną i zaskakującą. Alice B. Toklas z wyraźną obawą o stan jej zdrowia dolewała jej brandy do szklanki.

– Funkcjonuję tylko dzięki laudanum i brandy – rzekła Gertrude.

– I dzięki mnie – dodała Alice.

– Tak, kochanie, dzięki tobie przede wszystkim, ale teraz nie czas na czułe słówka. – Gertrude tęgo pociągnęła ze szklanki. – Paryż oraz całe wybrzeże Atlantyku aż po granicę z Hiszpanią i północna Francja będą pod bezpośrednią okupacją Niemców. Natomiast z jednej trzeciej terytorium dawnej republiki powstanie quasi-państwo i już ogłaszają, że rząd tej świni Pétaina przeniesie się do Vichy. Nawet z całego tego zdenerwowania nie wiem, gdzie ta dziura jest.

– W Masywie Centralnym. To kurort – dodała Alice.

– Widzisz, rząd francuski będzie rządził z kurortu! Co za wywczasy, że niech to szlag trafi! Wiesz, mnie nie boli, że można przegrać z bronią w ręku, gdyż naczytałam się powieści Hemingwaya, który tu u mnie wypił nie powiem ile brandy.

– Wszystkiego, co zawierało alkohol, gwoli ścisłości – dodała natychmiast Alice, mierząc się ze spojrzeniem przyjaciółki.

– Boli mnie to, że oni przeszli na stronę Hitlera.

– Obawiam się, kochana, że jesteś jedyną osobą w Paryżu, która tak myśli – znów wtrąciła Alice.

– Nie jedyną, moja droga! Generał de Gaulle uciekł podobno do Londynu i stamtąd chce prowadzić walkę.

– Wojna jest przegrana. – Alice wypiła duży łyk brandy.

To ostatnie zdanie było dla Jane szczególnie bolesne. Przybyła do Europy jako studentka, a teraz była świadkiem jednego z najbardziej upokarzających wydarzeń w historii Francji. Nie przypuszczała, że tak daleko to zajdzie.

– Jak sądzicie, co nas czeka? – zapytała zatrwożona.

– Co masz na myśli? Musimy walczyć i przetrwać.

– Ty nie możesz walczyć, kochana – rzekła troskliwie Alice. – Poza tym wydaje mi się, że Jane miała na myśli, co czeka Żydów.

Gertrude Stein nie umiała – albo nie chciała – odpowiedzieć. Zawsze gadatliwa ponad miarę, pełna pomysłów, energii i pasji, którą zarażała innych ludzi, teraz stanęła przed wielkim milczeniem, które zwiastowało trwogę. Miała łzy w oczach.

– Nie wiem, kochana Jane – powiedziała po chwili cicho, jak gdyby nie chciała, żeby ktokolwiek usłyszał jej płacz. – Nigdy nie przypuszczałam, że oni tutaj przyjdą.

– Chcę wyjechać do Prowansji, do ojca.

– To w nieokupowanej części. Będziesz chyba potrzebowała dokumentów umożliwiających przekroczenie wewnętrznej granicy – rzekła Alice.

Francję przedzieliła kolejna wewnętrzna granica.

*

Na początku lipca 1940 roku w Paryżu pojawił się ambasador niemiecki, a w rzeczywistości hitlerowski namiestnik Francji – Otto Abetz. Niemcy zaraz zabrali się do formowania władz okupacyjnych, ale w przeciwieństwie do Polski tutaj, nad Sekwaną, była to okupacja w rękawiczkach. Wszystkie kwestie sporne oraz interesy, ściąganie haraczu z bogatego i podbitego kraju, miały rozwiązywać i realizować dla Niemców władze francuskie. Abetz miał to nadzorować. Ale rządy hitlerowskie wymagały metod hitlerowskich. Szybko powstało w Paryżu dowództwo Gestapo. Dawne więzienie po Napoleonie III, Fresnes, zostało sprawnie zaadaptowane. Niemcy zamierzali wykorzystać każdą fabrykę, każdy zakład pracy i pozostawiony przez armię francuską sprzęt, żeby wzmocnić siłę Wehrmachtu. I – przewidując opór – zaczęli przysyłać funkcjonariuszy Gestapo oraz SD.

Młody niemiecki oficer SD przyjechał do Paryża po raz pierwszy w życiu. Z dworca du Nord kazał zawieźć bagażowemu swoje walizki

na kwaterę. Wkroczył do dużego, reprezentacyjnego budynku przy Avenue Foch numer 84, gdzie znajdowała się siedziba paryskiej filii Sicherheitsdienst. Wszedł po schodach i zameldował się u swojego bezpośredniego przełożonego, SS-Standartenführera Helmuta Knochena, szefa SD i Gestapo w regionie Île-de-France.

– Skąd pan jest? – zapytał Knochen.

– Z Fryburga Bryzgowijskiego.

– O, to pewnie zna pan francuski?

– Oczywiście, mówię płynnie w tym języku – odparł po francusku młody oficer, bezczelnie patrząc w twarz przełożonego.

Knochen spojrzał na teczkę osobową nowego pracownika, którą przesłano z centrali berlińskiej SD. W 1938 – wstąpienie do SS, a w 1940 – awans na SS-Unterscharführera, czyli sierżanta SS.

– Doskonale – odparł w tym samym języku Helmut Knochen. – Jak pan sądzi, Auschenwald, jakie tutaj są nasze obowiązki?

– Przeciwdziałanie agenturze brytyjskiej, wolnym Francuzom de Gaulle'a oraz sprawy żydowskie.

– To znaczy, że pan wie, co tutaj robimy. Na razie żadnych gwałtownych akcji, żadnych tortur, tu nie Polska, gdzie można dla zabawy albo własnego widzimisię powiesić dwudziestu czy trzydziestu ludzi. Heydrich mi wyjaśnił, że mamy Francuzów przerobić z wrogów na kolaborantów. Czy pan to rozumie, Auschenwald?

– Tak jest – odparł po niemiecku i stuknął przepisowo obcasami.

– Na razie możecie iść się rozpakować. Widzimy się jutro o ósmej. Nie lubię spóźnień. Zaczniemy pracę nad stworzeniem razem z policją francuską katalogu potencjalnie niebezpiecznych jednostek, zarówno wojskowych, jak i intelektualistów. Oraz oczywiście Żydów – oświadczył Knochen.

– Jak pan sobie życzy, Herr Standartenführer.

Przełożony pozwolił się odmeldować. Peter Auschenwald wyszedł w światło paryskiej ulicy. Ach, ta przestrzeń i te platany paryskie! To był

jego dzień, choć odczuwał zmęczenie po podróży. Miał wrażenie, że w Paryżu zrobi karierę.

*

Jane czuła się w Paryżu osaczona. Wciąż nie mogła wrócić do Prowansji, gdzie czekał ojciec i być może załatwiał papiery dla Hannah Arendt i jej rodziny. Gertrude Stein także utraciła możliwość załatwienia czegokolwiek. Paryż stawał się miastem pułapką dla tych, którzy demonstracyjnie prezentowali antyhitlerowskie poglądy. Jane próbowała załatwić możliwość wyjazdu do Prowansji, ale policja francuska odmawiała jej rozpatrzenia sprawy. Obywatelka amerykańska z prawem stałego pobytu – na takie przenosiny do części nieokupowanej Francji zgodę mogło wydać nowe Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Policji państwa Vichy, a na to trzeba czasu. Na polecenie Niemców wszyscy obcokrajowcy przekraczający granicę między częścią okupowaną i nieokupowaną musieli być skrupulatnie sprawdzeni. Chodziło o to, żeby do części kontrolowanej przez Vichy nie uciekło zbyt wielu bezpaństwowych Żydów.

Tego dnia Jane wyszła z budynku francuskiej policji, gdzie chciała się dowiedzieć czegoś więcej o swoim podaniu o pozwolenie na przekroczenie wewnątrzfrancuskiej granicy. Sprawa utknęła. Dziewczyna czuła się sfrustrowana i zła, ponieważ nie mogła sobie darować, że na początku maja wybrała się do Paryża i z powodu tej decyzji utknęła nad Sekwaną.

– Fräulein, proszę się zatrzymać! – zawołał jakiś Niemiec, gdy ruszyła chodnikiem.

Instynktownie się zatrzymała. Zdało się jej, że to znajomy głos. Odwróciła się – przed nią stał Niemiec w szarozielonym mundurze, z dwiema runami na kołnierzu, w czapce z trupią główką. Jane pomyślała, że to nieporozumienie, i tak miała właśnie to skomentować, gdy żołnierz się odezwał:

– Nie ma żadnej pomyłki, Jane Coulfield.

Zmusił ją, żeby z nim poszła. Uszli paręset kroków i Niemiec zauważył małą kawiarnię na skwerku. Zaprowadził tam przestraszoną

i zdezorientowaną dziewczynę.

– Już o mnie zapomniałaś, Jane? – spytał i ściągnął czapkę. Odłożył ją na stolik. – To bardzo nieładnie. Całe cztery lata.

Jane, zmuszona do zajęcia miejsca przy stoliku, dopiero teraz go poznała. Ta sama twarz, choć widziała go jako nastolatka, który bawił się w niebezpieczne gry w Hitlerjugend. Oczywiście, że pamiętała ich słodki mały grzech wynikający z jej próżności. Wtedy, już po wszystkim, żałowała tego – był to tak zwany życiowy błąd. Starała się potem takich nie popełniać, ale ten najwyraźniej ją dopadł w najmniej spodziewanym momencie.

Niemcem w mundurze SS był Peter Auschenwald.

*

W tym samym czasie Samuel odwiedził swojego przyjaciela Hirama Binghama, z którym przed wojną grywał w golfa. Przyjechał do niego tym razem z problemem Jane, która nie mogła się wydostać z Paryża. Bardzo się tym niepokoił, ale nie wiedział, że wicekonsul Stanów Zjednoczonych w Marsylii postanowił na własną rękę i wbrew administracji Roosevelta pomóc uchodźcom.

– Witaj, Sam – powiedział konsul. Uścisnął dłoń Samuela. – Wybacz, że nie odwiedziłem cię jeszcze w Prowansji, ale być może wkrótce to uczynię.

– Nigdy nie jesteś bezinteresowny – odparł Samuel, który polubił ogromnie Hirama Binghama.

– Chcę, żebyś kogoś poznał. – Przyjaciel wskazał na mężczyznę siedzącego w fotelu dla gości ze szklaneczką starego, dobrego burbona z Kentucky.

– Varian Fry – powiedział mężczyzna i podał rękę Samuelowi.

Samuel spostrzegł, że dzieje się coś, czego sensu jeszcze nie do końca rozumie.

– Varian jest we Francji od czasu inwazji Niemców – rzekł konsul. – Nie ukrywam, że liczyliśmy bardzo, że Francuzi postawią się Szkopom jak

w czasie wielkiej wojny. Osobiście miałem nadzieję na trzecią bitwę nad Marną, ale zawiodłem się bardzo, Sam. Klęska Francji zmienia wszystko.

– To znaczy? – zapytał Samuel.

– Prezydent podjął decyzję, że nie możemy dopuścić do upadku Wielkiej Brytanii.

– To znaczy, że wchodzimy do wojny? Teraz? – dziwił się Sam.

Konsul zaprzeczył.

– Nie w takim sensie, jak myślisz. Nasz rząd zrobi wszystko, żeby Angole dostali to, co potrzebne do prowadzenia wojny. Mam na myśli zaplecze, głębię strategiczną, ale i dla nas będzie teraz dużo pracy we Francji. Oczywiście jesteśmy tolerowani, ponieważ nie prowadzimy wojny z Niemcami, i myślę, że mamy jakiś margines swobody, choć nie jest on bardzo duży.

– Co chcecie zrobić?

– Oddaję głos Varianowi.

– Obserwowałem bezpośrednio walki i widzę, że Niemcy zamieniają Francję w magazyn rzeczy potrzebnych im do dalszego prowadzenia wojny. Zajęli zakłady Renault i Citroëna, produkcja ma dalej być prowadzona, ale na potrzeby niemieckiego wojska, rozumieją panowie? Dzięki Francji Hitler ma szansę na wygranie tej cholernej wojny. Jednak najbardziej martwią mnie przebywający we Francji ludzie potrzebujący pomocy i wydostania się stąd.

Samuel nie wytrzymał nerwowo.

– Moja Jane...

– Ona jest dla nas priorytetem, bo jest obywatelką amerykańską – rzekł konsul uspokajająco. – Ale mówimy o ludziach, którzy są w sytuacji rozpaczliwej, dużo gorszej niż twoja Jane. Pamiętasz podanie, które mi przywiozłeś?

– Tak, od pani Arendt. Córka prosiła mnie o to przed swoim fatalnym wyjazdem do Paryża.

– Hannah Arendt jest jedną z tych osób, którym powinniśmy pomóc w pierwszej kolejności – powiedział Varian Fry. – W kolejce czekają też

świetny niemiecki pisarz Feuchtwanger i genialny malarz Marc Chagall. Nie wierzę, że Niemcy ich nie tkną. Byłem tam w trzydziestym piątym i trzydziestym szóstym; widziałem, co robią Żydom, jak potrafią ludzi gnoić na ulicy, wyrzucać z pracy, bić. Nie cofną się przed niczym, tak jak w Polsce. Późną jesienią trzydziestego dziewiątego spotkałem się w Nowym Jorku z moim kolegą po fachu, Julianem Bryanem, który opowiedział mi, co widział na własne oczy w Warszawie. Niemcy są barbarzyńcami i nie cofną się wobec Żydów przed żadnym okrucieństwem. Mamy moralny obowiązek, panowie, chronić tych, którzy są narażeni na prześladowanie.

– Ja również jestem Żydem. I moja córka też – powiedział Samuel.

– Wiemy i ewakuujemy Jane z Paryża, gdy tylko to będzie możliwe. Skontaktuj się, proszę, z córką. Mówiłeś, że ona ma w Paryżu mieszkanie. Zapytaj ją, czy to mieszkanie i wasz dom w... nie pamiętam, jak się nazywa to miasteczko... – Bingham pytająco spojrzał na Samuela.

– Gordes, niedaleko Awinionu.

– Doskonale. Zapytaj ją, czy to mieszkanie paryskie i wasz dom mogłyby stać się punktami przerzutu uchodźców do Marsylii – dodał Varian Fry.

– Francuzi z Vichy będą nam patrzeć na ręce – uprzedził konsul. – Musimy stworzyć jeszcze inny szlak, przez Hiszpanię. Będę wydawać bezpaństwowcom tymczasowe paszporty, które umożliwią im emigrację do Stanów.

– To dobry pomysł – stwierdził Sam. – Na ile będę mógł, pomogę.

– Jesteśmy ci za to wdzięczni. Skontaktuj się, proszę, z córką. To dla nas ważne – rzekł Hiram Bingham, który zaczął z optymizmem patrzeć na akcję pomocy uchodźcom.

Samuel po rozmowie z mężczyznami postanowił wrócić do Gordes i czekać na wiadomość od Jane.

Rozdział XIX

Strategia przetrwania

PARYŻ, WRZESIEŃ 1940

Jane z trwogą czytała w codziennej francuskiej prasie o grozie lotniczej bitwy o Anglię, ale informacje do gazet były ściśle cenzurowane przez niemieckie dowództwo. Zresztą jej sytuacja też stawała się z dnia na dzień coraz trudniejsza. Peter Auschenwald pojawiał się i znikał. Kiedy pierwszy raz spotkał ją na paryskiej ulicy, z początku zupełnie go nie poznała. Tłumaczyła sobie, że to przez mundur, że wtedy był młodzieńcem, a ona – frywolna i głupia. Jednak tego dnia, po kawie, którą – ku wstydowi Jane – wypili na koszt kawiarenki, poszedł za nią do jej mieszkania. Nie śmiała mu przeszkodzić ani kłamać. Wiedział, gdzie mieszka. Nie mogła się od niego uwolnić. Zjawiał się codziennie i pytał, czy nie brak jej czegoś, czy ma dostęp do jedzenia. Badał otoczenie.

Kilka dni potem przyszedł wieczór, kiedy Peter nie chciał już wyjść z jej mieszkania.

– Czy wiesz, co ja przez ciebie przeżywałem?

Jane czuła, że coś jest nie tak.

– Popełniliśmy wtedy błąd – powiedziała. – Nie powinniśmy...

– My? O nie, Jane – zaprotestował stanowczo Auschenwald. – Z pewnością nie ja uchylałem drzwi, żeby młody chłopak mógł sobie pooglądać, a potem masturbować się jak oszalały pod pierzyną. To nie ja popełniłem błąd, moja droga.

Chwycił ją za przegub dłoni. Był silny, znacznie silniejszy niż wtedy, kiedy poznała go latem 1936 roku we Fryburgu Bryzgowijskim.

– Czego chcesz?

– Czego chcę? Dobrze wiesz, czego chcę. I dasz mi to za każdym razem, kiedy tutaj przyjdę – oświadczył spokojnym tonem. – Zaczniemy od razu.

Jane nie chciała tego robić w ten sposób. Łudziła się, apelowała go jego rozsądku, sumienia, ale na próżno. Pocałował ją długo i namiętnie, ale nie

sprawiło jej to radości. Potem poczuła jego dłoń. Wsadził jej palce w majtki. Jęknęła. Popchnął ją na kredens, nie bacząc, że stłukł się jakiś wazon na kwiatki. Lewą dłonią chwycił ją za gardło, a prawą sięgnął, by odpiąć rozporek.

– Nie chcę!

Uderzyła go w twarz. Ale to go wcale nie otrzeźwiło. Peter był teraz atletycznie zbudowanym mężczyzną. Przyłożył jej z całej siły. Jane poczuła krew w ustach, miała słodki i mdły smak. Ale rozbitej wargi jeszcze nie zdążyła poczuć. Pocałował ją i zlizał tę krew. Pchnął ją znów na kredens, obrócił tyłem i przytrzymał lewą ręką. Prawą rozpiął spodnie. Przemoc i atmosfera, w której to wszystko się odbywało, wyraźnie go podniecały. Wszedł w nią, aż jęknęła z bólu. Potem, jak gdyby nic się nie stało, poszedł do łazienki, doprowadził się do porządku i wrócił do niej. Płakała na łóżku.

– Jesteś moją zdobyczą wojenną, Jane – powiedział. – W ogóle nie powinnaś tego brać do siebie, ale uważam, że miałem prawo. Choć tym razem nie sprawiło ci to przyjemności jak wtedy, na twoim łóżku we Fryburgu, jestem przekonany, że nasze następne razy przysporzą ci sporo radości. Jesteś moja. Należysz do mnie.

Teraz dopiero na niego popatrzyła. Powoli docierał do niej sens słów, które wypowiadał. Od tego dnia miała być jego igraszką, jego zabawką.

– Marzyłem o tobie od czterech lat. I teraz jesteś moja! Słyszysz? Moja! Nie próbuj zmienić zamka w drzwiach ani uciekać, bo od dziś twoje słodkie gniazdeczko będzie pod ścisłą obserwacją Gestapo. Jeśli odważysz się z kimś skontaktować, a ja się o tym dowiem, zafunduję ci coś specjalnego. Wiesz, co to jest Ravensbrück?

– Nie – odparła Jane.

– To obóz koncentracyjny dla kobiet, moja droga. Jeśli będziesz nieposłuszna, załatwię ci tam miejsce. Są tam burdelmamy, które gwałcą takie dziewczynki jak ty ryżową szczotką. Chciałabyś mieć taką szczotkę w sobie zamiast mnie? Powiedz mi, proszę.

Jane zaprzeczyła.

– Chcę cię mieć. Mogę to robić tak jak dziś albo... Będziesz mnie kochała, tak jak ja kocham ciebie. Będziesz moją kobietą w Paryżu, a ja ci obiecuję, że nikt ci nic nie zrobi. A jak ktoś ci wejdzie w paradę, to go zabiję.

Zbliżył swoją twarz do jej twarzy. Jane zrozumiała, że ten człowiek ma nad nią władzę i nie wydostanie się sama z tej matni. Uznała, że płacz jej nie pomoże. Najgorsze się stało. A ona chciała żyć. Na przekór wszystkiemu. Chciała być wolna, ale wolność była odległym celem, do którego mogła się zbliżać powoli, każdego dnia idąc naprzeciw złu. Pomyślała też, że tamten chłopak z Fryburga Bryzgowijskiego to ten sam mężczyzna, który teraz grozi jej obozem koncentracyjnym. Musiała się zgodzić – on był na to gotowy, mógł ją wysłać do piekła, którego sobie nie wyobrażała. Więc opanuje się, wytrze łzy, będzie twarda. Zrobi wszystko, żeby się zabezpieczyć przed tym monstrum, uspokoi go, a kiedy przyjdzie czas – ucieknie.

– Dobrze, będę twoją kobietą, ale nie bij mnie więcej.

Peter Auschenwald natychmiast zmienił swoje zachowanie. Przestał grozić. Opowiedział jej o matce, która ją lubiła – mieszkała dalej w tym samym domu we Fryburgu i żyła z wynajmowania kwater żołnierzom. Potem wypili razem wino, butelkę, którą miała w domu na jakąś okazję. W końcu Auschenwald ubrał się i wyszedł, zabrawszy jej klucze. Powiedział, że przyniesie je następnego dnia, ale musi dorobić sobie komplet, bo przecież „nie wypada, żeby niemiecki żołnierz nie miał klucza do alkowy swojej kobiety".

Jane po jego wyjściu długo go z siebie wymywała w łazience. I prosiła Najwyższego, żeby to zdarzenie nie miało żadnych konsekwencji.

*

Samuel niepokoił się brakiem wiadomości od córki. Kilkakrotnie próbował połączyć się telefonicznie z numerem w Paryżu z poczty w Gordes, ale za każdym razem centrala odmawiała mu ze względów pozaregulaminowych. Mieszkając w uroczym miasteczku, poznał też dość dobrze ludzi, którzy tu żyli, i wiedział, że Jane była w dobrej komitywie

z młodym Francuzem Yves'em. Jednak przez kilka dni nie mógł chłopaka znaleźć. W końcu się udało.

– Czy pan Yves Sabatier? – zapytał Samuel. – Nie chciałbym przeszkadzać.

Chłopak się przestraszył.

– Czego pan chce?

– Proszę się nie obawiać. Jestem tatą Jane.

– Co z nią? – zapytał chłopak.

– Nie mam z nią kontaktu od czerwca. Wyjechała do Paryża przed atakiem Niemców. Słyszałem, że pan czasami jeździ przez granicę do części okupowanej.

– Skąd pan to słyszał?

– To małe miasto, panie Sabatier. Proszę mi pomóc. Odwdzięczę się.

– Jadę do Paryża w przyszłym tygodniu. Proszę zostawić mi adres Jane. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Dziękuję – powiedział Samuel. – Bardzo dziękuję.

*

Jane nie uwierzyła w groźby esesmana, że znajdzie się pod całkowitą kontrolą. W Paryżu, dużym mieście, było to prawie niemożliwe. Dwa dni później, gdy Auschenwald się nie pojawiał, zaryzykowała i poszła z odwiedzinami do Gertrude Stein. Zaskoczyła ją nagła zmiana w zachowaniu przyjaciółki.

– Uważam, Jane, że każdy ma swoje kłopoty. A ty, zgaduję, masz?

– Tak – powiedziała przejęta dziewczyna. – I proszę cię, żebyś mi pomogła.

– Kochana, chciałabym, naprawdę, ale muszę zadbać o moją kolekcję sztuki. Na szczęście w rządzie Vichy jest mój dobry przyjaciel Bernard Faÿ, który mi pomoże przenieść się do części nieokupowanej.

– Czy mogłabyś mnie wysłuchać?

Dopiero teraz Gertrude Stein zauważyła, że Jane jest wewnętrznie rozbita, choć skrzętnie próbowała to ukryć.

– Co się stało? – zapytała z nagłym współczuciem.

Jane opowiedziała jej wszystko. Gertrude mocno ją przytuliła.

– Dziecko, wysłuchaj mnie teraz – powiedziała. – Mogłabyś zostać u nas, ale jeśli on jest gestapowcem, znajdzie cię. Jeśli nie możesz się wyrwać z tej matni, spróbuj przetrwać. Ugłaskaj go. My, kobiety, znamy się na tym dobrze. Kiedy popełni błąd, uciekaj, gdzie pieprz rośnie, moja droga. Ja muszę wyjechać z Paryża.

– Boję się...

– Wiem – powtórzyła Gertrude, gładząc Jane po twarzy. – Nastały czasy barbarzyńców, a ty jesteś piękna, delikatna i mądra. I właśnie ze swej mądrości życiowej musisz uczynić sposób przetrwania. Musisz przetrwać, powtarzaj sobie to, choćby nie wiem, co się stało i w jakichkolwiek straszliwych okolicznościach byś się znalazła. Jesteś silna i przetrwasz.

– Jestem silna i przetrwam.

Uspokoiła się. Wypiły razem z Gertrude kawę, a potem Jane wróciła do siebie. Gdy tylko wyszła, Alice B. Toklas stwierdziła:

– Spławiłaś ją po prostu.

– Musimy zadbać o nas, Alice. Każdy ma to, co posiał, że pozwolę sobie użyć ewangelicznej metafory – odpowiedziała Gertrude z rozbrajającą szczerością.

– I jeszcze jesteś cyniczna – dodała Alice w swoim stylu.

– I przy odrobinie tego cynizmu przeżyjemy.

Była to prawda. Gertrude Stein dzięki swemu przyjacielowi Faÿowi zamieszkała wkrótce w nieokupowanej części Francji, w Prowansji, pod parasolem policji Vichy. Jej kolekcja antyków i obrazów najlepszych mistrzów malarstwa była bezpieczna. Wkrótce też zgodziła się tłumaczyć na angielski przemówienia marszałka Pétaina. Nie dotknęły jej prześladowania do końca okupacji niemieckiej we Francji. Przeżyła wojnę dzięki swojej strategii przetrwania. Zmarła w 1946 roku na raka żołądka.

PARYŻ, LISTOPAD 1940

Yves Sabatier był bardzo sprytnym obserwatorem. Po załatwieniu spraw związanych ze szmuglem alkoholu, czym zajmował się na co dzień (o czym Jane nie wiedziała, gdy wynajmowała go jako kierowcę), przyglądał się mieszkaniu Jane, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Dopiero po dwóch godzinach odważył się tam pójść. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Skierował się zatem do drzwi sąsiedniego mieszkania. Otworzyła mu kobieta.

– Szukam Jane Coulfield. Jej ojciec się martwi, ponieważ nie może się do niej dodzwonić. Czy pani coś wie?

– Ja tam wolę nic nie wiedzieć, proszę pana.

Yves'a trudno było spławić. Wsunął stopę między framugę i drzwi.

– Bardzo panią proszę...

– To ta Amerykanka z naprzeciwka? – zapytała kobieta.

– Tak, właśnie ona.

– Mój młody człowieku, nie rób sobie nadziei. Tutaj urzęduje Gestapo. Przepraszam, ale niebezpiecznie jest nawet mówić o tym – stwierdziła kobieta.

– A kiedy ją pani widziała ostatni raz?

– A dziś przed południem. Wyszła, kokota, z tym swoim szwabem.

Zaskoczyło go to. Lubił Jane i nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego. Postanowił się już dłużej sąsiadce dziewczyny nie naprzykrzać. Cofnął nogę, by kobieta mogła zamknąć drzwi. Zdecydował sprawdzić to osobiście.

Nieopodal znajdował się zielony skwer. Yves wyszedł z budynku, kupił gazetę od chłopca rozdającego popołudniowe wydanie jakiejś paryskiej bulwarówki. Czekał około godziny. Rzeczywiście – pod dom podjechał czarny samochód na niemieckich rejestracjach. Wysiedli z niego Jane oraz esesman. Yves żałował, że nie ma aparatu fotograficznego, ale postanowił zapamiętać tę scenę z całą ostrością. Niemiec wziął dziewczynę pod rękę i wszedł z nią do budynku.

Nie mieściło mu się to w głowie.

– To jest po prostu kurwa – powiedział do siebie. Wstał, wyrzucił gazetę do kosza na śmieci i poszedł na plac, gdzie zaparkował swój dostawczy samochód.

*

Minęły dwa miesiące, od kiedy Peter zmusił ją do współżycia, i dziewczyna zauważyła, że ma charakterystyczne objawy – poranne wymioty, nudności, częste oddawanie moczu, oraz że przestała miesiączkować. Mogło to oznaczać tylko jedno. Chciała dyskretnie pójść sama do lekarza, ale Auschenwald zorganizował dzięki swoim szpiclom niemającym w Paryżu zbyt wielu zajęć – wszak Francja i cały jej przemysł ochoczo pracowały na rzecz zwycięstwa Niemiec – coś w rodzaju siatki, nieustannie pilnującej dziewczyny. W końcu dzień przed tym, kiedy Yves zobaczył ją w towarzystwie Niemca, powiedziała mu to otwarcie:

– Jestem z tobą w ciąży.

Peter nie zdziwił się, może nawet był dumny, że Amerykanka zaszła w ciążę właśnie z nim, ale nie miał też złudzeń, że to skomplikuje ich i tak nader niezwykłą relację.

– Nie możesz urodzić. To po prostu niemożliwe.

Dla Jane to była ostateczność, straszna i niczym przez nią niezawiniona. Nie mogła się jednak z tym zwrócić do kogoś innego.

– Pomóż mi więc.

Auschenwald nie mógł tego zgłosić żadnemu niemieckiemu lekarzowi, ponieważ wówczas zaczęłaby się procedura sprawdzania, czy esesman nie dopuścił się zbrodni obrazy rasy. *Rassenschande* było przestępstwem; postępowanie w tej sprawie skończyłoby się dla niego w najlepszym przypadku degradacją. Tego oczywiście Peter nie chciał. Poprosił Jane o sto dolarów. Założył, że Amerykanka ma pieniądze.

– A jeśli to nie starczy?

– Wtedy przystawię ginekologowi pistolet do głowy – powiedział beznamiętnie.

Następnego dnia przyjechał po nią swoim samochodem. W pracy wziął wolne. Zawiózł ją do lekarza, który nie zadawał zbyt wielu pytań i lubił dolary. Zresztą mundur niemiecki sprawił, że ginekolog nie zapytał nawet, kim jest Jane. Musiał jej tylko zaaplikować dożylne środki uspokajające, ponieważ dziewczyna cały czas szlochała. Nie mogła się powstrzymać. Nie chciała i nie planowała tego dziecka, ale sam zabieg i okoliczności były dla niej czymś tak potwornym, że przeżywała i cierpiała całą sobą, aż po dno duszy.

Po godzinie było po wszystkim.

– To był pierwszy trymestr – powiedział lekarz, inkasując od Niemca pieniądze, a Jane zalecił: – Proszę się oszczędzać.

Zapisał jej leki przeciwzakrzepowe i wzmacniające serce.

Auschenwald zawiózł dziewczynę do jej mieszkania.

– Wynoś się – powiedziała do niego. – Nie mogę już na ciebie dziś patrzeć.

Odszedł bez słowa, ale Jane była pewna, że wróci. Darzył ją chorą namiętnością i wiedziała, że musi z nim ustalić jakieś zasady, żeby znów nie musiała odwiedzać ginekologa, który nie zadaje pytań i lubi pieniądze. Płakała całą noc, usnęła dopiero nad ranem.

Właśnie tego dnia Yves Sabatier widział ją w towarzystwie Niemca.

*

Yves po powrocie do Gordes odwiedził starego Samuela, który z wytęsknieniem i niezwykłymi emocjami oczekiwał jakichś wiadomości od córki. Chłopak z przykrością przekazał mu informacje.

– Widziałem Jane w towarzystwie Niemca, najprawdopodobniej gestapowca, gdy wchodziła do budynku pod wskazanym przez pana adresem.

– Może pan się pomylił? Na pewno pan musiał...

– Nie mylę się w takich przypadkach. Naprawdę mi przykro. Rozmówiłem się też z sąsiadką. Potwierdziła, że Jane ma kochanka, tego Niemca, z którym ją potem zobaczyłem. Nie będę o tym mówił nikomu

w mieście. Gdyby ona tutaj, nie daj Boże, z nim przyjechała, ludzie nie wybaczą, a ja pana bardzo szanuję, panie mecenasie.

Pożegnał się. Samuel, całkowicie załamany tymi wiadomościami, nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Nazajutrz, gdy tylko otworzyli urząd pocztowy, poszedł zamówić rozmowę międzymiastową między Gordes i numerem Jane w Paryżu. Miał nadzieję, że teraz się uda. Urzędniczka zapewniła go, że Niemcy nie robią już trudności w kontaktowaniu się z Paryżem. Po godzinie międzymiastowa oddzwoniła. Było połączenie! Samuel z bijącym sercem chwycił słuchawkę aparatu. Po chwili odezwał się stłumiony głos kobiecy:

– Słucham...

Poznał ją!

– Jane – powiedział Samuel drżącym głosem. – Dowiedziałem się o tobie czegoś, w co nie wierzę.

– Co? Samuelu, o czym ty do mnie mówisz? Nie wiesz, co mnie tutaj spotkało...

– Czy to prawda, że masz Niemca? Powiedz mi, że to nieprawda! Powiedz mi to! – prosił starszy człowiek.

Jane milczała. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Wybacz, tato, zgwałcił mnie Niemiec dwa miesiące temu i miałam wczoraj aborcję? Czy Samuel zrozumiałby ją, choć ona sama już siebie nie rozumiała?

– Tato, ty nic nie rozumiesz...

– Ja nie rozumiem? Ja wszystko potrafię zrozumieć, ale nie to! Jak mogłaś?!

Jane nie miała siły po wczorajszym strasznym dniu na bitwę z przybranym ojcem. Z trudem wstała z łóżka, żeby odebrać telefon, jak się okazało – międzymiastowy. Czuła się upokorzona, zbrukana i słaba. Towarzyszył jej ból fizyczny, który może jeszcze jakoś by zniosła dzięki laudanum, które zapisał lekarz. Jednak najbardziej rozdzierający był ból duszy, która w niej krzyczała.

– Nie miałam wyboru – powiedziała cicho i odłożyła słuchawkę.

Chciała spać. Po rozmowie z Samuelem zażyła jeszcze jedną tabletkę laudanum i popiła resztką wina. Miała nadzieję, że się już nie obudzi. A Samuel został sam w urzędzie pocztowym. Ludzie patrzyli na niego osłupiali, gdy krzyczał do telefonu:

– Jak mogłaś! Jak mogłaś!!!

Jak pisała Gertrude Stein – róża jest różą, jest różą, jest różą...

Rozdział XX

Collaboration horizontale[19]

Francja, wiosna 1941 roku

Miesiące, które upłynęły od zabiegu, były dla Jane koszmarem. Niemal co noc śniła ten sam, nadzwyczaj plastyczny sen. Siedziała w parku w jakimś nieokreślonym miejscu. Po chwili na placu zabaw pojawiały się szczebiocące dzieci. Bawiły się piłką. W pewnym momencie piłka turlała się w jej stronę. Do piłki – oraz do Jane – podchodziła kilkuletnia dziewczynka.

„Mamo, dlaczego mnie zabiłaś?" – pytała.

Jane budziła się z przeświadczeniem, że to sen był prawdziwy, a jej życie to senny koszmar. Trochę trwało, zanim wróciła do rzeczywistości.

Auschenwald nie odpuścił sobie Amerykanki. Być może jego przełożony Knochen o niej wiedział, ale Stany Zjednoczone i III Rzesza wciąż nie były w stanie wojny. Patrzył więc na to przez palce, nigdy nie pytał swego podwładnego o sprawy intymne.

A Peter był zdolnym śledczym. Brytyjskim lotnikom, którzy wpadli w ręce Niemców, osobiście obcążkami zrywał paznokcie. Na rozkaz SS-Standartenführera wykonał też na nich wyroki śmierci. Wojna stawała się coraz bardziej bezlitosna. RAF, brytyjskie siły powietrzne, zbombardował

nawet jedną z fabryk na przedmieściach Paryża, wykorzystywaną przez niemiecką armię. Zginęli wówczas Francuzi.

Jane, żyjąca w poczuciu winy, coraz częściej sięgała po butelkę. Na to było ją stać, a relacja z Auschenwaldem była – jak na te okoliczności – w miarę normalna. Zauważyła, że kiedy nie mówi o Hitlerze, staje się całkiem miłym człowiekiem, przypominającym chłopca, z którym pokochała się latem 1936 roku we Fryburgu. Od tamtego czasu minęło pięć lat, ale dla niej to była epoka, naznaczona cierpieniem, śmiercią i doświadczeniem bezpowrotnej straty dziecka.

W kwietniu 1941, kiedy Niemcy napadli Jugosławię, na adres paryski Jane przyszedł list z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ze Szwajcarii, że Elisabeth Singer-Coulfield zginęła w marcu 1941 roku podczas strasznego bombardowania Coventry. Gdy Jane to przeczytała, nie wpadła w histerię ani nie zwyzywała swojego niemieckiego kochanka dręczyciela, który tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu stawał się dla niej bliskim człowiekiem.

Zresztą to było dla niej wciąż nowe doświadczenie. Gdy przychodził do jej paryskiego mieszkania, nie odmawiała mu współżycia, ale prosiła, by się zabezpieczał. O dziwo, Niemiec zrozumiał, że ponosi winę za tamtą sprawę. Gdy nie przychodził przez dwa lub trzy dni, zaczynała się denerwować, czy nie zostawił jej na pastwę ludzi. A Jane widziała spojrzenia sąsiadów, którzy na co dzień zdawali się mili i układni, ale gdy odwracała wzrok, pluli na ziemię na jej widok. Było to dla niej coś tak strasznego, że bała się wychodzić z mieszkania.

Mimo wszystko śmierć matki, która jej nie kochała i z którą dziewczyna nie miała głębokiej więzi, była dla niej kolejnym trudnym doświadczeniem. Długo dusiła to w sobie. Wreszcie, gdy któregoś dnia Auschenwald przyszedł w mundurze, w czapce z trupią główką, coś w niej pękło.

– Moja matka nie żyje. Zabiliście ją w czasie nalotu na Coventry. – Pokazała mu wiadomość ze Szwajcarii.

– Jest wojna – odparł Peter. – A na wojnie giną ludzie.

– To była moja mama! Twój cynizm jest obrzydliwy. Chcę pojechać do mojego domu w Gordes w Prowansji.

– Nie widzę przeszkód, ale jadę z tobą.

– Twoja obecność i tak jest skazą – odparła Jane.

– W takim razie jestem twoją skazą! Kiedy chcesz jechać?

– Teraz, na wiosnę.

*

Jane przyjechała do Gordes pod koniec kwietnia 1941 roku, kiedy we Francji obowiązywała zasada lojalności względem rządu marszałka Pétaina. Nikt nie protestował, ale przyjazd znanej sprzed wojny i zaprzyjaźnionej z miasteczkiem amerykańskiej nauczycielki w obecności Niemca w mundurze SS – tego było dla mieszkańców za wiele. Wiedziała, że to, co robi, jest dla wielu ludzi złe i szalone, ale prawda była taka, że odkąd w jej życiu pojawił się znów Peter Auschenwald, nie mogła się od niego uwolnić. Na dodatek, gdy jechali samochodem na południe Francji, zdała sobie sprawę z tego, że wcale tego nie chce. Szczeniackie zadurzenie sprzed kilku lat przerodziło się w coś, czego zupełnie nie kontrolowała.

Wysiadła z samochodu, a do sąsiadów powiedziała „dzień dobry". Odpowiedzieli tym samym, ale widziała, że gardzą nią, uważają za szmatę i zdrajczynię. Ufali jej, a ona przyjechała tutaj z Niemcem. Nie miała do nich pretensji. Gdyby znalazła się na ich miejscu, na pewno też zachowałaby się podobnie wobec kobiety takiej jak ona. Jane czuła się więźniem – nie tyle Petera, ile siebie samej. Nie potrafiła wyjść z pułapki, o którą winiła zarówno jego, jak i siebie. Nazywała to strategią przetrwania, ale nie miała już pewności, czy jako kochanka Niemca będzie miała szansę przeżyć tę wojnę.

Samuela nie zastała. Uderzyła ją pustka. Nie wiedziała, co się stało.

KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ, MARSYLIA

Akcja pomocy uchodźcom opracowana przez amerykańskiego konsula w Marsylii, Hirama Binghama, i amerykańskiego dziennikarza Variana Frya przybierała na sile. W ciągu pół roku, od maja tysiąc dziewięćset czterdziestego do stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, konsulat wydał ponad tysiąc wiz emigracyjnych do Stanów Zjednoczonych. Konsul był zdecydowany pozostać w Marsylii i prowadzić akcję dalej, zwłaszcza że Niemcy nie interweniowali w nieokupowanej części Francji, a policja francuska patrzyła przez palce na jego działalność. Varian Fry osobiście zawiózł tymczasowe paszporty z wizami uwięzionej w obozie nad granicą francusko-hiszpańską Hannah Arendt, co stanowiło wypełnienie danego przez Jane słowa.

Jednak w grudniu 1940 roku zjawił się u Hirama Binghama Samuel, który zaskoczył go słowami:

– Wracam do Stanów.

– Byłem przekonany, że chciałeś zostać i sprowadzić córkę.

Samuel był bardzo zawstydzony, ale postanowił skłamać.

– Jane jest w Szwajcarii i stamtąd przedostanie się na pewno do Włoch. Dostałem informację przez kuriera. Nic mnie tutaj nie trzyma.

– W porządku – odparł Hiram. – Prawdę mówiąc, liczyliśmy, że wasz dom w Prowansji, w Gordes, będzie miejscem, które będziemy mogli wykorzystać dla uchodźców.

– Nic nie stoi na przeszkodzie.

Za nic w świecie nie wyjawiłby prawdy o tym, co robiła w Paryżu Jane. Nie mógł wykluczyć plotek, które mogły dotrzeć do konsula, ale chciał być wtedy daleko w Stanach Zjednoczonych. Miał jeszcze drugie dziecko – syna, który go potrzebował. Samuel nabrał do hitlerowskich Niemiec takiego wstrętu i odrazy, że świadomość tego, co zrobiła Jane, w poważny sposób naruszyła jego stosunek do niej. Wydawało się mu, że przybraną córkę będzie zawsze tak samo kochał jak biologiczną, ale chyba jednak tak nie było.

– Pomożesz mi w załatwieniu jakiegoś biletu na statek?

– Żadne statki już nie pływają do nas z Morza Śródziemnego po tym, jak Włochy Mussoliniego wypowiedziały Francji wojnę – rzekł konsul. – Być może z jugosłowiańskiej Rijeki, ale Brytyjczycy i Włosi prowadzą na morzu działania wojenne. Jedyna droga to Hiszpania i Portugalia. Stamtąd wciąż pływają statki do Brazylii i do nas, do Nowego Jorku, ale Niemcy intensyfikują działania przeciw Brytyjczykom na Atlantyku, więc lada chwila ta droga może być utrudniona. To długa i wyczerpująca podróż.

– Jestem zdecydowany.

– W przyszłym tygodniu kurier z pocztą dyplomatyczną jedzie samochodem do Madrytu. Generał Franco jest nam życzliwy, więc możesz się z nim zabrać. Ale będzie mało wygodnie.

– Dzięki – powiedział Samuel, którego francuska ziemia dosłownie parzyła w stopy.

Jego przyjaciel nie mógł odgadnąć, co tak wstrząsnęło starym Samem, którego znał jeszcze z czasów nowojorskich.

*

Jane zrobiła remanent w domu w Gordes. Obecność Niemca odstraszała ludzi, ale jednak dziewczyna postanowiła zrobić porządki. Nie wierzyła, że Samuel, którego kochała przecież jak własnego ojca, opuścił ją bez jednego słowa. W końcu znalazła w kuchni list.

16 stycznia 1941

Jane,

piszę do Ciebie ten list z nadzieją, że go znajdziesz. Postanowiłem wrócić do Stanów Zjednoczonych i chcę, żebyś zrozumiała moje motywy. Być może zrani Cię moja decyzja, ale wierz mi – to jedna z trudniejszych w moim życiu. Mam jeszcze syna, który mnie potrzebuje, może nawet bardziej niż ty.

Od naszej telefonicznej rozmowy minęło już trochę czasu, ale mam w głowie jedno – jesteś dorosła i samodzielnie podejmujesz decyzje.

Teraz, gdy wiem, że to Twój wybór, nie komentuję go. Masz prawo do swojego życia. Wszystkie pieniądze Twojego ojca, Arnolda Rothsteina, przekazałem Ci i tylko Ty możesz nimi dysponować. Wszystkie moje zobowiązania względem Ciebie zostały w ten sposób uregulowane. Mam nadzieję, że na drodze, jaką obrałaś, choć jest ona dla mnie krańcowo obca, znajdziesz szczęście.

Samuel, który Cię wychował.

Po przeczytaniu tego listu Jane poczuła się tak samotna, jak jeszcze nigdy w całym swoim życiu. Przepłakała noc, ale nie wyjawiła treści swojemu kochankowi.

Wkrótce miało się wydarzyć coś o dalekosiężnych konsekwencjach w życiu Jane. Łudziła się jeszcze, że być może uda jej się przetrwać okupację niemiecką we Francji u boku Auschenwalda, którego jakaś jej część zaakceptowała. Czy czuła się winna, że Samuel wyjechał do Stanów Zjednoczonych? W pewnym sensie się cieszyła – przynajmniej on będzie poza zasięgiem Niemców. W jej paszporcie amerykańskim było wpisane tylko nazwisko matki, więc nie mogli tak po prostu zakwalifikować jej jako Żydówki, podejrzanej rasowo. Była pewna, że Peter Auschenwald by ją zabił, gdyby się o tym dowiedział. Trudno więc było nazwać to, co ich połączyło, miłością – czy był to jej kaprys, a z jego strony fascynacja seksualna? Nie znała jeszcze odpowiedzi.

Tego dnia odważyła się wyjść z domu. Poszła na spacer, ale nie przypuszczała, że jej cień podąży za nią. Próbowała zobaczyć wszystkie te miejsca, które zapadły jej w pamięć. Zaszła do ulubionej kwiaciarki, która sprzedała jej kwiaty. A te wydawały się jej jeszcze piękniejsze, ponieważ przez ostatnie miesiące żyła w poczuciu ciągłego osaczenia. Sądziła, że wszyscy będą na nią patrzeć lub wytykać ją palcami, ponieważ związała się z Niemcem podczas wojny. Jednak nic takiego się nie stało. Zakup tych kwiatków, wczesnowiosennych pierwiosnków, był małą przyjemnością, którą się obdarzyła.

Gdy tak szła uliczkami, nagle natknęła się na Yves'a Sabatiera, chłopaka, którego znała i lubiła. Jednak on nie był usposobiony wobec niej przyjaźnie.

– Myślałem, Jane, że jesteś uczciwą dziewczyną. Pomagałaś swojej przyjaciółce w tym obozie na granicy, to prawda. Podziwiałem cię wtedy.

– Co stoi na przeszkodzie, byś podziwiał mnie teraz? – zapytała, szczerze zaskoczona.

– To, że stałaś się niemiecką kurwą – powiedział bez wahania młodzieniec.

Jane zamurowało. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

– To ja zdobyłem dla twojego ojca informacje o tobie i tym Niemcu w Paryżu. Widziałem cię.

– Co?

– Twój ojciec wyjechał przez ciebie. Wszyscy to wiedzą, ale nikt nie odważy się nic powiedzieć, żeby nie narazić się temu szwabowi – ciągnął chłopak.

Wtedy nieoczekiwanie zjawił się Peter Auschenwald. Był w letnim mundurze, na głowie miał furażerkę przekręconą lekko na prawo.

– Co powiedziałeś, ty francuska świnio? – zapytał Yves'a w jego języku.

– Powiedziałem, że ona jest twoją kurwą – odparł dumnie Yves.

Ani Jane, ani tym bardziej Yves nie przypuszczali, do czego był zdolny Peter. Bez słowa wyciągnął pistolet, Walther PP, przeładował i strzelił chłopakowi w głowę. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Jane nie zdążyła nic powiedzieć, nic załagodzić dobrym słowem.

Yves Sabatier leżał na ulicy martwy. Na czole miał niewielką ranę wlotową, ale tył głowy był unurzany we krwi, która wypływała spod niego na ulicę. Strzał z pistoletu zaalarmował mieszkańców, którzy zaczęli wyglądać przez okna, by zobaczyć, co się stało. Z mieszkania dwa domy dalej wyszła starsza kobieta. Szła szybko w ich stronę.

– Yves?

Uklękła przy trupie. Próbowała zatamować krwawienie, jak gdyby nie rozumiała, że wszystko się już dla tego chłopaka skończyło. Jane odgadła,

że to była jego matka. Mieszkał przecież w Gordes. Kobieta nie szlochała ani nie histeryzowała. Podniosła głowę i wpatrywała się w Jane z zimną nienawiścią. Dziewczyna nie doświadczyła nigdy wcześniej podobnego potępienia. Zrozumiała, że obojętnie, jakichkolwiek słów by użyła, nie naprawi już niczego. A przecież nie chciała, żeby Yves zginął.

– Peter, chodźmy stąd natychmiast.

Chciała uciec, schować się, zapomnieć. Była w szoku. Nikt oczywiście nie śmiał zatrzymać żołnierza SS i jego kobiety. W domu Jane zdała sobie sprawę z tego, że nie będzie mogła tutaj wrócić, mieszkać jak dotychczas. To, co dziś się stało, ostatecznie przekreśliło ją w Gordes. Była już dla nich tylko zdrajczynią, szmatą.

Rozpłakała się. Auschenwald nawet nie próbował jej uspokajać. Pił wino i słuchał muzyki. To nie było jego pierwsze zabójstwo. Śmierć człowieka znaczyła dla Petera tyle, co zabicie świni lub psa. Jane wypiła laudanum, które jej zostało, i powiedziała zrozpaczona:

– Co ty zrobiłeś najlepszego?

– Pokazałem gnojkowi, że nie będzie obrażał bezkarnie mojej kobiety.

– Musimy wyjechać.

– Świetnie się składa – odparł Peter. – Miałem ci o tym powiedzieć później, ale skoro tak się wydarzyło, trudno. Zostałem skierowany do Jugosławii. Nasze wojska zdławiły opór w tym kraju. Będę tam pracował i zabieram cię z sobą. Oczywiście ty też będziesz musiała coś robić. To pasożytnicze życie, jakie prowadzisz, doprowadziło cię tutaj.

Jane zrozumiała, że Peter też nią gardził. Ona również sobą gardziła – za to, że nie potrafiła się uwolnić z tego uścisku, który wbrew niej samej trzymał jej ciało przy nim. Jej ciało go potrzebowało. Lubiła to, co jej robił w nocy.

– Co masz na myśli?

– Wstąpisz do niemieckiej służby kobiet. Jesteś wprawdzie Amerykanką, ale mogę to załatwić. Dlatego pojedziesz ze mną do Jugosławii. Będziesz ciężko pracować, przyda ci się.

Rano wyjechali. Zostawiła dom. Miała tutaj już nigdy nie wrócić.

*

Po pogrzebie Yves'a mieszkańcy Gordes zrobili zbiórkę na pomoc dla jego matki. Miała tylko jego – była wdową. Teraz nie miała już nikogo. Jej ubrana na czarno postać przemykała codziennie rano do kościoła na mszę, a potem na cmentarz do syna. Mieszkańcy miasteczka byli wstrząśnięci zabójstwem. Esesman pozostał bezkarny, choć oczywiście mer Gordes wystosował do władz Vichy protest i prośbę o interwencję u władz niemieckich.

Ludzie roztrząsali to, co się stało, lecz mało było bezpośrednich świadków zdarzenia. Pojawiały się teorie, że Yves potajemnie kochał się w tej nikczemnej suce Jane i Niemiec zabił go z zazdrości. Uznano, że ona była winna na równi tej śmierci, a może nawet bardziej. Jeden z mieszkańców, także nauczyciel, napisał po angielsku list do ojca Jane, do Ameryki (był jego znajomym i miał jego adres, gdyż wspólnie chodzili na wino do gospody). Powstał też problem, co zrobić z domem. Nikt tam nie chodził. Drzwi i okna pozostały zamknięte. Mieszkańcy miasteczka, dobrotliwi ludzie, uznali to miejsce za przeklęte.

Dom zaczął zarastać dziką roślinnością. Czekać na odkupienie win, które nigdy nie nadeszło.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XXI

Bałkański kocioł

Gdzieś w Jugosławii, sierpień 1941

Jane zdecydowała się wyjechać z Peterem Auschenwaldem do Jugosławii do pracy jako ochotniczka w niemieckim szpitalu polowym. Była to podróż po Europie zanurzonej w wojnie. Jadąc, zastanawiała się, co tam zastanie.

Jugosławia była nowym krajem Europy, który pojawił się na mapie politycznej kontynentu w 1918 roku, po wielkiej wojnie, jako forma wynagrodzenia Serbii, która cały czas walczyła po stronie ententy. Było to państwo wielonarodowe i wieloetniczne, ale rządzić w nim miała serbska dynastia Karadziordziewiciów. Mieszkali tu Serbowie, Chorwaci, Słoweńcy, Macedończycy, Romowie, Żydzi, Albańczycy, Bośniacy i Czarnogórcy – swoista mozaika narodów, nad którymi przez kilkaset lat panowali Turcy osmańscy, co odcisnęło niezatarte piętno. Gdy dodamy do tego, że Chorwaci byli katolikami, Serbowie i Czarnogórcy wyznawali prawosławie, a wśród Bośniaków i Albańczyków popularny był islam, sprawy zaczynają się niesłychanie komplikować. Jugosławia była eksperymentem angielskich i francuskich dyplomatów. W pewnym momencie w kraju tym zaczęło wrzeć od bijącego wewnątrz ognia. Płomieniem był nacjonalizm.

20 czerwca 1928 roku serbski nacjonalista Puniša Račić, Serb z Czarnogóry, strzelił na wiecu Chorwackiej Partii Chłopskiej

do popularnego i charyzmatycznego polityka chorwackiego Stjepana Radicia, który zmarł w wyniku odniesionych w zamachu ran w sierpniu 1928 roku. Ta śmierć była iskrą dla chorwackich nacjonalistów, którzy dwa lata później, w roku 1930, utworzyli organizację ustaszy. Była to wpływowa, skrajnie prawicowa, fanatyczna grupa, stale rozrastająca się w wielką polityczną siłę w Chorwacji. Jednak myliłby się ten, kto nazwałby ustaszy jedną z wielu grup paramilitarnych napawających się brutalnością swoich haseł. Ustasze byli faszystami, ale ściśle zespolonymi z religią katolicką. Uważali, że to dusza chorwacka – czysta i nieskażona bizantyjskim prawosławiem – odróżnia ich od Serbów. Co ciekawe, ustasze wcale nie uważali islamu za religię sprzeczną z ową chorwacką duszą. Islam i katolicyzm, choć tak diametralnie różne, wyznające zupełnie inną teodyceę i teologię Boga, w opinii ideologów ruchu, mieściły się obok siebie.

Ustasze głosili antyserbskie, antysemickie i antyromskie hasła, co w połączeniu z fanatyzmem religijnym i silnym antykomunizmem tworzyło iście morderczą mieszaninę. Ruch potężniał i sympatyzowało z nim wielu księży katolickich, w tym Krunoslav Draganović, który był też doktorem historii i władał aż pięcioma językami. W ideologii ustaszy przeszłość splatała się z teraźniejszością – każda rana zadana Chorwatom w przeszłości musiała być spłacona z nawiązką teraz. W roku 1933, kiedy Hitler doszedł do władzy w Niemczech, ustasze opublikowali siedemnaście zasad, które czyniły człowieka godnym życia. Wszyscy, którzy przez krew nie mogli być Chorwatami, mieli zostać wyłączeni z życia publicznego. Katolicyzm był traktowany jako idea jednocząca Chorwatów, dlatego też zaostrzono kary za publiczne bluźnierstwo. Głównymi wrogami w tej ideologii mieli być Serbowie. W wymiarze społecznym ruch opowiadał się za ustrojem nie w pełni kapitalistycznym, ponieważ opierał się na patriarchacie, silnej roli mężczyzny, podczas gdy kobieta miała być przede wszystkim żoną i matką. Panował kult męczeństwa i przemocy. Każdy człowiek musiał przejść przez cierpienie, które miało go hartować

jak złoto w ogniu. Niektórzy członkowie ruchu wykazywali tendencje mistyczne, domagając się męczeństwa za naród i Chrystusa Pana.

Początek lat trzydziestych przyniósł eskalację okrucieństw, zamachów terrorystycznych i zabójstw politycznych. Ustasze podłożyli bombę pod Orient Express, którym podróżowali ważni politycy i ministrowie z Zachodu. Jednak najbardziej całą Jugosławią wstrząsnęło zamordowanie w październiku 1934 roku króla Aleksandra I Karadziordziewicia oraz towarzyszącego mu francuskiego ministra spraw wewnętrznych Louisa Barthou w Marsylii. Po tym zamachu ruch ustaszy został zdelegalizowany w niemal całej Europie – oprócz hitlerowskich Niemiec i Węgier rządzonych przez reżim admirała Miklósa Horthyego. Zamordowanie króla było złowrogim zwiastunem tego, co miało nadejść za kilka lat. Porwania, wymuszenia dla okupu, zabójstwa polityczne na prowincji doprowadziły kraj do wrzenia.

Jednak Serbowie nie pozostawali dłużni. Jako naród wiodący w Jugosławii mieli pełne wsparcie regenta rządzącego w imieniu małoletniego Piotra II Karadziordziewicia – księcia Pawła, brata zamordowanego króla Aleksandra. Regent próbował wzmocnić samorządność narodów tworzących Jugosławię, ale kraj był tak podzielony wewnętrznie, że w przypadku wojny rozpadłby się jak domek z kart. Władze dawnego królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, od 1929 zwanego Królestwem Jugosławii, próbowały ratować się przed wojną, stroniąc od opowiadania się po którejkolwiek ze stron. W roku 1939, po upadku Polski, władze Jugosławii patrzyły przez palce na polskich żołnierzy przedostających się przez ich terytorium do Włoch i potem do Francji.

Wkrótce zaczęły się niemieckie naciski, by Jugosławia przystąpiła do Osi Berlin-Rzym oraz do paktu antykominternowskiego, co równałoby się wasalizacji państwa wobec Niemiec. Z tego powodu regent ciągle odmawiał, ale w końcu uległ i 25 marca 1941 roku Jugosławia przystąpiła do Osi. Ten ruch był jednak ze strony regenta nieprzemyślany – istniała silna opozycja wojskowa przeciwna sojuszowi z hitlerowskimi Niemcami

i faszystowskimi Włochami. Opozycja ta, pod przywództwem generała armii królewskiej, Serba Dušana Simovicia, dokonała zamachu stanu. Regent został odsunięty, a władza oddana młodemu królowi Piotrowi II, który natychmiast wypowiedział pakt. Mówiło się o wpływie agentów brytyjskich na ów *coup d'etat*[20].

Reakcja Niemców była natychmiastowa – gdy poinformowano Hitlera, że Jugosławia, tak ważna na prawej flance podczas przygotowywania uderzenia na Związek Radziecki, wymknęła się mu z rąk, Führer wpadł w szał i nakazał całkowite i natychmiastowe jej zniszczenie. Do ataku skierowano niemiecką 12. Armię, operującą z terytorium Węgier i Bułgarii pod dowództwem feldmarszałka Wilhelma von Leeba, oraz wojska włoskie atakujące Słowenię i od południa z rejonu Albanii. Ponadto do akcji weszły wojska węgierskie i bułgarskie, więc wynik starcia był przesądzony z góry. Ale zanim to wszystko się wydarzyło, niemiecka Luftwaffe zbombardowała Belgrad. W niszczycielskim ogniu zginęło kilka tysięcy ludzi. 6 kwietnia 1941 roku Niemcy rozpoczęli operację „Marita" – uderzyli szybkimi zagonami pancernymi na Nizinie Naddunajskiej w stronę Belgradu. Zniszczenia dopełniły wojska niemieckich satelitów; 9 kwietnia padł Nisz, 10 kwietnia Zagrzeb, a 13 kwietnia, tydzień po rozpoczęciu inwazji, Niemcy zdobyli Belgrad. Armia jugosłowiańska się poddała. Trzysta czterdzieści tysięcy żołnierzy zostało wziętych do niewoli. Niemcy odnieśli szybkie i przekonujące zwycięstwo, tracąc przy tym zaledwie stu pięćdziesięciu zabitych. Król oraz regenci uciekli z kraju – zostali wywiezieni przez brytyjskie siły specjalne do Grecji, a stamtąd do Aleksandrii, skąd czekała ich długa droga do Londynu przez Gibraltar i Hiszpanię.

Zwycięzcy dokonali rozbioru Jugosławii. Niemcy zabrali północną część Słowenii; południową część i fragment dalmackiego wybrzeża ze Splitem i Rijeką anektowały faszystowskie Włochy; Kosowo i część Macedonii Włosi włączyli do swojej „wielkiej Albanii", która rozpalała wyobraźnię albańskich nacjonalistów. Węgrzy zabrali Wojwodinę, gdzie żyła ich mniejszość. Bułgaria obłowiła się kosztem Macedonii i greckiej Tracji

(Grecja również upadła wiosną 1941 roku pod naporem państw Osi). Pod bezpośrednią niemiecką okupacją znalazła się także Serbia, a z pozostałej części Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Slawonii i Sremu proklamowano Niepodległe Państwo Chorwackie[21], gdzie ustasze urządzili wymarzone państwo rasistowsko-katolickie. Na jego czele stanął Ante Pavelić – jako *poglavnik*, wódz na wzór Hitlera. W tym państwie dozwolone były tylko dwie religie: katolicyzm i islam. Wszyscy mieszkańcy mieli być Chorwatami czystej krwi. Dla innych ludzi nie było miejsca. Musieli zniknąć, rozpłynąć się w powietrzu. Do takiego świata trafiła z własnej woli Jane oraz jej kochanek, SS-Unterscharführer Peter Auschenwald.

*

Peter musiał się zameldować w Zagrzebiu przy niemieckiej kwaterze wojskowej w państwie chorwackim, gdzie czekał na niego oficjalny przedstawiciel niemieckich władz wojskowych w Chorwacji[22]. Był to generał Edmund Glaise von Horstenau, który miał doradzać chorwackiemu poglavnikowi. Do pomocy służyła również komórka SD, której przewodził SS-Sturmbannführer Maksymilian von Hoym. To on miał być bezpośrednim przełożonym Petera. Żaden z nich nie wiedział, że ten drugi zna Jane.

Auschenwald nigdy wcześniej nie był w Chorwacji, ale Zagrzeb wydawał mu się ładnym miastem; szczególnie do gustu przypadła mu starówka. Niemcy mieli tu status specjalny jako sojusznicy w walce przeciwko Serbom. Na widok munduru SS wielu przechodniów pozdrawiało go na ulicy wyciągnięciem ręki. Niemcy cieszyli się opinią oswobodzicieli spod władzy serbskiej, szczególnie i zajadle znienawidzonej. Peter wszedł do budynku pilnowanego przez niemieckich żołnierzy i udał się na spotkanie z przełożonym.

Maksymilian von Hoym nie był w dobrym nastroju. Szef służby bezpieczeństwa Reinhard Heydrich najwyraźniej go nie lubił i dlatego zesłał go do Jugosławii, czyli na zadupie.

– Gdzie pan służył? – zapytał nowego podwładnego von Hoym.

– We Francji. Wcześniej w referacie Gestapo w Kolonii.

– Czy pan wie, gdzie trafił?

Peter Auschenwald wyczuł, że pytanie ma jakiś podtekst.

– Jesteśmy w Chorwacji, która – z tego, co wiem – jest naszym sojusznikiem.

Maksymilian von Hoym nie był w nastroju do żartów ani stwierdzania oczywistości.

– Jesteśmy po uszy w bagnie, rozumiesz?

– Przyznam, że nie bardzo.

W normalnych okolicznościach von Hoym wprowadziłby swego podwładnego głębiej, pokazałby miejsce pracy, ale w Chorwacji, która dopiero co proklamowała niepodległość u boku potężnych Niemiec, nie było czasu na takie wstępy. SS-Unterscharführer Auschenwald miał się samodzielnie przekonać, czym w istocie są Bałkany i jakie tutaj Niemcy będą mieli problemy.

– Pojedzie pan z ustaszami na zadanie bojowe. Wkrótce zgłosi się do pana chorwacki oficer.

– Na czym będzie polegać moje zadanie? – Peter był dociekliwym człowiekiem.

– Na niczym szczególnym. Będzie pan patrzył, jak pracują ustasze – rzekł Maksymilian von Hoym. – Otwarcie nam zazdroszczą i chcą się wykazać. Natomiast po powrocie zacznie pan rozpracowywać jugosłowiańskich komunistów.

– Tak jest! – Przepisowo stuknął obcasami. Nie wiedział za bardzo, czego się może spodziewać po inspekcji ustaszy.

*

Dla Jane ten okres był niewymownie trudny. Zdołała wewnętrznie zaakceptować to, że wyjechała z nim, ze swoim wrogiem, do zupełnie innego kraju. Jednak służba w szpitalu polowym w Jugosławii nie była taka zła. W całej kampanii zginęło stu pięćdziesięciu żołnierzy, kilkuset

było rannych, z tego też powodu nie miała zbyt wiele pracy. W szpitalu poznała kilka sióstr, które także tam pracowały. Pochodziły z różnych części Rzeszy, ale jedna wydawała się znajoma.

Praca była monotonna – mycie rannych, wynoszenie bandaży, opatrywanie ran, podstawianie nocników, karmienie tych, którzy nie byli w stanie sami jeść. To wszystko przytłaczało. Ale Jane sobie radziła. Powtarzała ciągle, że to droga do przetrwania. We Francji była spalona, a teraz zdana na dobro lub zło ze strony niebezpiecznego człowieka. Była pewna, że Peter Auschenwald darzy ją uczuciem – zaborczym, może egoistycznym – ale to lepsze niż nic.

Pewnego dnia ktoś ją zaskoczył, zadając pytanie:

– Poznajesz mnie, Jane?

Dziewczyna odwróciła się. To była siostra Maksymiliana von Hoyma, Anabelle. Natychmiast podniosło się jej ciśnienie.

– Oczywiście, że pamiętam.

– Co tutaj robisz? – zapytała podejrzliwie Anabelle.

– To samo co ty. Pracuję i pomagam rannym – odparła.

– Nie jesteś Niemką.

Jane przerwała przygotowywanie bandaży. Podeszła do Anabelle.

– Nie, nie jestem – powiedziała po cichu. – Ale mój narzeczony jest Niemcem.

– Doprawdy? – Niemka się uśmiechnęła. – Lubię Amerykanki, które lubią niemieckich żołnierzy. Będę cię miała na oku, kotku.

I rzeczywiście. Anabelle była przełożoną pielęgniarek w tym szpitalu polowym. Od tego dnia Jane była pod jej władzą i nic nie mogła na to poradzić. Każdy dzień, kiedy widziały się w pracy, zdawał się ze strony Niemki jakimś nieokreślonym zaproszeniem. Tak Jane odczytywała sygnały – czasem było to tylko niejednoznaczne spojrzenie. Anabelle bardzo uważała, by inne siostry nie dostrzegły, że znają się sprzed wojny. Dla Niemki obecność Jane była ostatnim, czego się spodziewała. Jednak któregoś dnia, kiedy zostały dwie na oddziale szpitalnym, zaskoczyła Jane.

– Czy to tak straszne ze mną rozmawiać? – zapytała.

– Nie, po prostu uznałam, że nie chcesz.

Anabelle uśmiechnęła się smutno.

– Minęło tyle lat – powiedziała po cichu, jak gdyby żałowała tamtego lata w 1936 roku.

Istotnie – minęło pięć lat, które Jane wydawały się wiecznością. Nie poznawała swoich wyborów, nie mogła też nadziwić się swoim reakcjom na owe problemy sprzed lat. Teraz były jakieś inne: małe, śmieszne, niepoważne.

– To prawda, że minęło pięć lat, ale ja się nie zmieniłam – rzekła elegancka Niemka.

– Świat się zmienił, Anabelle – zauważyła Jane. – Spłonął.

– Mówisz o wojnie? – zapytała lekceważąco siostra von Hoyma. – To my, Niemcy, prowadzimy ją do zwycięstwa z Führerem.

Cóż Jane mogła powiedzieć na takie dictum? Z własnej woli wybrała. Była z tym wszystkim sama. Odczuwała wstyd, ponieważ związała się z Auschenwaldem wyłącznie przez cielesną namiętność, która okazała się silniejsza od jej wolnej woli. Nie potrafiła się od niego uwolnić i teraz miała za to zapłacić. Czuła to. Czy narzędziem zemsty za jej grzechy miała być ta Niemka?

– Czego chcesz, Anabelle? – zapytała otwarcie Jane, nie bawiąc się w grzeczności.

– Chcę, żebyśmy dokończyły zabawę, którą ja i Maksymilian mieliśmy szczere pragnienie zacząć. Zniknęłaś wtedy, a Maks nigdy mi nie powiedział, co się właściwie stało.

Anabelle podeszła i dotknęła dłonią włosów Jane. Dziewczyna czuła, że jeśli czegoś nie zrobi, tamta zaraz ją pocałuje. Na taką bliskość nie miała najmniejszej ochoty. Delikatnie zdjęła jej dłoń z siebie.

– A ja chciałabym, żeby nasze relacje nie wychodziły poza relacje służbowe.

Spojrzały sobie w oczy.

– Jak chcesz – odparła natychmiast Anabelle. – Ale będziesz tego żałować.

Odeszła. Jane poczuła ulgę. Wiedziała, że jakakolwiek próba przemówienia Anabelle do rozsądku na nic się nie zda – wiedziała o tajemnicy, którą rodzeństwo, wyrafinowane w sztuce życia i zadawania cierpienia, skrywało przed światem.

27 KWIETNIA 1941, GDZIEŚ NA PROWINCJI, CHORWACJA

Wieś zamieszkiwali Serbowie, co w Slawonii nie było niczym nadzwyczajnym. Na tej ziemi żyli Serbowie i Chorwaci i nikogo to nie dziwiło w czasach świetności monarchii austro-węgierskiej. Peter Auschenwald towarzyszył dużemu oddziałowi ustaszy; dowodził tam Vjekoslav Luburić – niespełna dwudziestosześcioletni człowiek, który nie skończył żadnej solidnej szkoły, a w młodości skazany był nawet za drobne przestępstwo. Luburić był Niemcami szczerze zachwycony i bez przerwy wypytywał Auschenwalda o dyscyplinę w SS oraz o niemieckie obozy koncentracyjne. Peter powiedział, że są przeznaczone dla wrogów Rzeszy i Żydów, ale nie służył w żadnym z nich, więc nie wie o tym, co się tam dzieje, nic pewnego.

Luburić mu nie uwierzył. Odpowiedział przez tłumacza, jednego z ustaszy, który znał niemiecki ze szkoły:

– Musi pan mi uwierzyć, Herr Unterscharführer, że zrobimy wszystko, żeby was prześcignąć w zadawaniu śmierci naszym wrogom. Jesteśmy uczniami i możemy się od was uczyć dyscypliny, porządku i zmysłu taktycznego. Ale przyzna pan jeszcze dziś, że my też jesteśmy zmotywowani i szybko będziemy mieć osiągnięcia.

– Nie wątpię – odparł Auschenwald, który jechał razem z ustaszami w jednym z samochodów dostarczonych przez Niemców, a nadesłanych z okupowanej Francji.

W gruncie rzeczy gardził chorwackimi nacjonalistami. Uważał ich za wyrobników w rzeźnickim fachu, którzy pozwolą zaoszczędzić Niemcom siły i środki. Armia jugosłowiańska poddała się dwa tygodnie wcześniej, ale nie wszyscy żołnierze złożyli broń. Nie ustawały plotki o komunistach,

a ustasze bez przerwy mówili, że Serbowie chcą ich wszystkich zniszczyć. Auschenwald usłyszał też słowo „czetnicy", ale nie wiedział, co ono znaczy. Rozumiał jednak, że jego dowódca, Obersturmbannführer von Hoym, oczekiwał przede wszystkim dobrej współpracy z Chorwatami. Musiał zatem udać zainteresowanie.

– Jakie są cele waszego ruchu? – zapytał, a tłumacz przełożył jego słowa.

– Ustasze chcą wielkiej Chorwacji w granicach etnicznych ziem, które do nas należały w średniowieczu.

– Ale Jugosławia jest pełna mniejszości – zauważył Auschenwald.

Luburić tylko się uśmiechnął.

– Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców było poronionym pomysłem konferencji wersalskiej i kilku ludzi. Stworzyli kraj, który nigdy wcześniej nie istniał. Potem król Aleksander, którego zabiliśmy w trzydziestym czwartym, zmienił nazwę tego dziwnego i śmiesznego tworu na „Jugosławia", ale co to, u diabła, znaczy? Dla mnie nic. Ja chcę Chorwacji wielkiej i dziś rozpoczynamy jej tworzenie.

– Jak chcecie to zrobić? Serbowie również mogą powiedzieć: „Chcemy wielkiej Serbii". Są też Albańczycy, oni też mają swoje ambicje – mówił Peter, gdy jechali francuską ciężarówką.

Luburić bardzo chciał przekonać Niemca do swoich racji i odparł:

– Dla mniejszości mamy trzy miliony nabojów. Musimy zabić część Serbów, część zmusić do ucieczki, a pozostali przejdą na religię katolicką. W ciągu dziesięciu lat w Chorwacji będzie mieszkało sto procent katolików. Zresztą powstał już pierwszy obóz dla Serbów, Żydów, Cyganów i wszelkiego innego śmiecia.

– Obóz? – zdziwił się Niemiec.

– Tak, imponują mi wasze obozy, ale my nie będziemy wcale gorsi. Uwierz mi, nie będziemy.

Jednak Peter Auschenwald nie uwierzył chorwackiemu ustaszowi na słowo. Miał się przekonać już wkrótce, że ustasze przewyższają Niemców w sztuce zabijania pod każdym względem.

28 KWIETNIA 1941 ROKU, PO POŁUDNIU, WIEŚ GUDOVAC KOŁO BJELOVARU

Ustasze otoczyli wieś liczącą około dwustu ludzi. Być może część młodszych uciekła, gdy pojawiły się plotki, że mają się zjawić. Przed wojną mieli oni oczywiście opinię terrorystów, morderców króla, faszystów, jednak nikomu się nie śniło, że ludzie ci, stworzeni na obraz i podobieństwo Boże tak samo jak ich ofiary, mieli swoim okrucieństwem przyćmić samych Niemców.

Peter Auschenwald patrzył z boku na to, co działo się w wiosce. Ustasze systematycznie zaczęli wyprowadzać wszystkich Serbów z ich domostw i obejść. Ludzie nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka, ale przeczuwające to, co nieuchronne, zwierzęta domowe wpadły w panikę. Uwiązanego gdzieś pod drzewem psa ustasze musieli uciszyć jako pierwszego. Nie marnowali kul. Pies dostał cios siekierą; jego padlina drgała jeszcze w śmiertelnych konwulsjach przez jakiś czas.

Zebrali się wszyscy mieszkańcy. Rodziny starały się być blisko siebie, ponieważ zarówno los psa, jak i zła opinia, jaką mieli sprzed wojny, powodowały głęboką nieufność serbskiej ludności wobec tej chorwackiej siły zbrojnej, która naruszając dobrosąsiedzkie stosunki, wkroczyła nieproszona do ich świata. Dla Petera Auschenwalda najdziwniejsze było to, że ludzie ci mówili tym samym językiem, ale nienawidzili się szczerze i głęboko, co wynikało wprost ze słów chorwackiego oficera ustaszy. Tymczasem Luburić przemówił do serbskiej ludności wioski:

– Nastała wielka Chorwacja. Jeśli chcecie przeżyć, musicie porzucić natychmiast błędną wiarę ortodoksyjną i przejść na katolicyzm. Musicie to zrobić w cerkwi.

Wskazał dłonią cerkiew prawosławną, której złoty dach lśnił w promieniach słońca przebijającego przez wiosenne deszczowe chmury. Serbowie nie ufali ustaszom, jednak w końcu, popychani kolbami, przekonywani perswazją, zaczęli wchodzić do środka. Auschenwald obserwował to, jak gdyby stał za przeszklonymi drzwiami. Nie bardzo

rozumiał, co ustasze chcą zrobić. Nawet gdyby w ten sposób chcieli nawracać ortodoksów na katolicyzm, taka konwersja uczyniona pod groźbą karabinu byłaby przecież nieważna. Jednak to, co się stało, sprawiło, że Niemiec stał jak skamieniały – nie wierzył, że takich rzeczy mogą dokonywać ludzie.

Ustasze, gdy już większa część ludzi weszła do środka, zostawili na zewnątrz kilku młodych chłopaków, którzy nie zachowywali się spokojnie. Kazali im odwrócić się do ściany cerkwi. Jednak ci nie chcieli tego zrobić. Krzyczeli, wzywali pomocy Matki Boskiej i jakichś serbskich świętych, których imion Auschenwald nie mógł zapamiętać. Ustasze postanowili się pozbyć ich inaczej. Każdego z tych chłopców, mających około piętnastu, może siedemnastu lat, dwóch dorosłych brało pod ręce i prowadziło za cerkiew, gdzie czekał osobiście Luburić. Trzymał w ręku siekierę osadzoną twardo na drewnianym trzpieniu. Celował nią w środek głowy przyprowadzonego młodego Serba, a gdy ta pękała jak tłuczona szklanka, pozostali wyrażali podziw dla jego siły, zręczności i precyzji.

– Nikomu z was nic się nie stanie – mówił do swoich ludzi Luburić.

Kolejnych dwóch chwytało następnego dzieciaka pod ręce i prowadziło na miejsce śmierci. Luburić był precyzyjny i uderzał siekierą w środek twarzoczaszki, więc każdy z chłopców widział śmiertelny cios, który pozbawiał go życia. Trzeci, najmłodszy, płakał i wołał mamę, zapewne zamkniętą w cerkwi wraz z innymi. Cios siekiery rozbił mu głowę z matematyczną precyzją. Czwarty zapierał się nogami, strasznie krzyczał...

– Nie drzyj się – mówił Luburić, zdenerwowany oporem ofiary.

Błysnął w jego ręku nóż. Dwóch trzymało chłopaka w swych silnych barach, a Luburić zaczął mu żywcem wycinać oko. Tego już Auschenwald nie wytrzymał i ze wstrętem odwrócił wzrok. Drżały mu dłonie, nie potrafił opanować tego odruchu. Nie żeby żałował tych chłopców, ale on zastrzeliłby ich gdzieś w lesie. Przerażała go zajadłość ustaszy, ich dzikość i radość z zadawania śmierci.

Gdy Luburić uporał się z chłopcami – nie wiedzieć czemu właśnie zabijanie podlotków płci męskiej sprawiało mu najwięcej przyjemności –

dał znak swoim ludziom uzbrojonym w siekiery, pałki i małe poręczne piły do cięcia gałęzi, by rozprawili się z Serbami zamkniętymi wewnątrz. Peter Auschenwald patrzył na to oszołomiony, zupełnie zdegustowany tym, co czynili ustasze. Nie odważył się wejść do środka. Jednak krzyki były straszne. Ustasze cięli piłami, siekierami kobiety, mężczyzn zabijali pałkami. Obowiązywała zasada – żadnej broni palnej.

Wyjaśnił to później blademu jak ściana Niemcowi Luburić:

– Tylko zabijając ręcznie, czujemy, że wróg naszego wielkiego narodu zostaje unicestwiony. To jest podstawowa różnica między nami i wami. Wy kryjecie się za bronią maszynową, ale to żadna odwaga. Ja zabiłem tych chłopców i napiję się rakii, a pan ma mokro w gaciach, prawda?

Tego dnia w tej wsi ustasze wycięli stu dziewięćdziesięciu ludzi. Dopiero po zamordowaniu wszystkich, co trwało dobrą godzinę, cerkiew została podpalona. Takich spalonych i wycinanych w pień wiosek miało być na ziemiach byłej Jugosławii tysiące.

Rozdział XXII

Śmierć młodego Wertera

Gdzieś na terenie Niezależnego Państwa Chorwackiego, jesień 1941

Od spotkania z Anabelle von Hoym minęło trochę czasu. Niemka nie rewanżowała się jakimiś nieczystymi działaniami w pracy. Zachowywała dystans, co Jane uznała za swój mały sukces w trzymaniu tej niebezpiecznej istoty na długość spojrzenia. Jednak Anabelle nie spuszczała jej z oka.

Akurat tego dnia po Jane przyjechał osobiście samochodem Peter Auschenwald. Nie widywała ona kochanka długimi tygodniami i zdążyła się do tego przyzwyczaić. Jednak ostatnio jej Niemiec stał się jakiś inny.

Ich seks był mechaniczny, nieczuły, a Jane odnosiła wrażenie, że jest dla niego tylko odskocznią od rzeczywistości; nie dawał jej żadnej radości. Może żyła jakimś romantycznym wspomnieniem tego, jak oddali się sobie w roku 1936? Tkwiła w pułapce uczuć, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Miejsce, w którym przebywali, miało ją z tej pułapki wyzwolić.

Coraz trudniej było jej się porozumieć z kochankiem.

– Wiesz, Jane, Jugosławia to piekło – wyznał któregoś dnia w łóżku nad ranem. – Nie wiesz, czego byłem świadkiem od wiosny.

– Opowiedz mi, proszę – rzekła dziewczyna.

– W kwietniu, niedługo po naszym przyjeździe tutaj, brałem udział w pacyfikacji serbskiej wsi koło Bjelovaru. Tam ustasze rozbijali siekierami głowy młodych Serbów, a potem wymordowali wszystkich w cerkwi za pomocą siekier, pałek i młotków. Podłoga była czerwona od krwi, wszędzie pełno porozbijanych czaszek, mózgów i kału, bo ludzie przed śmiercią załatwiają się pod siebie.

Jane krzyknęła i zerwała się z łóżka jak oparzona.

– Co ty mówisz?! Po co to mówisz?!!

Ale Auschenwaldowi było wszystko jedno. Wyglądał jak człowiek zrezygnowany, przybity tym wszystkim, co się stało – co widział i czemu nie przeciwdziałał.

– Powinienem był coś zrobić, ale tylko patrzyłem – wyznał szeptem. – Potem, szóstego maja, widziałem, jak ustasze poderżnęli gardła kilkudziesięciu mężczyznom i chłopcom w Srpskim Kijevie, trzy dni później rżnęli siekierami i piłami do drewna pięćset osób w Balgaju. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem przecięte piłą na pół kobiety...

Jane nie mogła tego znieść. Zrozumiała, że jej kochanek zdał sobie sprawę z tego, w jakie piekło się zanurzył.

– Możesz odmówić asystowania przy tych zbrodniach – powiedziała.

– Nie mogę. Chorwaci to nasi sojusznicy – odparł Auschenwald. – Choć mówię to z trudem. Na sam widok tych mord rzygać mi się chce. Ale nie mogę odmówić, bo to wyrok śmierci dla mnie i dla ciebie.

Wstał i przytulił ją.

– Nie zasługuję na kogoś takiego jak ty – wyznał szczerze. – Zrobiłbym wszystko, żebyś nie trafiła w ręce tych ludzi. – Po chwili dodał: – Gdyby coś mi się stało, masz uciekać natychmiast na stronę jugosłowiańskich partyzantów. Proszę, żebyś teraz mnie wysłuchała. Sytuacja w tym kraju to najgorszy rodzaj wojny. Atakując Jugosławię, wyzwoliliśmy wszystkie panujące tutaj demony. Chorwaci czuli się stłamszeni przez Serbów i teraz biorą na nich rewanż. Dlatego te wszystkie rzezie są tak bezlitosne. Serbowie utworzyli królewskie siły, które walczą z nami i z Włochami, i z Chorwatami. Noszą miano czetników. Nie wierzyłbym im za bardzo, bo oni też dokonują masakr na Chorwatach i muzułmanach. W tym kraju wszyscy walczą ze wszystkimi...

Umilkł, a Jane przypomniała sobie kiedyś czytany tekst Hobbesa o wojnie wszystkich przeciw wszystkim[23]. I choć kontekst u angielskiego mistrza sprzed czterystu lat był zgoła inny, zdała sobie sprawę z tego, że znajduje się w oku cyklonu.

– Boję się o ciebie.

– Mój szef, Obersturmbannführer von Hoym, chce, żebym dalej brał w tym udział, ale chce też akcji przeciwko komunistycznym partyzantom.

– Czekaj – wtrąciła Jane. – Jak nazywa się twój szef?

– Maksymilian von Hoym. Znasz go?

Jane musiała potwierdzić. Opowiedziała kochankowi o tym, jak zawarła znajomość z nim i jego siostrą, która liczyła na układ podwójny.

– Ona jest moją przełożoną w szpitalu, w którym teraz pracuję.

Peter zgodził się, że to nie jest najfortunniejszy układ. Ale Jane musi być ostrożna. Musi przetrwać.

*

Anabelle von Hoym postanowiła wykorzystać urlop – pierwszy, jaki dostała od początku wojny – na to, żeby zobaczyć się z bratem. Wojna sprawiła, że rodzeństwo nie widywało się zbyt często. Dla Anabelle był to poważny problem, ponieważ brat był mężczyzną jej życia. Niemka

dokonała świadomego wyboru, decydując się na życie z nim tak, jak zakochana i świadoma swojej miłości kobieta żyje z mężczyzną, którego obdarza uczuciem. Dlatego zmierzała do Zagrzebia pełna nadziei i spragniona go jak nigdy. Spotkali się w jego służbowym mieszkaniu.

– Chcę, żebyś pragnął mnie tak, jak ja pragnę ciebie – powiedziała na powitanie.

Kochała się z bratem pospiesznie na stole, jak gdyby od tego stosunku zależało całe jej życie. Potem zapalili papierosa w oknie, przekładając go z ust do ust. Lubili razem palić – odkąd zginęli rodzice, nie miał ich kto ganić.

– Wiesz, że ona tutaj jest?

– Anabelle, naprawdę nie jestem Duchem Świętym, by wiedzieć intuicyjnie, kogo masz na myśli.

Uśmiechnęła się.

– Nasza mała Jane.

– Nie mówisz poważnie – odparł wyraźnie zaskoczony Maksymilian, który miał z Amerykanką niemały rachunek do wyrównania jeszcze sprzed wojny.

– Pracuje w moim szpitalu polowym. Zdziwiło mnie to, bo jestem bardzo ostrożna w doborze personelu, jednak załatwił jej tę pracę ktoś z twojego resortu. Ja nigdy bym jej nie przyjęła. Sprawdziłam wszystkie podania. W paszporcie ma wpisane nazwisko Coulfield i w żadnym wypadku nie jest to nazwisko żydowskie.

– Mówisz rzeczy niesłychane, Anabelle – powiedział Maksymilian i zaciągnął się papierosem, który dopiero co ona wyjęła z ust.

– Jednym słowem, jakiś Niemiec jest jej kochankiem, na co może byśmy nie zwrócili uwagi, gdyby nie fakt, że nas wyrolowała kilka lat temu. Opowiadałeś mi przecież.

Faktycznie. To, co wiedział Maksymilian von Hoym, wiedziała też jego siostra. Jedno mogło liczyć na wzajemność drugiego we wszystkim. Wpadka Maksymiliana przed kilku laty w Paryżu to była jej sprawka. O tym też opowiedział siostrze.

– Kim on jest? Musi ją chronić... – Maksymilian nie miał nadziei na odpowiedź. Musiał ją sam odnaleźć.

– Wydaje mi się, że styl załatwienia jej posady świadczy o tym, że to człowiek od was.

– Esesman romansujący z Żydówką? To niedorzeczne.

– Wszystko jest możliwe, jeśli ona występuje jako Amerykanka – przekonywała Anabelle. – Przypominam ci, że Ameryka wciąż nie prowadzi z nami wojny.

Była to prawda – jesienią 1941 roku, gdy na terenie Związku Radzieckiego szalała już wojna i wojska Hitlera wdzierały się coraz głębiej, w sam rdzeń państwa sowieckiego, Amerykanie pomagali krajom napadniętym – korzystając z ustawy Lend-Lease – ale sami nie brali jeszcze udziału w wojnie.

– Muszę się temu przyjrzeć.

– Przyjrzeć? Mój drogi, zaskakujesz mnie. Ja się spodziewałam, że rzucisz ją na pożarcie dzikim psom.

Tym razem Maksymilian się uśmiechnął, ale ten uśmiech nie wróżył niczego dobrego.

– Na to zawsze przyjdzie czas. Na razie muszę znaleźć sukinsyna kalającego ustawy norymberskie, a potem zajmę się nią. Obiecuję ci jednak, że rzucę ją psom na pożarcie osobiście.

– Nie mogę się doczekać – odparła Anabelle, dla której był to najlepszy urlop wojenny, jaki dotychczas miała.

*

Maksymilian rzeczywiście zaczął szukać i szybko wykrył zbieżność dat – Jane przybyła do Jugosławii w tym samym czasie co Peter Auschenwald. Nie sprawiło mu wiele trudu, żeby prześwietlić życiorys swojego podwładnego. Tajniak Maksymiliana delikatnie wypytywał tu i ówdzie, z kim spotyka się na boku SS-Unterscharführer Auschenwald. Co najmniej dwa źródła twierdziły ponad wszelką wątpliwość, że jest on związany z kobietą, Amerykanką pracującą w niemieckim polowym szpitalu

wojskowym. Maksymilian von Hoym nie miał już wątpliwości, że chodzi o jego dawną znajomą. Nie potrafił i nie chciał wybaczyć jej upokorzenia z Francji, kiedy go zdemaskowała. Wyznawał jednak zasadę, że zemsta najlepiej smakuje na zimno. Aby zniszczyć Jane i skazać ją na piekło, musiał najpierw pomóc przenieść się Auschenwaldowi na tamten świat. Okazja nadarzyła się wkrótce.

Siły niemieckie po opanowaniu Jugosławii z powodzeniem okupowały większe miasta, takie jak Nisz czy Belgrad. Ale od inwazji na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku szczególnie uaktywniła się NOVJ[24] – Narodowa Armia Wyzwolenia Jugosławii. Na jej czele stał tajemniczy człowiek, którego bezskutecznie próbowała rozpracować niemiecka służba bezpieczeństwa. Przeciw Niemcom walczyli też szczególnie zajadle w 1941 roku królewscy czetnicy generała Draży Michailovicia. Mocno dali się okupantowi we znaki podczas oblężenia i bitwy pod Kraljevem w październiku 1941 roku; zabili tam kilkunastu Niemców. W ramach odwetu Niemcy zamordowali w Kraljevie ponad dwa tysiące serbskich mężczyzn i chłopców. Ta masakra sprawiła, że coraz więcej Serbów udawało się albo w szeregi królewskich czetników, albo do armii komunistycznej NOVJ. Choć warto odnotować, że stosunki między tymi dwiema grupami były napięte i często dochodziło do utarczek, nierzadko krwawych. Gdy weźmie się pod uwagę, że zarówno czetnicy, jak i komuniści walczyli nie tylko ze sobą, ale przede wszystkim z ustaszami chorwackimi, a także z Niemcami i Włochami okupującymi rozdarty kraj, wówczas można zrozumieć, że oznaczało to wojnę wszystkich przeciw wszystkim.

Głównodowodzący niemieckich wojsk w Jugosławii, generał pułkownik Franz Böhme, dysponował dużymi siłami, których Niemcy nie mogli użyć na froncie wschodnim. Były to 18. korpus górski, złożony przede wszystkim z Austriaków oraz trzy dywizje piechoty – razem kilkadziesiąt tysięcy ludzi wyposażonych w artylerię, bataliony czołgów lekkich oraz samoloty 4. Floty Powietrznej (tej samej, która pod dowództwem Alexandra Löhra barbarzyńsko zbombardowała Belgrad, zabijając przy tym

dziesięć tysięcy ludzi, a wcześniej Warszawę w 1939 roku). Niemcy przystąpili zatem do niszczenia czetników oraz komunistów z NOVJ, jednak zajadłość tych walk, bezwarunkowe wsparcie serbskich i bośniackich wsi, żywiących ukrywających się w górach partyzantów, oraz nieregularność walk sprawiały, że musieli uciekać się do terroru. Do tego potrzebowali ludzi. Maksymilian von Hoym wysłał zatem Petera Auschenwalda do walki przeciwko partyzantom.

– Na pewno pan sobie poradzi. W Zagrzebiu nie mamy zbyt wiele pracy, bo wszystko robią za nas ustasze.

– Tak jest, Herr Obersturmbannführer. – Peter nie mógł odmówić.

Wychowany w hitlerowskiej dyscyplinie znał tylko ślepe posłuszeństwo wobec przełożonych.

– Będzie pan miał pod rozkazami dwa plutony Waffen-SS, ale też włoski batalion zmechanizowany. W Bośni uaktywnili się czerwoni. Trzeba się z nimi rozprawić.

Peter Auschenwald uznał to zadanie za wykonalne. O włoskich żołnierzach nie miał dobrego zdania. Ale Niemcy generalnie nie mieli dobrego zdania o sojuszniku, którego musieli ratować w Afryce Północnej (wysłali tam korpus Rommla) i w Grecji, która w październiku rok wcześniej złoiła wojska Mussoliniego tak, że Włosi zostawili mnóstwo ciężkiego sprzętu w górach Epiru. Jednak miał obawy. Narody tworzące Jugosławię były nieokiełznane i każdy nienawidził sąsiada równie gorąco, jak kochał własną nację. W tak złożonej sytuacji, gdzie każdy mógł walczyć i skoczyć do gardła każdemu, Peter nie czuł się pewnie. Rozkaz musiał jednak wykonać.

Październik 1941, Bośnia

Bośnia z jej licznymi pasmami górskimi obrośniętymi lasem stanowiła dla włoskich i niemieckich okupantów duże wyzwanie. Doliny poprzecinane rzekami i wioski ukryte przed ludźmi, z trudnym dojściem, stanowiły dla partyzantów idealne zaplecze. W takich warunkach, w naturalnej izolacji

od Niemców i Włochów, powstawały pierwsze oddziały komunistyczne. Jednak w Jugosławii, ogarniętej szaleństwem wyznawców różnych nacjonalizmów, zgłoszenie się do partyzantki NOVJ, kierowanej przez tajemniczego towarzysza Titę, którego tożsamości nikt z włoskiego ani niemieckiego kierownictwa nie znał, było swoistego rodzaju opowiedzeniem się przeciwko temu, co wyczyniali czetnicy i ustasze.

Kolumna włosko-niemiecka poruszała się w tym terenie z dużym trudem. Transportery opancerzone częściowo ugrzęzły w błocie i okupanci musieli je porzucić. Auschenwald zarekwirował zatem wozy konne od miejscowych – nie interesowało go, jak będą się poruszać zimą. Marsz przez góry, gdzie bez przerwy na przemian lał deszcz i świeciło słońce, nie należał do przyjemnych. Przez dwa tygodnie duży oddział włosko-niemiecki uganiał się za jakimiś niezidentyfikowanymi grupami po wzgórzach i dolinach i poniósł straty w kilku potyczkach.

Wątpliwości coraz bardziej targały sercem młodego Niemca – co tutaj robili bez wsparcia lotniczego, bez dobrych radionadajników? Ale wojna toczyła się swoim torem i zaskakiwała w najmniej odpowiednim momencie. Auschenwald nie był w stanie wyczuć zasadzki, ponieważ przewodnicy po bośniackim terenie, którzy mieli być czetnikami, okazali się współpracownikami komunistów. Do ataku doszło w dolinie jednego z dopływów Neretwy. Partyzanci zniszczyli włoski pojazd na przedzie kolumny i niemiecki na tyle, aby nie można było tak po prostu się wycofać. Snajperzy przez pierwszych kilka chwil zaskoczenia mieli używanie. Niemcy dobrze się zastawili, ale Włosi zaczęli powoli ulegać coraz bardziej zawziętemu ostrzałowi komunistycznych partyzantów. Peter widział, że Włosi się kruszą – coraz więcej było rannych, których nie sposób było ewakuować spod ostrzału.

I wtedy zauważył coś nieprawdopodobnego. Zza zarośli wybiegł jeden z partyzantów, z siekierą, i zaczął biec w stronę Włochów. Ci, choć strzelali z furią, nie byli w stanie go trafić śmiertelnie. Ów partyzant dostał się na przód kolumny i zdążył zarąbać włoskiego porucznika, zanim inni żołnierze włoscy go nie zabili. Peter nigdy się nie spotkał z takim

fanatyzmem i pogardą dla śmierci. Już wiedział, co ich czeka, jeśli dostaną się do niewoli partyzantów Tity.

Niemcy cały czas się bronili, ale po rozbiciu przodu kolumny włoskiej partyzanci zaczęli coraz śmielej podchodzić od strony czołowej i kryjąc się za zniszczonymi samochodami i wozami, razili skutecznie niemieckie plutony. W końcu jeden z nich dopadł Petera i rzucił się na niego z nożem, ale ten jeszcze w ostatniej chwili zdołał go zastrzelić. Zabity chłop, ubrany w baranicę, przywalił go w rowie. Peter nie dawał rady go z siebie zrzucić. Gdy jakimś cudem zdołał się wygramolić spod trupa, dostał postrzał w nogę. Upadł. Straszny ból rwał go poniżej kolana. Nie mógł się już ruszać. Zastrzelił jeszcze jednego partyzanta, ale kolejny już się szykował, by zadać cios. Po co dać się wziąć do niewoli i zawisnąć lub z połamanymi żebrami zostać poderżnięty jak jakieś zwierzę? Peter nie chciał tak umierać.

Włożył pistolet w usta i pociągnął za spust.

*

Po rozbiciu niemiecko-włoskiego oddziału przez partyzantów walki toczyły się dalej i obejmowały coraz to nowe rejony Bośni i Serbii. Niemcy nie panowali nad interiorem. Władze okupacyjne postanowiły pomścić śmierć niemieckich żołnierzy. Za plutony Auschenwalda zamordowano trzy serbskie wsie. Taka była obłędna logika wojny. Nikt nie zdołał wykryć, że von Hoym celowo posłał jednego ze swoich ludzi na śmierć. Nie była ona celem samym w sobie, ale środkiem do niego prowadzącym.

Maksymilian osobiście wydał rozkaz aresztowania Jane. Dziewczyna była zaskoczona i nie wiedząc nic o śmierci Petera, nie mogła się też poskarżyć. Nie broniła się, nie złorzeczyła losowi, choć była przecież na skraju piekła. Przeklinała dzień, w którym uzależniła się od Petera. Dwaj tajniacy Gestapo wieźli ją ulicami Zagrzebia do aresztu wykorzystywanego przez ustaszy i Niemców. Drżała wewnętrznie na myśl, co może ją czekać. Ustasze mieli fatalną opinię. Oczywiście przez myśl jej

przemknęło, że Anabelle ma jakiś związek z jej aresztowaniem, ale nie przypuszczała, że spotka tu jej brata.

Przyprowadzono ją na przesłuchanie. Gestapo zabezpieczyło wszystko z jej szpitalnej kwatery (siostry mieszkały zawsze w pobliżu). Widziała zatem swoje osobiste rzeczy: listy do ojca, listy miłosne od Auschenwalda (co mogło mieć znaczenie dla Gestapo, gdyby tajna policja zdecydowała się na postawienie obojgu zarzutu zbrodni obrazy niemieckiej krwi; wszak von Hoym wiedział, że Jane ma żydowskie pochodzenie) oraz jej amerykański paszport.

– To są moje rzeczy. Żądam zwolnienia mnie jako obywatelki neutralnego państwa i przekazania mnie do ambasady USA w Rzymie. – Jane myślała poprawnie, w końcu wychowywał ją prawnik. Najbliższa amerykańska placówka dyplomatyczna była w stolicy Włoch.

Wówczas zmienił się przesłuchujący. Nieznany jej z imienia pracownik Gestapo wstał, jak gdyby robił komuś miejsce, i wyszedł. Zamiast niego do pokoju wszedł ktoś inny, kogo Jane nie widziała, ponieważ siedziała odwrócona plecami do drzwi. Była skuta, kajdanki boleśnie ograniczały jej każdy ruch. Gdyby spróbowała się odwrócić, odczułaby w nadgarstkach straszny ból. Wolała więc go unikać.

– Witaj, Jane – rzekł kpiąco von Hoym. – Nie mogę nie wyrazić mojego zadowolenia, że znów się spotykamy, moja droga przyjaciółko, ale tym razem na moich warunkach.

Jane natychmiast poznała ten głos. To on, to musi być on. Domyślała się już, kto stoi za jej aresztowaniem.

– Skłamałabym, mówiąc, że twój widok sprawia mi przyjemność – odpowiedziała podobnym tonem Jane. Nie miała nic do stracenia, więc nie zamierzała skamlać o litość, błagać o łaskę tego faszystowskiego skurwiela, jak myślała o nim naprawdę.

– Mnie natomiast sytuacja, w której się znalazłaś, sprawiła dużo radości.

Von Hoym zajął miejsce za biurkiem.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – zapytała dziewczyna.

Patrzyła na niego hardo. Nie bała się go. W jakiś sposób geny jej prawdziwego ojca, gangstera, dodawały jej dziwnej siły w tej tragicznej, wydawałoby się, sytuacji.

– Gdybym odpowiedział na to pytanie, zepsułbym ci niespodziankę – odparł Maksymilian von Hoym. – A dołożyłem starań, naprawdę, Jane, żebyś poczuła się usatysfakcjonowana. Jeśli dobrze pamiętam, studiowałaś na Harvardzie filozofię. To się świetnie składa, ponieważ twój nowy opiekun, którego już niedługo poznasz, jest specjalistą w filozofii Boga. Pasjonuje go szczególnie angelologia.

Jane nie mogła uwierzyć w absurd sytuacji, w jakiej się znalazła.

– Peter złoży na ciebie skargę w Berlinie. – Spróbowała kontrataku.

Von Hoym uśmiechnął się złowrogo. Pokiwał głową.

– Peter Auschenwald skalał mundur niemiecki, zadając się z tobą, podejrzaną rasowo polityczną prowokatorką – odparł szorstko po chwili. – Muszę cię poinformować, że kilka dni temu poległ w walkach z komunistycznymi bandami w Bośni.

Tego Jane nie zniosła.

– Kłamiesz! – wrzasnęła wściekle. Zerwała się z krzesła, zapominając na chwilę o kajdankach na nadgarstkach.

Ocucił ją straszny ból. Już nie próbowała po raz drugi wstać. Gdyby tylko mogła, rzuciłaby się von Hoymowi do twarzy z pazurami.

– Mówię prawdę.

Podsunął jej w zasięg widzenia dokument SS, kopię raportu z Bośni, informujący o śmierci SS-Unterscharführera Auschenwalda.

Jane ta informacja sprawiła cierpienie nie mniejsze niż sam Peter i jej afekt do niego. Ciągle sobie to wyrzucała, ale teraz, kiedy zginął, wcale nie była wolna. Znalazła się w ręku swoich wrogów. Dotąd potencjalna śmierć Petera stanowiła dla niej coś w rodzaju wewnętrznej cezury, za którą wszystko miało być inne. Uczucie do niego było dla niej sprzecznością – skrzywdził ją, a ona jednak go kochała. Od kiedy kochali się po jej powrocie z Berlina na łóżku w jej pokoju we Fryburgu, kochało go jej ciało, choć umysł i dusza nie zdawały sobie z tego sprawy. Jane nazywała

to w swoich przemyśleniach „niekontrolowaną przez rozum namiętnością". Ale teraz wszystko było skończone. On nie żył i nigdy już nie wróci. Musi go pochować w swoim sercu.

– W sumie powinienem być ci wdzięczny, że kochasz niemieckich żołnierzy, Żydówko. – Ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem.

Jane już wiedziała, że musiał odkryć prawdę o jej tożsamości, ale nie miała pojęcia, jak to się stało. Jak Gestapo do tego doszło? Musieli ją rozpracowywać przez wszystkie te lata.

– Nasza miła konwersacja dobiega jednak końca. Nigdy więcej się nie spotkamy – oświadczył Maksymilian.

Chwycił słuchawkę i wydał komendę do wyprowadzenia więźniarki. Gdy jakiś niemiecki żołnierz chwycił ją pod ręce, w poczuciu wściekłości, beznadziei i rozpaczy umysł Jane postanowił jednak nie dać von Hoymowi satysfakcji.

– Żal mi ciebie. Jedyną kobietą, którą miałeś w życiu, jest twoja siostra. Jakie to żałosne – rzuciła mu na odchodne. Widziała, jak spąsowiał z wściekłości na twarzy.

To oskarżenie rzucone w twarz sprawiło, że dla niemieckiego arystokraty Jane musiała zniknąć w piekle, jakie dla Żydów, Romów i wrogów wielkiej Chorwacji gotowali już ustasze.

Rozdział XXIII

W drodze do piekła

Styczeń 1942

Jane zaczęła się z wolna przyzwyczajać do więzienia. Po aresztowaniu była z niewiadomych dla niej powodów przetrzymywana w osobnej celi w głównym więzieniu w Zagrzebiu. Któregoś dnia w grudniu odezwała się do niej chorwacka strażniczka:

– Niemcy wypowiedziały wam wojnę.

– Co takiego?! – Jane zerwała się z pryczy, dla niej to była naprawdę ważna wiadomość. – Jestem tutaj od tylu tygodni...

– Japończycy zaatakowali Amerykę miesiąc temu, a teraz Niemcy wypowiedziały wam wojnę. Na pewno przegracie – powiedziała z pewnością w głosie kobieta.

Jane znała swój kraj. Te wiadomości, choć wciąż niepotwierdzone, dawały jej nadzieję. Stany Zjednoczone przy pełnej mobilizacji militarnej i ekonomicznej dawały przeciwnikom Hitlera przewagę. Niemcy na dobre ugrzęźli w Związku Radzieckim. Jednak to wszystko działo się na płaszczyźnie makro, a jej mikroświat wyznaczały cztery obdrapane, lodowate ściany więzienia. Chorwacka strażniczka nie była zła, czasami przynosiła Jane gotowane ziemniaki, które – cokolwiek to znaczyło – pomagały przetrwać.

Dziś najwyraźniej nie miała dla niej dobrych wiadomości:

– Jeśli Niemcy wypowiedziały wojnę Ameryce, ty, Jane, jako Amerykanka, zostaniesz wydana ustaszom. Teraz Niemcy będą mogli to zrobić.

Rzeczywiście tak się stało. Po święcie Trzech Króli Niemcy przekazali ustaszom Amerykankę. Spodziewała się najgorszego. Trafiła ze swojej izolatki do celi o strasznych warunkach higienicznych. Były tam kobiety w różnym wieku i o różnym pochodzeniu. Przeważnie jednak Serbki i Żydówki. Tam Jane przeżyła w nocy załamanie nerwowe. Nie mogąc przyzwyczaić się do takiego tłoku ludzkich ciał, które się nawzajem o siebie ocierały, wpadła w panikę. Płakała i szlochała, czym denerwowała stare serbskie kobiety, jak się zdawało – pogodzone z losem.

– Spać byś, cholero, dała! – sarkały na nią.

Ale Jane czuła, że zgasła nadzieja. Jej wewnętrzną siłę stłumiły zewnętrzne straszne okoliczności. Dotychczasowe uwięzienie izolowało ją od innych ludzi, a teraz nagle było ich w nadmiarze. Załatwianie potrzeb fizjologicznych do dwóch wspólnych wiader, z których wionął straszliwy smród, nie mieściło się nie tylko w jej poczuciu estetyki, ale także

godności. Tak, Jane uważała wciąż, że godność człowieka jest mu dana z samego faktu bycia człowiekiem. Nie mogła sobie poradzić z nagłym przesunięciem granicy, którą miała dotąd tak jasno i precyzyjnie zakreśloną.

– Uspokój się – powiedziała do niej serbska kobieta wyglądająca na chłopkę.

Miała białą chustę i liche ubranie, wiele razy cerowane.

– To nie pomoże – mówiła po serbsku.

Jane skuliła się pod ścianą, skryła twarz w dłoniach. Drżała, ale stopniowo, powoli ogromne emocje tego strasznego wieczoru blakły. Nie rozumiała, co kobieta do niej mówi, bardziej pomagał ton, jakim wypowiadała słowa w swoim języku. Poczuła się opuszczona. Mogła wyjechać z ojcem. Nie wiedziała, co u niego słychać. Nie wiedziała nic o bracie, który być może gdzieś walczył, skoro Ameryka przystąpiła do wojny. A ona znajdowała się na dnie poniżenia, jak się jej zdawało.

Tę noc spędziła na podłodze wespół z setką innych kobiet. To miejsce było przerażające, ale Jane zdawała sobie sprawę z tego, że niedługo wyruszą w jakąś podróż. Nad ranem, gdy skulona i struchlała z zimna siedziała pod ścianą, nieznajoma Serbka w baraniej kufajce przytuliła ją. I choć nie rozumiała jej języka i domyślała się, że kobieta też jej nie zrozumie, nie mogła oprzeć się pokusie zadania pytania:

– Dokąd oni nas wywiozą?

Serbka popatrzyła jej w oczy. Jane nie wiedziała, jak to się stało, ale zdało jej się, że towarzyszka doli ją zrozumiała.

– Jasenovac. Jedziemy do piekła.

Nieco później sto czterdzieści kobiet musiało wstać na komendę. Ustasze poprowadzili je przez mroźne przedmieścia Zagrzebia na dworzec, skąd odbywał się transport bydlęcym wagonem. Bili kobiety nahajkami i kijami. Należało szybko wsiąść do wagonu po podstawionym podeście. Jedne pomagały drugim. Jane, chcąc wejść do środka, chwyciła ręką krawędź ściany wagonu, tuż przy wejściu, i poczuła nagły ból w lewej dłoni. Gdy podparła się mocniej, drzazga weszła jej głęboko w skórę.

Kolejna mała udręka. Potem ustasze zatrzasnęli wagon. Pociąg powoli ruszył do miejsca przeznaczenia.

Luty 1942, Jasenovac-Danica

Sto czterdzieści kobiet – Serbek, Żydówek, Romek i jedna Amerykanka – stało na stacji kolejowej w Jasenovacu, nowym obozie koncentracyjnym stworzonym i zaaprobowanym przez najwyższe władze faszystowskiej Chorwacji. Jasenovac miał objąć kilka obozów tworzących kompleks, a Danica była pierwszym z nich. Czekały na kogoś. Jane miała poczucie, że męka stania na tym przeraźliwie zimnym powietrzu nie będzie miała końca. Ale po chwili od strony obozu kryjącego się za dużym murem dobiegł do tych umęczonych kobiet jakiś harmider – odgłosy skrzypiącej bramy i wielu stóp idących po skrzypiącym śniegu. Od rzeki Sawy wiało chłodem, wilgocią i smrodem, jak gdyby nadpsutym mięsem, którego nie dojedzono, lub padliną jakiegoś zwierzęcia.

Po kilku minutach na peronie pojawiła się grupa uzbrojonych ustaszy, ubranych w długie czarne płaszcze. Kilku z nich nosiło karabiny na paskach, ale wielu nie miało długiej broni. Uwagę Jane przykuła jedna postać, która wydawała się jej jak gdyby wyjęta z innej opowieści. Osoba ta przypomniała jej księdza Karla Rahnera, którego poznała w Niemczech przed wojną – niewątpliwie osobnik ten miał na sobie czarną sutannę oraz kaptur w takim samym kolorze. Nie znała się na zakonach i nie mogła rozpoznać, do jakiego zgromadzenia mógł należeć. Podchodził do każdej z więźniarek i pytał:

– Siostro, czy masz prawdziwą wiarę?

Kobiety, przestraszone i wygłodniałe, oczywiście potwierdzały. Wówczas zakonnik pytał o szczegółową znajomość modlitwy *Ojcze nasz* lub *Zdrowaś Mario*, lub o dziesięć przykazań Bożych, lub o pięć kościelnych. Bez trudu udowadniał zmaltretowanym kobietom, że nie są katoliczkami, a więc nie mają „prawdziwej i jedynej wiary".

– Nie ukarzę was dzisiaj za to kłamstwo – stwierdził. – Ale będę, Bóg mi świadkiem, pracować, abyście ujrzały chwałę Bożą.

W końcu czas przyszedł na Jane.

– Córko, czy znasz prawdziwą wiarę? – zaintonował miłym głosem zakonnik.

Jane, choć nie znała serbsko-chorwackiego języka[25], zdążyła zauważyć, o co w tym wszystkim chodzi. Domyśliła się zatem znaczenia pytania. A przecież przed kilku laty, choć wydawało się to już tak niewyobrażalnie dawno, jak gdyby w innej epoce i w innym szczęśliwym świecie, na Harvardzie była najlepsza w grupie z ćwiczeń z filozofii Świętego Tomasza z Akwinu. Odpowiedziała po łacinie:

– *Non confiteo fidem tuam*[26].

Zakonnika to zaskoczyło, był bowiem przekonany, że ma do czynienia z kolejną serbską lub żydowską oszustką, która chce go wprowadzić w błąd.

– Znasz łacinę? Gdzie się nauczyłaś? – odparł w tym samym języku.

– Nauczyłam się na uniwersytecie w Ameryce.

Zakonnik zdumiał się jeszcze bardziej.

– Nie znasz świętej wiary katolickiej – rzekł. – Zgaduję zatem, że musisz być córką narodu, który zabił Chrystusa.

Jane zawahała się. W normalnych warunkach odwinęłaby się ostrym jak żyletka sarkazmem, ale zdawała sobie sprawę z tego, że w tym miejscu nie może tego uczynić.

– Tak, jestem córką Izraela. Studiowałam filozofię i znam zasady twojej wiary, choć jej nie przyjmuję – odparła znów po łacinie.

Ta odpowiedź uradowała ojca duchownego, który nigdy w życiu nie spotkał wykształconej Żydówki, do tego znającej świetnie łacinę.

– Ona jest szczególnie groźnym wrogiem i muszę mieć nad nią osobistą pieczę – rzekł zakonnik do zgromadzonych ustaszy w czarnych mundurach, którzy z tej wymiany łacińskich zdań nic nie zrozumieli, ale widzieli, że ich duchowy guru traktuje Żydówkę z respektem. – Jesteś z Ameryki? – zapytał ją jeszcze po łacinie.

– Tak. – Ale łacińskie *sic* brzmiało w jej ustach nie jak przyznanie się do winy, ale jak potwierdzenie własnej tożsamości.

Jane zaczynała dostrzegać, że ten zakonnik jest nie tylko księdzem. On był w tym obozie kimś więcej, choć przez miłą powierzchowność sługi bożego nie widziała jeszcze nieskończonej ciemności, jaka za nim kroczyła.

Franciszkanin – bo habicie tego zgromadzenia występował – wszedł na jedną z przewróconych drewnianych skrzynek, jakich wiele walało się po peronie. Uczynił to, aby wszyscy go lepiej widzieli i słyszeli.

– Nazywam się ojciec Tomislav Majstorović[27] i jestem waszym panem. Macie zwracać się do mnie „czcigodny panie" lub „czcigodny ojcze", bo będę pasł was jak trzodę, wy brudne żydowskie i serbskie suki. – Wypowiedział to straszne zdanie z wielką charyzmą w głosie. – Będę was pasł kijem żelaznym, bo jesteście sługami Bestii, która chce zniszczyć dobrych Chorwatów. Będziecie pracować na chwałę wielkiej Chorwacji i jej narodu i jak mi Bóg miły, zegnę wasze karki.

Jane przeszedł dreszcz. Zaczęło siąpić. Ciemna chmura przesłoniła słońce i nad rzekę Sawę nadciągnęła wkrótce ulewa.

*

Po tym strasznym apelu ustasze zaprowadzili je do jednego z baraków przeznaczonych dla kobiet. Mówiło się jednak, że w Jasenovacu będą przebywać sami mężczyźni i zapewne wkrótce kobiety zostaną przeniesione do innego obozu, tym razem tylko dla nich. Jane była brudna, bo nie miała okazji umyć się porządnie od wielu tygodni swojego uwięzienia. Po długim czasie przyniesiono jedzenie – kawę zbożową, lurowatą, ale przynajmniej ciepłą, oraz gotowaną brukiew, po jednej sztuce na kobietę. I choć było tego mało i miało niewiele wartości odżywczych, Jane pochłonęła swoją porcję bardzo szybko. Gdy ją zjadła, poczuła straszny głód. Ale żadnej dokładki nie było.

Oszołomiona usiadła na jakiejś szmacie pod ścianą. Jednak po chwili podeszła do niej inna więźniarka, na oko w jej wieku lub o kilka lat

starsza.

– Nazywam się Ljuboslava – powiedziała po francusku. Wiedziała już, że Jane nie jest Serbką. – Bardzo odważnie zagrałaś. Czy wiesz, kim jest ksiądz, z którym rozmawiałaś?

Jane popatrzyła na nią zaskoczona, ponieważ nie spodziewała się spotkać nikogo mówiącego po francusku w tym opuszczonym przez Boga miejscu.

– Dziwisz się, że mówię w tym języku? Przed wojną uczyłam w Sarajewie francuskiego w szkole. Teraz to wszystko już ziemia ustaszy.

– Dlaczego mówisz, że zagrałam odważnie? Ja nie grałam – wyjaśniła Jane. – Nie wiem, kim on jest, ale obecność księdza w tym miejscu wydaje mi się dziwna.

– Ciszej, ciszej. – Ljuboslava usiadła obok niej. – Zaraz nas pognają do pracy. Wpadłaś dziś w oko najstraszliwszemu mordercy, jakiego mają pośród siebie ustasze. To ojciec Tomislav Majstorović, przynajmniej tak każe do siebie mówić. Zabija ludzi za pomocą srbosjeka.

Jane po raz pierwszy usłyszała to dziwne słowo w języku serbskim i w ogóle go nie zrozumiała.

– O czym ty mówisz?

– To nóż ustaszy, krótki, przypominający hak połączony ze skórzaną rękawiczką. Oni tym zabijają dzieci, kobiety i mężczyzn. Ojciec Majstorović znany jest z częstego używania tego noża. Żadnemu mężczyźnie nigdy nie udało się rozmawiać z nim tak, jak ty to dziś zdołałaś zrobić. Ani żadnej kobiecie, bo gdy jakaś się do niego odezwie w taki sposób, podrzyna jej gardło.

Jane zamurowało. Nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ją potraktował inaczej. Co było w niej tak niezwykłego, że ksiądz, o którym inna więźniarka mówiła tak okropne rzeczy, jej nie zabił? Chociaż... tego dnia nie zabił żadnej kobiety – ani Serbki, ani Żydówki.

– Może zrobiło na nim wrażenie to, że biegle posługujesz się łaciną. Chyba nigdy nie spotkał się tu z kimś takim. Dla niego jesteśmy kurwami,

czymś w rodzaju macior. Często się tak wyrażał o kobietach. Nie chcę cię straszyć, ale będziesz z nim miała jeszcze wiele razy do czynienia.

Do środka wszedł jakiś szeregowy ustasz.

– Ruszać do pracy!

Jane tak bardzo się nie chciało... Czuła się tak strasznie zmęczona. Ale musiała iść. W tym miejscu nie istniała odpowiedź „nie pójdę" czy „zrobię potem".

Całe popołudnie segregowały ziemniaki z rozebranego kopca. Część zgniła, bo były źle okopane. Jane zmagała się z pragnieniem zjedzenia choćby jednego, ale wiedziała, że jeśli zje surowe, zachoruje. Instynktownie wyczuwała, że w tym miejscu to wyrok śmierci. Jakoś musiała wytrzymać do końca dnia. Kiedy ziemniaki były już posegregowane, te najlepsze należało załadować na skrzynki i zanieść do kuchni dla ustaszy. Resztę, tych drobnych, ale zdrowych, oraz część nadgniłych, większych, kobiety mogły zabrać dla siebie.

*

Jane przeżyła następne trzy tygodnie w obozie koncentracyjnym prowadzonym przez ustaszy. Tego marcowego dnia, kiedy zrobiło się po raz pierwszy ciepło, została wezwana przez ojca Majstorovicia na rozmowę. Kobiety serbskie, z którymi była uwięziona, bardzo jej żałowały.

– Na pewno nie wróci żywa – mówiły.

Stała się wśród nich rozpoznawalna, ponieważ pocztą pantoflową rozeszło się, że jest Amerykanką. Dla tych wszystkich biednych kobiet, zamęczanych powoli przez ustaszy, Ameryka była jakimś nieokreślonym synonimem bogactwa i lepszego życia. Uznały, że właśnie ona będzie mieć szczęście, a jej fortuna będzie sprzyjać także im w tym piekielnym miejscu. Tak myślały Serbki. Natomiast Jane cały czas bardzo się bała. Ale musiała pójść.

Majstorović miał wśród ustaszy wielkie poważanie, choć nie bardzo było wiadomo, jaka jest jego rola w kompleksie obozów Jasenovac.

Chodziły wśród więźniów i więźniarek słuchy, że ma powstać obóz dla kobiet, którego komendantem zostanie ojciec Tomislav. Jane szła do niego z duszą na ramieniu. Nie wiedziała, co ją czeka.

Franciszkanin czekał na nią w domu położonym za murem obozu, na uboczu. Strzegło go dwóch uzbrojonych strażników. Jane przyprowadziła milcząca strażniczka ustaszy, co zdziwiło dziewczynę, ponieważ po raz pierwszy widziała kobietę w czarnym mundurze tej formacji.

– Ojciec Tomislav czeka – powiedziała beznamiętnie strażniczka.

Jane weszła do środka. Dom był mały. W kuchni zauważyła piec opalany drewnem oraz bardzo lichy kredens. Pod ścianą znajdowało się nędzne posłanie. Może dobrotliwy franciszkanin lubi zwierzęta? – pomyślała, ale zaraz zrozumiała, że ten barłóg był przygotowany dla niej.

– Chodź tu, Żydówko – rozległ się męski głos.

Jane odwróciła się i poszła do pokoju obok, w którym zakonnik siedział na bujanym fotelu z różańcem w ręku. Wciąż miał na sobie czarny habit.

– Skąd znasz tak dobrze łacinę?

– Już mówiłam ojcu – odparła. – Poznałam ten język na uniwersytecie w Ameryce.

– Jesteś Amerykanką czy Żydówką?

– Jedną i drugą. To moja tożsamość.

Ojciec Tomislav westchnął. Cóż za praca go czeka! Nawrócenie tej Żydówki, która odziedziczyła po przodkach grzech bogobójstwa, a po Ameryce wszystkie grzeszne przyzwyczajenia, będzie dla niego wielkim wyzwaniem.

– Nigdy nie spotkałem takiej Żydówy jak ty – odezwał się nieprzyjemnie mnich. – Stanowisz dla mnie wyzwanie i zamierzam cię nawrócić na moją świętą wiarę katolicką i apostolską.

Jane miała ochotę go zapytać, jak w tej wierze mieści się mordowanie innych ludzi, ale postanowiła milczeć, wiedziona instynktem samozachowawczym.

– Co ksiądz zamierza ze mną uczynić?

Ojciec Tomislav wstał.

– Będziesz tutaj służyła i pracowała na chwałę bożą i chwałę naszego narodu – rzekł. – Będziesz przypatrywała się temu, do czego jestem zdolny, by osiągnąć ten cel.

– Od kiedy?

– Od zaraz. Najlepiej, żebyś od razu tu posprzątała, ponieważ ja zajmuję się samymi bożymi myślami i nie mam czasu na coś tak przyziemnego jak sprzątanie. Możesz spać w kuchni i gotować dla mnie. To zbliży cię do chwały bożej.

Rzekłszy to, wyszedł.

Jane została z tym wszystkim sama. Jej los znów gwałtownie się zapętlił i nie była pewna, czy odmiana niesie jej szansę na przeżycie, czy zgubę.

Rozdział XXIV

Wyrzut sumienia

Obóz w Jasenovacu nad Sawą, kwiecień 1942

Nowa sytuacja, w jakiej znalazła się Jane, zmieniła wiele w jej życiu w obozie. Ojciec Tomislav wychodził na całe dnie; podobno jeździł z ustaszami po różnych wsiach i nauczał. Ale nie było to nic pewnego. Przebywała teraz w świecie odciętym od świata zewnętrznego. W Jasenovacu nie istniał regulamin obozowy jak w obozach niemieckich i dziewczyna mogła się po nim dość swobodnie poruszać. Zwłaszcza że musiała gotować, a nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Z pomocą miała jej przyjść Ljuboslava, z którą mogła mówić po francusku.

– Dostałaś szansę. Ale musisz uważać, bo ojciec Tomislav ma u nas bardzo złą opinię.

Jane od razu zwróciła uwagę na formę „my" – „u nas".

– Kim byłaś naprawdę przed uwięzieniem w obozie?

Ljuboslava się zawahała.

– Możesz mi zaufać – powiedziała Jane, choć wiedziała, że zaufać komuś w Jasenovacu, to było bardzo dużo.

Kobieta zbliżyła się.

– Jestem komunistką – powiedziała. – Ustasze zgarnęli mnie, bo jestem Serbką. Nie wiedzą, czym się zajmowałam. W całym kraju powstają oddziały partyzanckie przeciwko tym faszystowskim świniom.

– Kto nimi dowodzi?

Ljuboslava odpowiedziała szeptem:

– Towarzysz Tito.

Jane od razu zrozumiała pseudonim. Niemcy, Włosi i chorwaccy ustasze daliby dużo, aby ustalić, kto krył się pod tym pseudonimem. Ona znała takiego człowieka we Francji i chyba o pomyłce nie mogło być mowy.

– Przyszłam do ciebie z czymś innym. – Szybko zmieniła temat.

– Mów śmiało.

– Muszę mu gotować, a zupełnie tego nie umiem.

Ljuboslava na szczęście umiała i dała Jane kilka dobrych rad. Potrawy proste, żeby skurwiel się umartwiał.

*

Jane nie była świadoma, że zatrudnienie jej jako sprzątaczki i kucharki przez ojca Tomislava stało się przyczyną zazdrości innej kobiety. Do systemu obozów Jasenovac zaczęły też przybywać chorwackie działaczki, ponieważ zgodnie z zasadami moralności to kobiety miały nadzorować inne kobiety. Jedną z nich była Nada Šakić, żona jednego z wpływowych ustaszy, która szczerze i głęboko podziwiała ojca Majstorovicia. Jane powoli, z perspektywy więźniarskiej, zaczynała dostrzegać skomplikowaną prawdę o tym ruchu. To była osobliwa, fanatyczna sekta, w której nacjonalizm chorwacki i katolicyzm stopiły się w jedno z szaleńczą ideologią rasistowską i szowinizmem, który kazał widzieć w Serbach największego wroga, i – o dziwo – uznawać

muzułmanów zamieszkujących Bośnię i Hercegowinę za przedstawicieli „prawdziwego narodu chorwackiego".

Wiedziała już, że Majstorović był prawdziwym zakonnikiem. Podejrzewała też, że w samym ruchu jest ważną postacią. Jak ważną? Chciała to odkryć – zakraść się do jego dokumentów, które trzymał w swoim domku. Było to szalenie niebezpieczne, ale czuła, że jego prawdziwa tożsamość musi wyjść na jaw. Zdawała sobie sprawę z tego, że o zbrodniach, które się tutaj działy, trzeba jakoś poinformować świat. Na razie jednak żyła, i to było dla niej najważniejsze. Musiała też jakoś podołać nałożonym na nią obowiązkom, w tym – gotowaniu.

Tego marcowego ranka wyruszyła nad rzekę Sawę po wodę. Szeregowi strażnicy nie robili jej problemów, bo wiedzieli, czyją jest służącą. Szła więc z pustym wiadrem. Jednak po drodze zauważyła, że nad wodą leżą jakieś ubrania, buty – jak gdyby ktoś się wykąpał i zapomniał ich zabrać z powrotem. Zaniepokojona poszła dalej, ale koniecznie chciała się dowiedzieć, co się stało z właścicielami. Sawa w tym miejscu miała brzeg spadzisty, jakieś dwa metry podmywanej wodą lessowej ziemi. Nie było łatwo zejść na brzeg. Gdy jednak tam dotarła, zatrzymała się – nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Nad rzeką leżało wiele ciał ludzi, którym najwyraźniej kazano się rozebrać do naga, a następnie poderżnięto im gardła.

Patrzyła na to masakryczne odkrycie i nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Stała jak sparaliżowana. W pierwszej chwili nie mogła złapać tchu. Wśród trupów były przeważnie kobiety i dzieci. Zadrżała. Ale po chwili się opanowała. Zabrała puste wiadro i wróciła do obozu.

Marzec 1942, Nowy Jork

Michael Coulfield, kapral armii Stanów Zjednoczonych, tuż przed japońskim atakiem na Pearl Harbor uzyskał od sądu zawieszenie kary za swoje wcześniejsze finansowe przestępstwa, do czego walnie przyczynił

się jego ojciec prawnik. Ale chłopak widział ojca złamanego jakimś strasznym wewnętrznym cierpieniem. Początkowo myślał, że to z powodu śmierci Elisabeth. Jednak wkrótce zaczął podejrzewać, że jego depresyjny stan, wewnętrzne rozedrganie, musi mieć inną przyczynę. Chłopak odczuwał też głęboki niepokój związany z milczeniem siostry – ostatni list, jaki otrzymał od Jane, datowany był na 20 września 1940 roku. Nie wspominała o żadnych trudnościach, poza tym że nie mogła opuścić Paryża.

Mężczyźni padli sobie w objęcia. Nie widzieli się od ponad dwóch lat. Umówili się na kolację, ale nie do restauracji, tylko do domu, gdzie kucharka miała przygotować coś ekstra, co obaj lubili, a co przypominałoby im chwile spędzone wspólnie z matką i siostrą. Jedzenie było wyśmienite. Starym zwyczajem ojciec i syn mogli wreszcie pomówić przy szklaneczce burbona.

– Ojcze, co dzieje się z Jane? – zapytał Michael. – Zauważam w tobie jakąś złość na nią. To do ciebie niepodobne. Ja zrobiłem wiele głupstw i wybaczyłeś mi. Co zrobiła Jane? Dlaczego wyjechałeś z Francji?

Stary Samuel westchnął.

– Jane związała się z Niemcem, którego najprawdopodobniej poznała podczas swojego uniwersyteckiego stypendium, chyba w trzydziestym szóstym roku – odparł. – Takie rzeczy się zdarzają. Ale on był pracownikiem Gestapo, hitlerowskiej tajnej policji. Rozumiesz, co to znaczy?

Michael skrył twarz w dłoniach. Płakać mu się chciało. Jego Jane... zdrajczynią?

– W czasie, kiedy przebywałem we Francji, zaczęły się tam prześladowania Żydów. Jak ona mogła? Wprawdzie w paszporcie nie miała wpisanego nazwiska Singer, ale to nie jest żadne wytłumaczenie.

– I dlatego wyjechałeś?

– A co mogłem zrobić innego? Policja francuska zachowywała się wobec Żydów bardzo źle. Nie mogłem liczyć na to, że ona mnie ochroni. Miałem też ciebie...

Michael rozumiał. Uznał, że ojciec miał prawo się bronić. Jane popełniła błąd, dramatyczny i etycznie nie do obronienia, ale... wciąż pozostawała jego siostrą, która pomogła mu, kiedy on znajdował się na dnie upokorzenia, z ciężką moralną winą wobec ojca i rodziny. Nie opuściła go wtedy. I poprzysiągł sobie, że on też jej nie opuści. Nie może tego zrobić.

– Gdzie ona jest teraz? – zapytał po chwili.

– Gdy wyjeżdżałem, przebywała w Paryżu... z tym Niemcem. Wiosną czterdziestego pierwszego roku, już po śmierci mamy, dostałem z Francji list, w którym jeden mój znajomy z miasteczka opisał mi zabójstwo, którego ten Niemiec się dopuścił w obecności Jane na młodym Francuzie. Znałem tego chłopaka. Jane była podobno w to zaangażowana.

Michael westchnął.

– To przerażające, przyznaję. Ale znam Jane i nie wierzę w jej świadomą zdradę – zaoponował po chwili. – To po prostu do niej nie pasuje. Gdy mieszkałem u niej w Paryżu, przed wyjazdem do Hiszpanii, czytałem książki, które ona czytała, i nie wierzę, że jest faszystką. Może zadurzyła się w tym Niemcu? Może chodzi tutaj o namiętność... Przecież ty też coś takiego przeżyłeś. Tego się nie kontroluje.

Samuel zastanowił się nad słowami syna. Miał rację.

– Co proponujesz?

– Musimy ustalić, gdzie ona jest. Jedyne, co możemy zrobić, to zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii – powiedział Michael i była to pierwsza naprawdę rozsądna rzecz w ich rozmowie.

Samuel teraz się wstydził, że tak łatwo dał za wygraną, ale wciąż nie mógł darować córce jej romansu z wrogiem. Nie potrafił zrozumieć sprzeczności w jej zachowaniu – z jednej strony angażowała się w pomoc swojej przyjaciółce, Żydówce, uciekającej przed nazistowskimi siepaczami, a z drugiej – utrzymywała namiętną relację miłosną z jednym z nich.

– Dobrze. Pójdę w tej sprawie do Eleanor Roosevelt. Była moją znajomą i nigdy nie odmawiała mi pomocy.

– To dobry pomysł. Można próbować zainteresować ludzi prezydenta losem Jane – odparł Michael. – Ja niedługo wyjadę, ojcze, ale mam

nadzieję, że nie trafię na Pacyfik.

W ten sposób Samuel zyskał syna, który walczył o swoją siostrę. Starszy człowiek poczuł, że mimo śmierci Elisabeth i błędów, jakie popełniają jego dzieci, znów są rodziną, która się wspiera i miłuje.

*

Maksymilian von Hoym, który zesłał Jane do piekła Jasenovaca, nie był do końca świadomy, co potrafią ustasze. W kwietniu 1942 roku jako wysoki rangą przedstawiciel Rzeszy w wielkiej Chorwacji został zaproszony do oglądania pacyfikacji serbskiej wioski w Bośni.

– Czy widział pan nasze dzieło w szkole? – zapytał Niemca dowódca ustaszy Dinko Šakić.

– Nie bardzo rozumiem.

– Proszę wyświadczyć mi zaszczyt i docenić nasze dokonania. – Dinko Šakić wykonał dłonią gest, jak gdyby oddawał Niemcowi ukłon. – Jesteśmy jedynie waszymi uczniami i uczymy się czerpania przyjemności z zabijania naszych wrogów.

Maximilian von Hoym poczuł się niekomfortowo z tą szarmancką nutą w głosie ustasza. Nie wiedział, do czego to wszystko zmierza. Jednak nie mógł odmówić. Dinko Šakić był jednym z ważniejszych dowódców i celował w pacyfikacjach serbskich miasteczek. Von Hoym stał się więźniem własnej decyzji, by wysoki rangą niemiecki oficer bezpieczeństwa osobiście wyrażał poparcie władz niemieckich dla chorwackiej polityki pacyfikacyjnej. Nie miał na to ochoty. Nie chciał patrzeć na zabijanie. Najchętniej poszedłby z Anabelle na jeden z tych cudownych koncertów z muzyką Schumanna do wiedeńskiej filharmonii lub do konserwatorium muzycznego w Monachium. A tymczasem musiał przebywać z ustaszami, pijącymi całymi litrami rakiję i wyrzynającymi wioskę po wiosce. To, co zobaczył w wiosce Prebilovci, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Dubrownika, przerosło jego wyobrażenia o tym, do jakiego okrucieństwa zdolni są ludzie.

W szkole, do której przed wojną przyjeżdżały dzieci z nieodległych miejscowości – Čaplijna oraz Ljubinje – ustasze wymordowali wszystkich. Maksymilian zauważył, wchodząc, że woźny siedzi dalej na swoim miejscu, ale bez głowy. Znalazł też na korytarzu nauczycielkę, której poderżnięto gardło. Spod jej ciała wypływała kałuża zakrzepłej już krwi.

– Proszę bardzo, Herr Obersturmbannführer. Jestem ciekawy, czy my, prości ustasze, zasłużymy na choćby jedno ciepłe słowo pochwały za dzieła, których dokonujemy w imię wielkości i czystości rasowej Chorwacji! – rzekł przejęty Dinko Šakić.

Maksymilian wykrzywił usta w czymś, co miało być uśmiechem, ale nie mógł wyjść z tej przeklętej szkoły. Wszedł razem z Šakiciem do jednej z klas. Głowy dzieci były odcięte. Znieruchomiał, gdy je ujrzał – wyglądały jak rekwizyty do lekcji biologii. Nie umiał ich policzyć, choć ów makabryczny rachunek był prosty. Dwucyfrowa liczba. Spojrzał na sufit przyozdobiony kandelabrem z jelit wyciągniętych z brzuchów i przybitych gwoździami jak bożonarodzeniowy łańcuch. Musiał wyjść.

Šakić zwrócił się do swoich ludzi:

– Niemiec nie wytrzymał. Miękkie serduszka mają ci Niemcy!

Ustasze zarechotali gromkim śmiechem. Tego dnia zarżnęli w szkole sto trzydzieści sześć osób, w tym sto dwadzieścioro ośmioro dzieci. Tę salę osobiście przygotował dla Niemca Dinko Šakić, bohater Chorwacji czystej jak łza.

Rozdział XXV

Fra Sotona[28]

Jasenovac, system obozów, maj 1942

Dopiero w maju, kiedy zrobiło się naprawdę ciepło, znad Sawy przypłynął trupi odór, który wsiąkał w ubrania, wciskał się do baraków, śmierdziała

nim nawet woda. Nie sposób było się go pozbyć. Jane była w pełni świadoma, że żyje na krawędzi. Jej egzystencja zależała od woli ojca Tomislava, który wiosną tego roku ciągle wyjeżdżał. Kiedyś jej powiedział, że nawracanie Serbów na prawdziwie katolicką wiarę jest „ciężką, mozolną służbą bożą". Jane, widząc to, co działo się w obozie w Jasenovacu, nie miała wątpliwości, na czym polegała „służba boża" ojca Tomislava.

Dziewczyna nauczyła się gotować proste zupy, głównie oparte na ziemniakach, choć na przednówku nawet tych było mało. Zawsze starała się zjeść kilka łyżek z tego, co gotowała dla niego. Zakonnik zdawał się tego nie widzieć. A może tylko czekał, żeby w odpowiednim momencie wymierzyć grzesznicy karę. Jane zauważyła, że chłostał się w nocy pejczem, aby zapanować nad własnym ciałem. Z jego wypowiedzi wynikało, że kobiety są siedliskiem szatana, stworzonym z poduszczenia „węża przewrotnego", co wskazywało, że dość dobrze opanował Biblię, ale zarazem miał jakiś straszny kompleks kobiet, jakąś wewnętrzną niedojrzałość. Trudno się dziwić – był wszakże wyświęconym franciszkaninem po studium teologicznym, wychowanym w rodzinie patriarchalnej. Jednak Jane nie miała śmiałości się do niego odzywać, a co dopiero zadawać mu pytania.

Ojciec Tomislav powiedział jej kiedyś:

– Kobiety, dzieci i ryby nie mają głosu – i tak powinno być.

*

Tego dnia Jane zauważyła, że do Jasenovaca przybył młody mężczyzna z niedalekiej wioski Grbavci. Mógł mieć około trzydziestu lat. Natychmiast obskoczyli go ustasze, którym być może był znany z okresu sprzed wojny. Nie pobili go, lecz po chwili podszedł do niego ojciec Tomislav i długo mu coś tłumaczył. Potem poprowadzili go i ustawili na klęczkach pośrodku placu obozowego, w pełnym słońcu. Musiał klęczeć z pochylonym karkiem, nie mógł zmienić pozycji. Gdy tylko to czynił, natychmiast podbiegała do niego ustaszka Nada Šakić, żona znanego z masakry serbskich dzieci w szkole Dinko Šakicia. Byli ponoć nierozłączną

parą, bardzo popularną wśród ustaszy; ojciec Tomislav miał im rzekomo udzielić ślubu przed wojną.

Przebywając w Jasenovacu, Jane musiała pracować razem z innymi więźniarkami, gdy nie usługiwała ojcu Tomislavowi. Dziś dostała zajęcie przy segregowaniu ubrań, jakie zostały po Żydach. Transporty przybywały, potem znikały i nikt nie wiedział, co się z nimi działo. Dopiero teraz dziewczyna połączyła fakty.

– Oni ich mordują – powiedziała cicho do Ljuboslavy.

– Skąd wiesz? – zapytała Serbka.

Jane miała talent do języków; zaczęła już mówić trochę po serbsko-chorwacku, choć nie umiałaby przeczytać tekstu pisanego cyrylicą.

– Widziałam nad rzeką. Setki ciał na brzegu Sawy – odparła.

– I ustasze cię nie zabili? Ponoć strzelają do wszystkich, którzy coś widzieli.

– Jestem służącą ojca Tomislava.

Ljuboslava wiedziała o tym, ale nie miała śmiałości, żeby spróbować wykorzystać Amerykankę do wyższego celu. Serbka musiałaby jej zaufać, co w realiach jasenovackiego obozu nie było sprawą łatwą ani oczywistą.

– Jesteś blisko tego diabła – powiedziała. – Możesz to wykorzystać.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Wtedy do baraku weszła wszędobylska ustaszka Nada Šakić, w czarnym mundurze i takiej spódnicy. Była niebezpieczna – podobno zabijała żydowskie dziewczęta strzałem w głowę.

– Nie gadać, serbskie suki – powiedziała ostro. – Macie pracować, a nie plotkować. A ciebie obserwuję – zwróciła się do Jane, wyciągając w jej stronę rękę z pejczem.

To było ostrzeżenie. Dopóki Šakić patrzyła, dziewczyny nie mogły robić nic poza porządkowaniem rzeczy po zamordowanych Żydach. Najlepsze ubrania miały być schludnie składane, a jeśli zachodziła potrzeba, należało je wyprać i wykrochmalić. Raz na dwa tygodnie przyjeżdżał samochód i zabierał je dla rodzin chorwackich. Podobnie jak u Niemców – wszystkie rzeczy pozostawione przez ofiary były systematycznie rabowane

i wówczas nie liczyło się, że przedtem nosili je Żydzi, Romowie czy inne nieakceptowane jednostki. Ważna była jedynie ich wartość użytkowa.

Z każdym dniem Jane nienawidziła ustaszy bardziej, ale ta nienawiść nie przekreślała jej instynktu samozachowawczego. W końcu Šakić musiała iść na obchód innego odcinka obozu.

– Czy mogę ci zadać niedyskretne pytanie? – zapytała Ljuboslava.

– Jesteśmy w miejscu, gdzie dyskrecja nie istnieje – zauważyła Jane, jak gdyby to było oczywiste.

– Czy ojciec Tomislav cię...?

Ljuboslava nie potrafiła dokończyć zdania, co dobrze o niej świadczyło. W tej serbskiej dziewczynie tliło się jeszcze jakieś elementarne poczucie przyzwoitości.

– Pytasz, czy mnie zgwałcił? – odpowiedziała pytaniem Jane. – Nie. I to może wydawać się dziwne. Znam go już trochę. Służę mu od tylu miesięcy czy tygodni... Sama nie wiem. Straciłam tutaj poczucie czasu. Nigdy mnie nie podglądał. Wydaje mi się, że budzę w nim zarówno obrzydzenie z powodu mojej żydowskości, jak i coś w rodzaju fascynacji tym, że studiowałam.

– Jest ciebie ciekawy? – dopytywała Ljuboslava.

– W pewnym sensie tak, ale to fanatyk. Biczuje się w nocy.

– Przepraszam, co robi? – Serbka wolała się upewnić.

– On się w nocy biczuje rzemieniami po plecach aż do krwi. Muszę prać jego koszule przy użyciu ługu w pewnym rozcieńczeniu. Jego wyobrażenia na temat kobiet są mieszaniną pogardy, fanatyzmu religijnego i nienawiści. Nigdy nie spotkałam się z czymś takim u żadnego mężczyzny – skonstatowała Jane.

Ljuboslava zamyśliła się. W milczeniu otwierały kolejne toboły po zamordowanych ludziach. W końcu zapytała wprost:

– Czy zrobiłabyś coś dla nas?

– Dla was? Kim są „my”? – Jane nie ukrywała zaskoczenia.

Serbka spokojnie wyjaśniła:

– Jestem z NOVJ, Narodowej Armii Wyzwolenia Jugosławii.

– Myślałam, że Serbowie mają czetników.

– Bo mają, ale partyzantka królewska generała Mihailovicia służy samej sobie. A nam chodzi o cały kraj i o wszystkich ludzi zamieszkujących Jugosławię. Pomożesz nam?

– A co Amerykanka w chorwackim obozie mogłaby dla was zrobić? – zakpiła Jane, co nie uszło uwadze Serbki.

– Mylisz się. Najważniejsze – mówiła szeptem Ljuboslava – żeby świat się dowiedział, co ustasze robią w tym miejscu z ludźmi. Bo świat nie wie i nie chce wiedzieć. Wszyscy patrzą na Rosję. Albo jak jakaś bomba niemiecka spadnie na Londyn. Nikogo nie obchodzi nasza tragedia. Ustasze rozpruwają naszym dzieciom brzuchy, ścinają głowy.

Jane nie trzeba było przekonywać.

– Co mam zrobić?

– Czy masz dostęp do części mieszkania w jego domu poza obozem?

– Tak, chodzę tam codziennie, żeby mu gotować i prać jego gacie, majtki i koszule. Jest obsesyjnie czysty.

– Podejrzewamy, że jego imię i nazwisko w Jasenovacu, ojciec Tomislav Majstorović, nie jest prawdziwe – powiedziała Serbka. – Kościół katolicki robi sobie straszną rzecz, pomagając ustaszom. Jeśli zdobędziesz dowody, kim on jest naprawdę, pomożemy ci w ucieczce z tego miejsca. Świadectwo Amerykanki o tym, co robią tutaj ustasze, przemówi do świata. Wiesz, jak go nazywamy?

– Nie.

– *Fra Sotona*. Brat Szatan.

*

Następnego dnia Jane znów zobaczyła tego serbskiego chłopaka zmuszanego do klęczenia. Ustasze rozsypali żwir, który przy długotrwałym klęczeniu sprawiał wielki ból. Postanowiła zainterweniować. To był impuls, który mógł ją drogo kosztować, ale zdawała sobie sprawę, że ustasze prawdopodobnie nie zrobią jej krzywdy – była służącą ojca Tomislava.

Nalała kubek chłodnej wody. Słońce tego dnia było naprawdę dokuczliwe, wszystkie kobiety pracujące w obozie starały się unikać otwartej przestrzeni. Ruszyła i dopiero teraz zaczęła się naprawdę bać. Ale na wycofanie się było już za późno. Dostrzegła, że strażnicy patrzą, co ona robi. Spojrzała na jednego z nich – stał z karabinem na ramieniu, żuł słomkę. W innym czasie i miejscu mogłaby uznać, że to zwykły chłopak, może nawet przystojny. Zebrała się w sobie i spokojnie zmierzała w stronę klęczącego nieszczęśnika. Nie interesowało jej, jakiego jest wyznania, jakiej narodowości ani co robił w życiu, zanim trafił do Jasenovaca. Szła powoli.

Młody, przystojny Chorwat zdjął karabin z ramienia i przeładował go.

Zaraz do mnie strzeli – pomyślała dziewczyna.

Przemogła strach i szła dalej. Nie wiedziała tego, ale obserwowali ją nie tylko strażnicy, ale też więźniowie i więźniarki tego faszystowskiego piekła. Młody Chorwat nie strzelił. Podeszła do chłopaka. Drżał. Jane zrozumiała, jak wielką torturą jest dla niego klęczenie na słońcu w tej wymuszonej pozycji. Uklękła obok niego.

– Pij – powiedziała cicho.

Chłopak podniósł na nią swoje umęczone, brązowe oczy. Nie wiedział, czy to, co się dzieje, nie jest jakimś strasznym żartem ustaszy, ale po chwili zrozumiał, że ta nieznajoma kobieta daje mu szansę na życie. Miał spękane usta. Jane pomogła mu wyprostować kark; jęknął z bólu.

Nie chcąc, by wylał wodę, dawała mu pić. A on pił, wchłaniał w siebie wodę, która była życiem. Nie wiedząc nawet, że to czyni, Jane przekroczyła granicę rytualnego gestu – dając mu wodę, dawała mu nadzieję.

– Jak się nazywasz?

– Branko Jungić – powiedział nieśmiało.

– Wytrzymaj. Te skurwysyny na nas patrzą. Nie zabili nas dzisiaj, więc nie zabiją nas jutro. Musisz w to uwierzyć.

W chłopaku nastąpiła niewidzialna dla niej i dla innych przemiana. Jane nie miała czasu, by wypytać go, czego chcieli od niego wczoraj ustasze i co było powodem jego męki. Klęczał już drugi dzień. Ale kubkiem wody

utwierdziła go w przekonaniu, że to, co im odpowiedział, było dobre i słuszne. Zatem nie może zmienić zdania i przystać na coś, co być może skróciłoby jego mękę, ale zarazem uczyniłoby z niego tchórza. Branko Jungić nie był tchórzem. Odsłużył swoje w wojsku królewskim i przed wojną żył z drobnego handlu. Nikomu nie wadził, ale był Serbem i chodził do cerkwi. I właśnie to nie podobało się lokalnym ustaszom. Tajemnicą Jasenovaca było, że służyli w nim przede wszystkim Chorwaci mieszkający niedaleko od systemu obozów. Jungić irytował swoich kolegów upartym odrzucaniem katolickiej ortodoksji, która dla ustaszy była zewnętrznym decorum, a przede wszystkim jądrem chorwackiej tożsamości. Tymczasem nie tylko katolicyzm, ale każda religia i każdy światopogląd posunięte do rangi absolutnej stanowią meritum fanatyzmu. Ustasze zaś byli fanatykami dwóch wzajemnie się uzupełniających zbiorów: nacjonalizmu chorwackiego i katolicyzmu.

Gdy Jane zaczęła się wycofywać, zareagowała Nada Šakić, która widząc, co się dzieje, wściekła się, że żaden z jej kolegów nie zastrzelił „amerykańskiej suki" (co też w jakiś przewrotny sposób świadczyło o jej popularności). Chorwatka sięgnęła więc po osikowy kij do chłosty, z oprawioną w skórę rękojeścią, by nie wyślizgiwała się z ręki bijącego, i ruszyła w kierunku Jane. Minęła klęczącego Serba i zaatakowała ją od tyłu. Uderzyła dziewczynę pod kolana najsilniej, jak mogła. Jane krzyknęła i upadła. Rozległy się oklaski.

– Nada, bij tę sukę!

A Šakić biła bez opamiętania. Uderzała po całym ciele, z całej siły, z nienawiścią do wrogów chorwackiego narodu, jaką wtłoczyli jej do głowy ksiądz sympatyzujący z ruchem ustaszy i nauczyciele, i jej rodzice, dla których słowo „naród" było synonimem Boga. Dziewczyna krzyczała z bólu.

Nagle rozległ się wystrzał z pistoletu. Wszyscy go usłyszeli. A zaraz po nim głos ojca Tomislava:

– Co tu się dzieje?!!

Wszyscy zwrócili się w jego stronę. Nada Šakić przerwała bicie. Wpadła w szał i nie wiedziała teraz, ile razy uderzyła służącą zakonnika bez jego pozwolenia. Znała go dobrze i wiedziała, że tylko on może rozporządzać swoimi zabawkami wedle uznania.

– Melduję posłusznie, że ta suka dała wody serbskiej świni! – wykrzyknęła.

Tymczasem ojciec Majstorović w czarnym habicie zmierzał w jej stronę. Widać było po mimice jego twarzy, że przeistaczał się w bestię. Na co dzień bowiem Brat Szatan był ucieleśnieniem dobroci. Takim też odbierali go ludzie nieznający go naprawdę. Ale Nada Šakić znała go dobrze, oj, jak dobrze! Szedł wolno, w ręku trzymał różaniec.

– Daj mi to – rzekł i wskazał osikowy kij.

Chorwacka strażniczka uśmiechnęła się, myśląc, że Jane spotka nowa męka. Ale ojciec Majstorović powiedział swoim łagodnym głosem:

– Wyciągnij ręce, Nada. Cierpienie przybliża nas, wierzących, nieustannie do Boga. Prawdziwi ustasze znoszą cierpienia z radością.

Nada nie chciała tego zrobić, ale wiedziała, że wola tego człowieka jest silniejsza od jej woli. Powoli wyciągnęła ręce.

– Dołem dłoni do góry.

– Ojcze Tomislavie, błagam, ja chciałam dać lekcję tej żydowskiej dziwce...

– Nie wahaj się, córko! – twardo oznajmił zakonnik.

Nada zrobiła to, o co prosił. I wtedy zaczął uderzać z całą siłą, a ona za każdym razem powstrzymywała swój krzyk. Największą zasługą dla ustaszy było znieść karę i cierpienie bez słowa. Choćby nawet ojciec Tomislav odcinał piłą jej dłoń, nie pisnęłaby ani słowem. Fanatyzm potrafi znieczulać nie tylko rozum, ale też ból fizyczny. Uderzył kijem dziesięć razy, bo tyle było przykazań bożych. Zawsze uderzał dziesięć razy.

– Nada, nie możesz tak po prostu bić mojej służącej.

Ale Nada nie odpowiedziała. Po jej dłoniach ciekła krew. Cierpiała i zbliżała się do swego Stwórcy. Ojciec Tomislav teraz zwrócił się do Jane, obolałej, ale żywej i zwycięskiej, jak jej się wydawało.

– A ty wykonałaś gest, który wiąże cię, Żydówko, z tym nikczemnym Serbem – rzekł zakonnik. – Dałaś mu wody i muszę przyznać, że niezmiernie mnie to zaskoczyło. Jak mam to rozumieć?

Jane wiedziała, że od jej odpowiedzi wiele zależy. Musi coś szybko wymyślić. Jej życie i życie tego serbskiego chłopaka wisiało na włosku. Czuła to.

– Chcę iść ścieżką pokory – odparła. – Pisał o tym mistrz Eckhart. Uznałam, że ten gest pomoże mi, jak słusznie zauważyłeś, ojcze, Żydówce, która nie rozumie Kościoła świętego, iść tą ścieżką.

Ojciec Tomislav skupił na niej wzrok. Patrzyła mu w oczy.

– Zastanawiam się, czy w tej odpowiedzi jest pycha ubrana w maskę pokory, czy rzeczywiście pokora, Żydówko.

Majstorović nigdy nie odezwałby się do żydowskiej kobiety po imieniu. Dla niego Żydówki były w szczególny sposób dotknięte grzechem pierworodnym. W swoim spaczonym umyśle, który nienawidził kobiet, szczególną wagę przywiązywał do uczenia ich szacunku wobec mężczyzn. Bóg wcielił się w mężczyznę, a nie w kobietę, więc kobieta była gorszym człowiekiem. I teraz ten gorszy człowiek, ta Żydówka, śmiał rozmawiać z nim jak równy z równym. O, w całym swoim życiu ojciec Tomislav nie spotkał się z taką nieprzyjaciółką Kościoła – amerykańską Żydówką znającą katolicką filozofię i odrzucającą ją. W jednej chwili kat zdecydował, że konfrontację odłoży w czasie.

– Ofiarowanie tej wody było gestem szczerym, jak widzę – rzekł. – Okażę łaskę. Niech to, co dziś uczyniłaś, będzie dla tego serbskiego schizmatyka czasem pięćdziesiątnicy, albowiem tak długo musieli pierwsi apostołowie, Żydzi, którzy dopiero stawali się chrześcijanami, czekać na wylanie Ducha Świętego. Tak więc Serb, którego napoiłaś, ma od dziś pięćdziesiąt dni na przyjęcie świętej wiary katolickiej. Jeśli jednak tego nie uczyni, każę mu umrzeć śmiercią tak straszną, jakiej nie możesz sobie wyobrazić. Ale wiedz, Żydówko, że to się stanie na twoich oczach.

Jane zrozumiała, jak diabelną karę obmyślił ojciec Tomislav. Zwalił na nią przekonanie Branko Jungicia do przyjęcia katolicyzmu. Na nią

zrzucił los tego człowieka, który – jeśli tego nie uczyni – umrze. Teraz przeklinała chwilę, gdy zechciała dać mu wody. Spojrzała na niego. Nie rozumiał, co się stało, i patrzył na nią jak na wybawicielkę. Jego nieświadomość odwleczonego wyroku bolała Jane bardziej niż kije, które dostała od Nady Šakić.

Rozdział XXVI

Dzieci gorszego Boga

Początek sierpnia 1942 roku, kompleks obozów Jasenovac

Minęło kilka tygodni. Pobitą dziewczyną zajęły się więźniarki. Jane z trudem chodziła, bo wiele ciosów Nady Šakić było wymierzonych w nogi. Na szczęście instynktownie starała się chronić brzuch. Ljuboslava pomagała jej, jak tylko mogła. Majstorović nie sprzeciwiał się, gdy Jane mu powiedziała:

– Jak mam przekonać do katolicyzmu tego Serba, skoro nie będę mogła chodzić i usługiwać jego wielebności?

Ojciec Tomislav lubił, gdy tak się do niego zwracano. Pochlebstwa pozwalały mu przykryć niewygodną prawdę, że zakon franciszkanów z polecenia arcybiskupa Zagrzebia, Alojzego Wiktora Stepinaca, wyrzucił go za samowolne oddalenie się do oddziałów ustaszy. Jego prawdziwe nazwisko budziło grozę i na pewno dotarło już do hierarchy.

– Czy wiesz, Żydówko, że zostałem komendantem nowego obozu w Starej Gradišce? – zapytał Jane, gdy sprzątała w obejściu domku zajmowanego przez duchownego.

Dziewczyna szybko i sprawnie zareagowała.

– Gratuluję – powiedziała, jak gdyby chodziło o awans zawodowy lub mianowanie na jakąś zaszczytną funkcję, na przykład w operze.

Jednak ojciec Tomislav potraktował to poważnie.

– Zabieram cię, abyś zobaczyła dzieło boże.

W południe podstawiono dwa samochody. Jeden dla ojca Tomislava, z jego prywatnym szoferem; był to stary model renault, załatwiony nie wiadomo skąd. Drugim była półciężarówka produkcji niemieckiej. Ustasze pozwolili Jane, aby do niej wsiadła, ale musiała siedzieć osobno. Brzydzili

się jej, bo była Żydówką, ale patrzyli z zaciekawieniem – ponieważ była Amerykanką. Nie wiedziała, jakie jeszcze diabelstwo wymyśli ojciec Tomislav, ale musiała przecież pojechać.

Jak się okazało, udali się do Sisaku, miasta nad rzeką Krupą, gdzie ustasze prowadzili obóz koncentracyjny dla serbskich, żydowskich i romskich dzieci. Jane wysiadła z samochodu. Nie w pełni rozumiała słowa ojca Tomislava.

– Żydówko, zrozumiesz je, gdy ujrzysz to, co ma się stać.

Taka zawsze była odpowiedź. Franciszkanin zdawał się mieć jakąś wizję, w której odgrywał kogoś w rodzaju Boga. Nie było wątpliwości, że musiał to być wytwór chorego, spaczonego umysłu. Z jakiegoś powodu kazał jej dziś być świadkiem.

Po chwili do ojca Tomislava podeszła ustaszka i powiedziała:

– Ktoś ukradł jabłko.

To było przestępstwo, które należało zdemaskować i ukarać. Zakonnik podszedł do grupy dzieci, które stały wytresowane na baczność.

– Kto ukradł jabłko?

Nikt nie odpowiedział. Dopiero wtedy Jane zauważyła, że tego dnia jej pan i władca ubrał dziwną rękawiczkę ze skóry, która u dołu miała przymocowany krótki nóż. Majstorović podszedł do grupy chłopców, może dziesięcioletnich, i uderzył szybko jednego z nich dłonią w szyję. U dziecka natychmiast pojawiła się krew; bryzgając z rozciętej tętnicy, pobrudziła rękę kata. Chłopiec upadł i drgał jeszcze w przedśmiertnych konwulsjach.

– Kto ukradł jabłko? – powtórzył.

– On! – Mały chłopczyk wskazał ręką zabitego.

Majstorović uznał to zdarzenie za przejaw boskiej mądrości i interwencji. Sprawca został ukarany. Ale zarazem ten wyrok opatrzności sprawił, że dobroduszny ojciec Tomislav nie musiał wyciągać pejcza, aby karać dzieci za przekroczenie praw bożych.

Następnie Jane mogła zobaczyć, jak przećwiczone głodem, terrorem i strachem maluchy ochoczo odmawiały *Skład apostolski*, po czym

śpiewały hymn chorwacki, co jeszcze bardziej utwierdziło zakonnika w przekonaniu o słuszności obranej przez niego drogi. Jednak kilkoro starszych dzieci – liczących trzynaście lub czternaście lat, zarówno chłopców, jak i dziewcząt – odmawiało przyjęcia katolicyzmu. Być może te dzieciaki wciąż czuły się związane z rodzicami, których albo zamordowano, albo wygnano, a może były na tyle świadome, że nie godziły się na przyjęcie żadnej idei, żadnego przymusu.

Kobiece strażniczki wzywały je jedno po drugim do ojca Tomislava, który w małym baraku pytał o przyczyny odmowy. Jane na to wszystko patrzyła. Za każdym razem starał się być miły i współczujący, ale dzieci wiedziały, że coś jest nie tak, jak powinno być. Na koniec podrzynał im gardła za pomocą swojego noża. Zabił ich wtedy dwanaścioro.

– To się nazywa oddzielenie kąkolu od dobrego ziarna – pouczył Jane.

Ale ona ledwo to wszystko wytrzymywała.

– Dlaczego mi to ojciec pokazał?

Odpowiedź była dla Amerykanki jeszcze bardziej zaskakująca:

– Pokazałem ci to wszystko, żebyś przekonała upartego Serba do przyjęcia wiary. Mówiłem ci o dniu pięćdziesiątnicy. W chwili gdy przyjmie wiarę lub ją odrzuci i oczywiście poniesie konsekwencje swojego wyboru, pięćdziesiątnica zacznie się dla ciebie.

– Co to znaczy?

– Przyjmiesz moją wiarę albo umrzesz. To bardzo prosty wybór.

– Ale wybór wykonany pod groźbą noża nie jest wolnym wyborem.

Ojciec Tomislav zbliżył się do Jane. Wyczuła, że podoba mu się jako kobieta, choć brzydził się nią jako córką Izraela.

– Bóg nie zważa na to, czy człowiek ma wolną wolę. Bóg zbawia albo potępia.

– Czyli ci wszyscy ludzie tutaj...

– Mają szansę przyjąć wiarę i zostać zbawionymi lub odrzucić wiarę i być potępionymi. Pamiętaj, że czas biegnie.

*

Jane przekazała Ljuboslavie, co widziała w obozie w Sisaku. Kobieta odpowiedziała jej bez wahania:

– Jesteś ważnym świadkiem tego, co się tutaj dzieje. Ustal, jakie jest jego prawdziwe nazwisko. Pomogę ci stąd uciec.

– Ucieczka jest możliwa?

– Na granicy niemożliwości, ale nie mamy innego wyboru. Jesteś Amerykanką. To może pomóc w upublicznieniu wiadomości o tych zbrodniach.

Jane zwierzyła się też z tego, co może oznaczać pięćdziesiątnica w przypadku Branko Jungicia, młodego chłopaka, nad którym znęcano się w maju, gdy odmówił przyjęcia katolicyzmu.

– Oni już dawno by go zabili. Nie on jest celem Majstorovicia.

– A kto?

– Ty. Odwlókł zabicie tego chłopaka, żeby się zabawić twoim kosztem lub faktycznie zmusić ciebie, abyś namówiła go do zmiany wyznania, co dla naszych ludzi jest tak obraźliwie, że wielu woli umrzeć, niż zdradzić swoich. Wiesz przecież o tym. Doprawdy, co za perwersja! Żeby amerykańska Żydówka namawiała serbskiego chłopaka do przejścia na katolicyzm.

Jane czuła się tym przytłoczona.

– Musisz to zrobić, żeby ocalić siebie – rzekła do niej Ljuboslava. – Musisz przeżyć, wtedy ten chłopak też ma jakąś szansę. Spiesz się! Chodzą po obozie plotki, że ojciec Tomislav będzie komendantem Starej Gradiški, dokąd mamy być wszystkie przeniesione.

– Co takiego? – Jane udawała, że tego nie wie.

– Ma być osobny obóz dla kobiet, więc sprawę tego chłopca i ciebie rozwiążą na dniach.

*

Jane udała się szybko do Branko Jungicia. Trzymali go w izolacji, miał na sobie to samo cywilne ubranie, w którym zgarnęli go zapewne z domu i przywieźli tutaj, do tego piekła. Poznał ją natychmiast.

– Dzięki tobie żyję – oznajmił.

– Jestem Jane i służę ojcu Tomislavowi.

Popatrzył na nią nieufnie.

– Nie bój się mnie. Jestem więźniarką tak samo jak ty.

– Co tutaj robisz?

– Moja historia jest bardzo długa. Popełniłam wiele błędów, które przywiodły mnie do tego piekielnego miejsca. Chcę cię namówić na to, byś nie popełnił błędu, który może kosztować cię życie.

Chłopak wyglądał na spokojnego.

– Wierzę w świętych, anioły Boże i opiekę Przeczystej Dziewicy – rzekł młody Serb.

Jane wyśmiałaby to zdanie kilka lat temu, kiedy jako studentka chciała robić dyplom z filozofii Heideggera i żyła subtelnościami muzyki Barbera w Paryżu. Ale jej „teraz" skurczyło się do walki o każdy dzień w kompleksie obozów Jasenovac.

– Jeśli nie przejdziesz na katolicyzm, oni cię zabiją – powiedziała wprost.

– Jeśli przejdę na katolicyzm, zdradzę swoją kulturę i swoich ludzi, a katolik będzie ze mnie żaden – odparł Branko Jungić.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Że to głupi heroizm? Że sama nie będzie miała odwagi powiedzieć „nie"? Dopiero teraz zauważyła, że bardzo się bał. Był zwykłym chłopakiem, pewnie miał jakieś marzenia, plany. Wszystko się teraz skończy, za dzień lub dwa. Życie w oczekiwaniu na śmierć też jest życiem; nie musi być piekłem, jeśli człowiek ma wystarczająco silną wolę. On jednak bardzo się bał. Jane przytuliła go. Nic więcej nie mogła zrobić.

*

Obiecane pięćdziesiąt dni szybko minęło. Jane starała się odwiedzać Jungicia, ale chłopak był przekonany, że nie odstąpi od swojego zamiaru pozostania przy religii przodków. Dziewczyna nie wiedziała, co, gdzie i jak miało się stać. Gdy jednak nastał pięćdziesiąty dzień od ostrzeżenia, jakie

wypowiedział ojciec Tomislav, przyszła po nią nad ranem nienawidząca jej strażniczka Šakić.

– Rusz się, suko.

Jane bardzo się bała, że tego dnia straci życie. Nada poprowadziła ją nad rzekę Sawę, gdzie czekał już ojciec Tomislav oraz pięciu ustaszy nieznanych jej z imienia ani nazwiska. Przyprowadzili Branko Jungicia. Bardzo się bał, drżały mu ręce i dziewczynie zdawało się, że jego ciało przeczuwało to, co umysł wciąż od siebie odsuwał.

Franciszkanin chciał najwyraźniej, by Jane na to patrzyła. Zrozumiała to, gdy spojrzała mordercy w oczy. Nie wiedziała tylko, jak to się stanie.

– Czy przyjmujesz świętą wiarę katolicką i apostolską? – zapytał ojciec Tomislav Majstorović.

Branko Jungić nie potrafił opanować drżenia dłoni.

– Zostałem wychowany w wierze prawosławnej przez moich rodziców i chcę w niej pozostać. Jestem wolnym człowiekiem.

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się duszpasterz ustaszy. Chciał uległości, kapitulacji.

– Sam więc wydałeś na siebie wyrok. – I rzekł do ustaszy oprawców: – Czyńcie swoją powinność.

Chwycili więc bezbronnego Branko Jungicia, który wiedział, że zaraz zginie jakąś straszną śmiercią, i krzyczał jak zwierzę czekające na rzeź. Zmusili go, żeby uklęknął. Jane próbowała uciec, ale chwyciła ją w swój żelazny uścisk Nada Šakić. Przystawiła jej srbosjek do gardła i wyszeptała:

– Masz na to patrzeć. Taka jest wola ojca Tomislava. Jeśli zamkniesz oczy, poderżnę ci gardło. Zrobię to z przyjemnością.

Branko Jungić cały czas krzyczał. Dopiero gdy dwóch ustaszy rzuciło go na kolana, okazało się jasne, jaką mękę mu zadadzą. Na trawie leżała piła do cięcia drewna. Jane dotąd jej nie zauważyła. Teraz jeden z ustaszy ją podniósł i podał drugiemu. Tak, do ścięcia wciąż żywego drzewa potrzeba dwóch ludzi. Chłopak płakał. Ale jego krzyki i błagania o życie nic dla nich nie znaczyły. W ostatniej chwili podparł się lewą ręką, chcąc ustabilizować

ciało względem środka ciężkości. Gdy przyłożyli piłę do jego szyi, zastygł w śmiertelnym oczekiwaniu.

Jane nie pamiętała potem tego obrazu: piły, którą ustasze przesuwali po karku Jungicia. Pamiętała tylko swój krzyk i ból, który odczuwała, mimo że jej nie zranili.

Odciętą piłą głowę ustasze podarowali ojcu Tomislavowi, który przyjął ów dar – dowód unicestwienia grzesznika. Pokazał ją Jane i rzekł do niej:

– Zrobimy z tobą to samo, jeśli nie przyjmiesz świętej wiary.

*

Przez następne dwa dni Jane pogrążona była w całkowitej apatii. Nie jadła, piła tylko wodę. Nie chciała też iść sprzątać w domu „diabła", jak wyraziła się do Ljuboslavy. Śmierć tego serbskiego chłopca wstrząsnęła więźniami, którzy przebywali w obozie. Czuła, że mocny fundament życia usunął się jej spod nóg.

Ljuboslava, widząc to, potrząsnęła nią po dwóch dniach, gdy strażniczki nie widziały.

– Opanuj się, bo to jest droga do grobu! Jeśli nie przeżyjesz, to kto opowie światu, co robią z nami ustasze? Tobie uwierzą, bo jesteś Amerykanką. To jest twoja polisa na życie. Wiesz, co to jest obóz-cegielnia? Powiem ci: ustasze morzą tam naszych ludzi głodem, rozcinają nożami brzuchy kobiet w ciąży i rzucają płody swoim wytresowanym psom na pożarcie. To samo robią z naszymi dziećmi. Ich psy nie chcą już jeść ludzkiego mięsa. Mordują tam ludzi codziennie, setkami. Ktoś musi to powiedzieć światu. To musisz być ty, Jane!

Ljuboslava chciała tymi słowami obudzić tę Jane, która miała żelazną wolę przetrwania wszystkiego w tym obozie. Chyba się udało.

– Muszę stąd uciec – powiedziała cicho Jane.

Serbka milcząco wyraziła zgodę. Pozostało tylko poczekać na odpowiednią chwilę.

– Nikt stąd jeszcze nie uciekł – ostrzegła Serbka. – Szanse nie są duże.

Jednak ona była zdecydowana.

– Albo uciekniemy, albo zginiemy, uciekając.

Serbka zgodziła się bez wahania.

Waszyngton, sierpień 1942

Stary Samuel, od czasu kiedy Michael wyjechał na wojnę na Pacyfiku, odczuwał głęboką pustkę. Porządkując rzeczy, natrafił na album ze starymi fotografiami, na których utrwalono ludzi i chwile, które już przeminęły. Byli na tych zdjęciach wszyscy – on, Elisabeth, dzieci... Poczuł głęboki żal, że to wszystko się tak dziwnie ułożyło.

Nie mógł przewidzieć, że córka nie wróci już do domu z wyjazdu na stypendium do Niemiec. Wojna trwała już tak długo. Z rozstaniem z Elisabeth się pogodził – i tak mieli osobne życia od lat, trzymały ich razem tylko dzieci. Michael z dandysa przegrywającego pieniądze w kasynach przemienił się w twardego żołnierza i po raz pierwszy w życiu robił coś autentycznie dobrego. Po Jane pozostała pustka.

Stary Samuel nie zdążył sprzedać domu, w którym mieszkali, tylko wynajął go znajomej rodzinie prawniczej w Brooklynu, gdy sam wyjeżdżał przed wojną do Francji. Poszedł do pokoju, który zajmowała, gdy wracała z Massachusetts z Harvardu. Przeglądając jej rzeczy, natrafił na notatkę czy też szkic jej eseju ze studiów. Pisała, że człowiek z natury jest dobry. Kiedy Samuel to przeczytał, jego wielka złość na nią minęła. Rozpłakał się. Uświadomił sobie, co przed kilkoma tygodniami próbował mu powiedzieć syn.

– Opuściłem córkę – powiedział do siebie. Świadkiem była jego własna samotność w opuszczonym domu na Brooklynie.

Poczuł, że musi coś z tym zrobić. Następnego dnia napisał list do Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i opisał w nim zaginięcie córki w Europie podczas wojny. Chciał mieć pewność, że będzie miał kogo szukać, kiedy wojna się skończy.

Rozdział XXVII

Igrzyska

Stara Gradiška w kompleksie obozu Jasenovac, sierpień 1942

Po śmierci Jungicia ojciec Tomislav kazał zatknąć jego głowę na żerdzi płotu. Miała być pożywieniem dla drapieżnych ptaków, a przy tym formą ostrzeżenia dla wszystkich Serbów w obozie. Miała gnić, wbita na ową żerdź, aż do zupełnego rozkładu.

W Jasenovacu coraz głośniej powtarzano wiadomość, że straszliwy franciszkanin został oficjalnie komendantem obozu w Starej Gradišce, do której przeniesiono wszystkie kobiety serbskie z dziećmi. Miało to być miejsce szczególne – centralny punkt eksterminacji Serbów, Żydów i Romów, których zwożono tu z całej Bośni i Hercegowiny, uważanej za terytorium prawdziwie chorwackie. Nie pytano nikogo o fach, sytuację rodzinną lub poziom zamożności. Serbowie mieli do wyboru – przejść na katolicyzm lub umrzeć. Spalono i zrównano z ziemią ponad sto cerkwi prawosławnych, popów publicznie ścinano siekierą lub rzeźnickim nożem. Polityka Niezależnego Państwa Chorwackiego spotykała się ze zrozumieniem Kościoła katolickiego w Chorwacji, a arcybiskup Alojzy Stepinac publicznie wyraził zadowolenie z akcji prozelickiej – choć jednocześnie coraz wyraźniej dystansował się od zbrodni ustaszy.

W całej Chorwacji nazwę „Jasenovac" wymawiano ze zgrozą. W Bośni i Hercegowinie także nasilał się opór wobec morderczych rządów ustaszy, którzy nie byliby w stanie zapanować nad całym krajem, gdyby nie obecność Niemców. Jednak nawet oni byli przerażeni tym, co się działo. Maksymilian von Hoym posyłał do Berlina raporty na podstawie tego, co sam widział lub co widzieli jego ludzie. Pisał o świdrowaniu lub wycinaniu oczu dzieciom i kobietom serbskim za pomocą noża, o torturze, w której ustasze nacinali młodym chłopcom prawy bok i wyciągali z niego zaczepioną na haku kiszkę, oczywiście na żywo. Sam von Hoym znalazł

bezpośredni dowód takiej tortury – napotkał ciało chłopca, może szesnastoletniego, któremu ustasze przez owo nacięcie w prawym boku wyciągnęli całe jelita i rozsmarowali je po chodniku. Te potworne zbrodnie były dokonywane przez ustaszy planowo – konsekwentnie eliminowali wszystkie trzy mniejszości z podległego im terytorium.

*

Zabójstwo Jungicia było dla Jane punktem zwrotnym w tym sensie, że postanowiła uciec z tego piekła za wszelką cenę, choćby miała zginąć. Nie zamierzała dać Bratu Szatanowi szansy na ucięcie jej głowy piłą. Jednak ten sierpień był szczególny w obozie w Jasenovacu z powodu licznych transportów ludności serbskiej kierowanych tu z Bośni, Slawonii oraz innych zakątków Niezależnego Państwa Chorwackiego, w którym od ponad roku trwała niczym niezakłócona czystka etniczna na niewyobrażalną skalę.

Tego dnia wszyscy zostali zwołani na plac pośrodku obozu w Starej Gradišce.

– Co te diabły znowu wymyśliły? – zapytała Ljuboslava.

– Nie wiem.

Po godzinie stójki pojawił się ojciec Tomislav, niezwykle tego dnia podekscytowany. Po raz pierwszy Jane zobaczyła go bez zakonnego habitu, który tak lubił, ale w czarnym mundurze ustaszy. To oznaczać mogło tylko jedno: jakieś niespotykane w swoim okrucieństwie wydarzenie, przekroczenie kolejnej granicy bestialstwa, a one miały być jego świadkami lub – co nie umknęło uwadze Jane – ofiarami. Tomislav Majstorović, kimkolwiek był i jakkolwiek się naprawdę nazywał, nadał sobie na terenie Jasenovaca władzę Boga, co zapewne jako księdzu przyszło mu łatwo.

Zaczęły napływać transporty – najpierw ciężarówki wypełnione ludźmi, a potem piesi, którzy zostali przywiezieni pociągiem na stację w Jasenovacu (nie różniła się ona niczym od innych, co Chorwaci

zapożyczyli od Niemców). Przybyło kilka tysięcy osób, całych rodzin serbskich ze spacyfikowanych wsi.

– Nie pomieszczą się – zdołała szepnąć Jane do Ljuboslavy.

Nie mogły jednak ze sobą rozmawiać. Zjawił się Majstorović.

– Kto wpadł na pomysł, żeby pozbyć się mojej sprzątaczki? – To pytanie zaadresował do ustaszy ogólnie, ale ruchem dłoni nakazał Jane zejść ze zbiórki. Mogła jedynie się przypatrywać temu, co miało się stać.

Ljuboslava została na miejscu. Gdy ludzi na placu znajdowało się naprawdę dużo, ustasze przez megafon ogłosili, że odbędą się igrzyska, a wystąpią na nich dwaj ustasze, którzy uświęcili się wcześniejszą służbą bożą – ojciec Tomislav Majstorović, obecny komendant Starej Gradiški, oraz inny franciszkanin, który nad zakon wolał ustaszy – Petar Brzica.

Miały to być zawody w zarzynaniu ludzi na czas za pomocą srbosjeka.

*

– A ty gdzie? – zapytała Jane Nada Šakić, która wyłoniła się z tłumu na placu w Starej Gradišce.

– Ojciec Tomislav kazał mi zejść z placu.

Nada Šakić wyraziła niezadowolenie.

– Znów ci się upiekło, ty amerykańska suko – syknęła ustaszka. – Ale ja ci znajdę robotę. W przerwie zawodów sportowych nasi oficerowie muszą jeść. Będziesz obsługiwać ojca Tomislava. Załóż fartuch.

– A gdzie jest?

– Na kwaterze ojca Tomislava. Idź, ubierz się i wracaj natychmiast!

Jane była posłuszna. Oto pojawiła się szansa, by wejść choć na chwilę do prywatnej części domu – pod pozorem przebrania się – i przetrząsnąć jego papiery. Może uda się odkryć jego prawdziwą tożsamość. Tej szansy Jane nie mogła zmarnować.

Poszła więc, choć przerażała ją nowa nikczemność, którą ustasze szykowali dla tych wszystkich nowo przybyłych ludzi. Szła szybko, niemal biegiem, obawiając się, że Nada Šakić zechce sprawdzić, czy więźniarka zachowuje się, jak należy. Gdy dotarła do kwatery ojca Tomislava,

przebrała się w sukienkę i bluzkę, które na nią pasowały (zapewne zabrane jakiejś zabitej Serbce i przygotowane przez morderczego mnicha), i biały fartuch, jak gdyby wzięty ze szpitala, ale przynajmniej czysty. Serce biło jej bardzo szybko. Wydawało jej się, że słyszy szum krwi tętniczej w uszach, ale może było to jedynie wrażenie rozszalałych zmysłów.

Bała się, ale ruszyła naprzód – do dwóch prywatnych pokoi, które w wiejskiej chacie zaadaptowanej na potrzeby komendanta Starej Gradiški pełniły funkcję jego prywatnego mieszkania. Weszła do środka. Szukała czegoś, co mogło zdradzić jego prawdziwą tożsamość. Podejrzewała, że szafka stojąca obok łóżka, na którym sypiał ojciec Tomislav, jest zamknięta, ale nie miała pewności. Pociągnęła za drzwiczki – były zamknięte na klucz. Rozejrzała się spokojnie, chcąc znaleźć coś, co mogłoby powiedzieć więcej o samym mordercy. Po chwili dostrzegła to, czego szukała. Na stoliku po drugiej stronie łóżka, nadzwyczaj sprawnie pościelonego, leżała oprawiona w czarną skórę książka. Brewiarz. Podeszła. Czas naglił. Nada Šakić mogła tu przyjść w każdej chwili. Jednak Jane nie mogła się powstrzymać. Otworzyła książkę – na pierwszej stronie widniała pieczątka zakonu franciszkanów, z którego ów brewiarz pochodził. Prowincja Zagrzeb. Poniżej podpis: „Miroslav Filipović".

Odkładając brewiarz na miejsce, o mały włos stłukłaby figurkę Świętego Jana Nepomucena, stojącą na stoliku. Najadła się strachu, gdy zaczepiona dłonią rzeźba przewróciła się i poleciała ku podłodze. Całe szczęście, że miała refleks i ją złapała. Odstawiła na miejsce.

Przynajmniej tak jej się wydawało.

*

Jane znalazła to, czego szukała. Znała już prawdziwe imię i nazwisko ojca Tomislava. Wróciła jak najszybciej, gotowa do usługiwania podczas uroczystego obiadu dla wyższych rangą ustaszy.

Ojciec Tomislav oraz nowy strażnik w obozie, też były franciszkanin Petar Brzica, właśnie zaczęli współzawodnictwo. Po dwu godzinach poderżnęli gardła około trzystu osobom. Przymuszeni karabinami serbscy

mężczyźni wynosili ciała zamordowanych na wózki, wywozili nad rzekę Sawę i wrzucali je do wody.

– Co za cios!

– Jakie cięcie!

Z ust strażników padały słowa zachwytu nad wprawnością obydwu graczy w dziele podrzynania gardeł. Jane zastanawiała się, jak do tego doszło – przecież ci ludzie gdzieś wyrośli, odebrali wykształcenie, wpajano im jakiś system wartości, w tym przypadku katolicki, ale mógłby być każdy inny. Skąd nacjonalizm, który każe ubóstwiać własny naród kosztem innych, który jest przyczyną takich zbrodni? Co tkwiło w umysłach, sercach i duszach tych ludzi czerpiących taką sadystyczną przyjemność z masowego zarzynania ludzi, którzy przecież niczym się nie różnili od innych? Jakie zło tkwi w człowieku, który pod wpływem wojny, gdy nie działa prawo, którego wszyscy ludzie pragnęliby jako prawa powszechnego, wykonuje okrucieństwo ponad miarę człowieczą i zarazem rozumną? Gdzie w człowieku czai się takie zło, schowane pod sutanną, religijnym prawem, które za nic ma nienaruszalność ludzkiego życia? Jane nad tym wszystkim rozmyślała, ponieważ pobyt w obozie w Jasenovacu nie zabił w niej dawnej Jane, która żyła subtelnościami filozoficznymi. Tamta Jane domagała się logicznej i zgodnej z prawami rozumu odpowiedzi, ale zarazem zdawała sobie sprawę z tego, że udzielenie jej jest niemożliwe. To stanowiło swoisty splot infernalny – jeśli człowiek spogląda na zło i czerpie z niego inspirację, z nacjonalizmu, faszyzmu, komunizmu lub jakiegokolwiek innego światopoglądu podniesionego do rangi absolutu, wówczas to zło spogląda na człowieka. Światłość rozumu i prawdy, w której żył, staje się ciemnością, ale zarazem ta sama ciemność jawi się człowiekowi wpatrzonemu w zło jako światłość. Jane zrozumiała zatem słowa, które gdzieś w Niemczech powiedział jej ksiądz Rahner. Dopiero teraz sobie je przypomniała – „A gdy światło jest w istocie ciemnością, straszna to ciemność".

Obserwowała wiwatujących ustaszy, pijących z butelek rakiję, oraz dwóch bohaterów, którzy mordowali po kilkanaście osób wprowadzanych

na plac, nieświadomych tego, co miało się wydarzyć. Ojciec Tomislav uderzał znienacka, zawsze od tyłu. Zabijał szybkim ciosem w splot szyi i barku, gdzie jest największe ukrwienie. Przymuszeni więźniowie Jasenovaca po raz kolejny ładowali ciała na wózki, żeby wrzucić je do Sawy. Z nurtem rzeki płynęły do Belgradu i dalej w stronę Morza Czarnego. Trwało to godzinami. Ojciec Tomislav, czyli Miroslav Filipović, podrzynał gardła dzieciom, kobietom i starcom. Jane widziała, że dwoje staruszków nie chciało być rozdzielonych. Ustasz zabił ich splecionych w uścisku.

Do wczesnych godzin popołudniowych Filipović prowadził. Zabił pięciuset osiemdziesięciu ośmiu ludzi wobec czterystu sześćdziesięciu trzech zabitych przez Brzicę.

*

Nadeszła pora obiadu. Podano zupę z fasolą, mięsem baranim oraz ostrą czerwoną papryką. Do tego wino chorwackie, białe, schłodzone w wiadrach z zimną wodą z rzeki.

– Uważaj, żydowsko-amerykańska dziwko, żebyś nie poplamiła ojcu Tomislavowi mankietu koszuli sosem. On tego bardzo nie lubi – powiedziała do Jane ustaszka Šakić, która doglądała transportu ciał, a teraz przyszła sprawdzić, jak jej „ulubiona" więźniarka obsługuje wyższych rangą ustaszy podczas obiadu.

Jane popatrzyła na Šakić z ledwo ukrywaną pogardą. Ale nic nie odpowiedziała, żeby nie prowokować potwora. Wiedziała, że ustaszka jest śmiertelnie niebezpieczną przeciwniczką. To też było nowe doświadczenie dla Jane: kobieta może być potworem dla innej kobiety.

– Ruszaj się!

Dziewczyna chwyciła wazę z zupą i ruszyła przed siebie. Nie miała pewności, czy Nada Šakić jej nie popchnie albo nie podłoży nogi, ale po chwili zrozumiała, że nawet ona bałaby się dziś zdenerwować ojca Tomislava, bijącego rekord świata w zarzynaniu ludzi na czas. Serce mocno jej przyspieszyło. Była szalenie zdenerwowana, ale starała się skupić tylko

na wykonywanej czynności i nie wylać ani kropli gęstej zupy. Jadło nadzwyczaj smakowało wyższym oficerom, którzy najpierw odśpiewali hymn *Lijepa naša domovino*[29], a dopiero potem zasiedli do jedzenia. Jane musiała tego słuchać, ponieważ jako służąca stała blisko tej zgrai morderców.

– Czy wiecie – zaczął Vjekoslav Luburić, który był sędzią tego pojedynku na srbosjeki – że tutaj w Jasenovacu zabiliśmy już więcej ludzi, niż zdołało tego dokonać imperium osmańskie przez ostatnich dwieście lat?

– To zasługa nasza wobec narodu i naszej krwi – odparł brat Nady, Branko Šakić, bliski współpracownik Luburicia.

Wszyscy chcieli, żeby coś podniosłego i budującego powiedział ojciec Tomislav Majstorović vel Miroslav Filipović, ale wyglądał na wyjątkowo zmęczonego. Tak, ciężko dziś pracował. Ostatni rok w obozie, kiedy objadał się, dogadzając tuszy, sprawił, że dawna sprawność szybko zanikła. Jedli więc szybko, licząc na drugie danie – pieczeń baranią.

– Zjem, jak dzieło będzie skończone – oświadczył jednak komendant Starej Gradiški, który czym prędzej chciał wrócić do zadania, ponieważ nie zamierzał stracić prowadzenia na rzecz swego nowego podwładnego Petara Brzicy.

Znów więc zaczęli. Tym razem wprowadzono po trzydziestu więźniów, zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Brzica i Filipović szybko ich pozabijali. Jednak wynoszenie ciał się przeciągało, co niezmiernie irytowało komendanta.

– Proponuję wyjść za bramy obozu. Tylko trzeba te serbskie świnie ustawić w kolejce – zaproponował sędziemu ojciec Tomislav.

– Na to musi się zgodzić Petar – zauważył Luburić.

– Dla mnie to bez znaczenia – odparł tamten.

Luburić dał więc zgodę. Jane nie śmiała tego oglądać. Trochę czasu zeszło, zanim wymęczonych transportem, głodnych i spragnionych ludzi ustasze ustawili w dwie długie kolejki ciągnące się na kilkaset metrów. Wtedy komendant i Brzica ruszyli. Ależ musieli się napracować – nie zawsze ludzie posłusznie odsłaniali gardło do pchnięcia. Filipović trafił

kilku takich, którzy nie dawali się zarżnąć jak owca prowadzona na rzeź. I takich Serbów pomocnicy musieli przytrzymywać, żeby ojciec Tomislav mógł im poderżnąć gardło. W tym czasie jednak Petar Brzica – który miał więcej kobiet i dzieci, ledwo stojących ze strachu – uwinął się szybciej. Gdy wymordował już swoją kolejkę, czekał na końcu, aż ojciec Tomislav zbliży do szyi wszystkich swoje miłosierne ostrze.

– Pomóc, panie komendancie? – zażartował Petar, który dla ustaszy był teraz bohaterem, prawdziwym Srbosjekiem – rzeźnikiem Serbów, którzy w myśl chorwackich faszystów mieli zniknąć z powierzchni ziemi jako pomyłka natury.

Komendant dokończył zabijanie, ale był niepocieszony. Przegrał o siedemdziesiąt ciosów. Petar Brzica zabił tysiąc trzysta sześćdziesiąt osób, a ojciec Tomislav vel Miroslav Filipović – tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt jeden. Z tego wysiłku rozbolało go ramię. Jane musiała jeszcze po zakończonej rzezi, gdy więźniowie wciąż ładowali trupy na wózki, iść na łąkę i znaleźć listek babki lekarskiej, żeby zrobić mu okład. Komendanta bolało nie tylko ramię, bolała go także zraniona duma.

*

W noc po rzezi Jane wymknęła się, żeby porozmawiać z Ljuboslavą. Nie była w stanie ukrywać emocji. Rozpłakała się, ale wyjawiła Serbce, jak naprawdę nazywa się ojciec Tomislav, który był tak zmęczony, że spał już snem sprawiedliwego.

– Czy wiesz, co dla nas zrobiłaś? Wielu naszych zginęło, żeby się dowiedzieć, jak naprawdę nazywa się ten diabeł, a ty to odkryłaś w czasie, gdy zabijał na wyścigi mnóstwo ludzi.

– Chcę stąd uciec – przerwała jej Jane.

– Jak bardzo jesteś zdeterminowana, żeby tego dokonać?

– Jeśli umrę podczas ucieczki, to i tak będzie warto.

– Mówię to otwarcie, ponieważ stąd jeszcze nikt nie uciekł – stwierdziła Ljuboslava.

Jane wiedziała, co to oznacza. Przeżyła swoje i wydawało jej się w owej chwili, że nie czeka jej już nic, ani radość, ani szczęście – choć kwestia, czy są one mierzalnymi dowodami spełnienia, pozostaje otwarta. Chciała żyć, ale każdy kolejny dzień w tym piekle stanowił jeszcze jeden krok w stronę zezwierzęcenia i bestialstwa. To pradawne zło pożerało każdego. Jane nie chciała się oddać ciemności – zdawało się jej, że gdyby umarła, walcząc o swoją wolność podczas ucieczki z Jasenovaca, byłaby szczęśliwa.

– W takim razie my to zrobimy.

Rozdział XXVIII

Ucieczka

Stara Gradiška, obóz koncentracyjny, wrzesień 1942

Miroslav Filipović obudził się w swoim łóżku i kiedy spojrzał na szafkę, od razu wiedział, że coś jest nie tak. Wstał, ubrał się w czarny mundur ustaszy i jeszcze raz dokładnie obejrzał swój pokój. Kazał wezwać Nadę Šakić.

Sama bezwzględna, teraz znalazła się na krawędzi strachu, ponieważ ojciec Tomislav przerażał nawet ją. Ta maska pobożności, ogłady, uprzejmości i wyrafinowane okrucieństwo były czymś tak strasznym i niepojętym, że szła jak na ścięcie.

– Czy ruszałaś rzeczy podczas mojej nieobecności? – zapytał groźnie Filipović.

– Ja? Nie śmiałabym!

Podszedł do niej i chwycił za gardło. Poczuła jego żelazny uścisk.

– Nie wierzę ci – syknął. – Nikt inny tu nie wchodzi. Nawet do sprzątania, bo i po co: zawsze rano ścielę po tobie łóżko.

Nada Šakić miała bowiem sekret; nawet wśród ustaszy należało trzymać język za zębami.

– Puść mnie – wyjęczała.

Dopiero wtedy zwolnił uścisk.

– To mogła być tylko ona.

– Czyli kto? – zasyczał komendant.

– Twoja Amerykanka. Wysłałam ją tu na twoje polecenie podczas bicia przez ciebie i Petara rekordu. Musiała tutaj wejść, kiedy miała się przebrać, żeby ładnie wyglądać.

Filipović zastanowił się.

– Możesz mieć słuszność – stwierdził po chwili. – Figurka Jan Nepomucena była odwrócona w drugą stronę – wyjaśnił. I dodał: – Chcę mieć ją tutaj. Przynieś też piłę i powiedz bratu, żeby przyszedł.

– Co chcesz z nią zrobić?

– Obetnę tą piłą jej ręce, potem nogi, a potem każę jej patrzeć, jak nasze psy je jedzą – odparł najspokojniej w świecie Miroslav Filipović vel Tomislav Majstorović.

*

Ljuboslava miała tylko jeden plan ucieczki. Każdy z obozów kompleksu Jasenovac był położny nad Sawą, w pewnym oddaleniu od ziem, na których nie mieszkali Chorwaci. Podział na „nasz" oraz „obcy" wyznaczał granicę między życiem i śmiercią. Wydawało się jej – i słusznie – że jedyną drogą wyjścia z obozu, której ustasze nie sprawdzają, są stosy trupów wyrzucanych na brzeg rzeki. Stamtąd można byłoby wieczorem lub w nocy odpłynąć. Wymagałoby to jednak upozorowania śmierci, leżenia wśród trupów, a potem, pod osłoną nocy, płynięcia z nurtem Sawy w kierunku Serbii, gdzie można było napotkać przyjaźniej nastawionych ludzi.

To wszystko już w teorii było makabryczne i Jane zmagała się ze sobą, ponieważ ta ucieczka wymagała kolejnej ofiary – kolejnego przeistoczenia się w swoim człowieczeństwie, które i tak skarlało w Jasenovacu. Doszła jednak do wniosku, że grać trupa nie znaczy nim być. I zgodziła się.

Nieoczekiwanie w Starej Gradišce rozległy się tu i ówdzie powtarzane wołania, że dobrotliwy ojciec Tomislav wyznacza dziś pięćdziesiątnicę dla amerykańskiej grzesznicy, która dostała już tyle łask, że powinna bez gadania przyjąć świętą wiarę ojca Tomislava. Jane wiedziała, co w języku zbrodniarza oznaczała pięćdziesiątnica – nie miała ochoty trafić pod piłę ustaszy. Powiedziała o tym Ljuboslavie, a ta odparła:

– Niedobrze. Myślałam, że się jakoś prześliźniemy wieczorem, żeby nie leżeć wśród trupów.

Jane ją rozumiała. Ostateczne upokorzenie, upodobnienie się do śmierci, aby zyskać życie – to jedyne, które się jeszcze w nich tliło... A więc taka będzie ich ofiara. Obydwie kobiety wzdrygały się przed tym, co musiały zrobić. Alternatywą była piła ustaszy – to żaden wybór.

Korzystając z nieuwagi jednego ze strażników, który zamiast pilnować więźniarek, popijał po kryjomu rakiję, wymknęły się ze Starej Gradiški i poszły nad brzeg Sawy. Jak zwykle leżały tam trupy. Było wśród nich sporo kobiet, więc dwie więcej nie robiło różnicy. Jane obawiała się tego momentu, ale poza zapachem i mrówkami, które obłaziły ciała, nie było się czego bać. Zdjęła spódnicę, która mogła krępować ruchy w wodzie, gdyby musiały pływać. Położyły się wśród ciał i czekały.

Jane czuła, że mrówki chodzą po jej ciele jak po trupie, ale powstrzymywała się przed krzykiem. Wkrótce po ich ukryciu się rozległ się dzwon na dzwonnicy w Starej Gradišce (kiedyś był tu klasztor, został opuszczony w czasach osmańskich), co oznaczało, że ustasze odkryli zniknięcie więźniów.

Wiedzą, że uciekłyśmy – pomyślała. Filipović na pewno wpadnie w szał i karze przeszukać cały teren obozu. Wiatr przyniósł nad rzekę echa harmidru w obozie, pojedynczych wystrzałów. Być może ustasze zastrzelili kobiety, które pracowały z Ljuboslavą, ale Jane nie miała czasu ani siły o nich myśleć. Skoncentrowała się wyłącznie na własnym przetrwaniu.

Mijały godziny. Pogryzione przez mrówki nogi piekły nieznośnie. Jane miała wrażenie, że trupi odór wpełzł w każdy zakamarek jej ubrania i pewnie dlatego przestała go odczuwać. Późnym popołudniem ustasze

zjawili się nad brzegiem Sawy, żeby przeszukać trupy. Jane struchlała, ponieważ poznała głos ojca Tomislava – władczy, wwiercający się w mózg, w jaźń, w żywe ciało, przyzywający ją do niego. Jednak one leżały wśród dwustu, może trzystu ciał, które z powodu temperatury (wrzesień był bardzo ciepły) zaczęły już puchnąć. Ustasze, gdyby mogli, ostrzelaliby trupy z pistoletów maszynowych, ale ich pogarda do metod niemieckich sprawiała, że w obozie mieli tylko karabiny i pistolety, ale brakowało im broni maszynowej.

– Wrzućcie ich wszystkich do rzeki – rzekł męski głos, który Jane identyfikowała jako głos Filipovicia. – Jeśli te kurwy są wśród trupów, to zaczną pływać, wtedy je zastrzelicie.

Jane struchlała, słysząc ten rozkaz. Cały jej byt wypełniony był strachem o siebie samą, o to, by przeżyć za wszelką cenę. Teraz musi rzeczywiście stać się trupem, zapanować nad swoim ciałem, uczynić je całkowicie bezwładnym, stawiającym opór własnym ciężarem, które zaczęła już przywoływać miłosierna matka ziemia, pragnąca wyssać z niego wszystkie soki, krążące do tej pory leniwie, bez celu...

Ustaszy nie było wielu, toteż zaczęli kląć, że muszą się brudzić trupami. Najchętniej powierzyliby to straszne zadanie serbskim mężczyznom z transportu, ale wszyscy leżeli zabici obok swoich kobiet i dzieci. Jane słyszała kroki mężczyzn, przekleństwa i co kilka chwil głośny plusk ciała wrzucanego do wody jak kamień. Skupiła się tylko na tym, by nie zdradzić się, że żyje. Pływała świetnie, zdobyła nawet mistrzostwo stanu w 1933 roku. I choć minęło od tamtego czasu dziesięć lat, była pewna, że ciało wciąż potrafi to, czego się nauczyło. Przestała nawet myśleć o Ljuboslavie, która czekała, aż wrzucą ją do rzeki.

W końcu podeszli do niej. Starała się nie oddychać aż do momentu, kiedy ją podniosą. Jej ciało musi być bezwładne jak kamień. Poczuła, że obmacują ją łapska jakiegoś zbrodniarza, ale zniosła to. Najwidoczniej szukał jakichś złotych przedmiotów lub czegoś cennego. Potem poczuła, że jej ciało oderwało się od ziemi. Zdawało się, że wszystkie mroczne bóstwa wzywają ją z powrotem, aby pożywić się jej sokami. Nieśli ją.

Poczuła, że ją rozhuśtują, ale bała się, że wykona jakiś ruch albo krzyknie. Zaraz znajdzie się w wodzie, wprawdzie uosabiającej życiodajną siłę i niezbędną do podtrzymania życia, ale... Rzeka Sawa, karmiona przez ustaszy zwłokami ludzi, zezwoliła przecież, aby drapieżne stworzenia żyjące w jej nurcie nie marnowały takiej obfitości. Toteż wokół brzegu pełnego trupów pojawiały się dorodne sumy i szczupaki zwabione odorem padliny.

Jane poczuła, że wpada do rzeki. Ciemność wody współgrała z ciemnością wieczoru ogarniającą brzeg Sawy i kompleks obozów Jasenovac – chciała od razu ją pożreć, wciągnąć w głębinę. Przynajmniej woda, nagrzana za dnia, nie sprawiła dziewczynie dodatkowego cierpienia zimnem. Instynktownie skierowała się ku powierzchni, ponieważ musiała zaczerpnąć powietrza. Zauważyli ją dopiero, kiedy się wynurzyła na chwilę, by natychmiast z powrotem dać nura w głębiny rzeki. Jak na olimpijskim basenie. Zanurzone ciało przypomniało sobie, że współdziała z wodą, ale nie tonie – i Jane zaczęła płynąć pod wodą żabką, kierując się kilka metrów od brzegu.

Przekleństwa ustaszy i kule wystrzeliwane z pistoletów orały wodę. W tej chwili dziewczyna rzeczywiście znajdowała się na krawędzi śmierci. Wystarczyłoby, aby jedna kula ją zraniła – to uniemożliwiłoby jej płynięcie dalej ku wolności, ku nieznanemu życiu. Jane w nurcie Sawy czuła się jak dziecko w łonie matki, zanurzone w wodzie życia, a rzeka jak gdyby jej pomagała, unosiła ją dalej – ku wolności. Jane potrafiła długo płynąć pod wodą, ale kiedy czuła, że musi się wynurzyć, by zaczerpnąć powietrza, robiła to bezszelestnie i płynęła dalej. Krzyki i przekleństwa na brzegu oddaliły się, pozostały w tyle.

Płynęła, ile starczyło jej sił. W końcu poczuła, że musi wydostać się na brzeg. Wyszła z wody w nieznajomym miejscu i podczołgała się w jakieś krzaki na brzegu.

Otulił ją sen, brat śmierci.

*

Obudziła się w nieznanym miejscu, w jakiejś wiejskiej chacie o ścianach pobielonych wapnem. Leżała w łóżku, a co jeszcze dziwniejsze – czuła, że ma zabandażowaną nogę. Była obolała, strasznie głodna i spragniona. Próbowała się ruszyć.

– To nie jest dobry pomysł – usłyszała za sobą kobiecy głos. – Masz zranioną nogę, na którą nałożyłam maść żywokostową. Jeśli nie ma zakażenia, przeżyjesz; jeśli jest, dostaniesz gorączki i umrzesz. Jesteś, córko, w rękach Boga.

Jane nie była w stanie spojrzeć za siebie, więc nie wiedziała, kto do niej mówi. Po chwili ukazała się jej staruszka, w tradycyjnej białej chustce na głowie.

– Znalazła cię moja córka, która mnie odwiedza – powiedziała starsza kobieta. – Zaraz dam ci jeść mamałygi, którą ugotowałam. A potem popijesz rakii, mocnej, bo sama ją pędzę, więc pośpisz sobie, kochanie.

Jane ledwo rozumiała staruszkę, ale Chorwaci i Serbowie, mordując siebie nawzajem, mówią podobnym językiem i jakoś się rozumieją. Nie posiadła tego języka w stopniu biegłym, ale na pewno umożliwiającym komunikowanie się. Przez myśl przemknęło jej, że być może uratowała ją jakaś rodzina sympatyzująca z ustaszami, ale odrzuciła ją jako nieracjonalną. Nie daliby jej jeść, gdyby chcieli ją zabić. Zjadła mamałygę, którą nakarmiła ją kobieta, wypiła rakiję i zasnęła.

Gdy ponownie się obudziła, po kilkunastu godzinach, zauważyła, że obok niej siedzi zakonnica. Po habicie poznała, że katolicka, a zatem ta rodzina była chorwacka. Przez umysł i ciało Jane przebiegło bolesne podejrzenie, że to ustasze. Ale po chwili, kiedy zobaczyła, że zakonnica się do niej uśmiecha, doszła do wniosku, że osądziła ją pochopnie.

– To ja cię znalazłam. Jak już zauważyłaś, jestem siostrą zakonną, należę do Karmelu. Przyjechałam w odwiedziny do mojej mamy, która mieszka tutaj sama. Widzę, że moja podróż nie była przypadkowa i że miała cel. Jesteś nim ty.

– Ja... uciekłam. – Jane zdobyła się na wyznanie.

– Z Jasenovaca? – Zakonnica domyśliła się prawdy. – Mogę tylko podejrzewać, co cię tam spotkało. Nie wszyscy Chorwaci to ustasze i nie wszyscy zakonnicy mordują ludzi.

– Czy nie znaleźliście na brzegu jeszcze kogoś? – Jane pomyślała o Ljuboslavie.

– Nie, tylko dwa trupy. Sawa często nam wyrzuca trupy z tego przeklętego miejsca – rzekła zakonnica. – Że też ludzie, którzy to robią, to Chorwaci – westchnęła po chwili.

Była to aluzja do Brata Szatana, o którym musiały już krążyć złowrogie legendy. Jane, słysząc to zdanie, poczuła niewyobrażalną ulgę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy była bezpieczna. Po raz pierwszy od tak długiego czasu ktoś się nią zajął. Nietrudno było dostrzec w tym rękę jakiegoś boga, choć Jane, doświadczona przez morderczą stronę chorwackiego Kościoła, który czcił bożka ustaszy, czyli naród chorwacki, odrzucała tę myśl jako nieracjonalną i idiotyczną. Jednak jej ratunek był faktem. I była to zmiana, o której trzy dni wcześniej nie śmiała nawet marzyć.

– Jeśli nie chcesz mówić, kim jesteś, to twoja sprawa. My cię ocalimy, ponieważ nasz Bóg jest Bogiem dobra, a nie Bogiem zła, którego spotkałaś w tamtym miejscu – powiedziała zakonnica. – Mówiłam z mamą o tobie. Nie możesz tutaj zostać, ponieważ pojawiają się w naszej wsi patrole ustaszy, szukające Serbów lub komunistycznych partyzantów. To może stanowić dla ciebie niebezpieczeństwo. Jak podleczymy twoją nogę i nabierzesz sił, przebiorę cię w habit i pójdziesz ze mną do klasztoru. Tam będziesz bezpieczna. Gwarantuję ci to.

– Skąd weźmiesz drugi habit?

– Otóż wzięłam ze sobą drugi, który nakładamy do pracy. Ten jest odświętny. – Zakonnica wskazała na swoje ubranie.

Były to ciemnobrązowa szata ze szkaplerzem oraz biały welon. Siostry oczywiście nie chodziły boso, ale dla Jane drugiej takiej samej pary butów było. Ludzie mieszkający we wsi byli biedni, a matka i córka zapewne nie

chciały nikogo wtajemniczać, że trzymają pod dachem uciekinierkę z Jasenovaca.

Jane zgodziła się na wszystkie warunki. Jeśli to miało okazać się prawdziwe, zniknie ustaszom sprzed nosa. Nikt z nich nie będzie szukał uciekinierki, Żydówki i Amerykanki, w klasztorze.

NOWY JORK, WRZESIEŃ 1942

Stary Samuel rzeczywiście odbył rozmowę z żoną prezydenta Roosevelta, Eleanor, która obiecała mu swoje poparcie. Michael miał być wysłany na Wyspy Bismarcka na Pacyfiku, gdzie toczyły się zacięte walki z armią japońską. Mógł zginąć, Samuel z przykrością brał taką ewentualność pod uwagę. Po rozmowie z Hannah Arendt, dawną przyjaciółką Jane z Francji, wiedział, że nie może córki posądzać pochopnie. Tęsknił za nią niewyobrażalnie.

Oficjalnie zgłosił jej zaginięcie w Europie objętej działaniami wojennymi w roku 1941. Amerykański Czerwony Krzyż przyjął zgłoszenie, w tym zdjęcia, oraz spisał wszystkie szczegóły jej rysopisu. Depesza została wysłana do Szwajcarii w bagażu dyplomatycznym konsulatu szwajcarskiego w Nowym Jorku – Niemcy nie mogli go zatrzymać we Francji, Helweci byli narodem neutralnym w tej wojnie. Tak więc pod koniec października 1942 roku charakterystyka Amerykanki, właścicielki niewielkiego majątku w okupowanej już przez Niemców części Francji, trafiła do zasobu osób zaginionych i poszukiwanych przez członków rodziny. Stamtąd mogli zaczerpnąć informacji wszyscy, którzy by jej szukali, oraz zgłosić dane ci, którzy wiedzieli cokolwiek o jej losie i pragnęli poinformować o tym Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

ROZDZIAŁ XXIX

Życie w ukryciu

CHORWACJA, JESIEŃ 1942

Jane miała wiele pytań, ale siostra zakonna wcale nie była skora do mówienia ani do udzielania odpowiedzi. Po prostu kilka dni później powiedziała jej:

– Masz szansę przeżyć, ale musisz dokonać wyboru. Albo idziesz swoją drogą, albo idziesz ze mną do klasztoru, gdzie pracując, znajdziesz życie.

Ależ wybór! – żachnęła się w myślach Jane. Ale cóż miała począć? Ratunku się nie wybiera. Założyła więc habit zakonnicy, choć czuła się w nim jak w czapce niewidce. Znała doskonale katolicką filozofię i – na tyle, na ile było to konieczne podczas uczenia się łaciny – katolickie modlitwy. Było to jednak skrajnie ryzykowne posunięcie, zwłaszcza gdyby ktoś taki jak Miroslav Filipović miał sprawdzać, czy rzeczywiście wszystkie mniszki w klasztorze są tym, za kogo się podają.

Nie miała innej prócz tej, nadzwyczaj lichej, nadziei. Przyjęła więc rolę dla jej natury nieznośną, bo wystawiającą jej zadawnioną próżność, z której teraz powoli się wyzbywała, na zupełną anihilację. Jednak nie uważała, że jest to wybór na resztę życia, lecz jedynie doraźny ratunek.

Szły w milczeniu z wioski, gdzie mieszkała stara matka zakonnicy, bezdrożami Chorwacji, równiną nad Sawą. Jane straciła w obozie całkowicie umiejętność orientacji w terenie, zdała się na swoją przewodniczkę. Ale gdzieś tam, na dnie serca, nie ufała katolickiej zakonnicy. To, co widziała w Jasenovacu, było potężnym świadectwem przeciwko Kościołowi katolickiemu, tak głęboko wprzęgniętemu w machinę śmierci ustaszy. I oto miała zostać wystawiona na kolejną próbę.

Idąc w stronę jakiegoś miasta (zakonnica nie chciała jej powiedzieć, dokąd dokładnie), natknęły się na konny patrol ustaszy. Dwóch żołnierzy zatrzymało się na ich widok.

– Szczęść Boże, dokąd siostry zmierzają?

– Do Osijeku, do naszego klasztoru – odparła chorwacka zakonnica.

– To mają siostry jeszcze parę kilometrów do pokonania – rzekł jeden z ustaszy.

– Myślę, że z tego miejsca do naszego klasztoru jest ponad dwadzieścia kilometrów. Zatrzymamy się po drodze tam, gdzie nas przygarną dobrzy ludzie.

Dwaj ustasze popatrzyli po sobie.

– W porządku. Idźcie!

Jane bała się odezwać, ponieważ jej znajomość języka była na takim poziomie, że każdy Chorwat bez trudu by zgadł, że nie jest stąd. A to wzbudziłoby podejrzenia. Domyślała się, że po ucieczce z obozu rozesłano po całym Niezależnym Państwie Chorwackim odpowiednie informacje o zbiegłych dwóch niebezpiecznych wrogich kobietach, które powinny zostać bezzwłocznie złapane i ścięte. Gdy ustasze, a wraz nimi niebezpieczeństwo, oddalili się, odetchnęła. Źle i pochopnie oceniła swoją współtowarzyszkę, cichą zakonnicę z Karmelu, która uratowała jej życie.

Los napisał dla Jane pierwszą lekcję pokory podczas drogi po nowe życie.

Osijek, listopad 1942

Jane zamieszkała w klasztorze karmelitanek bosych w Osijeku, ważnym chorwackim mieście na wschodzie kraju, gdzie przecinały się etosy, wyznania i wrażliwości. Zakonnice nie od razu chciały z nią rozmawiać i poznać jej historię. Dopiero po czterech tygodniach, gdy dała się poznać jako spokojna, wykonująca pokornie polecenia osoba, postanowiły się z nią rozmówić. Przyszła siostra, która uratowała jej życie, oraz jej przełożona – starsza, około sześćdziesięcioletnia przeorysza.

– Teraz możemy się przedstawić. Ja nazywam się siostra Florencja od Nieustającej Adoracji – rzekła do Jane jej wybawicielka. – A to jest przeorysza, siostra Eudoksja od Aniołów.

Po tym wyznaniu Jane nie czuła się wcale mniej komfortowo. Jednak był to jakiś punkt wyjścia.

– Nazywam się Jane Coulfield i jestem amerykańską Żydówką – przedstawiła się. I opowiedziała im mniej więcej to, co powinny wiedzieć, ale nie to, co na zawsze miało pozostać jej tajemnicą, o czym miał nie dowiedzieć się nawet stary Sam. O ile jeszcze żył, bo tego Jane nie była wcale pewna.

– Jak się znalazłaś w Chorwacji? – zapytała przeorysza.

Jane wybrnęła z tego w ten sposób, że chcąc ukryć swoją żydowską tożsamość, podała się za Francuzkę, gdy Niemcy rekrutowali dodatkowy personel do szpitali po rozpoczęciu wojny na wschodzie. Tak znalazła się w niemieckim szpitalu w Jugosławii. Jej tożsamość odkryła przełożona pielęgniarek i doniosła na nią, a niemieckie dowództwo wydało ją w ręce ustaszy.

– Dla ustaszy byłam kurwą żydowską i trafiłam do piekła w Starej Gradišce. Czy znają siostry to miejsce? Czy mieszka w nim Bóg?

– Rozumiem twój gniew, Jane – powiedziała przeorysza, która cierpliwie wszystkiego wysłuchała. – Masz prawo do gniewu na Kościół katolicki, który ja i siostra Florencja reprezentujemy. W naszym kraju sprawy zaszły zdecydowanie za daleko i mogę cię zapewnić, że nasz klasztor odsuwa się od trucizny, jaką ustasze wlewają ludziom do głów. U nas zakazane są ich prasa, broszury czy książki. Nie masz żadnego powodu do niepokoju. Nie wydamy cię. – To ostatnie zdanie przeorysza wypowiedziała z ogromnym naciskiem.

Jane odetchnęła. W obrębie murów tego klasztoru była bezpieczna. Należało jednak ustalić, jakie zasady obowiązywały ją w tym dziwnym miejscu. Nie była zakonnicą i nie chciała nią zostać, ale dla własnego bezpieczeństwa nie mogła stąd odejść. Jak miała żyć? Nie chciała jeść chleba za darmo, ale nie chciała też utknąć na zawsze za murami.

– Jakie są warunki mojego pozostania w klasztorze?

Zakonnice wymieniły dyskretnie spojrzenia.

– Możesz zostać pod warunkiem pracy na rzecz klasztoru. Nie prosimy o wiele. Czasami trzeba pomóc w kuchni, czasami przy różach na dziedzińcu za klauzurą, gdzie nikt z zewnątrz nie może przyjść i nam

pomóc. Musimy robić to same. Jest nas tu sześć, dwie widzisz teraz, trzy są starsze i nie mogą tyle pracować. Mieszka też z nami siostra, która gotuje. – Po chwili przeorysza dodała: – Nasza biblioteka pochodzi z czasów austro-węgierskich, mamy chyba całość teologii i filozofii z XIX wieku, więc jeśli cię to interesuje, a wiem, że tak, bo siostra Florencja wspominała mi o tym, nie mam nic przeciwko, abyś rozwijała swoje pasje.

– Zgoda. – Jane nie miała zamiaru targować się o życie.

Przeorysza spojrzała raz jeszcze na siostrę Florencję, jak gdyby chciała się upewnić, że ich warunki – wcale niewygórowane – zostaną spełnione.

– Jest jeszcze jedna rzecz, dla nas nieodzowna.

– Co takiego? – zapytała Jane.

– Musisz nosić habit. Wprawdzie nie zamierzasz składać ślubów i gdy minie zagrożenie dla twojego życia, będziesz mogła opuścić nasz klasztor, ale gdy przebywasz z nami, musisz nosić habit nowicjatu. Nie traktuj tego jak więziennego pasiaka. To twoje przebranie, dla bezpieczeństwa twojego i naszego. Jeśli ustasze znaleźliby cię bez habitu lub zostałabyś rozpoznana, zabiją wszystkie siostry, a czegoś takiego nie mogę ryzykować.

Dla Jane habit stanowił nowość, swoistą oznakę przynależności do Kościoła katolickiego, do którego ona nie należała i który wedle jej wiedzy w jakiś sposób odpowiadał za to wszystko, co wyprawiali ustasze. To było dla niej potworne brzemię, którego bynajmniej nie pragnęła, ale na które się godziła.

– Tak, zgadzam się.

Przeorysza uśmiechnęła się.

– Nie będziemy miały wiele okazji, aby rozmawiać. Uznajemy, że słowa są niepotrzebne, i ograniczamy wypowiadanie ich do niezbędnego minimum, chyba że są to modlitwy. W nich nie musisz brać udziału, choć pomogłoby ci to w lepszym ukryciu się wśród nas.

Na to Jane również wyraziła zgodę. Otworzył się przed nią dziwny świat, w którym miała milczeć. Gdy płynęła tutaj z Ameryki tak dawno temu, że nie pamiętała już nazwy statku, na którym pokonywała ocean, była innym człowiekiem: kochającą przede wszystkim siebie i swoje życie

trzpiotką, której życie upływało na błahostkach lub rozważaniach o subtelnościach filozoficznych. Miała wszystko i mogła mieć wszystko, bo Samuel nigdy nie skąpił dzieciom pieniędzy. Teraz nadszedł czas, w którym nie miała już nic własnego – ani książek, ani pieniędzy, ani ubrania. Nie dysponowała ani swoim czasem, ani swoją osobą. Musiała się zamknąć w czterech ścianach swojej wolności, żeby przeżyć.

Dla Jane nadchodził czas ciszy, która nie jest ciszą.

*

Poszukiwania ustaszy spełzły na niczym. Miroslav Filipović vel Tomislav Majstorović popełniał kolejne okrucieństwa.

Późną jesienią 1942 roku do Jasenovaca przyjechała komisja niemiecka, na czele której stanął Maksymilian von Hoym. Podczas obiadu komendant kazał orkiestrze obozowej grać bałkańską muzykę ludową i w takt muzyki poderżnął gardła kolejnym kilkudziesięciu osobom, co zaszokowało Niemców.

– Wy lubicie gaz albo pistolet maszynowy – odezwał się Filipović. – A my, ustasze, musimy czuć, kogo zabijamy. Stąd nikt nie wychodzi żywy.

– Przyznaję, nie doceniałem was – odparł Niemiec.

– A widzi pan? – rzekł zadowolony Filipović. – Uciekły tylko dwie osoby, serbska komunistka i amerykańska Żydówka.

Von Hoym drgnął na te słowa. Ale wstawieni mocną rakiją ustasze nie zauważyli tego.

– Amerykańska Żydówka? – zdziwił się.

– Tak, przysłali nam ją – mówił po niemiecku komendant – jakiś rok temu. Przebiegła była. Łacinę znała. Nigdy nie spotkałem takiej więźniarki. Uciekła mi przed pięćdziesiątnicą.

Maksymilian nie nadążał za komendantem.

– Daję Serbom i Żydom pięćdziesiąt dni na rozpoznanie zamiarów Ducha Świętego.

Niemiec zdumiał się tą odpowiedzią. Zobaczył w Filipoviciu wyrafinowanie o niespotykanych rozmiarach, krwiożerczą bestię ukrytą

pod franciszkańskim habitem.

– I rozpoznają go? – zapytał z drwiną w głosie.

– Wielu tak. Ci przechodzą na katolicyzm i z tym większą przyjemnością posyłamy ich do Pana Boga. Jednak ona uciekła.

Maksymilian uznał, że Filipović był pod jakimś szczególnym urokiem osobistym tej więźniarki. Jeśli to rzeczywiście była osoba, o której myślał, to wiedział już, że Jane uciekła. Może zginęła? Poczułby się lepiej, gdyby to była prawda.

– Nie zdążył pan jej potraktować tym małym cackiem, którym zabija pan ludzi, przyznaję, szybko. Ja tak nie potrafię – powiedział Niemiec.

Filipović wyciągnął srbosjek z woreczka zabezpieczającego. Dbał o nóż, ostrzył go codziennie. Teraz podał go Niemcowi.

– Tylko z szacunkiem – rzekł. – To ostrze zabiło już dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt osiem osób.

– Liczy pan swoje ofiary?

– Tak, a pan nie?

– Zabijam, kiedy muszę. My, Niemcy, nie nienawidzimy Żydów. Po prostu nie uznajemy ich za ludzi, więc dla nas zabijanie to po prostu forma higieny społeczeństwa.

– A dla mnie zabijanie to celebracja. – Filipović usiadł wygodniej. – My tutaj, w Chorwacji, nienawidzimy tych kurew Serbów jak piekła i zabijamy ich piekielnie. W przeciwieństwie do was, choć przyznaję, jesteście dla nas niedoścignionym wzorem, staramy się przewyższyć was w sposobie zadawania śmierci.

– Przyznaję, że to osobliwe. – Maksymilian właśnie skończył jeść baraninę w papryce.

– Smakowało panu?

– Nadzwyczajnie.

– Ugotowały to kobiety z porannego transportu. Już nie żyją. Zabiłem je, kiedy skończyły gotować.

– To marnotrawstwo talentu kulinarnego.

– Nie, to konsekwencja. Jestem konsekwentny w zadawaniu śmierci. Nie robię wyjątków dla Serbów, Żydów i Cyganów – rzekł Filipović. – Jestem przekonany, że mnie pan rozumie.

– Nadzwyczaj dobrze – odparł Maksymilian, który jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z okrucieństwem tak wysmakowanym jak sztuka, z perwersyjną radością płynącą z zadawania śmierci i mówienia o niej. Zrozumiał, że nazywanie Miroslava Filipovicia Bratem Szatanem jest nadzwyczaj trafne, i nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że Jane – jeśli to była w istocie ona – wyrwała się z jego mocy.

OSIJEK, KLASZTOR, MARZEC 1943

Jane przebywała w klasztorze już prawie pół roku. Pierwsze tygodnie wymuszonego zakonnego życia stanowiły dla niej mękę. Musiała przywyknąć do wielu rzeczy, których w normalnym życiu nie lubiła – do bardzo wczesnego wstawania, do modlitw, do pracy fizycznej, którą zawsze ktoś za nią w Ameryce wykonywał. Jedyną odskocznią była dla niej biblioteka. Tam rzeczywiście znajdowały się filozoficzne cuda: dzieła Świętego Jana od Krzyża, Świętego Tomasza – a więc klasyka tomistycznej filozofii. Jane mogła tam intelektualnie odetchnąć. Siostry miały też trochę nowszej literatury, w tym klasyków niemieckiej filozofii z przełomu wieków – Schellera i Husserla, oczywiście bez nazwisk uznawanych w świecie katolickim za kontrowersyjne. Mogła zatem czytać i wracać do równowagi psychicznej po straszliwych doświadczeniach Jasenovaca.

Nastał jednak dzień inny niż wszystkie – z wizytą do Osijeku przybył arcybiskup Alojzy Wiktor Stepinac, głowa Kościoła katolickiego w Chorwacji. Powiedziała o tym Jane siostra Florencja, co oznaczało, że zapewne w życiu Jane dokona się za chwilę jakiś przełom.

– Arcybiskup ma władzę w Kościele od Pana Boga. On może ci pomóc. Mam nadzieję, że oszczędzisz mu przykrości – oświadczyła siostra Florencja, która nie bardzo rozumiała, przez jakie piekło przeszła kobieta.

– Oszczędzić mu przykrości?! – Jane podniosła głos.

Obie przebywały na szczęście w bibliotece, poza nimi nie było tam żadnej innej siostry.

– Zamierzam mu wygarnąć wszystko! I nie będę miała litości! Prawda was wyzwoli, czyż nie tak napisano w Ewangelii, siostro?

Siostry musiały zatem powiedzieć arcybiskupowi, że ukrywają w klasztorze uciekinierkę z Jasenovaca. Jane podejrzewała, że hierarcha, który był oficjalnie wplątany w osobliwy sojusz tronu i ołtarza w faszystowskiej Chorwacji, zbagatelizuje ją i nie okaże żadnego zainteresowania. W tym akurat się zawiodła. Arcybiskup Stepinac uznał za stosowne zobaczyć się z nią.

Do spotkania doszło w bibliotece. Mężczyzna przywykł do tego, że zakonnice – i w ogóle kobiety – klękały przed nim i całowały jego pierścień. Jednak ta kobieta, w stroju nowicjuszki, tego nie uczyniła. Ta rozmowa miała nie być dla Stepinaca komfortowa. Przeorysza przedstawiła Jane dostojnikowi kościelnemu i zostawiła ich samych.

– Siostra przełożona wspominała mi o pani sytuacji – zaczął arcybiskup. – Zaznaczyła, że pani znajomość naszego języka jest komunikatywna, ale niewystarczająca do tego, co być może chciałaby mi pani przekazać. Czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań? W jakim języku możemy rozmawiać?

– W jakim ksiądz chce. Możemy po angielsku, po francusku, włosku lub po łacinie.

– Mówię po włosku – odparł arcybiskup Stepinac. – Studiowałem na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim.

– Gratuluję. Ja nie miałam tyle szczęścia.

– Chciałbym pani pomóc w kontakcie z władzami amerykańskimi. Wprawdzie Amerykanie nie uznają naszego państwa chorwackiego z racji wojny, ale ze względu na pani doświadczenia zamierzam wykorzystać wszystkie moje kontakty w Rzymie do tego, aby powiadomić amerykańskie władze, że przebywa pani w Chorwacji. Jak się pani naprawdę nazywa i kim pani jest?

– Nazywam się Jane Coulfield i byłam kiedyś doktorantką, która zatrzymała się na dłużej w Europie. Popełniłam wiele błędów i w efekcie znalazłam się tutaj i teraz.

Arcybiskup skrzętnie zanotował te szczegóły. Jane poczuła ulgę. Nie będzie musiała o to błagać, upokarzać się jeszcze bardziej. Jednak zamierzała opowiedzieć mu o wszystkim.

– Czy ksiądz arcybiskup wie, co dzieje się w Jasenovacu?

Spojrzała mu w oczy. Nie dostrzegła w nich fałszu, ale przecież wiedziała, że nigdy nie można być pewnym, co drugi człowiek chowa w duszy. Wyczuła za to jego ogromne zmieszanie pytaniem. Po chwili zdała sobie sprawę z tego, że arcybiskup wolałby nie wiedzieć i konfrontowanie go z ową prawdą wystawia go na nieprzyjemność.

– Z pewnością jest wiele w Chorwacji do naprawienia, są błędy... – zaczął bezradnie biskup.

– O czym ksiądz mówi? Ja jestem świadkiem tylu zbrodni, że nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Jane. – Może od odrąbywania głowy piłą do drewna? Czy ksiądz arcybiskup to kiedyś widział? Byłam świadkiem, jak ustasze zabili w ten sposób młodego Serba Branko Jungicia za to, że nie przeszedł na katolicyzm.

– Córko, musisz wiedzieć, że tylko Kościół katolicki głosi prawdę. Nawrócenie Serbów na prawdziwą wiarę może nie zawsze odbywa się pokojowo, ale ma na celu dobro tych ludzi.

Jane nie wytrzymała. Wstała.

– Zapytam ponownie: o czym ksiądz arcybiskup mówi? Żeby zrozumieć, co się dzieje w księdza Chorwacji, musi ksiądz arcybiskup odrzucić myślenie w kategoriach nawracania innych ludzi. Musi ksiądz zaprzeczyć wszystkiemu, czego się nauczył, żeby zobaczyć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

– A jakie są naprawdę? – zapytał arcybiskup, zaskoczony tonem tej dziwnej kobiety, która nie uznawała jego tytułu ani sakry.

Opowiedziała mu zatem o egzekucjach wykonywanych codziennie, o obcinaniu członków, odcięciu głowy piłą, o oczach lub genitaliach

wycinanych młodym chłopcom w obecności ich matek, o przecinaniu piłami na pół rodzących kobiet, o obcinaniu języków i wieszaniu nagich ludzi z poderżniętym gardłem głową w dół, o masowym topieniu ciał w rzece Sawie, o szczuciu i rozdzieraniu serbskich dzieci przez psy, o karmieniu psów ludzkim mięsem i odzieraniu żywcem ludzi ze skóry.

Tego arcybiskup nie wytrzymał. Rozpłakał się i płakał długo, nie mógł się uspokoić. Jane nie chodziło ani o jej triumf, ani o upokorzenie arcybiskupa, ale o uświadomienie mu prawdy – ustasze są złem tak straszliwym, że żadne ich domniemane zasługi nie mogą zakryć tego, co uczynili, i że tej hańby nic ani nikt z Chorwacji nie zmyje.

– Proszę nie mówić mi, że ksiądz arcybiskup nic nie wiedział, bo to obraża moją inteligencję i pamięć wszystkich tych, którzy zostali zamordowani.

Arcybiskup Stepinac uspokoił się na tyle, że mogli kontynuować rozmowę.

– Ma pani rację – rzekł. – Nic nie usprawiedliwia zezwierzęcenia, nic nie usprawiedliwia tego, co zostało uczynione w Jasenovacu. Jednak proszę mnie zrozumieć, że nie mogę oficjalnie potępić ruchu ustaszy, ponieważ to oni dali Chorwacji niepodległość. Jestem w sytuacji wyboru, którego pani nie chciałaby dokonać. Zresztą... Być może pani tego nie wie, ale wojna nie idzie ustaszom i ich niemieckim mocodawcom tak, jak by chcieli. W styczniu padł Stalingrad i Sowieci, ku mojemu przerażeniu, idą do przodu.

– Nie chce ksiądz arcybiskup zwycięstwa Rosjan?

– Pani nie rozumie sytuacji, w jakiej się znajdziemy, gdy oni tu przyjdą. Już dostatecznie silna jest armia komunistyczna, na czele której stoi Tito. W przypadku zwycięstwa komunistów zniknie nasza niepodległość i nastanie tyrania marksistowska.

– Nie przekonuje mnie to – rzekła Jane. – Nie ma dla mnie nic gorszego od tyranii, która teraz rządzi w księdza kraju. Nie ma gorszego zła niż to, które widziałem w Jasenovacu.

– Pani nie zna komunistów i modlę się, aby pani nie musiała ich poznać. Ale chcę, żeby pani wiedziała, że pani świadectwo jest dla mnie ważne.

Jane nie chciała, aby arcybiskup schował się za jakimiś niewiele znaczącymi półsłówkami i uciekł z tej rozmowy, podczas której miał okazję skonfrontować własne wyobrażenia o reżimie ustaszy z tym, co ona widziała i czego doświadczyła. Ten mężczyzna pochodził ze świata, w którym świadectwo kobiety miało mniejsze znaczenie, a krytykowanie duchowieństwa uchodziło za bezbożność – to wynik klerykalizmu, poglądu, według którego ksiądz katolicki jest naturalnie lepszy od innych ludzi lub jest bliżej Boga. Jane uważała jednak, że jeśli istnieje Bóg, to wszyscy ludzie mają do niego taki sam dystans.

– Jest jeszcze jedna kwestia, o której ksiądz arcybiskup musi wiedzieć.

– Jaka to kwestia?

– Zaangażowania księży i zakonników w morderstwa.

– Kogo pani ma na myśli?

– Miroslava Filipovicia alias Tomislava Majstorivicia oraz Petara Brzicę. Obaj to franciszkanie, obaj masowi mordercy, którzy w obozie w Jasenovacu urządzili sobie zawody na zabijanie ludzi na czas srbosjekiem, specjalnym nożem...

– Wiem, co to jest srbosjek – przerwał jej cicho arcybiskup.

Zaniemówiła. Nagle zrozumiała, że on o nich wie.

– Wie ksiądz o mordach popełnionych przez tych dwóch katów?

– Tak, ale oni podlegają swojemu prowincjałowi franciszkanów. To jest zakon, ja jestem jedynie zwierzchnikiem księży diecezjalnych, więc za nich nie odpowiadam.

– Co proszę? To typowe przekładanie odpowiedzialności na barki innych! Ksiądz arcybiskup reprezentuje całość Kościoła katolickiego w Chorwacji na zewnątrz, ma ksiądz dostęp do Watykanu. Proszę poinformować papieża o tych zbrodniach. To księdza obowiązek!

Arcybiskup podniósł głowę.

– Znam moje obowiązki. Nie musi mi pani o nich przypominać. Jednak w czasie tak wielkiej wojny nie będę zasmucał Ojca Świętego opowieścią

o tych dwóch pożałowania godnych degeneratach, którzy zdradzili powołanie kapłańskie.

Jane z trudem wytrzymywała argumenty Jego Ekscelencji.

– Tylko dwóch? Każdy oddział ustaszy ma w tym kraju swojego kapelana. A to już jest księdza jurysdykcja – powiedziała twardo Jane. – Czy jest prawdą, że błogosławił ksiądz arcybiskup oddziały ustaszy? Czy jest prawdą, że spotykał się i błogosławił poglavnikowi?

– Oczywiście, nie mogłem odmówić posługi wobec żołnierzy udających się na front i broniących ojczyzny oraz głowie naszego państwa, którego niepodległość uznaję.

– Po prostu nie wiem, jak do księdza arcybiskupa trafić...

– Czego pani zatem ode mnie chce?

– Chcę, żeby ksiądz wziął odpowiedzialność za to, co się dzieje.

– Nie mam na to wpływu.

– Właśnie pokazuję, że ma ksiądz arcybiskup wpływ.

– Pani jest wzburzona, pełna gniewu, nie jest pani w stanie zrozumieć Kościoła świętego.

– A jaka mam być? Niewzburzona?!

– Proszę pani – rzekł pojednawczo arcybiskup. – Biorę sobie do serca tę twardą mowę, którą tu dziś usłyszałem. Pani słowa są dla mnie trudne. Obydwaj przestępcy, o których pani mówi, zostali już wykluczeni z zakonu ojców franciszkanów za złamanie ślubów posłuszeństwa.

– I tyle?

– To jest przecież wykluczenie z zakonu! Nie rozumie pani tego? Nie mnie sądzić, czy dostąpią zbawienia duszy.

– Rzeczywiście, księże arcybiskupie, żyjemy w dwóch różnych światach – powiedziała zrezygnowana Jane.

Musiała przyznać, że arcybiskup nie był w stanie znieść więcej. Miała za zadanie poruszyć sumienie włodarza Kościoła katolickiego w Chorwacji i chyba się to udało. Usłyszał wyraźny głos sprzeciwu, i to było dla niej ważne. Czy coś z tym zrobi? Czy jego modlitwy poruszą niebo i ziemię? Tego Jane wiedzieć przecież nie mogła.

*

Arcybiskup Stepinac, wracając z objazdu diecezji Osijek do Zagrzebia, przejechał przez całą Chorwację. Trzymał się głównych dróg, bo na prowincji w Bośni panowała niepodzielnie partyzantka Tity, wciągająca w krwawe walki Niemców, Włochów i serbskich czetników, którzy w 1943 roku walczyli już po stronie okupantów przeciwko komunistom. Arcybiskup miał mieszane uczucia po spotkaniu ze świadkiem Jasenovaca, ale ten obóz był i dla niego miejscem hańby Chorwatów. Miał też niejasne przeczucie, wzmocnione po rozmowie z tą dziwną Amerykanką, że przyjdzie mu zapłacić za grzechy Kościoła już niedługo. Jako człowiek wiary nie bał się śmierci, ale odczuwał obawę przed gwałtowną zemstą, uwięzieniem i niesławą. Bo arcybiskup zdawał sobie sprawę z tego, że czas ustaszy minie, że nadejdzie czas pomsty za to, co ustasze zrobili.

Po powrocie do Zagrzebia sługa boży wysłał list do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w sprawie uwięzionej Amerykanki, choć wątpił, by ktokolwiek zainteresował się jej losem.

Rozdział XXX

Zemsta

Sierpień 1944, Osijek

Od czasu wizyty arcybiskupa Stepinaca Jane żyła w klasztorze karmelitanek w Osijeku w stanie nieustannego zagrożenia. W każdej chwili ustasze lub Niemcy mogli zrobić przeszukanie. Jednak nie był to czas bezpłodny duchowo. Przeciwnie – dzięki regularności życia zakonnego osiągnęła wewnętrzny spokój, którego nigdy wcześniej nie przeżywała w sposób tak świadomy.

Czas w ukryciu nieuchronnie się kończył. Latem 1944 roku komunistyczna partyzantka Tity przy współudziale wojsk sowieckich odbiła z rąk niemieckich Belgrad, a wraz z Niemcami wojska ustaszy wycofywały się na północ w stronę Chorwacji. Któregoś dnia pod koniec sierpnia do furty klasztoru zgłosili się żołnierze chorwaccy. Siostra, która pełniła funkcję odźwiernej, zaniosła przeoryszy niewesołą wiadomość.

– Ustasze są pod bramą – powiedziała. – Mamy zostać ewakuowane do Zagrzebia z powodu nadciągania komunistów.

– Nie opuścimy klasztoru – odparła przeorysza.

– Oni chcą, żebyś im to, siostro, powiedziała.

Przeorysza, chcąc nie chcąc, musiała do nich wyjść. Ustasze zachowywali się niestabilnie, a porażki w walkach z oddziałami komunistycznymi tylko ich rozjuszały. Powiedziała im to samo co odźwiernej.

– Muszą siostry iść z nami. – Dowódca podał jej list nakazujący ewakuację, podpisany przez arcybiskupa Stepinaca.

– Tutaj są starsze siostry. Nie przeżyją transportu.

– Nie każemy wam iść na nogach jak naszym kobietom. Dla was arcybiskup załatwił samochody. Waszą powinnością jest posłuszeństwo poleceniu arcybiskupa. Macie iść.

Ton tego młodego człowieka wydawał się przeoryszy znajomy. Spotkała go kiedyś na rekolekcjach franciszkańskich. Intuicja, którą mają osoby żyjące w świadomości wszechogarniającej bożej obecności, podpowiadała jej, że ten ustasz był księdzem. Teraz upadłym.

– Co będzie, jeśli odmówię?

– Masz, świątobliwa siostro, do wyboru kulkę ode mnie albo kulkę od komunistów. Wybieraj.

Odpowiedź była typowa dla ustaszy, ale przeorysza wyczuwała, że w poleceniu od arcybiskupa tkwiło drugie dno. On chciał jak najdłużej utrzymać Amerykankę z dala od komunistów. Jej zeznania mogły przynieść Chorwacji wiele wstydu i bólu. Hierarcha chciał ją mieć w Zagrzebiu. To polityka miała zadecydować o losie sióstr z Osijeku.

Przeorysza nie miała zamiaru przyprawić o śmierć pozostałych zakonnic, ale postanowiła zobaczyć raz jeszcze list od arcybiskupa.

– Czy mogę raz jeszcze przeczytać rzekomy list?

– Rzekomy? Czy siostra rozumie, co mówię? Macie się ewakuować!

Ale pokazał. Musiał. Ustasze mimo swoich zbrodni byli przede wszystkim katolikami. Przeorysza spojrzała raz jeszcze na owo pismo i po chwili nabrała całkowitej pewności.

– Ten list jest sfałszowany. Nie zawiera pieczęci arcybiskupa.

Bezsilny oficer ustaszy warknął:

– Niech was szlag trafi.

Siostry zostały w Osijeku.

*

Kilka tygodni później ruszyła wielka ofensywa sił komunistycznych, do których masowo zgłaszali się ludzie mający już dość Niemców, ustaszy, czetników i nieustannych rzezi. Partyzantka Tity, wzmocniona przez Brytyjczyków i Rosjan o czołgi, liczyła osiemset tysięcy ludzi – nikt i nic nie mogło jej już zatrzymać. Na nic sześć operacji antypartyzanckich Niemców przy współudziale ustaszy (a do roku 1943 również Włochów), w tym wielkie bitwy nad Sutjeską i nad Neretwą, czy słynna operacja Drvarska z wiosny 1944 roku, w której Niemcy próbowali schwytać Titę, używając oddziałów spadochronowych. Komuniści Tity jeszcze bez oddziałów Armii Czerwonej zaczęli wyzwalać poszczególne ziemie Jugosławii. Było jasne, że król Piotr I Karadziordziewić już nie wróci z Londynu.

W listopadzie 1944 roku partyzanci Tity wkroczyli do Slawonii, w tym do największego miasta w tej części wschodniej Chorwacji, czyli do Osijeku. I zaczęła się zemsta. Wszystkich podejrzanych o przynależność do ustaszy, czy choćby sympatyzowanie z nimi, zastrzelono. Ciała leżały kilka dni na ulicach, zanim ktoś z komunistów nie wpadł na pomysł, żeby wszystkich wyrzucić do Sawy. A rzeka, tak jak wcześniej niosła ciała z Jasenovaca, teraz niosła ciała ofiar komunistycznej masakry. Partyzanci

zabrali się także za duchowieństwo katolickie, które w jawny sposób wspomagało dotąd państwo chorwackie.

Do bramy klasztoru skierowało się kilkunastu żołnierzy. W zasadzie wyglądali już nie jak partyzanci, tylko żołnierze zwycięskiej armii – mieli broń maszynową i mnóstwo amunicji w pasach przewieszonych przez plecy. Jeden z nich walił kołatką w bramę. Otworzyła siostra furtianka. Jednak nie pozwolono jej mówić – któryś z nich zablokował drzwi nogą i żołnierze wpadli do klasztoru.

– Wychodzić, faszystowskie zdziry!

Wyprowadzili wszystkie zakonnice, w tym Jane, która wciąż nosiła szary habit postulantki, na rynek w Osijeku. Ktoś rzucił szczotki, postawił wiadro z wodą z rzeki.

– Macie, kurwy, czyścić bruk, aż będzie lśnił.

Cóż miały uczynić bezbronne siostry? Wśród nich były też staruszki, ale te, które nie mogły pracować, od razu zastrzelono. Jane obserwowała tę nową rzeź z obrzydzeniem. Znów musiała patrzeć na śmierć. Znów było tak jak w czeluściach Jasenovaca. Rozmowa z komunistami nie miała sensu, ponieważ dla nich każdy katolicki ksiądz czy zakonnica byli ustaszami. Przeorysza czyściła bruk razem z siostrami. Jane musiała się zgodzić na kolejne upokorzenie, by zachować życie.

Jednak gdy po kilkunastu godzinach skończyły tę pracę, ścierając sobie na bruku opuszki palców do krwi, nie było im dane wrócić do klasztoru. Ciała zastrzelonych zakonnic staruszek leżały na rynku do zmierzchu, a potem żołnierze wyrzucili je do rzeki.

– Co do was – zaczął komunistyczny oficer z wpiętą w czapkę czerwoną gwiazdą – zdecydowaliśmy, że pojedziecie na proces do Zagrzebia. Tam się z wami rozliczymy, kurwy.

W Jane odezwał się dawny talent polemiczny, równie silny co instynkt samozachowawczy.

– Co złego wam zrobiłyśmy? – zdziwiła się.

Oficer popatrzył na nią spod czapki jak na robaka, który śmie stawiać opór przy rozdeptywaniu.

– A to, kurwa, że żyjecie.

– Czy pan musi być taki wulgarny? – zapytała Jane. – Czy do swojej matki też powiedziałby pan „ty kurwo”?

Oficer podszedł do niej i zdzielił ją pięścią w twarz.

Upadła. Przeorysza pomogła jej wstać.

– Tu nie ma żadnych panów! Dla mnie jesteś ustaszowską pizdą – wycedził oficer. – I jeszcze raz tak do mnie powiesz, to tak cię jebnę, że popamiętasz do końca życia.

Jane otarła krew z rozbitego nosa.

– Nie jesteście lepsi od tych, którzy zabijali nas w Jasenovacu. Jestem więźniarką tego obozu, a te zakonnice z narażeniem życia ukrywały mnie przed ustaszami przez dwa lata. Niczym się od nich nie różnicie. Jest mi was bardzo żal.

Słowa odważnej dziewczyny przyniosły skutek. Oficer zbaraniał i nie wiedział, co ma począć. Ale usłyszał je też inny komunistyczny komisarz, chyba starszy rangą, ponieważ gdy podszedł bliżej, ten, który uderzył Jane, z miejsca stanął na baczność.

– Co powiedzieliście?

– Byłam więźniarką Jasenovaca i świadkiem zbrodni, jakich ten świat nie widział wcześniej. Zabiliście dziś stare zakonnice, które nie tylko nie wyrządziły nikomu krzywdy, ale ukrywały mnie przez dwa lata, dzieląc się ze mną niewielkimi zapasami żywności, choć nie jestem jedną z nich.

– A kim jesteście?

Jane było już wszystko jedno. Przedstawiła się.

– Jestem Amerykanką i Żydówką. I powtarzam: byłam więźniarką Jasenovaca.

– Kiedy uciekłaś?

– Późnym latem lub jesienią czterdziestego drugiego roku.

– Kto był tam komendantem?

– Franciszkanin Miroslav Filipović zwany Bratem Szatanem lub ojcem Tomislavem.

Było jasne, że komuniści go szukali.

– Ale jesteście teraz z tymi... kobietami. Do czasu wyjaśnienia sprawy jedziecie do Zagrzebia do więzienia. Tam się wami zajmą.

Jane była wyczerpana. Dzisiejsze sprzątanie placu było ponad jej siły, tak bardzo nadwątlone w ostatnich latach. A teraz miało ją czekać nowe więzienie, tym razem komunistyczne.

*

Tymczasem Maksymilian von Hoym postanowił uciekać z Zagrzebia w stronę Słowenii i niemieckiej granicy w ubraniu cywilnym. Mundur SS oznaczał przy schwytaniu przez komunistycznych partyzantów kulkę między oczy. A Niemiec i jego siostra chcieli żyć. Von Hoymowie wiedzieli o tym, że wojna jest definitywnie przegrana, od lata czterdziestego czwartego roku, kiedy oficerowie Wehrmachtu podłożyli bombę w Wilczym Szańcu koło Kętrzyna. O mały włos nie zabili wówczas Hitlera. Von Hoym wykręcał się zatem od udziału w egzekucjach i od publicznego pokazywania się z ustaszami, ale nie mógł tak po prostu opuścić stanowiska. Dopiero ofensywa NOVJ z przełomu lat 1944 i 1945 sprawiła, że zaczął poważnie planować, jak wyjść cało z tej awantury.

– Musimy wyjechać w cywilnych ubraniach – powiedziała mu Anabelle któregoś dnia w grudniu 1944 roku w ich domu w Zagrzebiu.

Wspólnie opracowali dwie fikcyjne tożsamości – Niemców ze Slawonii, którzy uciekają przed komunistami. Znaleźli też przyniszczone, ale czyste ubrania oraz dwie walizy noszące znaki używania przez lata, z wytartą skórą.

– To na wypadek, gdybyśmy musieli stać się na jakiś czas kimś innym, żeby przeżyć.

Maksymilian nie odrzekł nic. Wiedział, że zdjęcie munduru może go kosztować kulkę, gdyby zauważył to któryś z bardziej fanatycznych esesmanów. Miał wrażenie, że ostatnie miesiące III Rzeszy będą najkrwawsze, ponieważ SS i Hitler do samego końca zachowają decyzyjność. On także postępował bezwzględnie, jednak tak, aby nie zostawić śladów w dokumentacji. Na żadnym z wyroków śmierci, które

wykonało Gestapo w Zagrzebiu, nie widniał jego podpis. Zawsze był to jakiś urzędnik chorwackiego państwa ustaszy.

Musiał czekać z ucieczką aż do kwietnia 1945 roku. Miał do dyspozycji samochód, ale w Słowenii skończyła się benzyna, ruszył więc pieszo wraz z dziesiątkami tysięcy Chorwatów związanych z rządem ustaszy aż do Austrii. Tam, po przekroczeniu granicy, wszyscy poddali się Brytyjczykom w Bleiburgu. Dopiero wtedy, korzystając z ogólnego tumultu, całkowitego chaosu wśród chorwackich uciekinierów, Maksymilian von Hoym zdjął i wyrzucił mundur SS. Anabelle podała mu uprzednio przygotowane znoszone stare ubranie – teraz von Hoym wyglądał na ubogiego urzędnika lub mieszkańca wsi.

– A tatuaż? – zapytała przestraszona siostra.

– Nie pozwoliłem sobie wytatuować grupy krwi – odparł.

Tak więc pod pachą von Hoyma nie było wskazówki, że mógł należeć do SS. Wyrzucił też dokumenty sygnowane przez III Rzeszę – w chaosie końca wojny ludzie mogli nie mieć żadnych dokumentów. Oboje obrali inne nazwiska: Peter Wolf i jego siostra Klara Wolf. Byli prostymi ludźmi, on – pracownik handlowy, ona – sprzątaczka. Nigdy nic złego nie zrobili, poza drobnymi kradzieżami, bo przecież była wojna i trzeba była jakoś żyć.

Brytyjski dowódca po dwóch tygodniach wydał ich wszystkich w ręce jugosłowiańskiej armii. Komuniści musieli bowiem podejść do granicy z Austrią, która grzecznie przez siedem lat była złączona z Niemcami, a teraz okazywała się pierwszą ofiarą Hitlera, notabene – Austriaka. Zaczęła się masakra. Komuniści już na granicy zabili ponad tysiąc osób niezdolnych do pieszej wędrówki z powrotem do Jugosławii. Brytyjczycy wypychali Chorwatów na granicę, gdzie przejmowali ich komunistyczna bezpieka i wojsko. Miało tego nie przeżyć ponad dziesięć tysięcy ludzi.

Jednak Maksymilian von Hoym i jego siostra, teraz jako rodzeństwo Wolf, zdołali ubłagać brytyjskiego oficera, którego ujął nadzwyczaj dobry angielski Niemca oraz pięćset dolarów w łapówce. Mogli zostać w Austrii i tam zadekować się na jakiś czas.

*

Jane, siostra Florencja oraz przeorysza zostały przewiezione przez komunistów do więzienia w Zagrzebiu, gdzie komunistyczna bezpieka, powiadomiona przez oficera z Osijeku, miała dokładnie sprawdzić bajeczkę o Amerykance ukrywającej się w katolickim klasztorze żeńskim w Osijeku. Jane miała się też przekonać, że komunistyczne więzienia nie są mniej straszne od tych faszystowskich.

W Zagrzebiu dostała oficera prowadzącego. Był to młody Serb, ale zaciekły komunista, Dragoslav Pankić. Tak się przedstawił Jane.

– Proszę dokładnie opowiedzieć, ze szczegółami, jak pani znalazła się na terenie Chorwacji na początku wojny i jak pani trafiła do Jasenovaca.

Jane podczas dwuletniego pobytu w klasztorze z początku nie akceptowała ciasnych reguł oraz wstydziła się błędów, które popełniła w przeszłości. W klasztorze zrozumiała jednak, że nie znamy siebie, dopóki nie sprawdzą nas sytuacje graniczne. To była jedna z kolejnych. Opowiedziała więc, że przyjechała do Jugosławii z własnej woli za niemieckim żołnierzem, który był jej bliski. Po jego śmierci została aresztowana przez Gestapo i wydana ustaszom. Stało się to, gdy Ameryka przystąpiła do wojny.

Oficer Dragoslav Pankić wszystko skrzętnie zapisywał i wypytywał ją o mnóstwo szczegółów związanych z funkcjonowaniem Jasenovaca, w szczególności obozu dla kobiet w Starej Gradišce. Jane opowiedziała wszystko, co pamiętała. Z najdrobniejszymi szczegółami. Po serbsko-chorwacku mówiła coraz lepiej i powoli wyzbywała się obcego akcentu. Potem Pankić zniknął, a dla Jane zaczęły się długie tygodnie gnicia w więzieniu. Jej współtowarzyszki, siostry z klasztoru, czuły się upokorzone decyzją komunistów, że w więzieniu muszą być bez habitów, które po ślubach wieczystych stanowiły część ich własnego bytu, ich tożsamości.

– Muszą siostry wytrzymać! – mówiła do nich Jane. – Ja byłam w miejscu gorszym od tego i przetrwałam!

Jednak po raz kolejny dotknęło ją zwątpienie. Musiała czekać wiele tygodni, dostosowując się do rytmu więzienia – kolejne aresztowane Chorwatki, bicie, głodowe racje żywnościowe. Siostra Florencja wkrótce ciężko zachorowała, ale nie było szans ani na lekarstwa, ani na zwolnienie. Po czterech tygodniach kobieta, która uratowała Jane życie, zmarła na zapalenie płuc. Jej ostatnim zdaniem było: „Czy podobałam się Chrystusowi?".

Ta śmierć stała się dla Jane kolejnym powodem do jeszcze głębszego wejścia w siebie, pogodzenia z tym, co po ludzku jest nie do pogodzenia. Bo jej życie, jak jej się zdawało, należało kiedyś do dziewczyny nieprzejmującej się innymi bardziej niż sobą, a teraz zaczęło dziwnie się wymykać wszelkim próbom kontrolowania, ustawienia go tak, aby biegło, jak ona chciała. To komunistyczne więzienie, charakterystyczne dla paranoi cechującej wszelkie absolutyzmy wywodzące się z marksizmu, teraz stało się w jej życiu wewnętrznym tym, co zaczęła nazywać czyśćcem.

Zwierzyła się ze swoich obaw przeoryszy, która siedziała z nią w celi.

– Czyściec kiedyś się skończy – odparła tamta.

Jednak Jane bardzo trudno było w to uwierzyć. Potem z Belgradu wrócił oficer śledczy i wszystko zaczęło się od nowa. Przesłuchania w nocy i brak snu za dnia. Jane myślała, że nie wytrzyma tej nowej udręki. Oficer ciągle wypytywał o kontakty z Niemcem albo o to, jakie zadania miała w Jugosławii jako szpieg amerykański.

– To jakiś absurd! Zabijcie mnie, ale dajcie mi już spokój – powiedziała w końcu podczas ostatniego przesłuchania.

Straciła przytomność. Odzyskała ją na łóżku w szpitalu więziennym. O dziwo, te wszystkie upokarzające przesłuchania się skończyły. Jednak nie powiedziano jej, o co chodzi. Raz dziennie przychodził do niej lekarz, który sprawdzał, jak się czuje. Poza tym nie odpowiadał na jej pytania i nie wchodził z nią w żadne interakcje. Po kilku dniach została przeniesiona do osobnej celi, jedynki. Brakowało jej obecności sióstr z klasztoru. Czuła się bez nich nieswojo i zupełnie wyobcowana.

Dopiero po tygodniu od zasłabnięcia wzięto ją na przesłuchanie. Jakież było jej zdziwienie, gdy zamiast jej znajomego oficera śledczego spostrzegła kobietę, zaś na biurku – szklankę mleka oraz bułkę z serem. Jane, nie myśląc o tym, co zmieniło się w jej otoczeniu, rzuciła się na jedzenie. Gdy zaspokoiła pierwszy głód, spojrzała na siedzącą za biurkiem kobietę ubraną w komunistyczny mundur armii Tity. Metalowa czerwona gwiazda na kołnierzu wskazywała na osobę usytuowaną w strukturach bezpieki. Jednak twarz wydawała się jej znajoma.

– Witaj, Ljuboslavo – powiedziała. – Byłam pewna, że zginęłaś podczas naszej ucieczki.

– Miałaś pecha – odparła Ljuboslava. – Po prostu wypłynęłaś wcześniej, niż powinnaś. Nie miałam ci tego jak powiedzieć, gdy ukrywałyśmy się wśród ciał zabitych.

Dopiero teraz do Jane dotarło, że być może jej męczarnie w więzieniu dobiegają końca. Jednak Ljuboslava była po stronie komunistów i Jane nie miała pewności, czy ich wspólne, straszliwe przeżycia w Jasenovacu znów ich połączą przyjaźnią.

– Długo cię szukałam, ponieważ potrzebujemy twoich zeznań. Zbudujemy nową, sprawiedliwą Jugosławię i chcę, żebyś wzięła w tym udział – przekonywała Ljuboslava.

Jane westchnęła.

– Widziałam metody, jakie stosują komuniści do budowy tego lepszego świata. Nie różnią się od metod faszystowskich. Nie zbudujecie żadnej nowej, sprawiedliwej Jugosławii, lecz kolejną, mroczną, bezlitosną dyktaturę.

– Zasmuca mnie to, co mówisz.

– Co się ze mną stanie?

Ljuboslava zapaliła papierosa i podała jej paczkę i zapalniczkę, ale Jane odzwyczaiła się od palenia w klasztorze, więc nie skorzystała.

– Nie ukrywam, że zaskoczyło mnie to, gdzie cię znaleziono. Klasztory katolickie są częścią chorwackiego państwa, które dopuściło się zbrodni.

Widziałaś je na własne oczy. Jednak ja wiem, co przeszłaś w Jasenovacu, więc staram się zrozumieć. Przekonałam też towarzyszy, że nie jesteś amerykańskim szpiegiem.

– To postęp – zauważyła ironicznie Jane.

– Gdyby nie te okoliczności, dostałabyś kilka lat za wspieranie ustaszy.

– Co takiego?

– Nie unoś się. Już ci mówiłam, co myślimy o księżach i zakonnicach chorwackich. Byłaś wśród nich.

– Byłam bezpieczna. Co według ciebie powinnam była zrobić?

– Próbować przedrzeć się do naszej partyzantki. My pomagamy ludziom.

– Widziałam, jak pomagacie. W Osijeku.

– Zostawmy to – ucięła temat Ljuboslava. – Chcę, żebyś złożyła obszerne zeznania na temat Miroslava Filipovicia.

– Już mnie o to wypytywano.

– To odpowiesz jeszcze raz. Nic ci nie grozi. Twoja sytuacja jest też inna, ponieważ powiedziałam o tobie towarzyszowi Ticie. Zdaje się, że się znacie. Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

– Powiedzmy, że jestem osobą, która nie lubi mówić o sobie dużo – odparła Jane. – Co się stanie z siostrami, z którymi mieszkałam? One nic złego nie uczyniły. Nie akceptowały ustaszy i nie sądzę, żeby odpowiedzialność zbiorowa była w tym przypadku potrzebna. Ja za nie ręczę. Wypuśćcie je. Proszę.

– Zobaczymy, co da się zrobić w tej sprawie.

Słowa Jane były Ljuboslavie nie w smak. Liczyła, że doświadczywszy potworności ustaszy w Jasenovacu, stanie się szybko kolejną akolitką komunizmu. Jednak towarzyszka miała się przeliczyć, ponieważ w sercu Jane dokonywała się już przemiana, która zaczęła się wówczas, kiedy – niejako wbrew jej woli – dla jej ochrony zamknęły się za nią bramy klasztoru. Nie powiedziała o tym jeszcze nikomu, ale zaczynała dostrzegać w swoim cierpieniu pewien sens, który wykraczał poza ramy racjonalności. Jane nie potrafiła tego nazwać inaczej niż skrętem metafizycznym. Miała

w klasztorze w Osijeku dwa lata na przemyślenie swojego życia i wyciągnęła wnioski, które wciąż ukrywała w swojej duszy.

Heraklit z Efezu miał ponoć powiedzieć, że nie da się zgłębić duszy, tak głęboko położony jest jej logos. Jane zaczynała go dostrzegać w swoim życiu. Ten logos stopniowo układał się w pewien wzór w jej życiu, bo sam jest sensem i staje się nim w życiu człowieka.

Rozdział XXXI

Ostatnie kuszenie

Jugosławia, Zagrzeb, późne lato 1945

Jane odzyskała częściowo wolność, ale znajdowała się pod ciągłą, dyskretną obserwacją komunistycznej bezpieki. Była męczennikiem Jasenovaca, ale najwyraźniej jej nie dowierzano. Ljuboslava nie rozumiała zwrotu w stronę katolicyzmu, który obiektywnie był przecież ideologiczną podporą ludobójczego reżimu ustaszy. Jane przebywała w Zagrzebiu. Zamieszkała w tymczasowym hotelu robotniczym dla kobiet pracujących w fabryce tekstylnej. Wkrótce dołączyła do niej przeorysza, której jednak nie pozwolono chodzić w habicie. Musiała pracować, ale Jane była traktowana przez komunistów inaczej.

Któregoś dnia zawitała do niej Ljuboslava w obstawie dwóch funkcjonariuszy z bronią i rzuciła krótko:

– Jedziemy.

Nie powiedziała dokąd ani w jakim celu.

– Ktoś chce z tobą poważnie porozmawiać.

Dla Ljuboslavy pragnienie złamania woli Jane i przyjęcia przez nią komunizmu stało się czymś w rodzaju obsesji. Dla niej, bojowniczki NOVJ podczas wojny z Niemcami, Włochami i zwierzęcymi ustaszami, lewica była naturalną propozycją wartości, na których świat mógłby się oprzeć.

Liczyła, że dawny znajomy przekona Jane do pozostania w Jugosławii i przyjęcia zwycięskiego systemu wartości. Jane natomiast nie wiedziała, czego się spodziewać, ale domyślała się, do kogo ją wiozą. Miała nadzieję, że to ostatnia rafa, której pokonanie zwróci jej pełnię wolności i decydowania o samej sobie.

*

Josip Broz-Tito, szerzej znany przede wszystkim pod swoim przydomkiem, był latem 1945 roku niekwestionowanym liderem Jugosławii. Jednak trudno było mówić, że rządy komunistyczne są masowo popierane przez różne narody tworzące to dziwne państwo. Siła Tity polegała głównie na tym, że Jugosławia wyzwoliła się w większości samodzielnie, tylko z ograniczonym wsparciem Armii Czerwonej w bitwie o Belgrad jesienią 1944 roku. Jednak w roku 1945 w górach Bośni i Hercegowiny walczyło jeszcze wiele oddziałów ustaszy, którzy teraz przeszli do aktywnej partyzantki. Dowodził nimi zbrodniarz wojenny Vjekoslav Luburić.

Role się odwróciły. Myśliwi stali się zwierzyną, ściganą bez litości i bez wytchnienia. Tito zdecydował się także na intensyfikację polityki wobec potężnego w Chorwacji Kościoła katolickiego. W czerwcu 1945 roku spotkał się z arcybiskupem Alojzym Wiktorem Stepinacem, którego nakłonił do tego, by episkopat chorwacki potępił szalone zbrodnie ustaszy. Wkrótce jednak arcybiskup został aresztowany i postawiono mu zarzuty aktywnego wspierania ustaszy w czasie, gdy rządzili tak zwaną wielką Chorwacją. Zarzut dotyczył też przymusowego nawracania Serbów na wiarę katolicką. Jane nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej obecność, już ujawniona, mogła mieć teraz znaczenie polityczne.

Po kilkunastu godzinach jazdy samochód zatrzymał się przed eleganckim pałacem, w którym na co dzień mieszkał Tito. Jane czuła, że będą ją próbowali wykorzystać politycznie, a ona nie miała na to najmniejszej ochoty. Przeszła przez różne rodzaje piekła, by się przekonać, że jej wewnętrzna wolność, która jest prawem wyboru, pozostała nienaruszona. Nie złamały jej własne błędy, w tym romans z młodym Niemcem – dzięki

niemu przekonała się, że namiętność ciała mija szybko i nie daje szczęścia; nie złamał jej gestapowiec von Hoym, który na razie uniknął sprawiedliwości; nie zdołały tego zrobić piły, młotki i noże do zabijania ludzi, przygotowane przez ustaszy w Jasenovacu. Jane dotknęła piekła i nie chciała już służyć żadnemu diabłu.

Sięgnęła myślami do czasu, gdy Tito – przed prawie dziesięcioma laty! – organizował ochotników na front hiszpańskiej wojny domowej. Próbowała sobie przypomnieć jego głos, gestykulację, cokolwiek, co mogło mieć znaczenie i pomóc jej w wywarciu nacisku. Czuła się przerażająco samotna wobec tej nowej totalnej machiny, która zginała karki wszystkim w tym dziwnym kraju, stworzonym dla kilku narodowości, które tak strasznie się nienawidziły.

Ljuboslava poprowadziła ją do obszernego pokoju, gdzie ustawiono wygodne fotele. Barek pod ścianą był pełen najróżniejszych alkoholi.

– Możesz usiąść, ale gdy przyjdzie Przewodniczący, powinnaś wstać i okazać szacunek.

Ljuboslava wyszła i nagle Jane została sama. Denerwowała się i nie wiedziała, czego się spodziewać. Po chwili jednak drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i do środka wszedł potężny mężczyzna w mundurze. Włosy miał zaczesane na boki brylantyną. Nie była do końca pewna, czy go poznaje, ale wydawał się tym samym człowiekiem, z którym się zaprzyjaźniła w Paryżu.

– Witaj, Jane – powiedział Josip Broz-Tito po francusku.

– Nauczyłam się waszego języka – odparła dziewczyna, podając mu dłoń.

Tito dał jej znak, by usiadła.

– Wiem, przez co przeszłaś – rzekł. – Towarzyszka Ljuboslava przekazała mi osobiście, że uciekłyście razem z Jasenovaca. Próbujemy wymierzyć ustaszom sprawiedliwość, ale nasze metody budzą w tobie opór. Nie zaprzeczaj. Chcę cię prosić, żebyś wzięła udział w procesach ustaszy jako świadek. To bardzo ważne.

– Zgadzam się.

Tito wyraźnie się rozluźnił. Miał jednak jeszcze jeden interes.

– Jak wiesz, arcybiskup Stepinac został przez nas zatrzymany i będzie miał proces przed sądem ludowym. Chcemy, żebyś złożyła obciążające go zeznania.

To właśnie to – pomyślała Jane. W tym miejscu nie mogła zgodzić się na kłamstwo.

– Spotkałam arcybiskupa w Osijeku, gdy wizytował klasztor, który udzielił mi schronienia.

Tito o tym nie wiedział. Jane streściła mu zatem rozmowę ze Stepinacem – na tyle, na ile pamiętała.

– Mogę powtórzyć tylko to, co wówczas powiedziałam. Ale nie widziałam nigdy żadnych dowodów na jego współpracę z ustaszami, choć jego zachowanie mogłabym uznać za dwuznaczne moralnie.

Tito zgodził się na to.

– Chcę prosić także o łaskę dla siostry przeoryszy z Osijeka. Ona uratowała mi życie. Nie wszyscy katolicy chorwaccy odpowiadają za bestialstwa ustaszy.

– Dobrze, zrobimy dla niej wyjątek, ale wielu księży już tak. Nie mamy dla nich litości.

– Chcę, żebyście znaleźli Miroslava Filipovicia, komendanta Starej Gradiški.

– Ljuboslava się tym zajmuje. Ma na punkcie tego sukinsyna obsesję. Pomóż jej. Zwolnimy cię i damy ci prawo do mieszkania w Jugosławii.

– Czy będę mieć wolność wybrania mojej własnej drogi? – zapytała Jane.

Tito się zdziwił.

– Liczyłem na to, że zostaniesz w Jugosławii i pomożesz mi i nam wszystkim w budowie lepszego społeczeństwa.

– Myślę, że moja rola jest inna – powiedziała tajemniczo Jane. – Ale zostanę do aresztowania i skazania komendanta Starej Gradiški.

Tito znów się zgodził. Ale miał jeszcze coś w zanadrzu.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Arcybiskup Stepinac wysłał do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii pismo w twojej sprawie.

Teraz Jane była zdziwiona.

– I dostał odpowiedź. Znaleźli ją nasi ludzie z bezpieczeństwa, dokonujący u niego rewizji. Oto ten list.

Tito wyciągnął z kieszeni kopertę ze szwajcarskim znaczkiem pocztowym. Ze stempla można było odczytać datę: 27 grudnia 1944 roku.

„POTWIERDZAMY, ŻE JANE COULFIELD JEST POSZUKIWANA PRZEZ OBYWATELA USA SAMUELA SINGERA".

Podany był adres. Jane poznała natychmiast, że to adres ich starego domu na Manhattanie. Wzruszyła się. Jej ojciec, który ją adoptował i wychował... Była mu winna prawdę o swoim życiu.

– Czy będę mogła napisać do Stanów Zjednoczonych?

– Nie widzę przeszkód – odparł przewodniczący Tito. – Ameryka uznała moją władzę i mój rząd. Możesz też kontaktować się z konsulatem amerykańskim, który już zainstalował się w Belgradzie. Dać im znać, że żyjesz. Jednak trzymam cię za słowo. Najpierw proces potwora ze Starej Gradiški, potem ewentualnie wyjazd.

Jane musiała się zgodzić. Radość z możliwości kontaktu z ojcem po tylu latach tłumiła gorzka refleksja, że znów będzie musiała go opuścić i że tym razem on tego nie zrozumie.

BELGRAD, LISTOPAD 1945 ROKU

Jane pozostała wierna słowu danemu Ticie, ale przez kolejne miesiące obserwowała nie tylko, jak bałkańskie lato przedzierzgnęło się w pełną kolorów jesień, ale także terror, jaki Tito wprowadzał do swojego kraju. Bez przerwy toczyły się jakieś procesy. Jej pozycja była kontrolowaną wolnością, świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Porozumiała się z amerykańskim konsulatem w stolicy Jugosławii. Amerykańscy

dyplomaci byli zdumieni jej historią i zaszokowani skalą zbrodni z Jasenovaca.

– Nie wiedzieliśmy, że dochodziło tam do takich zbrodni – powiedział jej jeden z pracowników ambasady.

Jane poprosiła o pomoc w nawiązaniu kontaktu z ojcem. Napisała list, a dyplomaci wysłali go pocztą dyplomatyczną do Nowego Jorku. Osiem stron, gęsto zapisanych tekstem. Opisała, co działo się z nią od czasu, gdy Samuel opuścił ją we Francji. Zaznaczyła, że nie ma o nic pretensji. Pytała o Michaela, o którego losie nie wiedziała nic od lat. Napisała jednak, że na razie nie może wrócić do Stanów Zjednoczonych, ponieważ ma jeszcze tutaj sprawy do załatwienia. Nie sprecyzowała jednak, o co dokładnie chodzi. Zabrzmiało to dość tajemniczo.

*

Proces arcybiskupa Stepinaca odbył się po jego ostatecznym aresztowaniu we wrześniu 1946 roku. Oskarżono go o zdradę, spiskowanie z ustaszami, współuczestnictwo w zbrodniach przeciwko ludzkości, przymusowe nawracanie Serbów na katolicyzm, prześladowania Żydów. Jane uznała, że zarzuty o nawracanie Serbów oraz bliskie związki polityczne z ustaszami są prawdziwe, o pozostałych nie mogła tego powiedzieć. Obserwowała proces, podczas którego obrońca z urzędu nie zadał świadkom oskarżenia ani jednego pytania. Zdumiało ją to, bo przecież wychowywał ją nowojorski adwokat – takie zachowanie obrońcy nie licowało z etyką zawodu. Oczywiście oczekiwała na swoją kolej, ponieważ jugosłowiańska prokuratura wojskowa poinformowała ją, że zostanie wezwana jako świadek. Oswoiła się z całą sytuacją na tyle, że nie miała zamiaru ułatwiać zadania oskarżeniu.

Tego dnia, gdy została wezwana, zdawało się jej, że arcybiskup ją poznał.

– Imię i nazwisko? – zapytał prokurator.

– Jane Coulfield.

– Jakiej pani jest narodowości?

– Jestem Amerykanką i Żydówką.

Szmer niedowierzania przeszedł po sali, w której toczył się proces.

– Gdzie przebywała pani od marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku do września tego roku?

– W obozie koncentracyjnym w Jasenovacu.

– Czy spotkała świadek oskarżonego?

– Tak, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, w klasztorze w Osijeku, gdzie udzieliły mi schronienia chorwackie katolickie siostry.

– Co było przedmiotem spotkania?

– Moja relacja z Jasenovaca. Opisałam to wszystko, czego byłam świadkiem.

– Co świadek widziała?

– Obcinanie głowy piłą do drewna młodemu mężczyźnie, który nie chciał przejść na katolicyzm.

– Jak nazywał się ten mężczyzna?

– Branko Jungić. Był Serbem. Nigdy go nie zapomnę.

– Co wiadomo świadkowi o praktyce zmuszania do przechodzenia na katolicyzm Serbów?

– Wiem, że taka była oficjalna praktyka władz chorwackich, wobec której Kościół katolicki wyrażał aprobatę.

– Czyli świadek potwierdza, że świadek wiedział o tych praktykach?

– Tak – odparła Jane, obserwując biskupa.

Siedział spokojnie na ławie oskarżonych. Odniosła wrażenie, że pogodził się już z wyrokiem skazującym. Zdziwiła się, że prokurator nie wypytywał ją o rzeczy, których świadkiem nie była.

– Czy wiadomo świadkowi o tym, kto był odpowiedzialny za zbrodnie z Jasenovaca?

– Komendant i podlegający mu ustasze strażnicy.

– Kto był komendantem?

– Miroslav Filipović zwany też ojcem Tomislavem Majstoroviciem lub Bratem Szatanem.

Szmer wrażenia. Ludzie słuchali tego przewodu sądowego z wielkim przejęciem.

– Czy świadek poinformowała oskarżonego o praktykach Filipovicia w obozie?

– Tak.

– Co świadek mu powiedziała?

– O obcinaniu głów piłą do drewna, świdrowaniu oczu, przecinaniu piłami kobiet, masakrowaniu chłopców i rzucaniu ludzkiego mięsa psom.

Szmer wzburzenia. To było jak grom z nieba dla zebranej publiczności.

– Czy świadek odniosła wrażenie, że oskarżony zrozumiał to, co świadek mu powiedziała?

– Tak, ale powiedział, że ojciec Majstorović jako franciszkanin nie podlega jego władzy kościelnej.

Znów szmer po sali. Prokurator zmierzył wzrokiem oskarżonego.

– Co świadek powiedziała oskarżonemu?

– Że jego postawa wypływa z klerykalizmu i jest etycznie i moralnie nie do przyjęcia.

Prokurator popatrzył z tryumfem na arcybiskupa, który przyjmował przebieg procesu w pokorze i bez słowa sprzeciwu.

– Świadek jest wolna – odparł prokurator.

Obrońca oczywiście nie miał żadnych uwag. Ani jednego pytania do świadka. Jane zrobiło się arcybiskupa żal. Usmażą go – pomyślała.

*

Minęło kilka miesięcy. Arcybiskup Stepinac dostał wyrok szesnastu lat więzienia, co – biorąc pod uwagę międzynarodowe reperkusje procesu – można uznać za wyrok surowy. Uznano go za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów.

Jednak Jane nie była wolna, nie mogła jeszcze decydować o samej osobie. Wiosną 1946 roku mijało właśnie pięć lat, odkąd zjawiła się w tym kraju. Mijało też dziesięć lat, odkąd opuściła z własnej woli Stany Zjednoczone, i czuła wewnętrznie, że jej życie nie powinno już tam wrócić.

Rozumiała już siebie, ale nie przekazała jeszcze swojej woli bliskim, którzy zasługiwali na to, by dowiedzieć się tego od niej.

Przyszły dwa listy. Jeden od brata Michaela, który walczył podczas wojny na Pacyfiku i został ciężko ranny na Iwo Jimie, wyspie, o której Jane nigdy wcześniej nie słyszała. Drugi był od Samuela, który przez ostatnie lata czekał na jakikolwiek kontakt z córką, którą prawie uznał za zaginioną. On również przesłał do niej kilka stron, przyznając się do swojego błędu. „Nigdy nie powinienem był cię odtrącić" – napisał w serdecznym liście.

Jane wiele razy czytała obydwa listy. Nie mogła wprost uwierzyć, że jej bliscy żyją i że obydwaj są w drodze z Ameryki do Europy. Pomyślała, że płyną przez wielką wodę tak jak ona w 1936 roku. Cieszyła się, ale i smuciła z powodu swojej decyzji, którą miała im ogłosić, gdy tylko się spotkają. Samuel i Michael, już zdemobilizowany po ranie i rehabilitacji, podróżowali z Nowego Jorku do Genui. Czekały ich jeszcze trudna droga przez powojenne Włochy i statek z Wenecji do Dubrownika, gdzie miała ich spotkać w czerwcu 1946 roku.

*

Nadszedł i drugi proces, na który czekała Jane. Po odwrocie ustaszy z Austrii i masakrze w Bleiburgu, gdzie zginęło ponad dziesięć tysięcy Chorwatów uciekających z kraju przed wojskami komunistycznymi, Brytyjczycy zatrzymali w Austrii byłego franciszkanina i komendanta Starej Gradiški Miroslava Filipovicia-Majstorovicia. Posługiwał się paszportem na to drugie nazwisko, ale oficer brytyjski zatrzymał go do sprawdzenia, czy nie znajduje się na liście poszukiwanych zbrodniarzy. Został zatrzymany.

Jane o tym nie wiedziała, ale wartość tego, co uczyniła podczas uwięzienia w Jasenovacu, polegała na tym, że prawdziwe nazwisko zbrodniarza zostało przekazane na Zachód. Zatrzymanie Filipovicia było zatem możliwe, bo pewna dziewczyna, skazana na pochłonięcie w piekle chorwackiego obozu koncentracyjnego, zdobyła się na odwagę dokonania

czegoś prawie niemożliwego. Filipović uciekał oczywiście w habicie, do którego, jak się zdaje, był emocjonalnie przywiązany. Brytyjczykom z trudem przyszło uwierzenie, że skromny, pobożny i uśmiechnięty mnich jest poszukiwanym Bratem Szatanem. Jednak po naleganiach ze strony jugosłowiańskiej w końcu wydali go, choć niechętnie.

Dla jugosłowiańskiej bezpieki – UDBA[30] – Filipović był jednym z najbardziej poszukiwanych chorwackich zbrodniarzy, któremu zamierzano wytoczyć popisowy proces w Belgradzie przed ludowym trybunałem. Na specjalne polecenie Tity wyłączono ze składu sędziowskiego wszystkich Serbów. Prokurator oskarżający był Słoweńcem, a sędziowie i ławnicy – Chorwatami. Wytrącano w ten sposób z ręki argument wszystkim tym, którzy uważali, że proces byłego księdza i zbrodniarza jest ustawiony i że chodzi o zemstę. Z uwagi na bestialstwo Jasenovaca zdołano przedstawić tylko kilkunastu świadków, którzy przeżyli pobyt w obozie, w tym czternastoletnie dzieci z Sisaku, ale najważniejszymi świadkami, bezpośrednio mającymi wiedzę o jego zbrodniach, były Ljuboslava oraz Jane.

Szczególnie zeznania Amerykanki zrobiły wrażenie na wszystkich. Jane z wielką obrazowością opisała egzekucję Branko Jungicia. Prokurator wtedy jej przerwał, władze jugosłowiańskie znalazły bowiem zdjęcie zrobione przez któregoś z ustaszy. Przedstawiało przerażonego chłopaka, podtrzymującego się lewą ręką, i ustaszy przykładających mu do szyi piłę do drewna. Na dalszym planie widać było Jane trzymaną przez ustaszkę Šakić. Powiększony obraz został umieszczony na specjalnej tablicy i zaprezentowany wszystkim na sali sądowej.

– Świadek to widziała?

– Tak, Filipović kazał mi na to patrzeć. Według niego była to pięćdziesiątnica Branko Jungicia.

– Co takiego? – zapytał prokurator, nie rozumiejąc.

Jane wyjaśniła, że termin ten pochodzi z teologii katolickiej i w podstawowym znaczeniu oznaczał zesłanie Ducha Świętego po pięćdziesięciu dniach od Zmartwychwstania, ale Filipović określał

w ten sposób, ile dni życia pozostało więźniowi, jeśli nie przyjmie katolicyzmu.

– Ja byłam następna w kolejce. Nada Šakić, chorwacka faszystka, groziła mi, że osobiście mi zetnie głowę – wyjaśniła Jane. – Dlatego zdecydowałam się na ucieczkę. Wiedziałam, że mogę umrzeć. Chodziło mi o to, żebym umarła wolna.

Jane opowiedziała również o innych zbrodniach Filipovicia, który podczas procesu zachowywał się butnie, wyszydzając świadków, ale gdy tylko zobaczył Amerykankę, natychmiast się uciszył. Jane zrozumiała, że on naprawdę się jej bał – zwykłej trzydziestosześcioletniej kobiety, która nie pozwoliła się upodlić i złamać.

Po Jane zeznawała Ljuboslava. Opisała to, czego Jane nie mogła widzieć, a więc igrzyska, podczas których Filipović i Petar Brzica zamordowali za pomocą srbosjeków ponad dwa tysiące osób.

To wystarczyło sądowi. Filipović został skazany na śmierć przez powieszenie. Wykonanie wyroku miało mieć charakter publiczny. Gdy sąd wypowiedział ostatnie słowa, były franciszkanin i komendant Starej Gradiški wstał i powiedział, że zabijanie Serbów było dobrem, które wyświadczył ludzkości.

Jane nie mogła już tego słuchać.

– Wychodzę, bo nie mogę już patrzeć na tego skurwysyna – szepnęła do siedzącej obok niej Ljuboslavy.

Filipovicia powieszono. Egzekucję oglądały tysiące osób. Do samego końca nie wyraził skruchy. Kazał się powiesić w habicie. I tak zawisł. Jego trupa trzymano na szubienicy do wieczora. Chwiał się na wietrze, martwy.

DUBROWNIK, 25 CZERWCA 1946 ROKU

Jane po raz pierwszy od lat mogła zobaczyć ojca i brata. Michael przyjechał do Europy z narzeczoną, młodą pielęgniarką, która opiekowała się nim w szpitalu, gdy był ranny. Miała na imię Elisabeth, tak jak ich mama, co Jane uznała za znak Opatrzności.

Samuel i Jane długo płakali w swoich objęciach. Spędzili razem wspaniałe dwa tygodnie w Dubrowniku – łowiąc ryby, żeglując po morzu i zachwycając się krajobrazem, gdzie morze łączyło się ze słońcem. Wszyscy sobie wszystko wybaczyli i wydawało się Jane, że zakończenie tej historii będzie bajkowe. Mogłaby przecież wrócić z Samuelem, Michaelem i jego narzeczoną do Nowego Jorku i znów wieść życie zblazowanej intelektualistki. Okoliczności były sprzyjające, ponieważ po II wojnie światowej Stany Zjednoczone osiągnęły najwyższy wskaźnik jakości życia na planecie Ziemia. Jednak Jane nauczyła się już, że jej życie nie będzie już nigdy takie, jakie było przed Jasenovacem. Ktoś musi opłakać te ofiary, które za lat dziesięć zostaną zapomniane. Ktoś musi wybłagać u Boga łaskę dla tego świata. Ona już podjęła wolną decyzję, najdziwniejszą i najgłębszą w swoim życiu.

Po dwóch tygodniach była gotowa, by przekazać ją ojcu i bratu.

– Kochani, nie wrócę z wami do Ameryki – oświadczyła. – Podjęłam decyzję, że wstąpię do zakonu karmelitańskiego, do jego żeńskiej gałęzi, jednak z uwagi na obciążenie chorwackiego Kościoła zbrodniami ustaszy wstąpię do klasztoru we Włoszech. W Jugosławii nic mnie nie trzyma. Spełniłam już dane słowo, że zostanę do końca procesów zbrodniarzy.

Samuel nie potrafił nic sensownego na to odpowiedzieć. Nigdy nie był człowiekiem religijnym, ale zawsze identyfikował się z tradycją żydowską, w której wychował Michaela i Jane. Ale nauczył się też, że dzieci się nie odrzuca, nawet jeśli ich wybory są niezrozumiałe. Nigdy by nie podejrzewał, że Jane zostanie katoliczką – wszak doświadczyła zbrodni, jakich dopuszczali się chorwaccy księża. Ale nie oceniał córki.

Natomiast Michael powiedział od razu, że cieszy się z jej decyzji.

– Naprawdę? Jestem zaskoczona, bracie – rzekła zdumiona.

– Twoja forsa teraz przypadnie mnie. Będę mógł pojechać do Vegas i przepić tam wszystko.

To był żart dnia. Ale rzeczywiście – Michael spodziewał się, że Jane nie wróci już do Stanów Zjednoczonych, które od pewnego czasu przestały być jej krajem.

– Dokonałam wolnego wyboru. Zamierzam zamknąć się w czterech ścianach mojej wolności i zbudować metafizykę raz jeszcze – zakończyła rozmowę Jane. Gdy wypowiadała te słowa, słońce na horyzoncie właśnie dotykało morza.

EPILOG

POKŁAD „ANDREI DORII", W DRODZE DO NOWEGO JORKU, 20 LIPCA 1956 ROKU

Maksymilian von Hoym i jego siostra Anabelle poczuli się fatalnie, gdy przekonali się, że zakonnica podróżująca z nimi statkiem to ta sama kobieta, którą gościli w swoim domu w Niemczech w roku 1936.

Maksymilian po udanej ucieczce z Jugosławii nigdy nie został wydany przez władze niemieckie władzom w Belgradzie i uniknął losu dowódcy 4. Floty Powietrznej Alexandra Löhra, który – wydany władzom jugosłowiańskim – został osądzony i rozstrzelany. Odkąd Maksymilian odkrył tożsamość zakonnicy, jego siostra i zarazem kochanka Anabelle bez przerwy mu powtarzała:

– Ja nie mam wcale pewności, że to ona. Po prostu odpuść to, ona cię nie wsypie. Zakonnice mają chyba inne rzeczy na głowie niż grzebanie w przeszłości.

– Gdyby to była prawda – westchnął.

W ciągu ośmiu lat, które minęły od wojny, von Hoym zdołał się ponownie ustawić życiowo. Skorzystał z niewyrażonej wprost polityki Republiki Federalnej Niemiec – wobec urzędników i oficerów aparatu hitlerowskiego średniego szczebla nie wyciągano żadnych konsekwencji. Został jednym z dyrektorów Volkswagena, był odpowiedzialny za pozyskiwanie nowych technologii. Z tego powodu płynął do USA.

– Co zamierzasz? – zapytała zaniepokojona stanem brata Anabelle.

– Co mogę zrobić?

– Mógłbyś ją na wszelki wypadek wyrzucić za burtę. Jesteśmy na oceanie. Nikt jej nie znajdzie.

– Moja droga, wojna skończyła się osiem lat temu. Proszę, nawet o tym nie myśl. To najgłupsze, co moglibyśmy zrobić. Wszystko do mnie wróciło. Cała przeszłość. To, co zrobiłem.

*

Tymczasem siostra Łucja od Aniołów, bo tak teraz nazywała się niegdysiejsza Jane Singer-Coulfield, wracała do swojego dawnego kraju z mieszanymi uczuciami. Nigdy nie żałowała decyzji o wstąpieniu do Karmelu, choć cały proces nie był wcale taki szybki i prosty. Włochy, zmagające się po wojnie z wyczerpaniem, biedą i atmosferą antykościelną, nie były krajem, w którym Amerykanka – i do tego Żydówka otwarcie przyznająca się do swoich korzeni – była mile widziana. Jednak w końcu Jane przełamała lody i późną jesienią 1946 roku zaczęła postulat w Rzymie.

Życie w klasztorze, za furtą, było przede wszystkim czasem, w którym musiała z siebie zedrzeć ostatnie maski, jakie ludzie nakładają, żeby wydać się lepszymi w swoich własnych oczach. Musiała przejść przez oczyszczenie i ciężką pokutę – wszak w 1940 roku dopuściła się aborcji pod namową i naciskiem człowieka, z którym była wówczas związana. Jednak tajemnicę tę znał tylko doskonały spowiednik, który wówczas posługiwał karmelitankom. Zakonnik ten prowadził Jane przez dwa lata – tyle trwał czas wstępny. Nie zaliczono jej pobytu w Osijeku, gdyż nie był on z własnej woli. Spowiednik rozeznawał stan duszy nowej siostry i w końcu stwierdził, że nie ma przeszkód, by wstąpiła w szeregi Karmelu.

Od tamtej pory minęło osiem lat. Jane nie zobaczyła się już z karmelitankami z Chorwacji. Żelazna kurtyna sprawiła, że było to niemożliwe. Spotkanie z Maksymilianem – Jane poznała go od razu – wywołało u niej głębokie przeżycia. Nie przypuszczała, że osiem lat po wojnie, gdy wydawało jej się, że pogodziła się z sobą, wróci trauma z Jasenovaca.

A wróciło do niej wszystko. Atmosfera statku pasażerskiego, na którym określona liczba osób przebywa w izolacji od reszty ludzkości, nie sprzyjała

stabilizacji. Jane źle znosiła kołysanie, które przecież nie przeszkadzało jej podczas przekraczania oceanu na liniowcu „Bremen” w 1936 roku. Jednak świadomość, że piekło, którego doświadczyła w chorwackim obozie, spotkało ją przez człowieka płynącego na tym statku jako pasażer, sprawiła, że poczuła cały ciężar historii, której doświadczyła.

– Czy siostra dobrze się czuje? – zapytała włoska zakonnica, która jej towarzyszyła.

– To przez to kołysanie.

Powinna się skarcić za kłamstwo, ale nie była w stanie tłumaczyć wszystkiego kobiecie, która nie znała jej sprzed wojny. Nie miała na to siły. Na szczęście była na tyle mocną osobowością, że po kolejnych dwóch dniach na pełnym Atlantyku pogodziła się znów ze swoją historią i tym, że nie jest w stanie cofnąć piekła Jasenovaca, przez które przeszła. Jednak świadomość tego, że jeden z katów jej życia przebywa na tym samym statku, obudziła inne uczucia, których istnienia najprawdopodobniej nie byłaby świadoma, gdyby nie ten rejs – wciąż nie mogła wybaczyć von Hoymowi, że uniknął kary.

Tych dwoje miało się jeszcze spotkać.

*

25 LIPCA 1956, POKŁAD „ANDREI DORII”, OKOŁO GODZINY 22

Maksymilian wymknął się z sypialni, gdy Anabelle już spała. Poszedł do jednego z barów, które były czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę dla wygody pasażerów. Kelner nalał amerykańskiego burbona. Dwie kolejki Maksymilian von Hoym wypił w samotności. Po pewnym czasie wyczuł, że nie jest sam. Przestraszył się. W bladym świetle lamp na korytarzu dostrzegł ją.

Stała tam, w habicie zakonnym, ale von Hoym pomyślał, że wygląda jak Nemezis, bogini zemsty. Maksymilian postarzał się. Przytył. Stracił dawny wigor. Włosy mu się przerzedziły. Nie był już dawnym esesmanem, ale

człowiekiem po pięćdziesiątce, który przedkłada wygodę życia nad wszystkie dylematy moralne.

– Czego chcesz?! – krzyknął.

Zakonnica jak zjawa przesunęła się cicho do przodu, ale barman, który mógłby być świadkiem ich rozmowy, widząc, że jedyny klient jest zaopatrzony w alkohol, ulotnił się gdzieś kilka minut wcześniej.

– Chcę wiedzieć, jak pachnie twój strach – powiedziała w nienagannym niemieckim. Zawsze miała talent do języków.

Bał się jej. Śmierdział strachem.

– Chciałam się naocznie przekonać, jaki jesteś żałosny.

– Jakie jeszcze impertynencje mi powiesz, ty... – żachnął się Maksymilian, ale nie potrafił dokończyć odpowiednim przekleństwem.

– Jesteś biednym tchórzem – kontynuowała dawna więźniarka. – I zawsze już będziesz się odwracał na ulicy, czy przypadkiem nie podąża za tobą policjant z nakazem aresztowania. Przez te wszystkie lata czułam, że uciekłeś sprawiedliwości, ale teraz, kiedy zobaczyłam cię tutaj, na tym statku, uwolniłam się od nienawiści do ciebie. Jestem naprawdę wolna.

Maksymilian von Hoym stał jak skamieniały. Nie wiedział, co powiedzieć. Zakonnica cicho wyszła. Nie będzie zemsty. Nie jej rękoma.

Rzeczywiście – Jane tego wieczoru stała się wolna w sposób ostateczny.

25 LIPCA 1956, GODZINA 23.10

Dokładnie o tej godzinie dziób szwedzkiego liniowca „Stockholm", płynącego z Nowego Jorku do stolicy Szwecji, wbił się w prawą burtę „Andrei Dorii". Potężny wstrząs obudził pasażerów włoskiego liniowca. Łoskot i huk giętego i miażdżonego boku wielkiego statku niósł się po wodzie. Znajdowali się sześćdziesiąt mil od wyspy Nantucket u wybrzeży stanu Massachusetts. W katastrofie w chwili zderzenia zginęło pięćdziesięciu pięciu pasażerów, w tym pięciu na szwedzkim liniowcu. „Andrea Doria" zaczęła nabierać wody i przechylać się wyraźnie na prawy bok. Wybuchła panika, którą Włosi jednak opanowali. Chodziło o życie

pasażerów. Połowa z szalup po prawej stronie nie mogła być użyta ze względu na przechył statku. Włosi oczywiście włączyli natychmiast pompy, co dało im trochę czasu. Trzy godziny po katastrofie na miejsce przypłynął francuski trzykominowy liniowiec „Île de France".

W gęstej mgle zaczęła się trudna akcja ratunkowa. Na szwedzki statek zabrano pięciuset, a na francuski liniowiec – siedmiuset pasażerów. Obydwa popłynęły w stronę Nowego Jorku. Szwedzka jednostka posuwała się powoli, do dziesięciu węzłów – miała uszkodzony dziób oraz kilkuset ludzi więcej na pokładzie.

Maksymilian von Hoym oraz jego siostra Anabelle nigdy nie zostali odnalezieni. Być może zginęli zgnieceni w chwili, kiedy szwedzki statek ze wzmocnionym dziobem wbił się w bok włoskiego liniowca. W tym bowiem miejscu znajdowała się ich kajuta. Natomiast pomieszczenia drugiej klasy, w których podróżowały zakonnice, ulokowane były w części rufowej po lewej burcie. Większość ofiar na „Andrei Dorii" to ludzie zaskoczeni przez śmierć we śnie. Załoga opuściła pokład włoskiego statku jako ostatnia, a ten pogrążył się w oceanie o godzinie dziesiątej przed południem 26 lipca 1956 roku.

Jane nie zdążyła włożyć na siebie habitu. Podczas akcji ewakuacyjnej nie odezwała się ani słowem. Dopiero w Nowym Jorku, gdy amerykańscy urzędnicy zapytali ją, kim jest, odparła:

– Nazywam się Jane Coulfield i przyjechałam do domu po dwudziestu latach.

Ku zdumieniu włoskiej siostry, z którą serdecznie się pożegnała, Jane, kobieta czterdziestojednoletnia, zawiadomiła brata i ojca, że wróciła do domu.

*

Do Karmelu nigdy nie wróciła. Uznała, że była to ucieczka przed traumą obozu koncentracyjnego. Spotkanie z Maksymilianem von Hoymem na tym feralnym statku było rodzajem oczyszczającego doświadczenia. Była wdzięczna karmelitankom za to, że spotkała je na swojej drodze, ale

to nie była jej droga. Nie złożyła ślubów wieczystych, więc mogła odejść. Brat, jego żona i dzieci oraz stary, schorowany Samuel nie kryli radości, że ich córka, siostra i ciocia do nich wróciła. Zaopiekowała się Samuelem, który zmarł w 1960 roku. Sama pozostała przy katolicyzmie, ale – poza jednym wyjątkiem – nigdy nikomu już nie mówiła o swoich wojennych doświadczeniach. Nigdy też nie wyszła za mąż. Została nauczycielką filozofii i języka francuskiego w kilku renomowanych szkołach średnich w Nowym Jorku. Zawsze otwarta dla ludzi o innych poglądach niż swoje, serdeczna, zyskała wielu przyjaciół, szczególnie w okresie walki Afroamerykanów o równouprawnienie. Gdy któraś z uczennic zapytała ją, dlaczego jest taka spokojna i szczęśliwa, odpowiedziała:

– Szczęście jest w nas. Ale można je w pełni docenić dopiero wtedy, gdy człowiek dowie się, czym jest jego piekło, i pokona je.

– A jak pani tego dokonała?

– Po prostu przestałam nienawidzić tych, którzy mnie skrzywdzili.

– Czyli wybaczyła pani?

Jane westchnęła. Nie odpowiedziała już na to pytanie.

Odnalazła w Ameryce Hannah Arendt, która była teraz profesorką na filozofii i Wydziale Nauk o Polityce na Harvardzie. Poznały się po wielu latach. Jane jej jedynej opowiedziała o swoich doświadczeniach z obozu w Jugosławii oraz o tym, że wybaczyła von Hoymowi. Arendt natomiast wyznała Jane, że wybaczyła Heideggerowi. Odnowiły przyjaźń. To właśnie jej Hannah Arendt dała do przeczytania kopię *Korzeni totalitaryzmu*, jednej z największych książek XX wieku. Kobieta była częstym gościem u Arendt i jej męża w Bostonie.

Jednak w Ameryce żył jeszcze jeden przyjaciel, któremu Jane złożyła po latach wizytę.

*

W Metropolitan Opera tego dnia odbywał się koncert znakomitego amerykańskiego kompozytora Samuela Barbera, którego *Adagio for Strings* zaczęło być postrzegane po II wojnie światowej jako jeden z najgłębszych

i najbardziej znanych utworów XX wieku. Jane wybrała się na ten koncert, kupiła bilet na najlepsze miejsce. Po występie podeszła do Barbera, który stał obok Menottiego – wciąż byli nierozłączną parą. Samuel poznał ją natychmiast, choć od ich spotkania w Paryżu minęło tyle lat. Cóż to były za chwile! Wybrali się we trójkę – jak za paryskich lat – na kolację. Mówili o muzyce, sztuce i filozofii.

Właśnie tego dnia Jane zrozumiała, że nie może być bardziej szczęśliwa.

Przypisy

[1] Karl Jaspers, *Problem winy,* esej opublikowany w 1946 r.

[2] New Deal – program reform ekonomiczno-społecznych; został wprowadzony przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta w latach 1933–1939; miał przeciwdziałać skutkom wielkiego kryzysu.

[3] (ang.) Ekonomiczne konsekwencje pokoju.

[4] (niem.) Polityka światowa.

[5] *Von der mannigfachen Bedeutung des Seienden nach Aristoteles.*

[6] Johann Wolfgang Goethe *Der Erlkönig*. Dlaczego, synku, odwracasz wzrok?/– Nie widzisz, tato? Popatrz tam, w bok./Król olch mnie wabi, korona mu lśni./– To tylko mgła. Coś ci się śni. (tłum. Antoni Libera)

[7] – Kochany mój! Urzekłeś mnie./Więc chodź po dobroci! Bo porwę cię./– Ach, tato, tato! Porywa mnie król!/Ciemnieje mi w oczach, przeszywa ból.

[8] (z niem.) Problem bytu duchowego.

[9] (niem.) Dosłownie tu-bycie.

[10] Tytuł oryginału brzmiał *I saw Hitler*.

[11] Johann Wolfgang Goethe *Faust* (tłum. Emil Zegadłowicz).

[12] RSHA – Reichssicherheitshauptamt; Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

[13] Gestapo było częścią RSHA, zatem wszyscy jego funkcjonariusze byli esesmanami.

[14] Jeden z bohaterów mojej powieści *Taniec szarańczy*, wyd. Albatros, 2007. To element szerszego uniwersum moich powieści wojennych.

[15] Kagulardzi – zwolennicy skrajnie prawicowej organizacji Comité secret d'action révolutionnaire (CSAR), zwanej potocznie La Cagoule (fr. kaptur), głoszącej hasła antylewicowe i faszyzujące.

[16] Niemiecka wyższa szkoła o polityce.

[17] (niem.) Wariant żółty.

[18] (niem.) Dosłownie polowa szarość – szarość z odcieniem zieleni.

[19] (fr.) Dosłownie pozioma kolaboracja – określenie opisujące relacje intymne francuskich kobiet z niemieckimi żołnierzami podczas okupacji Francji.

[20] (fr.) Zamach stanu.

[21] Nezavisna Država Hrvatska – nazwa satelickiego państwa w okresie 1941–1945.

[22] Bevollmächtiger Deutscher General in Kroatien (niem.) – niemiecki generał pomocny w Chorwacji.

[23] Thomas Hobbes, *Lewiatan, czyli materia, forma i władza państwa kościelnego i świeckiego* (1651).

[24] Narodnooslobodilačka vojska Jugoslavije – ogólna nazwa komunistycznych sił partyzanckich dowodzonych przez Josipa Broza-Titę.

[25] W książce zostało zachowane historyczne nazewnictwo – serbsko-chorwacki uznawany był do lat 90. XX w. za jeden język, aczkolwiek charakteryzujący się pewną wariantywnością. Po rozpadzie Jugosławii dokonano jego rozdzielenia zgodnie z granicami etnicznymi i politycznymi (dla podkreślenia odrębności narodów również w sferze językowej) na osobne odmiany normatywne: serbski, chorwacki i bośniacki.

[26] (łac.) Nie wyznaję twojej wiary.

[27] Pod takim nazwiskiem występował Miroslav Filipović w obozie w Jasenovacu. Nazwisko to zostało stworzone od gry słów – master, znaczy mistrz, w sensie utalentowany człowiek. Zob. http://www.doiserbia.nb.rs/img/doi/0350-7653/2020/0350-76532051207L.pdf (last visit 22.12.2022)

[28] (serb.-chorw.) Brat Szatan.

[29] (chorw.) Piękna jesteś, nasza ojczyzno.

[30] Uprava Državne Bezbednosti – Urząd Bezpieczeństwa Państwowego, komunistyczna jugosłowiańska bezpieka działająca w latach 1945–1990.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Burzliwe losy Antoniego Mokrzyckiego – hrabiego, dyplomaty i szpiega – ukazane na tle najważniejszych wydarzeń dwudziestowiecznej Polski i świata. Trzyczęściowy cykl Wojciecha Dutki to doskonałe połączenie powieści historycznej z literaturą sensacyjno-szpiegowską!

www.wydawnictwolira.pl

LiRA
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH

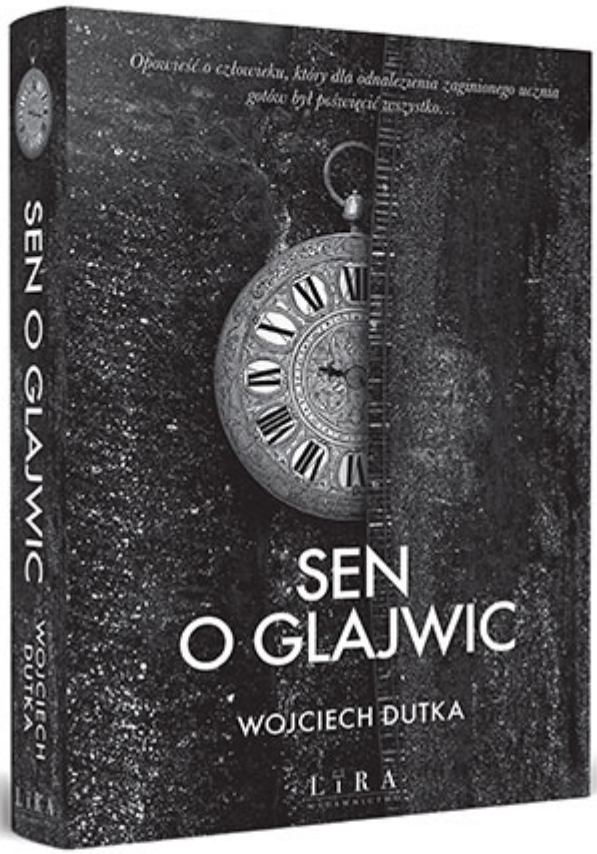

To opowieść o człowieku, który dla odnalezienia zaginionego ucznia gotów był poświęcić wszystko. To zarazem przewrotna biografia Gliwic – miasta o dwóch tożsamościach, które dzieli czas... Wojciech Dutka tworzy emocjonujący kolaż powieści historycznej, kryminalnej i obyczajowej z elementami fantasy.

www.wydawnictwolira.pl

LiRA
WYDAWNICTWO

Brawurowo napisana przez Wojciecha Dutkę, wstrząsająca i na wskroś prawdziwa opowieść o zanurzonej w wojnie Europie. Takie książki chcę czytać!

BARBARA WYSOCZAŃSKA, pisarka, autorka m.in. „Narzeczonej nazisty"

Jane Coulfield, studentka filozofii Uniwersytetu Harvarda, w 1936 roku udaje się do Niemiec, by poznać lepiej filozofię Martina Heideggera i zrozumieć naturę Rzeszy pod rządami Hitlera. Nawiązuje tam przelotny, jak wówczas myśli, romans z młodym Niemcem. Z czasem jej sytuacja komplikuje się i musi uciekać do Francji, gdzie zaszywa się na kilka lat. Jednak po wybuchu wojny przeszłość nieoczekiwanie daje o sobie znać... W wyniku splotu różnych okoliczności Jane dociera do Jugosławii i trafia do piekła Jasenovaca, straszliwego obozu prowadzonego przez chorwackich ustaszy. Tam zmierzy się z uosobieniem zła – byłym księdzem, komendantem Miroslavem Filipoviciem-Majstoroviciem. Czy starczy jej siły, nie tylko fizycznej, by przetrwać?

Bohaterka spotyka na swojej drodze postaci historyczne, wśród nich Josipa Broza-Titę, Gertrude Stein czy Hannah Arendt, a jej niezwykłe losy toczą się na tle znanych z historii wydarzeń.

Autor stworzył charakterystyczny dla swej twórczości kolaż gatunków: wstrząsającej powieści wojennej, romansu z wątkiem obyczajowym i traktatu filozoficznego. To poruszająca lektura, dzięki której czytelnicy, śledząc losy Jane, ważnego świadka zbrodni w bałkańskim Auschwitz, z całą mocą mogą poczuć, że II wojna światowa była w istocie piekłem. To zarazem uniwersalna opowieść o nietuzinkowej kobiecie i jej dramatycznej walce o przetrwanie.

WOJCIECH DUTKA

- urodzony w 1979 roku w Bielsku-Białej pisarz, nauczyciel i historyk. Człowiek spełniony. Jego największą pasją jest pisanie. Czuje się dobrze zarówno w powieści historycznej, przygodowej, jak i sensacyjnej, ale z powodzeniem uprawia też kolaż tych gatunków. Autor wielu powieści, w tym głośnej „Czerni i purpury", cyklu o hrabim Mokrzyckim – polskim szpiegu i dyplomacie, „Apokryfu", „Apostaty" i „Snu o Glajwic".

www.wydawnictwolira.pl

LiRA WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

ISBN: 978-83-67654-09-8

Cena: 49,99 zł (w tym 5% VAT)